

Part Code
ST1316

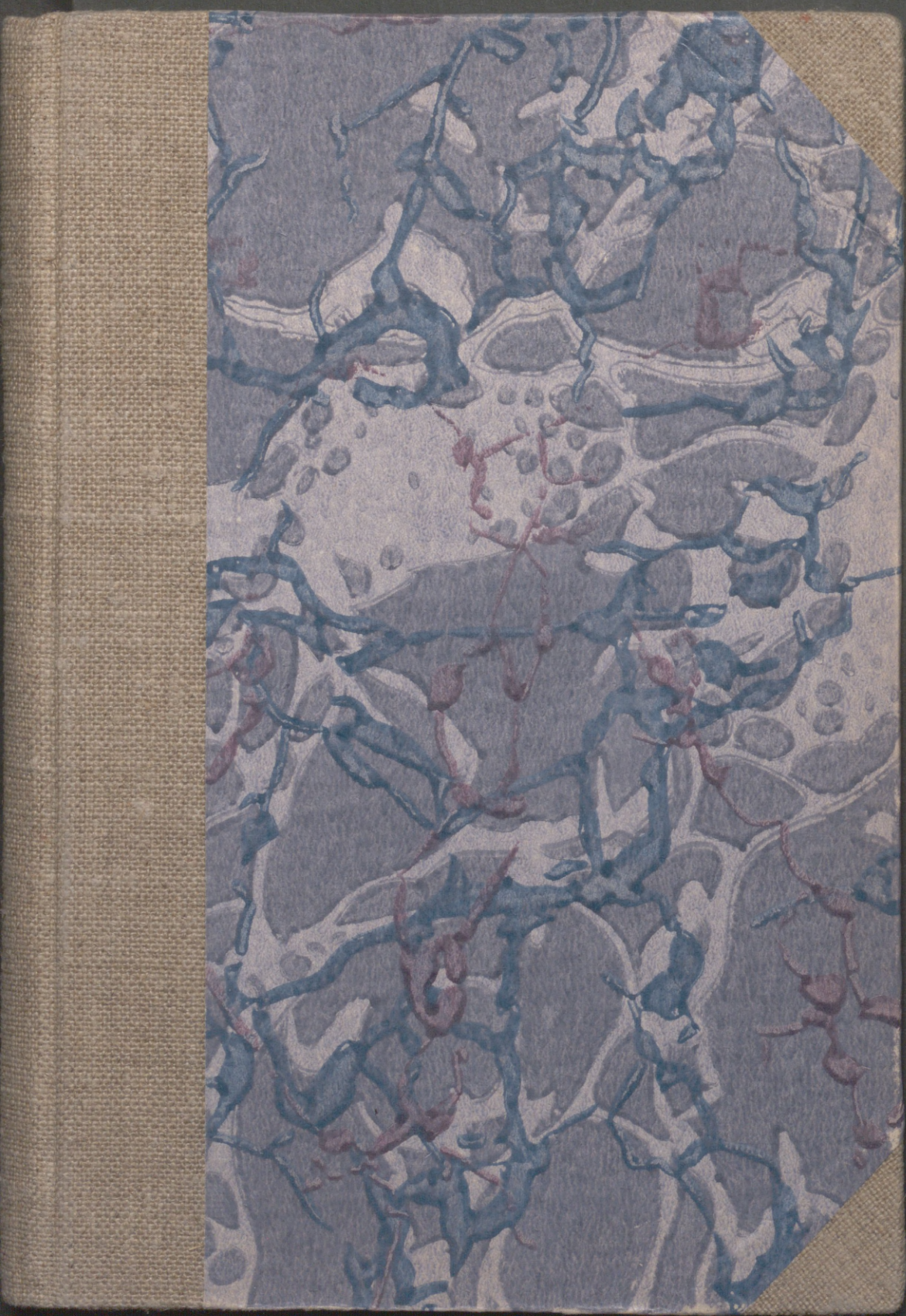
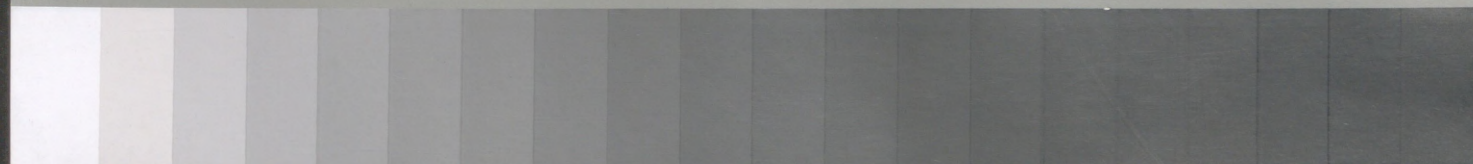
DANES
-PICTA
.COM

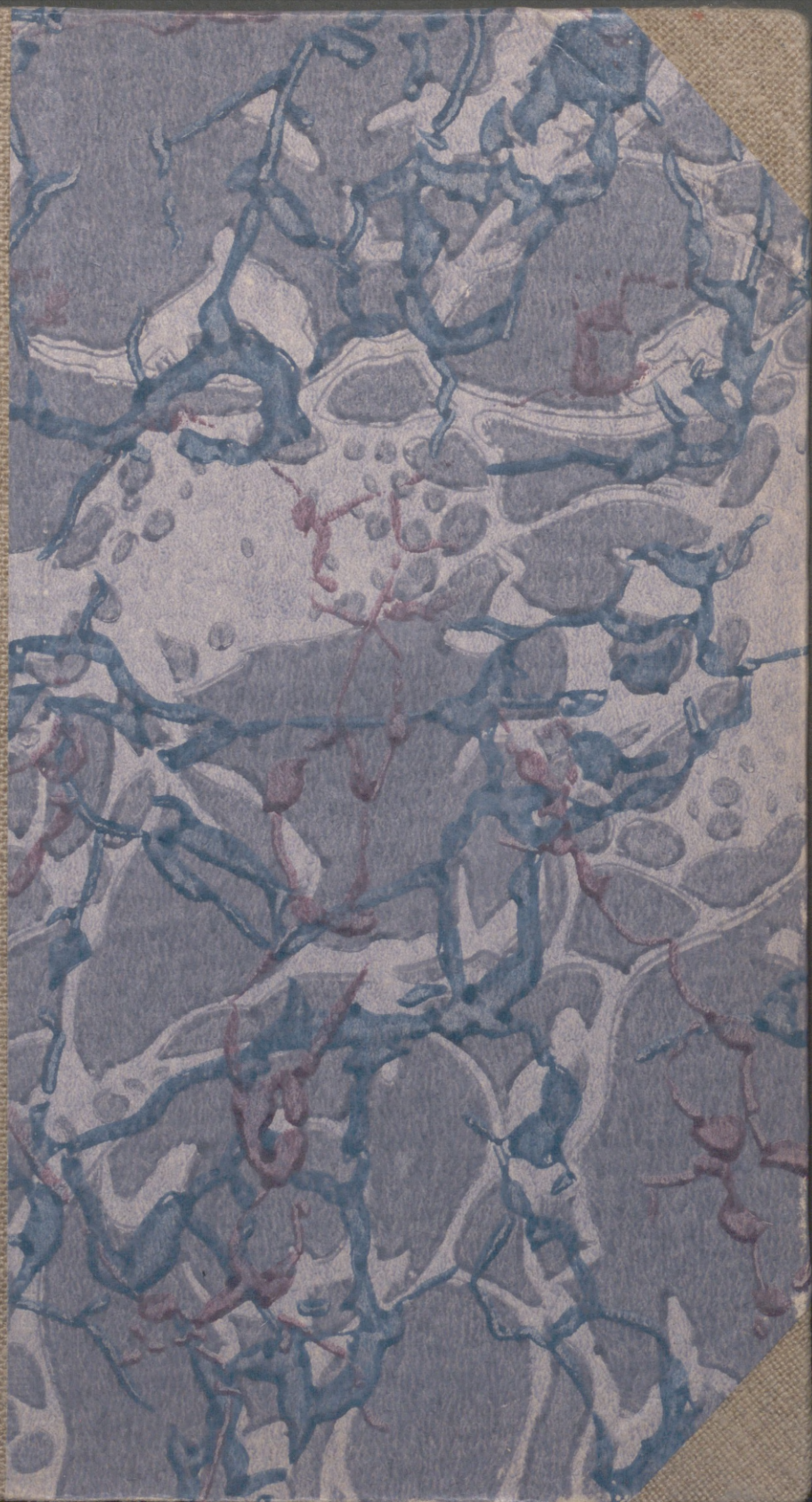


Grey Scale #13

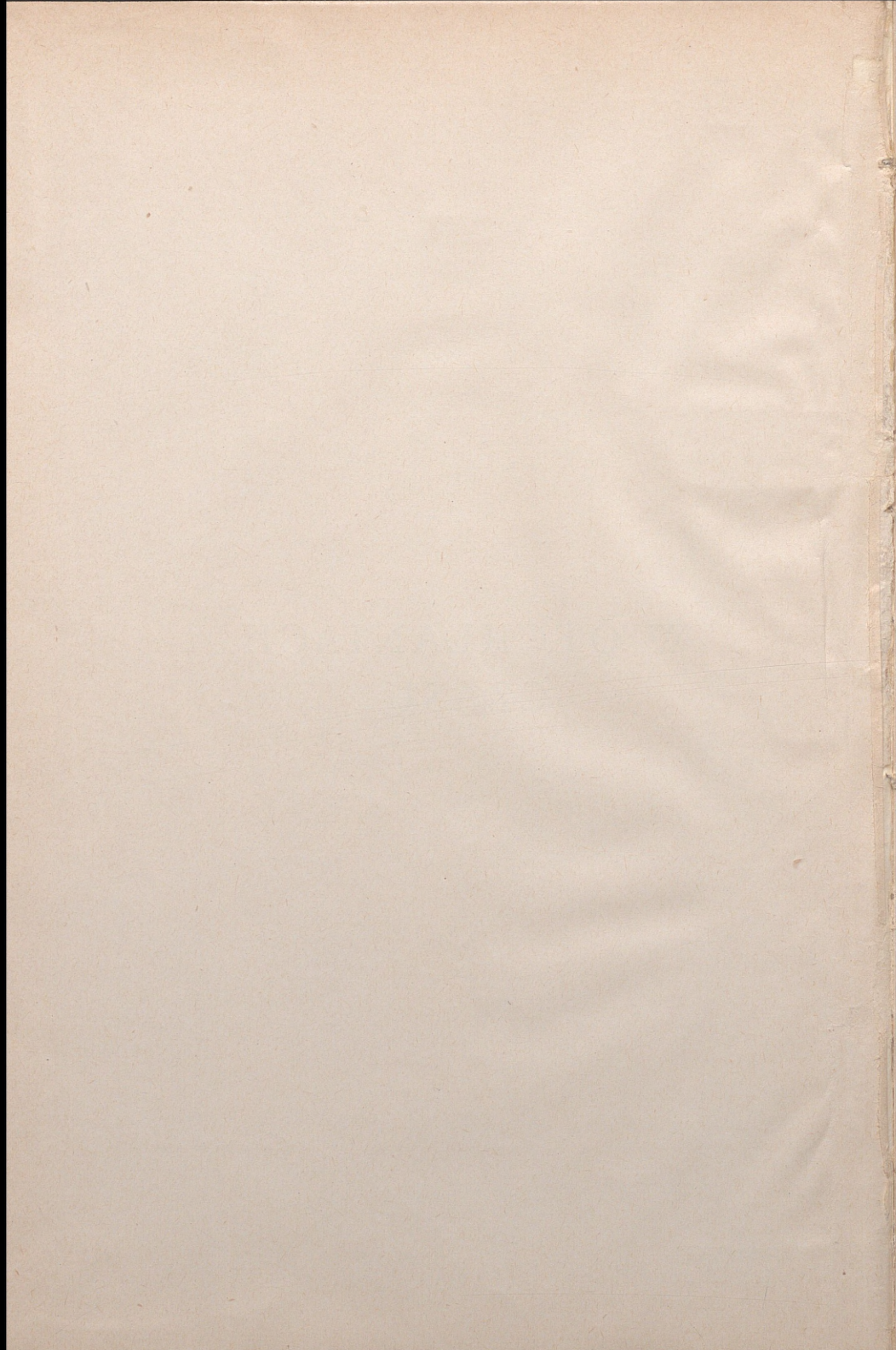


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





W OTCHŁANIACH
CZASU



E R A Z M M A J E W S K I

W OTCHŁANIACH CZASU

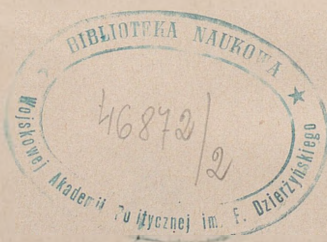


WARSZAWA 1938

INSTYTUT WYDAWN. „BIBLIOTEKA POLSKA“

884-4(91)

Projektował okładkę
St. Brzęczkowski



Drukiem
Zakładów Graficznych
„Biblioteka Polska”
w Bydgoszczy

S P I S R Z E C Z Y

	Str.
Wstęp	7
Od autora („Słówko ostatnie“ na końcu książki)	9

KSIĘGA PIERWSZA WROTA PIEKIELNE

I. Kras	13
II. Spotkanie. — Karkołomna wyprawa	21
III. Stanisław. — Improwizowany wykład mineralogiczno- geologiczny. — U wrót piekielnych. — Wyprawa podziemna	32
IV. Tysiąc metrów pod ziemią	40
V. Co by ryby myślały, gdyby miały rozum?	48
VI. Gorąca przeprawa	54
VII. Pół mili w głąb ziemi. — Więcej nie mogą!	58
VIII. Przecięty odwrót	65

KSIĘGA DRUGA DZIEJE ZIEMI

CZĘŚĆ I.

ŚWIAT PALEOZOICZNY.

IX. Okres kambryjski. Męczarnie pragnienia. Trylobit Olenus	75
X. Okres sylurski. Tajemnicze ocalenie. Trylobit Asaphus	80
XI. Okres dewoński	89
XII. W otchłani czasu. Okres węglowy. Tarczoglówce	96
XIII. Okres permski. Proterosaur	114

C Z Ę Ś Ć II.

ŚWIAT MEZOZOICZNY.

XIV. Okres triasowy.	122
XV. Okres jurajski. Dinozaury	131
XVI. Okres kredowy. Sen Przedpotopowicza	142

C Z Ę Ś Ć III.

ŚWIAT CENOZOICZNY.

XVII. Okres trzeciorzędowy. Rozwój ssaków	145
XVIII. Przedpotopowicz opuszcza ziemię. Epoka miocenu. Trąbowce	150
XIX. Epoka pliocenu. Życie leśne. Mastodon	157
XX. Okres czwartorzędowy. Ślady człowieka	170
XXI. W cztery oczy z niedźwiedziem jaskiniowym	178
XXII. Zamurowani żywcem. — Grota przedhistoryczna	188
XXIII. Nosorożec kosmaty. Wielka epoka lodowa. Ognisko. Mieszkańcy jaskini	195
XXIV. Końska skała tarpejska. Bezbronny pogromca	211
XXV. Druga epoka lodowa — Polowanie na niedźwiedzia jaski- niowego	281

K S I Ę G A T R Z E C I A PAN ZIEMI

XXVI. Rodzaj ludzki obejmuje tron ziemi. — Najdroższy skarb	231
XXVII. Epoka kamienia gładzonego. Życie za życie	239
XXVIII. Jednostki obejmują władzę nad rodem	251
XXIX. Trzy tysiące lat temu. — Tuklat-Pal-Asar, pan czterech części świata	256
XXX. Dwadzieścia dwa wieki temu. — Nowy król ziemi, syn Zeusa	262
XXXI. W pomroce piętnastu wieków. — Durocataunum. — Tryumfy piekiel	265
XXXII. Czemu tyle krwi i łez?	268
XXXIII. Wizje przyszłości	271
XXXIV. Naprzód!	276

W S T Ę P

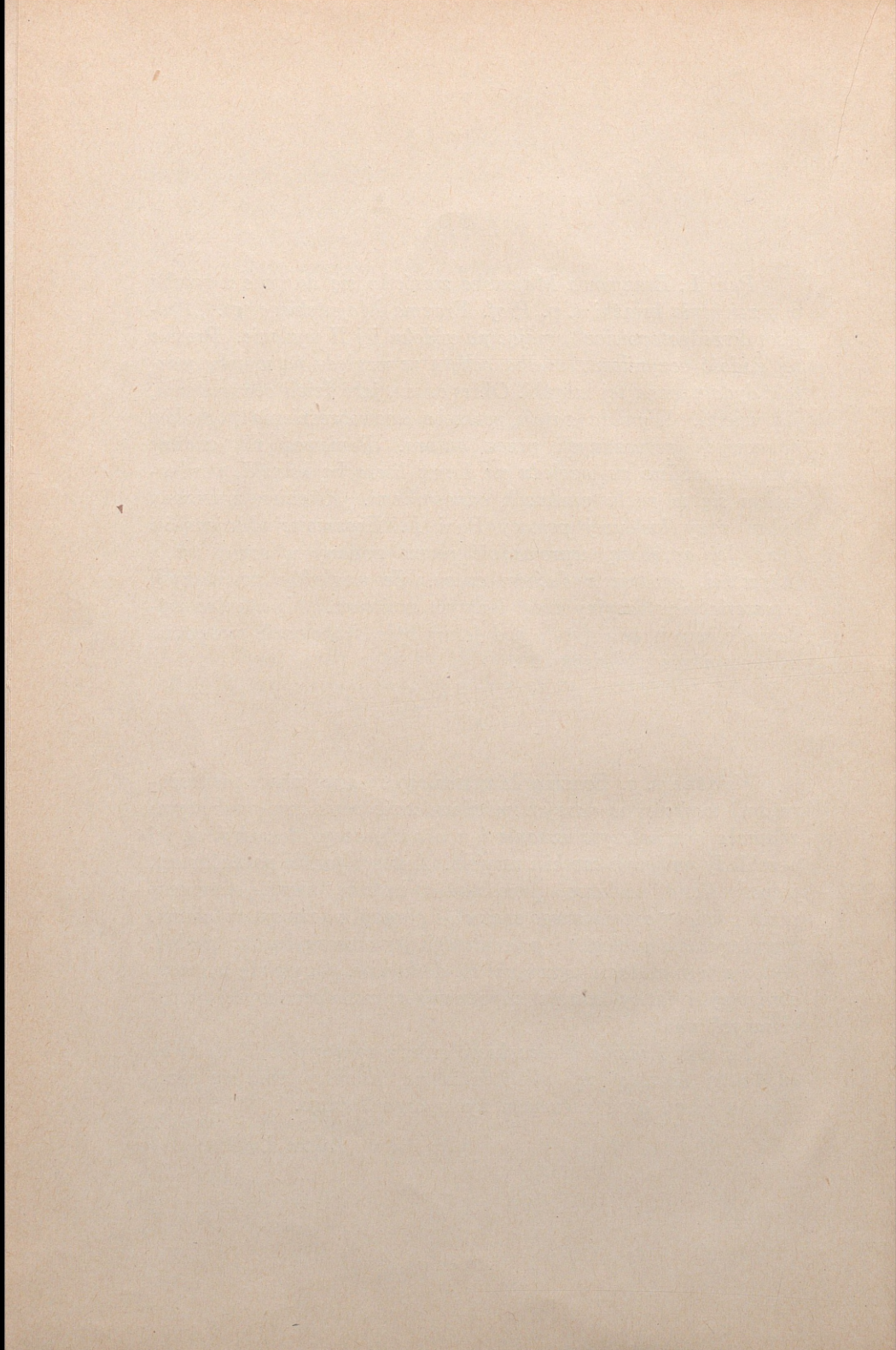
Pani L. Erazmowa Majewska zwróciła się do mnie z prośbą o przejrzenie książki ś. p. Prof. Erazma Majewskiego pt. „Professor Przedpotopowicz“, mając na widoku jej II wydanie. Prośbie tej zadość uczyniłem z wielką ochotą ze względu na wysoką wartość dydaktyczną tej książki. Okres czasu, jaki dzieli oba wydania, jest wielki. Wynikła zatem potrzeba unowocześnienia poglądów naukowych poruszanych przez autora. Ponieważ nie zawsze było to możliwe ze względu na formę literacką książki, posiłkowałem się w wielu punktach odnośnikami. Również zmuszony byłem przy łaskawej pomocy Pani L. Erazmowej Majewskiej i za Jej aprobatą wprowadzić pewne zmiany w samej treści literackiej, zgodnie z duchem czasu. Ze względów powyższych i materiał ilustracyjny uległ licznym zmianom. Książka w wydaniu obecnym nosi tytuł, pod jakim była drukowana pierwotnie w czasopiśmie „Wędrowiec“.

* *

Książka ś. p. Erazma Majewskiego stanowi pracę pierwszorzędnej wartości w naszym piśmiennictwie popularno-naukowym; znalazła ona należyte uznanie i u obcych, czego dowodem są jej przekłady na język czeski i rosyjski. Autor w formie powieściowej, jednak ściśle naukowo, przedstawia historię ziemi, stopniowy rozwój świata organicznego oraz daje obrazy z rozwoju ludzkości. Popularyzacja geologii i paleontologii jest rzeczą bardzo trudną. Autor z tego zadania wywiązał się doskonale. Czytelnik w sposób obrazowy i łatwy zostaje zapoznany z zasadami wyżej wspomnianych nauk.

Książkę Erazma Majewskiego należy gorąco polecić nie tylko młodzieży dorastającej, ale i każdemu interesującemu się przeszłością ziemi oraz rozwojem życia organicznego.

Adam Łuniewski.



OD AUTORA

Idź książko między ludzi!

Nie wyposażylem cię w tyle światła, jakbym pragnął. Mimo to nieś przynajmniej te iskiereki, które mieścisz, nieś i pobudzaj myśl tych, którzy chcą myśleć, uprzyjemniaj chwile szukającym rozrywki.

A wy, czytelnicy, sądzcie mię pobłażliwie.

Jedynym moim pragnieniem było służyć wam, nagrodą zaś będzie przeświadczenie, że spełnił wedle sił swój obowiązek.

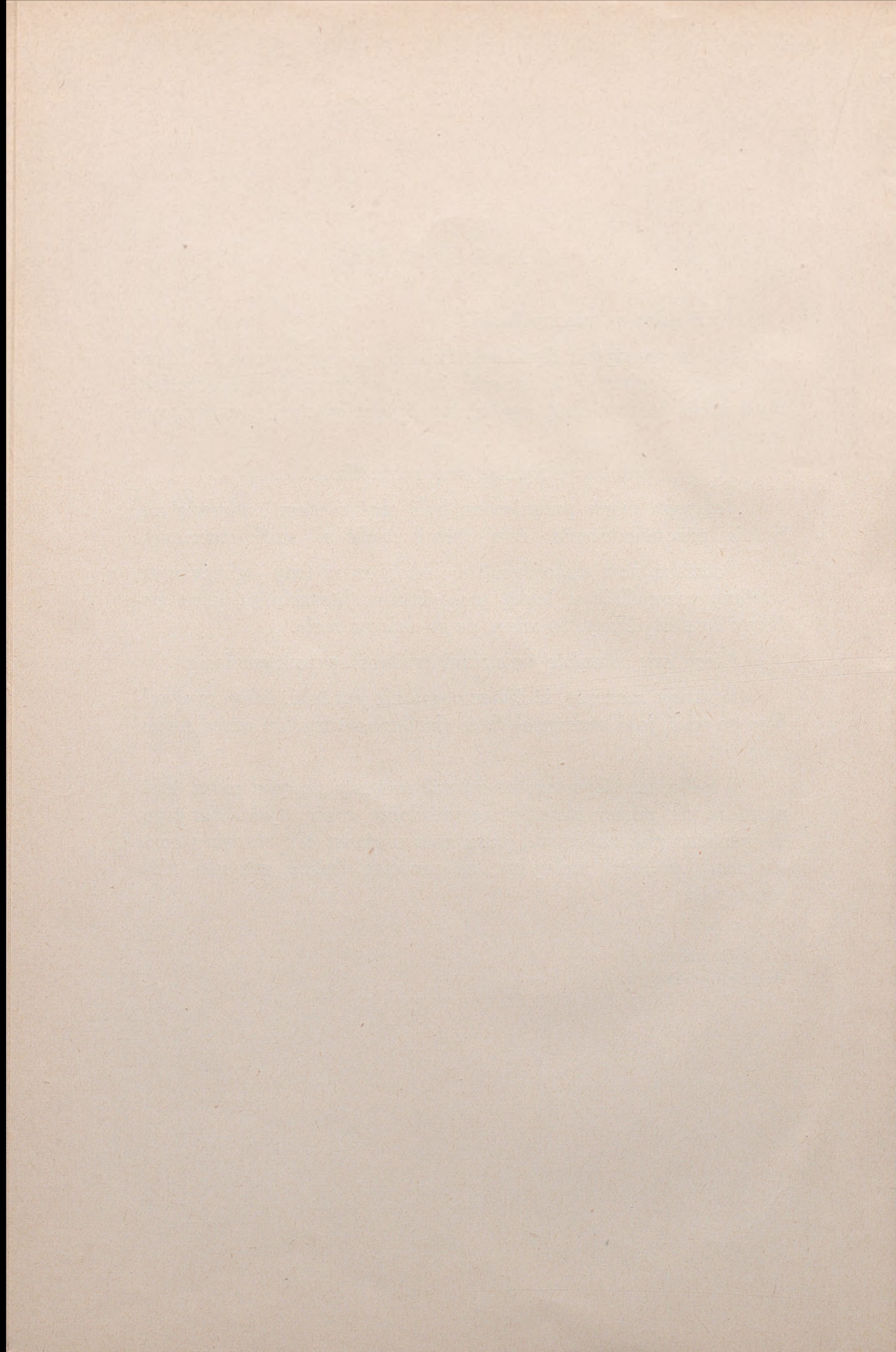
Potrzeba nam dużo światła. Niosę wam tedy jego promyk, odziany rozmyślnie w lekką szatę utworu literackiego, ale mój pokorny i zawstydzony, bo wiem, że go daje za mało.

Niech mię wszakże uniewinni trudność przedsięwzięcia.

Wyznaję szczerze, iż żaden obraz nie jest taki, jakim pragnąłbym go mieć, jaki przesunął się w chwilach rozmyślań przed moimi oczyma.

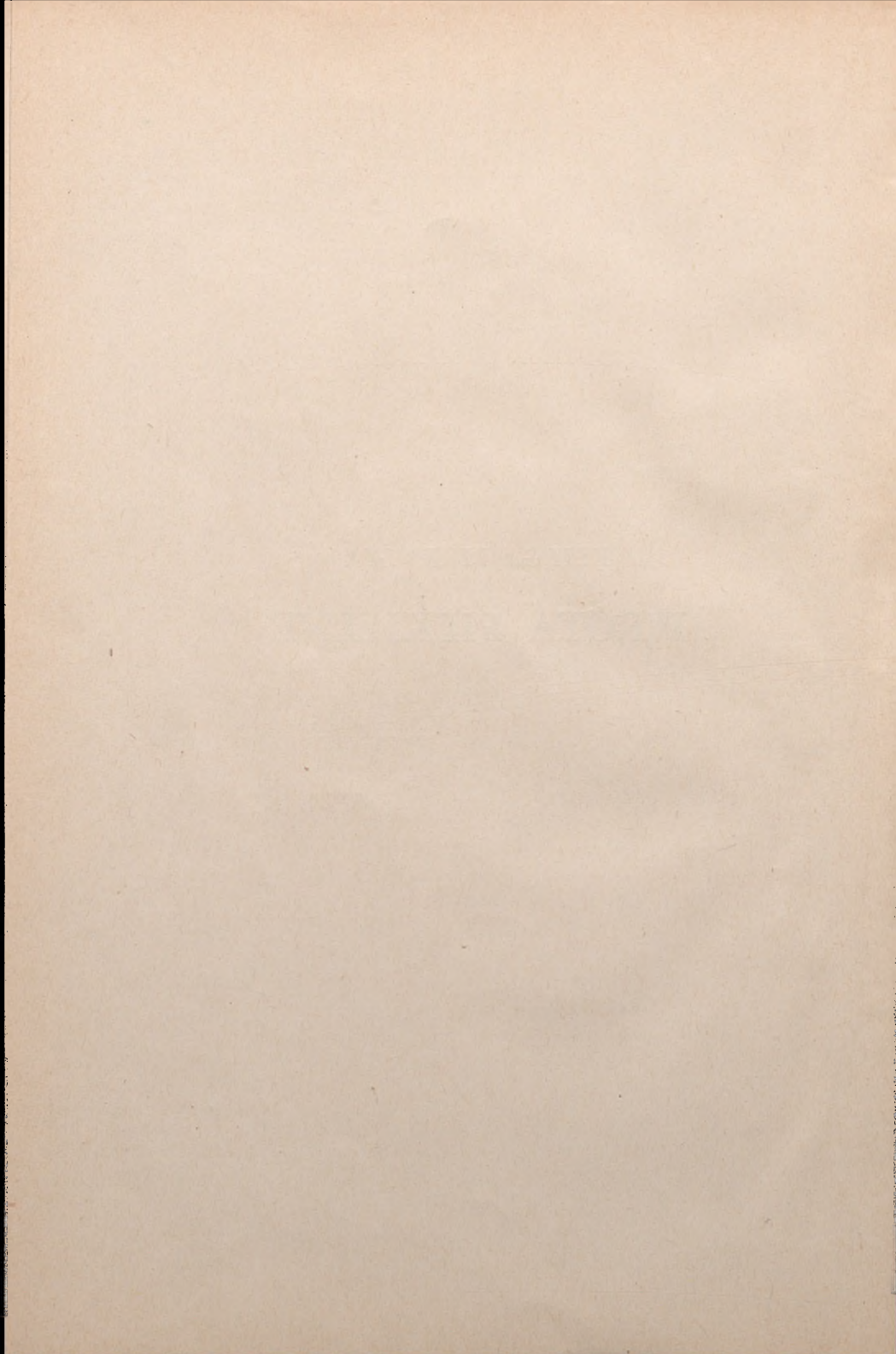
I tylko, że niepochwytnie miraż usuwały się spod pióra albo przelane na papier stawały się nieudolną kopią, tylko dla tego, że nie stać mię na lepsze, puszczam w świat ten skromny owoc usiłowań, w myśl maksymy, że przecież lepszy uczynek niżli same chęci.

Warszawa
w grudniu 1895 r.



KSIEGA PIERWSZA

WROTA PIEKIELNE



I.

KRAS.

Poczynając od wybrzeża Adriatyku aż po rzekę Sawę, kryształową lenniczkę Dunaju, rozpościera się obszerna, górzysta i jałowa okolica po słowiańsku Krasem zwana.

Do tego stopnia jest ona pozbawiona roślinności, że brak tej naturalnej ozdoby poczytywano za skutek wapiennego składu gór miejscowych. A jednak niegdyś i ją okrywały lasy, pełne najgrubszej zwierzyny, ale znikły z oblicza ziemi, tępione nielitościwie już od dwóch tysięcy lat. Miliony pni z tych lasów, wbite jako pale w laguny weneckie, podpierają do dziś dumne pałace „Perły Adriatyku“. Miliony drzew poszły na budowę okrętów i galer potężnej Rzeczypospolitej Weneckiej. Od czasów jej gospodarki wzgórze Istrii i Dalmacji pozostały nagie i zaledwie tylko dalej od morza położona kraina utrzymała leśną szatę swoją, chroniącą nietrwały grunt od szybkiego rujnowania przez wodę.

Już Frankońska i Szwabska Iura ze swymi dzikimi wapienymi skałami nie łatwo zaciera się w pamięci, ale nie daje ona jeszcze wyobrażenia o ponurej surowości wapieni i dolomitów krain nadadriatyckich. Nawet pobliskie okolice Nabresiny nie mogą się równać z dzikością Krasu i Alp Dynarskich.

W tej krainie, dalekiej od gościńców świata, przyroda bywa niekiedy tajemnicza, jakby w głębiach mało znanych kontynentów. Tu rzeka Lim, wspaniała ponurym wdziękiem urwistych wybrzeży, niesie swe wody do Driny. Tu przyroda umie być groźna, a nawet bezlitosna. Tu ojczyzna *Bory*, owych zimnych, północno-wschodnich wichrów, które sieją po swej drodze zagładę.

Kras jest krainą wapienną, a więc pozornie bezwodną. Cała powierzchnia pochłania wodę niby gąbka. Jej pokruszone grzbiety, bezdenne jary z rączymi potokami, które spadają w kaskadach i nikną w mrocznych przepaściach oraz tunelach, były już i za weneckiej potęgi tak samo pełne grozy i poezji. Woda ze skałą toczy zwycięską walkę na całej powierzchni ziemi, ale mało gdzie chyba walka jest równie zacięta jak tutaj, mało gdzie podobnie jaskrawo rzucają się w oczy zwycięstwa płynnego żywiołu. Tu woda i skały, rzecz można, walczą na śmierć i życie. Żaden kamień nie może się porównać z wapieniem pod względem chciwości w pochłanianiu wody, a zarazem żaden nie jest tyle rozpuszczalny w wodzie nasyconej kwasem węglowym. Już sama w sobie woda deszczowa zawiera ten związek chemiczny, pochłonięty z atmosfery, ale w miarę, jak przenika w coraz głębsze warstwy gruntu, zawartość w niej kwasu węglowego wzrasta jeszcze.

Żywioł ten, który sprzysiągł się na te skały, przybiera do pomocy ów kwas węglowy, przegryza bruzdy pionowe, rozpuszcza kamień bez wytchnienia i wynosi niewidzialnie tysiące cetnarów do morza. Małe i na razie niewinne szczeliny powiększają się skutkiem tego, nadkruszając coraz głębiej, a zdradnie rozpoczęte dzieło zniszczenia kończą w sposób brutalny ulew y i burze. Siła wody bieżącej jest straszna, osobliwie w wąwozach o znacznym spadku. Po każdej ulew ie widzieć

w nich można mnóstwo skaleczeń, nowych bruzd, zwalisk i ułamków. Kamienie raz porwane wodami potoku sięją bezgraniczne zniszczenie. Niesione na wielkie odległości, z siłą niekiedy trudną do uwierzenia, druzgocą niby armatnie pociski wszystko, co po drodze opór stawia. Odrywają słabsze części koryta i dopiero w miarę zmniejszania się chyżości prądu tarany te zostają porzucone gdzieś przy pierwszej przeszkodzie. Tam, w postaci gotowych zapasów amunicji, oczekują nowego, silniejszego prądu, aby prowadzić niżej dzieło zniszczenia.

Wszędzie to działanie daje się dostrzegać, ale w mocno zrujnowanych skałach, jak tutaj, dochodzi do potęgi wciąż rosnącej.

Jedną z właściwości Krasu są również tak zwane przez lud miejscowy „doliny“, a właściwie dziwne zapadliska, jamy i kotliny. Geologowie długo nie mogli zrozumieć, jak one powstały. Do dziś wiele z tych kotłów o brzegach stromych stanowi pod tym względem zagadki, ale przekonano się, że większość pochodzi od zapadania się górnych warstw gruntu w bardzo obszerne, podziemne pieczary i przepaści, jakimi niemal wszędzie podminowany jest tutejszy grunt stały. Pospolite są tu wypadki nagłego zapadnięcia się gruntu, niekiedy wraz z domami i ich mieszkańcami. Rzeźba gruntu zmienia się czasem tak szybko, że wieśniak, wracający z wojska do ojczyzny, nie może się zorientować w najbliższej, doskonale znanej sobie okolicy, albowiem w czasie jego nieobecności całe wsie musiały być opuszczone, sady znikły pod gruzami świeżo zwalonych skał, a drogi i ścieżki dawne stały się niedostępne lub znikły w przepaściach.

W krainie Krasu na jaskiniach też nie zbywa. Najrozmaitsze są ich rodzaje. Niektóre, osobliwie w obrębie właściwego Krasu, są podziemnymi korytami rzek, wąwozami, w tym tylko różnymi od prawdziwych, że ich boki łączą się nad rzeką i tworzą jednolite sklepienie. Takimi są właśnie Adelsberskie i Płonińskie Groty. Inne, bardzo szerokie przy niewielkiej długości, wyobrażają istne jeziora podziemne. Często wody, napędlające owe rezerwuary, torują sobie nowe odpływy i opuszczają wygodne legowisko. Wtedy osuszone pieczary ozdabiają się powoli cudownie pięknymi stalaktytami i stalagmitami. Niektóre

z tych jaskiń i podziemnych wydrzeń służyły niegdyś za schroniska licznym pokoleniom drapieżnych zwierząt¹⁾. Znajdowano w nich niezmierną ilość kości srogich mieszkańców pospołu z kośćmi ich ofiar. W niektórych jaskiniach mieszkali w czasach przedhistorycznych nawet ludzie. Świadczą o tym pozostawione resztki broni i narzędzi z kości i krzemienia, ślady węgla i biesiad niewybrednych.

O posiadanie tych zacisznych schronisk odbywały się zacięte walki między człowiekiem i drapieżnikami minionej ery, do których należały hieny olbrzymie, lwy jaskiniowe i niedźwiedzie.

Bywało zapewne, że człowiek tryumfował nad niedźwiedziem lub hieną, ale trafiało się często, że ginął w tym nierównym pojedynku.

Taki jest Kras, takie mniej więcej nagie Alpy Dalmacji, Hercegowiny, Bośni, a nawet i Albanii. Wszędzie okolica przedstawia obraz zwalisk chaotycznych, z tą różnicą, że nie wszędzie jeszcze obserwujemy taki brak lasów jak na morskim побереżu. Połowa gór i nizin bośniackich jest jeszcze bujną puszcza leśną i daje przytułek dzikom, wilkom, niedźwiedziom i rysiom.

*

*

*

Wzdłuż rzadko przez turystów zwiedzanych rumowisk i wąwozów Krasu, wśród bezprzykładnego labiryntu skał i przepaści, przez smutną krainę ponurych wyżyn podążał konno cudzoziemiec ku miejscu trzęsienia ziemi, gdzie liczył, że znajdzie choćby szczątki oberży, którą mu polecono.

Zatrzymał się tu i owdzie po dni kilka wśród dzikiej przyrody, najczęściej z dala od nielicznych i biednych wiosek żyjąc prawie życiem obozowym.

¹⁾ Liczne grotty w skałach wapiennych Ojcowa zawierają szczątki niedźwiedzia jaskiniowego z okresu lodowcowego. W Tatrach, w grocie Magury (pod Kopą Magury) znaleziono kości niedźwiedzia jaskiniowego. W roku 1934 odkopano grotę w skałach wapiennych na górze Ziele pod Działoszyńcem, w której znaleziono moc kości zwierząt pochodzących z okresu trzeciorzędowego.

Zajmowały go strome ściany wąwozów, brzegi rzek czy strumieni, zwały skaliste, nade wszystko zaś jaskinie i przepaści. W najciaśniejszą szczelinę musiał się wcisnąć, musiał wynieść z niej trochę kamieni lub kości. Po czym zadowolony ciągnął dalej na południowy-wschód.



...podążał konno cudzoziemiec

Towarzyszył mu, nie licząc przygodnych przewodników, a czasem gromadki ciekawych górali, niby Robinsonowi, stale Piętaszek jakiś, na drobnym, ale wytrwałym bośniackim koniku, i obaj wędrowcy wydawali się, pomimo uciążliwej tułaczki, zupełnie zadowoleni.

Tak wędrując minęli już źródłiska rzeki Kulpy i Dobrej, przeprawili się przez rzekę Korę, a w parę tygodni później przez Unnę i wkroczyli na terytorium Bośni, poza Alpy Dynarskie. Tu skutki strasznej katastrofy przykuły ich dłużej do miejsca.

Cudzoziemcem, o którym mowa, był Lech Przedpotopowicz, profesor paleontologii ¹⁾ i geologii ²⁾ na uniwersytecie w Oxfordzie. Odbywał on wycieczkę naukową w towarzystwie wiernego służącego, Stanisława.

Nie lada to była osobistość ten profesor Przedpotopowicz. Mimo niepodeszłych lat był „powagą” i rachował się z nim świat uczony.

Dla nas wszakże, jako niespecjalistów, sama ta okoliczność nie wystarczałyby do wyróżnienia go spośród roju podobnie sławnych lub jeszcze głośniejszych kolegów po wiedzy, gdyby nie drobna okoliczność, że był nie tylko dobrym znajomym naszego dobrego znajomego, dra Muchołapskiego, ale nawet podobno jednym z najlepszych druhów jego od szkolnej ławy.

I to jeszcze zasługuje na zaznaczenie, że starzy ci przyjaciele, rzuceni na dwa końce świata i rzadko widujący się z sobą, dochowali sobie przyjaźni i utrzymywali serdeczną korespondencję.

Upływał czasem rok i więcej głuchego milczenia — innym razem obszerne listy krzyżowały się i goniły za sobą niby ognista a niecierpliwa korespondencja zakochanej pary. Nie szukajcie wszakże zbyt prozaicznych lub zbyt poetycznych powodów tej ożywionej wymiany myśli. Nie interes, nie obudzone nagle uczucia lub wyrzuty sumienia przyjaciół, ale zwykle jakieś naukowe wątki stanowiły tutaj główną sprężynę. Obaj bowiem żyli głównie nauką i dla nauki. Ona była im całym światem, jej poświęćali wszystkie siły swoich ruchliwych umysłów i serc gorących.

Jeden patrzył na świat przez okulary entomologii, drugi przez szkła geologii, i obaj byli szczęśliwi o tyle, o ile ludzie szlachetni szczęśliwymi być mogą.

¹⁾ *Paleontologia*, nauka o skamieniałościach, a właściwie o dawnych organizmach, których resztki znajdują się w różnych skałach składających skorupę ziemską.

²⁾ Zasadniczo geologia jest nauką o budowie i powstaniu ziemi, ściślej nauką o skorupie ziemskiej (litosferze); bada jej skład, budowę oraz wszelkie zmiany, jakim ona podlega lub podlegała wraz z całym światem organicznym.

Dla Przedpotopowicza ziemia była zlepkiem skał ogniowych, przeobrażonych i okrucowych, polem zawiłych zjawisk geologicznych, a widział na niej to jedynie, na co geologia z paleontologią zwracała swe oko.

Nawet w człowieku, nie zaprzeczając jego wyjątkowego stanowiska w przyrodzie, dostrzegał przede wszystkim jeden z młodszych gatunków stworzeń ssących, grzecznie przez uczonych nazwany łacińskim mianem *Homo sapiens*, bez względu na okoliczność, że dotąd jeszcze większa część przedstawicieli tego gatunku zasługuje na inny łaciński przydomek, którego tu nie wymienię.

Przedpotopowiczowska kariera różniła się tylko tym od kariery Muchołapskiego¹⁾, że dane mu było jeszcze zostać apostołem umiłowanej nauki, że mógł jako profesor przelewać za pomocą żywego słowa zapal swój i wiedzę w głowy młode i łaknące jeszcze pokarmu naukowego.

Miał dwustu słuchaczy, którym co rok przez 8 miesięcy nabijał głowy pokładami, piętrami, osadami, erozją, metamorfizmem, wulkanizmem, denudacją, lepidodendronami, amonitami, ichtiosaurami, sivateriami, hipparionami i Bóg wie jakimi jeszcze dziwami.

Odtwarzał on przed oczyma słuchaczy świat dawno zaginiony, ukazywał, jak się powoli z pieluch wydobywał i, biorąc za punkt wyjścia naukę, wołał czasem z zapalem: Panowie! skoro już Linné nazwał nas *Homo sapiens*, starajcie się być i „ludźmi“, i „mądrymi“. A ponieważ sam pierwszy starał się być człowiekiem, lubili go też słuchacze i z wielkiej miłości przezwali *Homo sapiens*. Przedpotopowicz wiedział o przydomku i... dumny był z niego.

Profesor był także, podobnie jak dr Muchołapski, po trosze poetą i marzycielem. W chwilach wolnych od trudów naukowych, od operowania suchymi jak formuły matematyczne pewnikami lubił zapuszczać wzrok w tajniki nierozwikłanych dotąd zagadek swej nauki.

¹⁾ Drugie wydanie książki tegoż autora pt.: Przygody prof. Muchołapskiego, ukaże się w roku przyszłym.

Marzył wtedy i filozofował, wypełniał luki wiedzy błyskami wyobraźni, która nie znała hamulca. Pozwalał sobie jednak na te rozkosze w cichości ducha i nie zwierzał się przed żadnym kolegą w zawodzie. Zbyt dobrze wiedział, że sztywni i chłodni nie zrozumieliby go, a w ciasnym puryzmie naukowym poczytaliby mu to za grzech ciężki.

Jeden tylko dr Muchołapski był powiernikiem tej duszy gorącej, tego umysłu nadmiernie ruchliwego, on jeden, zamiast przybierać surową minę i chłodzić rozpalone nerwy przyjaciela, dolewał oliwy do ognia i wspólnie dosnuwał pajęcze nici subtelnej tkanki śmiałych pomysłów. On jeden odpowiadał na zaufanie zaufaniem i otwierał nawzajem tajniki własnych marzeń.

Ot i teraz, z tej głuchej krainy, z lichej wioszczyny u źródeł Wrbasu poszybował z rąchością poczty bośniackiej *via* Serajewo, Zagrzeb i Wiedeń dobrze wyładowany list do Muchołapskiego niosąc mu garść świeżych i silnych wrażeń.

II.

SPOTKANIE. — KARKOŁOMNA WYPRAWA.

W kilka dni potem tą samą drogą z właściwym sobie spokojem jechał truchcikiem na bułanym, niewiele większym od osiołka koniu lord Puckins, przyjaciel profesora. Zdązał on ku jedynej oberży, którą posiadała biedna wioszczyna w pobliżu Kupresz. Towarzyszył mu zabrany z Sarajewa tłumacz, a za niezwykłym gościem ciągnęła gromada wieśniaków wystraszonych, wynędzniałych od niewywczasu, głodu i silnych wzruszeń. Smutny orszak zasypywał tłumacza opowiadaniem o strasznych wypadkach dni ubiegłych i o nowym trzęsieniu, jakie nawiedziło okolicę dnia wczorajszego. Tłumacz powtarzał wieści Anglikowi, skutkiem czego lord Puckins nie mógł się uskarżać na brak wzruszeń. Miał ich zresztą dość od samego wstąpienia na grunt nieszczęsnej krainy. Nie dalej jak wczoraj obudził się na ziemi, wyrzucony z łóżka silnym a niespodzianym wstrząśnieniem.

Właśnie zatrzymał się celem udzielenia drobnej zapomogi pozbawionym dachu i mienia biedakom.

Jeden z obdarowanych, jakiś wszystkowiedzący staruszek, żywa encyklopedia wiedzy ludowej, rzadki i wymierający już pod tchnieniem nowożytnej oświaty okaz etnograficzny, przez wdzięczność rozgadał się szeroko i opowiedział, co było według niego właściwą przyczyną nieszczęścia. To sprawa czysto diabelska.

Stara wieść niesie, że u źródeł Wrbasu jest wejście do bardzo rozległej groty, pełnej dziwów i bogactw nieprzebranych. Wejście owo zwie się „Piekielne Wrota“. Poza nimi złote i srebrne sople wiszą u sklepienia, a straszdyła żywią się rudą, z której po strawieniu zostaje czyste złoto. Przez jeden tylko dzień w roku grota „kwitnie“, to jest stoi otworem dla każdego, kto by znał wejście do niej. W każdej innej porze „Wrota Piekielne“ są niedostępne. Ale i w tym dniu straszdyła, psy czarne, ropuchy i pająki bronią wejścia i trzeba znać „sposób“, aby wejść i wyjść cało. Wielu już zuchów na próżno próbowało wtargnąć do jaskini, wreszcie znalazł się niedawno taki, który dopilnował, kiedy „zakwitła“ i wszedł do środka. Jakich on użył czarów trudno wiedzieć, musiały jednak być mocne, skoro wszedł. Ale „złe“ zbuntowało się. Zatrzęsła się nagle ziemia, tak że w oddalonych nawet miastach i wioskach domy i kościoły się zwały. skały nawet z grzmiotem obrywały się, a w miejscu, gdzie były „wrota“, rozwarła się przepaść bezdenna. Kto miał odwagę, mógł oglądać straszną przepaść, w której warczało i gotowało się, a kłęby pary unosiły się gęstą chmurą.

Opowiadania powyższego wysłuchał lord Puckins z zajęciem.

— Wszystko to już wiem od kilku dni — rzekł spokojnie — właśnie przyjechałem, aby dostać się do szczeliny...

Starzec zmierzył Anglika od stóp do głów.

— Chcecie do Wrót Piekielnych, panie? — zagadnął z niepokojem.

— Tak jest.

— I po co? Jeśli po złoto diabelskie, to go już nie znajdziecie! Od dwóch dni, dzięki Bogu, przepaść piekielna zawarła się. Nie pozostało z niej nawet śladu!

Lord Puckins nie mógł ukryć żalu.

— To nieszczęście! — zawołał. — I cóż na to ów pan, który tu przyjechał? Musi być niepokieszony?

Na te słowa, powtórzone przez tłumacza, starzec wpił groźne i przelękle spojrzenie w Anglika. Następnie splunął głośno, przeżegnał się i odszedł.

W mgnieniu oka gromadka wieśniaków przerzedziła się i znikła niepostrzeżenie. Podróżni zostali sami. Niezawodnie stary wziął Anglika, przebranego w kraciasty kostium, za czarownika, zaprzadanego złemu, a może nawet za samego diabła, za współnika tajemniczego przybysza, który się kręci u „Wrót Piekielnych“! Anglik nie zwrócił na to uwagi. Myślał tylko o usłyszanej nowinie.

— A to historia! Profesor musi być niepokieszony.

Tymczasem doszedł do oberży. Mrok już zapadał i blade promienie księżyca oświeślały głęboki wąwóz, biorący swój początek tuż przy oberży. Przy tym świetle lord Puckins ujrzał stojącego przed oberżą mężczyznę. Nieznajomy zbliżył się śpiesznie do lorda, wzniosł w górę kapelusz i siłąc się na wesołość zawołał:

— Witaj mi, znakomity gościu! Czekam na ciebie już dzień trzeci. Proszę cię, lordzie, wejdz i rozgość się w tym pokoju, który dziś posłuży nam za wspólną sypialnię.

Tak powitany Anglik pozbył się od razu zwykłej sztywności.

— Widzę z rozpaczą, że telegraf spełnił dobrze swoją rolę i pozbawił mię zaszczytu przedstawienia się formalnie znakomitemu mężowi. Muszę poprzestać na ponowieniu mej deklaracji, że oddaję się, profesorze, do twego rozporządzenia.

— Przeciwnie. Ja to jestem do twego, lordzie, i radbym wszystko uczynić, aby cię rozerwać i pogodzić ze światem.

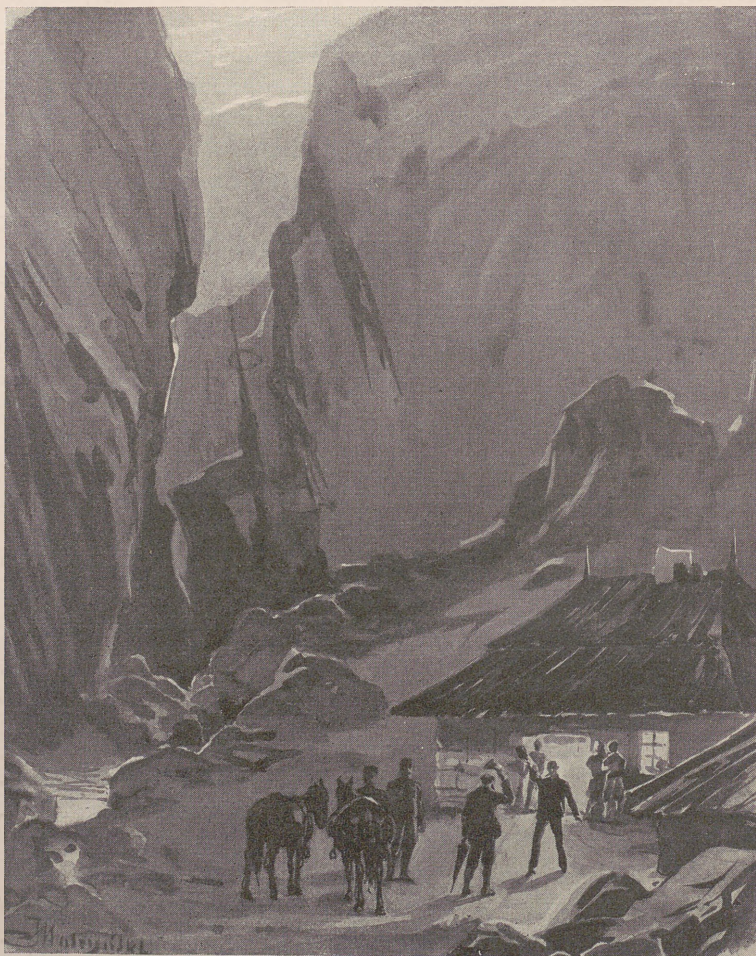
— Dzięki! Jesteś zbyt uprzejmy, profesorze. Ale cóż słysząc u Wrót Piekielnych? Przybyłem przecież, aby zajrzeć wraz z tobą do wnętrza ziemi.

Na te słowa geolog spochmurniał.

— Sprowadziłeś mnie z wyżyn zapomnienia na ziemię! — rzekł i zapanowała chwila milczenia.

— Twoje milczenie, profesorze, potwierdza opłakaną wieść, która mnie już doszła.

- Ach! ta szczelina! to moja zgryzota!
— Więc prawda, że jej już nie ma?
— Niestety! Nie mogę jeść, spać, tylko myślę, com stracił!
— Ale widziałeś ją przecież?



„Witaj mi znakomity gościu“

— Bardzo niedokładnie. Wejścia broniły kłęby pary, wyrwywające się z głębi ziemi. Wprawdzie ślady pęknięcia gruntu pozostały na znacznej długości. Całkiem świeże...

— To już dobrze!

— Cóż nam z tego! — odrzekł geolog — gdy wejść już i badać przekroju nie mogę. Jest w całym zdarzeniu coś prawdy, ale musi się kryć dużo przesady w opowiadaniu górali o otworzeniu się owej okropnej przepaści. Dziś już jej nie ma, przy nowym wstrząśnieniu zawarła się. Opowiadano mi nawet — ale to zakrawa mi mocno na bajkę — że zanim przybyłem, spuszczał się jakiś zuch do czeluści i cuda opowiadał o tym, co w niej widział. Rozmawiałem nawet z tym bohaterem, ale czyż można na ślepo wierzyć? Wobec wszystkiego odwołałem już przyjaciół z drogi i sam badam pęknięcie, szukam, czy nie została choćby najmniejsza szczelina, przez którą dostałbym się do głębi ziemi, ale wątpię już, czy mi się powiedzie. Tak głęboka szczelina! tak niezmiernie ciekawa! i wszystko przepadło!

Lord jął pocieszać uczonego.

— Nic jeszcze straconego. Jeśli zechcesz, będziemy szukać!

— I owszem — odrzekł profesor z mocą. — Jutro udamy się na poszukiwania.

— Wybornie!

— Rozpadlina poczyną się tuż pod wsią w głębokim wąwozie, prawie przy naszym domku. Jest to miejsce pełne strasznych legend i podań. Żaden z tutejszych mieszkańców w nocy bez drżenia o nim nie myśli. I ty, lordzie, chociaż jesteś zahartowany na wszelkie wrażenia, z pewnością doznałbyś nowego uczucia znalazłszy się tam w taką noc jak dzisiejsza, kiedy światło księżyca nadaje każdemu przedmiotowi fantastyczne kształty. Ale dosyć o tym; jutro rozpoczynamy poszukiwania we dwóch. Tymczasem chodź do izby odpocząć i posilić się po trudach podróży.

Gdy nowi znajomi spożyli niewykwintną kolację i wyczerpali bieżące tematy, geolog otworzył drzwi i wprowadził gościa do sąsiedniego pokoju, zarzuconego okazami paleontologicznymi.

— Czyżby to był plon z tej wioski? — zapytał Anglik.

— O nie! wykopało się to w różnych miejscowościach po drodze; teraz gatunkuję i pakuję do dalekiej drogi! Połowa zdobyczy spoczywa już w skrzyniach, a mam rzeczy, które mnie cieszą — dodał z tryumfem.

— Dokonałeś, profesorze, jakiegoś niezwykłego odkrycia?

— Niestety, nie! Znoszę tylko pyłki do gmachu wiedzy. Zdobyłem nieco skamieniałości dla naszego muzeum. Najbardziej cieszy mnie okaz *lwa jaskiniowego* (*Leo spelaeus*).

— I kiedyż to lwy w Bośni żyły? — zagadnął ciekawie Anglik.

— Bardzo niedawno, bo jeszcze w ostatniej epoce geologicznej.

— Ileż to lat temu?

— Może kilkadziesiąt tysięcy — odrzekł profesor niedbale.

— Bardzo niedawno! — powtórzył Anglik. Profesor zauważył ironię.

— Mówię o gatunku wygasłym. Dziś żyjący gatunek lwa do niedawna jeszcze bywał w Europie nierzadkim zwierzem. Według podań klasycznych lwy czuły się w Tracji jak u siebie. Napadały przecież na wielbłądy wojsk Kserksesa. Wracając do mego lwa powtarzam, że zazdrościć mi będą, skoro w wielkiej sali ustawię cały szkielet. Nie brak w nim ani jednej kostki! Większy jest i piękniejszy od przepysznego okazu znalezionej przez Wankla w jaskini słupskiej na Morawach ¹⁾. Wprawdzie na tę całość złożyło się kilka osobników, ale nie moja w tym wina. Skoro żaden nie przechował się w całości, musieli wszyscy razem posłużyć do odbudowania swego typu.

— A drobne braki zapewne dały się uzupełnić kostkami ich niewinnych ofiar, antylop, koni...

— Przestań pan! — wołał geolog zatykając uszy. — Nie mogę słuchać takich drwin. Mój szkielet jest bez zarzutu. Byłbym zhańbiony, gdyby choć jedna kostka okazała się obca.

Ścisłość naukowa, mój panie, przede wszystkim. Minęły już czasy takich, co składali fikcyjne węże morskie albo smoki z kręgów niedźwiedzi, ichtiosaurów i mamutów. Minęły czasy takich akademików jak *Henrien*. Utrzymywał on (zapewne na

¹⁾ Obecnie okaz ten znajduje się w Muzeum Geologicznym w Wiedniu.

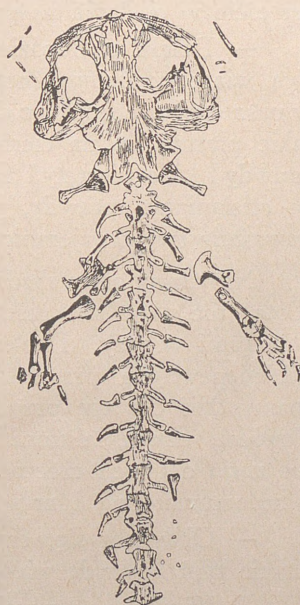
podstawie kości mamutów i innych zwierząt zaginionych), że Adam mierzył $38\frac{1}{2}$ metra, a jego zacna małżonka 37 metrów wysokości.

Minęły czasy takich badaczy jak Scheuchzer z Zurychu (w 1726 r.), który zdumiał świat odkryciem „przedpotopowego człowieka” w wapieniu plioceńskim (w Oeningen) i opisał go pod nazwą „Świadka potopu” (*Homo diluvii testis*).

— Słyszałem o tym!

— Utrzymywał on, że w owej skamieniałości przechowała się nie tylko substancja kości, ale nawet ciało. Według niego można było u tej „grzesznej” ofiary potopu dokładnie odróżnić „resztki nosa”, ślady wątroby itd.¹⁾ Minęły czasy *Voltaire’a*, który w swym Dykjonariuszu filozoficznym obecność morskich muszli na szczytach wapiennych Alp objaśniał wędrówkami pielgrzymów przez góry w kapeluszach, ozdobionych muszelkami i gubieniem tych muszelek po drodze... Minęły czasy autorów, utrzymujących z całą powagą, że ryby skamieniałe były owymi rzadkimi rybami, które wyrzucano niegdyś z kuchni bogatych Rzymian dlatego, że nie będąc dosyć świeże nie dały się na ich stół użyć²⁾. Dziś nie bawimy się w naciągania! Ścisłość przede wszystkim!

— Ależ nie gniewaj się, profesorze. Nie miałem zamiaru stawiać ci nieuzasadnionych zarzutów! Przeciwnie! Choć ją znam mało, jestem pełen uwielbienia dla waszej nauki. Jeśli ci podziwiam, to chyba



Szkielet wielkiej salamandry uważany przez Scheuchzera za szkielet człowieka, który zginął w czasie potopu

¹⁾ Cuvier w tych resztkach rozpoznał rodzaj olbrzymiej, dziś już nie żyjącej salamandry. Dziś znana jest ona pod nazwą *Andrias Scheuchzeri*.

²⁾ Pismo takie wyszło w Paryżu w r. 1746.

waszą wstrzemięźliwość w odtwarzaniu przeszłości. Wprawdzie wyznam, że mimo wiary w waszą naukę nie mogę zrozumieć, po czym poznajecie wydobywszy z ziemi mizerny ząb albo ułamek kości do jakiego on należał zaginionego potwora: nie rozumiem, jak możecie odtworzyć całą jego postać, a nawet wyrokować o sposobie życia tego stworzenia. Przecież niekiedy żaden z was całego szkieletu owego zwierzęcia nie widział nawet. Ale wiem dobrze, że mówicie raczej za mało, niż za wiele. Macie swoje wypróbowane środki porównawcze, które tak nie zawodzą, jak nie zawodzą chemika jego delikatne odczynniki... Dlaczegoż więc tak skąpi jesteście w odsłanianiu prawd zdobytych?

— Dzięki ci, lordzie, w imieniu pracowników wiedzy za twą wiarę w potęgę metod i środków naukowych, za wiarę w nasze dobre chęci. To dodaje otuchy do walki z przeszkodami, jakie piętrzą się na ciernistej drodze, wiodącej do poznania prawdy! Ale niestety! muszę ci wyznać, że nie myśmy skąpi w odsłanianiu prawdy, jak mówisz, to natura raczej broni zawzięcie swych tajemnic, a broni wszelkimi sposobami.

Niby zwodnicza syrena ludzi często i prowadzi na bezdroża. Toteż nie dziw się, żeśmy małowówni, że lękliwie kroczymy ścieżkami wiedzy. Hasłem naszym jest trzymanie się z dala od niepewnych przypuszczeń. Jeśli czego nie rozumiemy, mamy dziś odwagę przyznać się otwarcie do nieświadomości. Powiem nawet, dumni jesteśmy wymawiając upokarzające: *nie wiem* o takich rzeczach, o których wyrokowano przed laty z zarozumiałością i naiwnością młodzieniaszków.

— Obawiam się, czy nie wpadacie w przesadę. Wyrzadzacie tym krzywdę wiedzy.

— Nigdy! — zawołał profesor. — Samo stwierdzenie nieświadomości, odrzucenie ponętnej, ale niepewnej hipotezy jest ofiarą, ale zarazem postępem. Wprawdzie zostawiamy lukę tam, gdzie wznosiła się budowla bez fundamentu, ale za to umożliwiamy postawienie w przyszłości na jej miejscu trwałszego gmachu.

W gruncie rzeczy co do wielu, ale to bardzo wielu kwestyj na pozór najprostszych, jesteśmy w zupełnej nieświadomości.

Upokarzająco drobna jest liczba pewników naszych, ale powtarzam, strzeżemy się jak ognia rozprawiania o rzeczach niepewnych i uzupełniania braków wiedzy płodami wyobraźni. To jest nasza siła, którą się chlubimy.

— Dobrze są samokrytycyzm i ostrożność, ale w miarę — przerwał Anglik — inaczej tamują one swobodę myśli. Własnymi rękoma spiętrzacie przed sobą przeszkody i kręcicie się w kółku urojonych zapór.

— Ostrożności nigdy za dużo! I tak zbyt często zarzuca nam świat szerzenie mrzonek i fałszów pod pozorem wyników naukowych dociekań. Cóż by było, gdybyśmy w istocie nie kroczyli po pewnym gruncie faktów?

— A więc jutro do pracy, dobranoc ci, lordzie.

— Dobranoc, profesorze!

*

*

*

Lord Puckins nie mógł zasnąć. W uszach jego dźwięczały słowa słynnego geologa, dotyczące szczeliny, która się zawarła, i myśl przenosiła się tam, gdzie podania ludzkie pomieściły tyle tajemniczego piękna i tyle obaw. Szła ona za promieniem księżycy i błąkała się po urwiskach wąwozu, z nim razem zazierała w każdą szczelinę i dotykała każdego urwiska.

W oberży było duszno. Spoza okna zalaływał szmer owadów i jakieś tajemnicze tony przeciągały w powietrzu. Wszystko to wabiło i ciągnęło. Lord Puckins zerwał się z łóżka i wyszedł przed oberżę.

Przed nim, jak brama tajemniczych podań ludowych, rozwierzała się szyja wąwozu. Promienie ślizgały się wśród wąwozu nie mogąc jednakże w zupełności oświetlić jego zburzonych ścian i zdawały się wabić Anglika. Lord Puckins poszedł. Im dalej zapuszczał się w wąwóz, tym zupełnie poddawał się urokowi przyrody. Wąwóz załamywał się i był u dołu szerszy aniżeli u góry. Czarne, fantastyczne plamy na kredowej powierzchni skał widniały w tym mroku niedostępnym dla światła księżycowego jak wejścia do głębi ziemi, jak otwory, z których zdawałoby się, że za chwilę wyjdą straszne postacie

i zapytają śmiałka: po coś tu przyszedł prochu, zakłócać nam spokój w tę godzinę naszą? — Lord Puckins rozkoszował się nowymi wrażeniami. Zdawało mu się przez chwilę, iż za nim biegnie szybko nie jedna, nie dwie istoty, lecz legiony ich. Był to odgłos jego własnych kroków, które powracały do niego w ciszy nocnej, spotęgowane po sto razy. Zdawało mu się później, iż wąż z góry się zasklepia i zamyka go w żywym więzieniu. Zapuszczał się coraz dalej w labirynt wąwozu, niepomny, że może wrócić będzie trudno i nagle wpadł po stromym stoku w dół, który jak czarna smuga cienia ciągnął się pod ścianą. Pot zimny okrył czoło lorda. Przeleżał on kilka minut i po chwili podniósł się.

Zaczął krytycznie badać swoje położenie. Rozejrzał się. Odbiegł od głównego kierunku wąwozu w jakąś jego odnogę i znajdował się właśnie w jej zakończeniu. W złudnym pół-



Instynktownie podparł się nogą...

świecie, chcąc zbadać położenie odnogi w stosunku do głównego łżyska wąwozu, oparł się plecami o gład wielki i śledził okiem malowniczy labirynt skał. Podniósł wreszcie wzrok ku gwiązdom, aby dopatrzeć znajome sobie konstelacje, gdy nagle uczuł, że podpora ustąpiła i leci w tył. Instynktownie podparł się nogą i utrzymał równowagę. Odwrócić się i ujrzeć olbrzymi otwór, gdzie przed chwilą leżał gład — było dziełem sekundy. Jednocześnie rozległ się i brzmiał jeszcze przeciągły grzmot bryły, odbijającej się o ściany przepaści.

— A więc znowu to szczęście, które mi ciągle dopisuje! —
zawołał. — Podwójne nawet! I karku nie skręciłem, i wpadło
mi w ręce to, czego na próżno poszukiwał profesor.

Jestem u tajemniczej czeluści!

*

*

*

Noc ta była pełna niepokoju. Lord wyciągnął z łóżka
geologa i obaj niezwłocznie przekonali się, że istotnie Puckins
odkrył przypadkiem szczelinę, którą pozostawiło drugie trzęsienie.

III.

STANISŁAW. — IMPROWIZOWANY WYKŁAD MINERALOGICZNO-GEOLOGICZNY. — U WRÓT PIEKIELNYCH. — WYPRAWA PODZIEMNA.

Nazajutrz lord Puckins obudził się późno. Biła godzina 10. Oprócz niego znajdował się w pokoju tylko Stanisław, służący i nieodstępny towarzysz geologa. Nie był to chłopiec zwykły. W miarę zgrabny, w miarę wesół i ciekawy, był za to nad miarę poufały i przywiązany.

Młodym jeszcze chłopakiem zabrał go profesor z rodzicielskiego zaścianku. Śmiały i sprytny, zżył się prędko z nowymi warunkami. Nauczył się obcego języka i nieznacznie stał się niemal prawą ręką młodego uczonego.

Lat czternaście przerobiło bezpretensjonalnego chłopca na zaufanego laboranta w muzeum i stałego towarzysza wycieczek naukowych, zarazem lokaja, kucharza, sekretarza i troskliwego opiekuna swego profesora. Czyścił on buty, gotował, składał i sklejał kości, utrzymywał roczniki czasopism w porządku, a zarazem umiał dziesięć razy na go-

dzinę sprowadzać na siebie mniejsze lub większe wybuchy niezadowolenia profesora. Pod tym ostatnim względem Stanisław mistrzem był prawdziwym. Drobnostką u niego było sklejenie połamanych kości niedźwiedzia jaskiniowego z odłamkami kości hieny, oddanie do oprawy dwóch czasopism pomieszanych z sobą i utrzymywanie, że wszystko w porządku. O czynnościach zarówno pana, jak własnych wspominał najczęściej w liczbie mnogiej: „egzaminowaliśmy studentów, zapłaciliśmy krawca, odkryliśmy szkielet małpy w Pikermi, udała się nam prelekcja“ — wszystko dokonywało się w liczbie mnogiej. Profesor nie miał nic przeciw takiej spółce, wszystko więc było w porządku.

Sprawiedliwość wyznać każe, iż posiadał niejakię prawo do poufałości, gdyż wiedza geologiczna niezupełnie była mu obca.

W niej *petrografia* ¹⁾ była najmocniejszą stroną Stanisława. Minerale złożone w muzeum, które z natury swych obowiązków często przynosił, odnosił i odkurzał, zaciekawiały go zawsze niepomieranie i stosunkowo dużo o nich wiedział. Umiał odróżniać *wapień* od *dolomitu* lub *marglu*. Znał rudy żelazne, miedziane, srebrne lub inne. Wiedział, że porfiry, bazalty są to dawne lawy wulkaniczne, a gnejsy i łupki mikowe są skałami przeobrażonymi, to jest powstałymi z innych skał pod wpływem wysokiej temperatury i wielkiego ciśnienia zachodzącego w głębi skorupy ziemskiej.

Poza tym i *paleontologia* ²⁾ nie była całkiem obojętna naszemu zuchowi, a to dzięki okoliczności, że lubił studiować napisy pod okazami wybitniejszych skamielin.

Uszy jednak puchły, gdy wymawiał nazwy grecko-łacińskie, przekręcone do niepoznania. Najmniej miał wiadomości z dziedziny geologii historycznej ³⁾. Takim był Stanisław.

— Dzień dobry, milordzie! — odezwał się, gdy Anglik otworzył oczy.

¹⁾ Nauka o skałach, ich składzie mineralogicznym i ich pochodzeniu.

²⁾ Patrz odnośnik 1 str. 18.

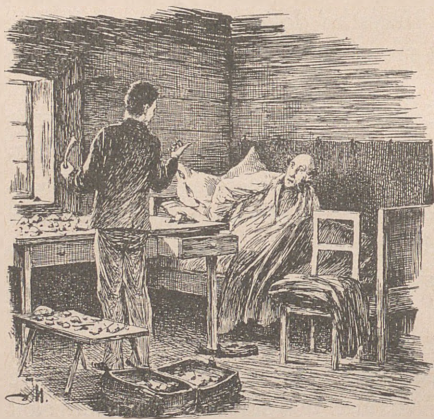
³⁾ Patrz odnośnik 2 str. 18. Geologia historyczna jest to zasadnicza część geologii, której zadaniem jest przedstawienie kolejnych szeregu zjawisk fizycznych i organicznych, które zachodziły w skorupie ziemskiej lub na jej powierzchni w ciągu poszczególnych okresów geologicznych.

— Dzień dobry! — mruknął ziewając Puckins.

— Jakże się panu spało? — począł Stanisław. — Ja tu już od dwóch godzin porządkuję minerały. O, widzi pan, jaki to ładny okaz *zlepieńca wapiennego*...

— Zlepieniec wapienny? — wycedził z ponownym ziewaniem Puckins — cóż to za diabeł?

— To jest, proszę pana, okruczowa skała, taka, co składa się z kamyczków, spojonych przez masę mineralną. Skały,



proszę pana, dzielą się na *okruczowe* i *krystaliczne*. Pierwsze powstały z osadów na dnie wód. Dlatego nawet pan mój nazywa je *osadowymi*, dla lepszego odróżnienia od krystalicznych, które (jak porfiry, lawy i trachity) pochodzą z ognistopłynnej masy, która znajduje się w głębiach ziemi. Ich to właśnie pokruszone cząstki tworzą główną masę skał zwanych *osadowymi*.

— Bardzo przyjemnym jesteś chłopcem — odrzekł na to Anglik i siadł na łóżku. — Mówisz, jak z nut!

Stanisław wziął ze stołu drugi kamień i podał go lordowi.

— To także okruczowa skała — wyrzekł z wzrastającymżywieniem. — Nazywa się *piaskowcem*, bo składa się z drobnego piasku kwarcowego. Są piaskowce, w których piasek spojony jest masą krzemionkową, takie zwą się *krzemionkowymi*, ale są też spojone dolomitom albo marglem i takie, nazywamy *dolomitowymi* albo *marglistymi*.

— W istocie? — zapytał lord spoglądając z zajęciem na służącego.

Stanisław odczuł, że uczynił wrażenie na Angliku. Dorzucił też od niechcenia:

— My różnych piaskowców posiadamy całe szafy!

— Nie może być! — wycedził Puckins zaczynając się ubierać.

— Albo proszę pana, co to za pyszny *amonit* ¹⁾ — czy pan widział kiedy równie piękny?

— Przyznam ci się w sekrecie, że nawet nie poznałbym się na jego piękności.

— Niech to pana nie wstydzi, milordzie. Trudno przecież znać się na wszystkim. Wydobyliśmy go wczoraj z jurajskiego piaskowca. Jest go tu pełno. A nawet i innych skamieniałości nie brak! Nie wiem doprawdy, gdzie my to pomieścimy, jeśli profesor uprze się wziąć wszystko, co zasługuje na zabranie.

— A gdzież pan? — zagadnął Anglik mając dosyć paplalniny poufałego chłopca.

— Poszedł! Albo on usiedzi kiedy w pokoju, a osobiwie, gdy pogoda? — Zawsze się gdzieś musi z młotkiem zawie-ruszyć. A, wraca obładowany jak tragarz! Co ja mam potem roboty z układaniem w skrzynie tych wszystkich *gnejsów*, *łupków*, kości i muszli skamieniałych, to niech Bóg broni! A za byle co zaraz bura! Niech się rozleci jaki „odcisk“ tak kruchy, że go zetrze w palcach, to na pewno nikt inny, tylko ja temu jestem winien.

— Gdzież pan poszedł i kiedy? — zapytał Anglik, rad już przerwać potok wymowy Stanisława.

— To pan nie wie? Toż to znalazł w nocy tę dziurę.

— Wiem!...

— A więc poszedł znowu do niej. Pewnie tam dotąd siedzi!

— Czemużeś mi tego od razu nie powiedział? — zawołał lord z nagłym ożywieniem.

— Alboż ja wiedziałem, że i pana ta niemądra szczelina może obchodzić!?

Lord Puckins już nic nie odrzekł. Ubrał się, jak mógł najprędzej i niebawem znalazł się na miejscu swego wczorajszego odkrycia.

Zastał nad jamą gromadkę Bośniaków. Paru ludzi leżało plackiem nad szczeliną i nadstuchiwało pilnie. Kilku innych rozprawiało i gestykulowało gwałtownie. Lordowi zdawało się, nie bez racji, iż ruchy znamionowały niepokój, połączony z nie-

¹⁾ Amonity, wymarła grupa mięczaków należących do grupy głowonogów (patrz rys. na str. 134).



Zwycięstwo ! raduj się lordzie !

chęcią. Wśród zebranych był i tłumacz lorda. Objaśnił on, że profesor mimo oporu zebranych odważył się zapuścić w podziemie i lubo z trudnością zdołał skusić obietnicą sutej zapłaty jednego z najodważniejszych zuchów, Basanisa.

Obaj od dwóch godzin znajdują się w czeluści piekielnej i pewno już życiem przypłacili zuchwalstwo.

Wszystko to prawil tłumacz przejęty złowrogim przecuciem, a zebrani wieśniacy, choć nie rozumieli, dodawali liczne uwagi, którym towarzyszyły wymowne gesty zgrozy.

Nieprędko by się to skończyło, gdyby nagle jeden nie porwał się na równe nogi z okrzykiem:

— Wracają !

Nie mylił go słuch wyrobiony. Po kilku minutach rozróżniono szmer i ludzkie głosy.

— Zwycięstwo ! raduj się lordzie ! — wołał z głębi ziemi geolog. — Szczelina prowadzi bardzo głęboko !

— Zdrajco! porachujemy się skoro wyjdiesz na wierzch! — wołał groźnie Anglik.

— Ja też nie myślę wychodzić — odezwał się profesor — dopóki nie dosięgnę dna przepaści...

— Dlaczegoś sam się wybrał?

— Spałeś lordzie tak smacznie, żem nie miał sumienia cię budzić...

— To zazdrość! Chciałeś pierwszy wstąpić w czeluść, ale spotka cię zasłużona kara!

— Cóż uczynisz?

— Nie odstąpię od jaskini, dopóki mi w ręce nie wpadniesz.

— Wybornie! pójde przeto głębiej. Może znajdę inne wyjście, a wtedy nie spotkamy się prędko.

— Czy nie zamierzasz, profesorze, powędrować do antypodów? — zapytał Puckins.

— Byłbym najszczęśliwszy z ludzi, gdyby mi się to powiodło!

— Więc szukaj innej drogi, tu jesteś moim więźniem.

Nadbiegł zadyszany Stanisław i usłyszał koniec rozmowy.

— Zapomniał pan, że ja tu jestem — zawołał wesoło.

Anglik pochylił głowę nad otworem.

— Jak daleko byłeś, profesorze?

— Trzysta metrów pionowej głębokości! Teraz przemawiam z głębokości 150 metrów.

— A dobra też droga?

— Jak dla much! — rozległ się wesoły głos z dołu.

— Poczekaj na mnie.

— Nic z tego!

— Jakto? czyżbyś śmiał profesorze pójść **beze** mnie?...

— Naturalnie! Cóż ci za potrzeba, lordzie, narażać całość członków, a może i życie.

— Skoro ty narażasz...

— Ze mną inna sprawa. To mój obowiązek!

— Wszak jestem praktykantem geologii, więc jest obecnie i moim także obowiązkiem.

— Nie chcę! Gdyby ci się, lordzie, przytrafiło co złego, nie darowałbym sobie tego nigdy!

— Zapewniam, że zawrotu na widok przepaści nie doznaję...

— Nie ustąpię — odrzekł Lech Przedpotopowicz. — Później może i owszem!

— Za kogo mnie bierzesz, kochany profesorze? — odrzekł na to urażony Anglik. — Nie w takich ja bywałem mysich jamach. Na wyspie Jawie, gdzie wulkanów tyle, ile grzybów w lesie, zwiedziłem cztery nieznane przedtem kratery. Byłem także we wnętrzu ciągle wybuchającego *Gunung-Guntur*, straszego *Gunung-Gelungung*, który zniszczył już niejedną setkę wiosek, a nawet zmuszasz mię do wyznania, żem się nie uląkł wulkanu na wyspie Sumbawa.

— Jakto? zwiedziłeś okropnej sławy *Temboro*, który wstrząsnął¹⁾ całym archipelagiem indyjskim i okrył go popiołami?

— Byłem na dnie jego krateru.

— Przebac mi, mistrzu! — rozległ się ze szczeliny głos profesora. — Wyjdę zaraz i przygotujemy się do wyprawy.

— Nie fatyguj się, profesorze, i czekaj! — krzyknął udobruchany Anglik. — Szkoda na próżno przemierzać pod górę i potem na dół 150 metrów najgorszej drogi. Sam przyniosę wszystko, co potrzeba. Jak daleko zamierzasz się zapuścić?

— Jak można najgłębiej! — zawołał z mocą profesor.

— To lubię! — odrzekł Anglik. — Tak przemawia prawdziwy badacz przyrody! — Zatem żywności wezmę na dwa dni.

— I oleju więcej do lampek! — dodał geolog.

— Dobrze! Mam także drut magnetyjowy i pochodnie!

— A jeśli szczelina prowadzi naprawdę aż do piekła?... — ośmielił się zapytać Stanisław.

— Niechby choć do kilku tysięcy metrów — odrzekł z zapalem geolog. — Przekonałbym się raz, kto ma słuszność: czy ci, co twierdzą, że jest wewnątrz rozpalona lava, czy też inni, którzy uważają wnętrze ziemi za zimną i zastygłą już bryłę.

— Szkoda, że człowiek nie jest przynajmniej z platyny!

¹⁾ Jego wybuch w 1815 r. należy do największych, jakie historia zapisała. W okolicach Jawy na morzu od deszczu popiołu, jaki padał po wybuchu, przez cztery dni nie widziano słońca. Na wyspie Lomboek tyle padło popiołów, że pokryły grunt na 60 cm grubo i spowodowały głód, od którego zginęło kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców.

— Zatem czekaj profesorze ! Najdalej za godzinę będziesz miał żywność, swoje narzędzia, drabiny sznurowe, światło i mnie.

— Dziękuję ! Za tragarza i przewodnika pošę ci lordzie Basanisa. On cię bezpiecznie na dół sprowadzi.

— O mnie, jak widzę, pan już zapomniał ! — krzyknął Stanisław pochylając się nad czarną czeluścią.

— Nie zapomniałem, mój kochany ! — ale zostaniesz na górze.

— Pan profesor wie dobrze, że my wszędzie bywamy razem.

— Bywaliśmy — poprawił geolog.

Przestraszony Stanisław póty prosił i zapewniał o swej wytrzymałości na gorąco i o zręczności, aż uzyskał nareszcie pozwolenie na przyłączenie się do wyprawy.

IV.

TYSIĄC METRÓW POD ZIEMIĄ

Lord Puckins zawsze dotrzymuje słowa. Punktualnie w godzinę chciwy wrażeń Anglik spotkał się z profesorem na głębokości 200 metrów pod powierzchnią wąwozu. Termometr wskazywał 21^o Celsjusza.

— Wcale tu nie za ciepło! — zauważył Stanisław.

— Bardzo wierzę! Ale zmienisz zdanie, jeśli zejdziemy o pięćset metrów niżej. Przyrost temperatury bywa wprawdzie w różnych okolicach ziemi niejednakowy. Zdarza się, że co 33 metry przybywa jeden stopień C., choć bywają miejsca, w których temperatura podnosi się o jeden stopień zaledwie co 80, a nawet co 87 metrów, jak np. pod Liwerpoolem ¹⁾.

— Jakież tutaj zauważyłeś przyrost, profesorze? — zagadnął Puckins.

— Na głębokości 300 metrów termometr wskazywał 23 stopnie, przybyły zatem 2 stopnie ciepła, co rozłożone na 100 me-

¹⁾ Jest tu mowa o tak zw. stopniu geotermicznym, który jest pewną wielkością wyrażoną w metrach na jaką temperatura podnosi się w głąb ziemi o 1^o C. Na rozmaitych obszarach ziemi jest on różny. W Europie stopień geotermiczny wynosi średnio 33 m.

trów stanowi jeden stopień na każde 50 metrów. Jest to przyrost mały, ale tym lepiej dla mnie, bo dojdziemy głębiej!

— Zatem w drogę, nie traćmy czasu. Ale gdzież teraz jesteśmy? Mówiłeś profesorze, iż otaczały cię *pokłady kredowe*, a ja tu wcale kredy nie widzę¹⁾.

— Pokłady, noszące nazwę kredowych, nie składają się z samej kredy do pisania. Występuje i ona wprawdzie często w różnych krajach, ale stanowi jeden z najmłodszych utworów *okresu kredowego*. Częściej są to skały zupełnie do kredy niepodobne. W jednych krajach (na przykład w Polsce, Anglii, Francji, Niemczech północnych) zalicza się do utworów kredowych pokłady szarych margli, zwane *opoką*. Gdzie indziej kredowe utwory znane są pod postacią *piaskowca ciosowego*, albo wapienia pełnego muszli i koralii.

— I dlaczegoż to, proszę pana, pokłady jednego i tego samego okresu nie są jednakowe na całej kuli ziemskiej?

— Sądzę, że gdybyś się zastanowił, znalazłbyś sam odpowiedź.

— Posądza mię pan niesprawiedliwie — odrzekł Stanisław. — Właściem się zastanawiał i nic mi z tego nie przyszło.

— Bo nie wziąłeś pod uwagę, że kredowe czasy trwały ogromnie długo, a czynniki wpływające na tworzenie się osadów kredowych nie były nawet w jednym i tym samym czasie jednakowe na różnych miejscach kuli ziemskiej. Wszak i wtedy były morza i lądy, góry i doliny, rzeki i jeziora. Czysto więc morskie warstwy powstawały obok lądowych, błotnistych lub słodkowodnych. Każdy zaś z tych utworów odznacza się sobie właściwymi cechami i skamieniałościami.

Podróżni nasi przy mdłym świetle lampek ruszyli na dół w milczeniu — aż doszli do jurajskich²⁾ pokładów. Przedpocowicz poglądał po ścianach i co kilka minut czynił pomiary i notatki. Oblicze jego promieniało zadowoleniem.

— Jesteśmy otoczeni najstarszymi utworami *okresu jurajskiego*. W ciągu pół godziny pogrążyliśmy się, że tak powiem, o miliony lat w przeszłość...

— W przeszłość?

¹⁾ Patrz odnośnik na str. 122.

²⁾ Patrz odnośnik nr 1 na str. 122.

— Nie inaczej. Jesteśmy w katakumbach świata jurajskiego. Każda skamieniałość — każda nieskruszona jeszcze na proch skorupka mięczaka, to wymowny dla nauki świadek... Podnieś lampkę, Stanisławie. Nad nami piętrzy się już 200 metrów pokładów jurajskich. Oświeć je, a może zadrza dla nas, przy pomocy wyobraźni, w tych martwych resztkach zgasłe od milionów lat życie... może ówczesne typy przejściowe, gady na przykład, ukażą się nam tak pełne życia, jak niegdyś były, aby rozstrzygnąć spór nasz z przeciwnikami teorii rozwoju...

— Co słyszę? — zawołał lord Puckins. — Byłżeby pan zwolennikiem zachwianej hipotezy stopniowego rozwoju organizmów?

— Jestem zwolennikiem teorii, o której milordzie wspominaś, ale o zachwianiu jej nic nie słyszałem — odrzekł paleontolog.

— A to mię dziwi! Wszak o tym wróble świergocą!

— Wróble o wszystkim świergocą — odrzekł profesor — ale też dopóki tylko ptactwo gęga, świergoce i gdacze, wierzą mi lordzie, szkoda tego słuchać...

— I gęganie bywa pożyteczne! — przerwał Anglik. — Ocaliło niegdyś Rzym.

— Dla prawd naukowych pozostanie ono obojętne — dodał uśmiechając się geolog.

— Szczególniej dla takich, które zostały już pogrzebane przez nowsze odkrycia naukowe — odciął się Anglik złośliwie. — Ale bo też innego losu doznać nie mogła doktryna, której przeczą zdrowe zmysły. Jak to? — ciągnął zapalając się Anglik. — Owca, żyjąca ziołami pastwiska, i wilk, który swe życie podtrzymuje tylko krwią i mięsem owiec, miałyby być braćmi? Jak to? Ciepłe futro niedźwiedzia miałoby być przeróbką wilgotnej skóry żaby lub łuskowatej karpia? A wśród roślin mech i grzyby krewniakami jabłoni i pomarańczy? Pasorzytna huba drzewna i dąb, trujący szale i smaczna malina, wszystkie miałyby być potomstwem jednej i tej samej prarośliny?

— To wszystko możliwe! — odrzekł profesor.

— Ależ to jest absurd, pozbawiony sensu! — zawołał z ogniem Puckins. — Dlaczegoż nie twierdzisz raczej, że ziemia

się obraca od wschodu na zachód? Wszak wszystko można przypuścić, ale na szczęście nie każde przypuszczenie jest faktem! A właśnie faktem jest, że żadne środki nie zmieniają natury ani kształtu zwierząt i roślin. Lis i wilk, choćby chowane, zostaną zawsze lisem i wilkiem, sowa i po tysiącu lat nie zmieni się w orła, a z nasienia pokrzywy dąb nie wyrośnie. Szczygiel, choćby umieszczony wśród słowików, nie zostanie nigdy słowikiem!

— O takich metamorfozach nikt ze zwolenników teorii rozwoju istot organicznych nie myślał. Teoria, o której mowa, przypuszcza tylko zmiany drobne i niewidoczne w jednym lub kilku pokoleniach. Dopiero po upływie setek pokoleń stają się one wyraźne, a po upływie dalszych setek, a może tysięcy składają się na wytworzenie nowego gatunku...

— Dowcipne to wykrety, bo nikt tak powolnych zmian sprawdzić nie może. Powiadacie: potrzeba było bardzo długiego czasu, aby z jednej pary gadów — wytworzyły się wszystkie gatunki gadów, aby z jednej pary ptaków wytworzyły się tysiące gatunków, poczynając od kolibra, a kończąc na kondorze. Potrzeba by patrzeć przez tysiąclecia, aby zauważyć stopniowe i drobne zmiany, a na to życie nasze za krótkie. Ale te dowodzenia okazały się fantazją i upadły pod ciosami nowszych odkryć!

— Jakież to odkrycia pogrzebały teorię stopniowego rozwoju istot?

— Choćby mumie kotów, wydobyte z grobów faraonów, które w niczym nie różnią się od kotów dziś żyjących. Ziarna pszenicy — sprzed 4000 lat, które są takie same, jak dziś zebrane. Gdzież więc dowód, że rasy się wyradzają w gatunki, a gatunki w rodzaje? Powiedz mi szczerze, profesorze, czy znacie choć jeden fakt, aby powstał nowy gatunek?

— Nie znam! — odrzekł z prostotą paleontolog.

— Cieszy mię, że podobnie ważne wyznanie słyszę z ust gruntownego badacza — odrzekł zdziwiony nieco Anglik — ale pytam, jak można wierzyć w teorię, nie popartą ani jednym decydującym dowodem?

— Choćby nawet było, jak sądzisz, to wolałbym na mocy samego rozumowania wierzyć w teorię rozwoju, aniżeli należeć do zwolenników „oddzielnych aktów stworzenia“¹⁾.

— Bardzo mię dziwi podobny upór!

— A jednak to proste. Kto odrzuca teorię rozwoju z powodu, że fakty przemawiające za nią nie są dość liczne, ten zapomina, że dla poparcia własnego poglądu nie posiada *ani jednego faktu!*

— Nie rozumiem cię, profesorze!

— Zmuszasz mię do jasnego postawienia kwestii wielce drażliwej. Czy masz lordzie, choćby przybliżone do prawdy pojęcie o tym, jak został stworzony gatunek? Jak się on dostał na świat ziemski?

Tak zagadnięty Anglik umilkł, nie wiedząc co odpowiedzieć. Z zakłopotania wyprowadził go profesor.

— Wcale ci nie mam za złe, milordzie, tego, iż nie jesteś w stanie pojąć ani objaśnić stworzenia, choćby jednego gatunku, bo nikt z nas nie ma o tym pojęcia. Ale dlaczegoż wymagasz od nas, abyśmy dowiedli, jak się odbywa przemiana gatunku, skoro sam nie masz pojęcia, jak się stwarza gatunek?... A teraz posłuchaj jeszcze chwilę, milordzie. Na ziemi żyje obecnie paręset tysięcy gatunków roślin i 270 000 gatunków zwierząt. Dodawszy do nich gatunki wygasłe, których małą zaledwie część, bo tylko 50 000, znamy, możemy śmiało oznaczyć liczbę gatunków, które żyją lub żyły na ziemi, co najmniej na kilka milionów, dajmy na to na jakie 3 000 000. Któraż teoria pochodzenia tych trzech milionów gatunków będzie prawdopodobniejsza? — Czy ta, która każe przyjąć 3 000 000 oddzielnych aktów stworzenia, czy też ta, której ja jestem zwolennikiem, wyjaśniająca, że wskutek ciągłych, drobnych zmian, pod wpływem licznych bodźców *wszystkie istoty powstały stopniowo z bardzo małej liczby pierwotnych typów?*

Lord Puckins uderzony logiką rozumowania przeciwnika powtórnie umilkł, ale znać było, że nie dawał za wygraną.

¹⁾ Aluzja do teorii katastrofizmu od dawna zarzuconej, głoszącej, że ziemię nawiedzały w jej przeszłości liczne katastrofy, które całkowicie niszczyły życie organiczne na ziemi, tak że po każdej takiej katastrofie następowały „nowe akty stworzenia“.

Była to natura niepodległa i pomimo młodzieńczej chciwości wiedzy o zdeklarowanym poglądzie na świat i na wspaniałe jego zagadki. Profesor pierwszy raz miał sposobność przekonać się o tym, pierwszy raz też zarysowała się sprzeczność zapatrywań tych dwóch ludzi.

— Sprowadzacie więc wszystko do kilku pierwotnych typów. Dobrze! Ale czy też możecie objaśnić, skąd się te typy wzięły?

— Niestety, o tym na równi z wami nic nie wiemy — odrzekł geolog.

— Więc stoicie bezradni wobec wielkiej tajemnicy stworzenia.

— Stoimy na równi z wami w obliczu najwspanialszej zagadki — potwierdził spokojnie Przedpotopowicz.

— I nie możecie zaprzeczyć przynajmniej jednego aktu stworzenia, jeśli nie kilku!

— Powiedziałem ci już, że pierwsza siła, która tchnęła życie w świat nieorganiczny jest dla nas tajemnicą. Tajemnicy tej nie dotykamy słabym rozumem naszym i korzimy przed nią czoła.

— A zatem, dziwię się, dlaczego przyjmując *jeden*, wachacie się z przyjęciem *licznych*, oddzielnych aktów stworzenia! Jeden cud czy tysiąc lub milion cudów nie stanowi już różnicy! Wobec *jednej* tajemnicy, jednego aktu wszechmocy Stwórcy cała wasza teoria staje się bezsilna i bezpotrzebna!

— Ależ i ty, milordzie, nie objaśniasz nic zgoła wymawiając wyraz *cud* lub akt stworzenia. Ty tylko zaprzeczasz, nie opierając zaprzeczenia na żadnym fakcie. Powtarzasz tylko: wszystko u Boga jest możliwe.

— Tak jest!

— W takim razie nie jesteś, milordzie, logiczny. Dlaczegoż uważasz za niemożliwą i niedorzeczną teorię rozwoju, która w niczym nie przeczy wszechmocy Boga, a ma za to tę dobrą stronę, że jest prosta i zawikłane zjawiska przyrody czyni zrozumialsze. Któreż z dwóch przypuszczeń jest lepsze: czy to, które nic nie daje i nie usiłuje nic objaśnić, czy inne, które ściśle określa wspaniałe zagadki świata? Gdybyśmy ograniczyli się tylko do wykazania, że gatunki mogą powstać z innych przez odpowiedni szereg zmian, uczynilibyśmy już stokroć więcej

aniżeli nasi przeciwnicy — ciągnął dalej profesor, porwany zapałem. — Ale myśmy dokazali więcej! Dowiedliśmy już, że *każdy gatunek jest zmienny*, że przeniesiony do nowych warunków powoli zmienia swój ustrój i *przystosowuje się* do nich tak dobrze, iż w końcu stają się one dla niego normalne. Cały świat jest właśnie polem działania podobnych wpływów przekształcających i każdy je może obserwować. Zbyt dużo zresztą byłoby w tej materii do powiedzenia i dlatego porzucmy lepiej drażliwy temat.

Profesor Przedpotopowicz stracił poczucie, gdzie się znajduje i do kogo przemawia, taki ogarnął go zapał w obronie swej nauki.

Lord Puckins patrzył nań przez chwilę z ciekawością, wreszcie pochwycił go za rękę.

— Nie wiedziałem, profesorze, że cię tak wzburzę — przemówił, ściskając dłoń uczonego. — Przebac mi mimowolną napaść na twoją naukę. W gruncie rzeczy zdaje mi się, że walczymy o niepochwytny cień. Zawrzyjmy już pokój i wracajmy do rzeczywistości.

Długiej chwili trzeba było, żeby Przedpotopowicz ochłonął, ale też skoro to nastąpiło, rad w duszy z tryumfu, mimo przykrej drogi, wpadł w dobry humor.

— Przebacz profanowi, że zapytuję o rzeczy stanowiące zapewne abecadło w waszej nauce, i racz mi objaśnić, czy na przykład te skały, powstałe w okresie jurajskim, mają w innych punktach kuli ziemskiej te same właściwości i tę samą grubość, jaką tu obserwujemy? — zapytał.

— Bynajmniej. Podobnie, jak to wspomniałem o kredzie, osadzały się w różnych czasach i miejscach niepodobne do siebie warstwy — zależnie od współczesnych warunków. Nie wszędzie nawet dochowały się. W wielu miejscach są one cienkie lub szczątkowe, a na znacznych obszarach skorupy zupełnie ich brak nawet.

— Czymże się to dzieje?

— Bo warstwy skorupy ziemskiej, to jak zniszczone karty w starej księdze. Podobnie jak z każdego tysiąca dawniej błyszczących kart dotrwało do dziś zaledwie parę wytartych i postrzępionych, tak samo osady raz nagromadzone podlegały i podlegają dotąd bezustannie niszczącym lub przetwarzającym

wpływow ciepła, ciśnienia, wody i powietrza. W jednych okolicach zostały tedy doszczętnie splukane, w innych dochowały się wprawdzie, ale najczęściej rozmaicie pogiete i połamane, a nawet w części przeobrażone. Nie zapominajmy i o tym, że warunki osadzania się nawet jednoczesnych pokładów były na różnych punktach ziemi w najwyższym stopniu rozmaite. Cóż dziwnego, że w jednych miejscach dochowały się te osady w kilkusetmetrowej grubości, gdy w innych, przy mniej sprzyjających okolicznościach, ta sama epoka zostawiła po sobie słabe ślady.

— Chodźmy już dalej! — naglił Anglik. — Może niżej zobaczymy coś ciekawszego.

Usłuchano wezwania i czterech ludzi posuwało się znowu w głąb ziemi nierównym i ciasnym sklepem skalnym. Upłynęło z pół godziny schodzenia przy pomocy nóg, rąk, pleców, lin i drabinek. Profesor, któremu fizyczny wysiłek zgoła nie paraliżował dzielności komórek mózgowych, przyjrzał się bacznie ścianom skalistego wąwozu, poskrobał, roztałał szczątki w palcach i ogłosił uroczyście, że opuszczono granice grupy skał należących do ery mezozoicznej.

— Co to znaczy? — zapytał sługa.

— To znaczy, że opuściliśmy już erę *mezozoiczną*, która odpowiada wiekom średnim w dziejach ziemi. Teraz zagłębiamy się w wieki starożytne ziemi, znane w nauce pod nazwą ery *paleozoicznej*... ¹⁾.

— Ciepło się robi — zauważył Stanisław.

— Bo też jesteśmy już na głębokości 750 metrów. Mamy 33 stopnie Celsjusza.

Wśród urywanej gawędy ani się opatrzone, jak temperatura podniosła się znowu o trzy stopnie, co odpowiadało 150 metrom pionowego zejścia w głąb. Turyści znaleźli się w czeluści czerwonego piaskowca i w tych pokładach doszli cokolwiek niedogodnym i chropawym kominem aż do głębokości 1000 metrów. Tutaj zatrzymano się i urządzono popas.

Po należytych odpoczynku zapuszczono się znowu w otchłań i dość łatwo znaleziono się wśród potężnych skał węgla kamiennego.

¹⁾ Patrz odnośnik na str. 75.

V.

CO BY RYBY MYŚLAŁY, GDYBY MIAŁY ROZUM?

— Wiesz, lordzie? ja bym te „wrota“ nazwał piękniejszym mianem, aniżeli noszą, na przykład „rajem geologa“! — wołał profesor w zachwycie.

— O tak! — przywtórzył Anglik. — Zupełnie, jakby ziemia, zwykle zazdrośnie ukrywająca swe skarby przed okiem człowieka, otwarła nam tu sama gościnne podwoje i zapraszała do podziwiania swych tajników!

Stanisław pogrążył się w myślach sprzecznych ze zdaniem profesora.

— Żeby ziemia tak bardzo gościnna była, tego nie powiem — myślał sobie. — Podrapałem już na nic ręce, a guzów mam więcej, aniżeli ich posiada cała moja garderoba...

— Przypomina mi się tu wędrówka na dnie czarujących kanionów rzeki Colorado — rzekł Anglik.

— A mnie — dorzucił Stanisław — spacer po bośniackim gościńcu o zmierzchu, gdy już nie widać jam, w których można od razu wszystkie kości połamać.

— Dochodzimy już do granic skał z okresu węglowego, krok tylko dzieli nas od dewonu ¹⁾.

— Czy nie mógłbym prosić cię, profesorze, abyśmy tam urządzili przystanek?

— I owszem! jeśli ci to uczyni przyjemność.

— Wielką nawet.

— Ruszajmy zatem — zakomenderował geolog.

I czwórka nasza poczęła się opuszczać niewygodnym kominem w tajemniczą czeluść. W milczeniu dosięgli szczupłej platformy i na tym progu zatrzymali się dość wygodnie.

Teraz Anglik uklonił się profesorowi z wyszukaną uprzejmością.

— Ani myślałem, że będę miał szczęście powitać pana tak prędko w mojej ojczyźnie, w rodzinnym gnieździe! — zawołał Puckins uśmiechając się.

Przyrodnik z niespokojem spojrzał na Anglika.

— Co pan mówi? Jakim sposobem?

— Dla tej racji, że Puckinstone, moje rodzinne gniazdo, leży właśnie w hrabstwie Devonshire ²⁾.

— A ja sądziłem, że pan już dostał gorączki — zauważył profesor.

— I to wkrótce nastąpi! Jesteśmy jak w łaźni.

— W istocie trochę za ciepło — dodał geolog.

— Boję się, abyśmy się nie udusili w tej atmosferze.

— Nie ma obawy! — przerwał żywo geolog. — Za to czuję się tu jak w katakumbach pełnych tajemniczości. Otaczają nas już prochy świata niezmiennie dawnego. Podczas gdy osadzały się cał po cału te grube pokłady, nie było zwierząt czworonożnych. Królami naszej planety były ryby. Życie zwierzęce ograniczało się do oceanów, a w wiecznie zamglonych puszczech kalamitowych, skrzypowych oraz iglastych nie znalazłbyś ani jednego zwierzątka ssącego, ani jednego ptaszka.

¹⁾ Patrz odnośnik na str. 75.

²⁾ Patrz odnośnik nr 1 na str. 75.

Nawet motyl o tęczowych barwach nie migotał jeszcze, ani złota pszczołka nie zbierała jeszcze słodczy z kwiatów, bo i tych nie było.

Lord Puckins przerwał mu nagle.

— Ryby królami? To nie podobna.

— Tak było!

— Ależ w takim razie niesłychanie mizerny musiał być świat ziemski.

— Biedny był niezaprzeczenie, ale tylko w naszym, wyższym pojmowaniu, ponieważ znamy już doskonalsze warunki życia. Nie trzeba jednak do wszystkiego przykładać własnej miary. Jestem pewny, że gdyby dewońscy mieszkańcy głębin morskich umieli myśleć i oceniać podobnie jak my swoje warunki, z własnego, a więc ograniczonego punktu widzenia, wtedy żadna rozsądna ryba nie wymyśliłaby dla siebie lepszych warunków nad żywot w morzu. Co najwyżej zapragnęłaby, aby w tym idealnym morzu zabrakło jej wrogów, a pokarmu za to był dostatek. Dopiero chyba jakaś „niedowarzona“ ryba-poetka zdobyłaby się na marzenia o życiu w jakiejś lżejszej od wody atmosferze, w powietrzu.

— Oryginalne czynisz porównania! — zaśmiał się Anglik.

— Co więcej! gdyby ryby miały ludzką inteligencję, uważałyby wówczas cały ocean za swój własny, a nawet mnie-
małyby, że świat został dla nich stworzony.

— Dlaczego położyłeś nacisk na wyraz wówczas? — spytał Anglik.

— Bo wówczas ryby byłyby nawet poniekąd konsekwentne, choć nie przestałyby być śmieszne — odrzekł geolog. — Według nich deszcze padałyby po to, aby nasycić wodę mikroskopowymi pęcherzykami powietrza, potrzebnego im do życia, nawet słońce dla nich, a nie dla kogo innego, oświecałoby mroczne głębiny... Jestem pewny — ciągnął dalej profesor — że ówczesna „trzeźwa“ ryba nazwałaby także poetą tego, kto by jej na przykład dowodził, że można bardzo przyjemnie żyć poza obrębem wody na suchym dnie morskim, mieć nogi zamiast pletw i igrac na zielonej murawie. Nazwałaby półgłówkiem tego, kto by jej dowodził, że to przyjemnie jest mieć skrzydła, okryte barw-

nym pierzem i fruwać lekko z gałązki na gałązkę, swiergotać mile wśród wonnego kwiecica... Ówczesna trzeźwa ryba uważałaby nadto za skończonego głupca śmiałka, który by dał jej do zrozumienia, że wszystkie ryby bez wyjątku są bardzo ograniczonymi istotami. A gdyby na dobitkę ten ktoś prawić im zaczął o zwierzętach, które po nich będą stworzone i będą oddychać wyłącznie samym powietrzem, gdyby wspomniał o człowieku, który zamieszka w przyszłości ziemię, o jego dziełach, rozumie, o wynalazkach, uznałyby opowiadacza na pewno za niebezpiecznego wariata...

Lord zaciął wąskie usta i patrzył drwiąco a uporczywie na profesora.

Ten ostatni nie dostrzegając tego i ciągnął swoje:

— Jak to? — wołałyby chórem obywatelki morza — czyż jest choć odrobina sensu w twierdzeniu, aby było możliwe życie w próżni, która otacza oceany? My się dławimy w tej próżni wyskakując z wody na kilka sekund zaledwie, a ten szalenięc utrzymuje, że można urodzić się i egzystować poza obrębem wody! Niechże nam pokaże taką istotę! I zwyciężyłyby owe sceptyczki, bo takiej istoty na całej kuli ziemskiej *jeszcze* nie było. Albo człowiek! Toż to wytwór najbardziej chorobliwej imaginacji! Takich stworzeń nie ma i być nie może. Aby być czymś więcej od ryby, trzeba by być istotą nadprzyrodzoną!“ I wyznam ci, lordzie, szczerze, iż nie śmiałbym się z takiej ryby. W jednej biednej, skąpomózgiej głowie nie mogły się zmieścić pojęcia o doskonalszej organizacji, o człowieku, który *dziś* króluje na ziemi.

Lord Puckins nie wiedział, czy się gniewać na uczonego, czy pokryć własne niezadowolenie milczeniem.

— Podkreśliłeś, o ile mi się zdaje, wyraz *dziś*.

— Bo w istocie *dziś* człowiek króluje na ziemi.

— Dziś tylko?

— Dziś króluje on bezspornie! — powtórzył krótko geolog.

— A jutro?

— Odległe jutro nie do nas należy — odrzekł poważnie Przedpotopowicz.

— To prawda — potwierdził Anglik. — Nic wiecznego pod słońcem. Przyjdzie czas, gdy nas nie stanie, a ziemia toczyć się jeszcze będzie w przestworzach. Ale też wtedy będzie ona przeżyta i martwa niby trup, z którego uleciała dusza... Będzie pustą łupiną, która wydała już owoc i spełniła cel swego istnienia.

— Proszę! A skąd pewność, że po nas musi już zostać głucha pustka? — żywo zapytał geolog.

— Bo z wygaśnięciem ducha pocznie się już śmierć ziemi.

— A czyż duch nie może już po nas gościć na globie ziemskim?

Anglik się zdziwił.

— Po nas? Gdy ludzkości nie stanie?

— Nie wydaje mi się to niemożliwe. Alboż my mamy prawo uważać się za *ostatnie słowo* kreacji ziemskich?

Puckins nie umiał się zdobyć na razie na odpowiedź. Z oburzenia język odmówił mu posłuszeństwa.

Spostrzegł to profesor i żał mu się zrobiło pysznego króla stworzenia.

— Widzę z przykrością, że zaawanturowałem się nieco — wyrzekł. — Nie powinienem głosić tego, co się sprzeciwia rybiej logice, przepraszam, omyliłem się znowu!

Anglik odzyskał teraz utraconą równowagę. Zaśmiał się z ironią i pokiwał swą lordowską głową.

— Oddajesz się, profesorze, mrzonkom i śmiesznym przypuszczeniom. Nie licuj one bynajmniej z powagą nauki, której służysz. Otrząśnij się tylko z uprzedzeń, a ujrzysz w nas ucieleśniony ideał Stwórcy! Więszego nie pragnij dla ziemi!

Geolog z kolei obrzucił poważnym spojrzeniem postać Anglika.

— Pycha przemawia przez ciebie, milordzie, ta sama, która straciła aniołów i stworzyła piekło. Tobie, widzę, imponuje nasza powłoka, wydaje ci się piękna i jedynie godna na mieszkanie dla ducha, ale po stokroć jesteś w błędzie! Tobie się może zdaje, żeś już zerwał wszystkie nici, które cię łączą z otaczającą przyrodą. Ale po stokroć jesteś w błędzie. Wszystkimi jeszcze przykuty do tego poziomego łańcucha...

— Profesorze! Pamiętaj, żeśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże!...

Przedpotopowicz uśmiechnął się smutnie.

— Milordzie, i ja w to wierzę, ale podobieństwo Bogu odnoszę do *ducha* naszego, nie zaś do mizernego i brudnego ciała, które jest prochem tylko, bo z prochu powstało, według praw od wieków nakreślonych przez Stwórcę. Muszę ci, lordzie, przypomnieć, że ciałem, to jest połową siebie należymy do prochu ziemi, że wszystkie kości naszego szkieletu zbudowane są według wspólnego z pozostałym światem pierwowzoru...

— To nie dowiedzione!

— Przeciwnie, to nie potrzebuje nawet dowodzenia. Wszystkie zdobycze nauki stwierdzają, że organizm nasz daleki jest od jakiegokolwiek doskonałości lub odrębności w przyrodzie ziemskiej. Że tedy nie dzięki urojonej jakiejś doskonałości, ale raczej pomimo całej małości ciało nasze stało się siedliskiem najwyższych dotąd na ziemi uzdolnień. Przyznasz chyba sam, milordzie, że przez swoje ręce, nogi, oczy, zęby lub włosy nie nabrał człowiek żadnych praw do wielkich przywilejów, które są jego udziałem. Ciało kała nas tylko, a nie podnosi. Milordzie, wierzaj mi, że nie potrzebowalibyśmy walczyć z ciałem, gdyby ono harmonizowało, jak należy, z wyższym pierwiastkiem. A my walczymy przecież! i ciężko walczymy! Mnie się zdaje po prostu, że wysokie uzdolnienia rozkwitły w człowieku bez względu na liczbę, kształt i proporcję członków naszego ciała. I to jest już wielkim, cudownym zjawiskiem, ale niech nam nasza dostojność nie przewraca w głowie. Ród ludzki stanowi zapewne ostatnią i najwyższą gałązkę drzewa kręgowców, którego pień wydawał długo same liście, aż wreszcie ozdobił się kwiatem o cudownych własnościach. Skąd jednak pewność, że jesteśmy już najpiękniejszym i najdoskonalszym kwiatem, jaki ziemia zdolna wydać, żeśmy dość idealni na ostateczną koronę ziemi?

Słowom tym zawtórował nagle trzask głuchy i syczenie, a wraz z tym okrzyki, dobywające się z dwojga płuc.

— Co się tam stało? — zawołał Anglik przerywając dysputę — zdaje się, że jakieś nieszczęście.

VI.

GORĄCA PRZEPRAWA

Oj, nieszczęście! nieszczęście — wołał rozpaczliwie Stanisław nadbiegając z syczącym przedmiotem, który oburącz niósł przed sobą.

— Co się stało? mów prędko! — zawołali pogodzeni nagle przeciwnicy.

— A to woda sodowa się leje! — krzyczał sługa i podał butelkę, z której uchodziła piana i obfitą strugą spływała po kamieniach.

— Stłukłeś niezgrabiaszu! Dawajże prędejsze, niech się choć cokolwiek uratuje.

To mówiąc podał profesor pośpiesznie pękniętą butelkę Anglikowi, który sprawdził, że wody było jeszcze ze dwie szklaneczki.

— To samo tak strzela! — biadał Stanisław. — Już druga poszła na nic. W tym piekielnym gorącu nic nam nie zostanie!

Snadź w złą godzinę wymówił fatalne proroctwo, bo znowu dał się słyszeć trzask i ostatnia butelka sprawiła suty prysznic plecom Basanisa.

— Dawać ją tu! — krzyknął Anglik i z zadziwiającą przytomnością umysłu wydobył płaską szklanę podróżną.

Niebawem jedyna szklaneczka uratowana z całej butelki odświeżyła zaschłe gardła przyjaciół. Wypróżniono następnie uratowane pół butelki i po tym niemiłym intermezzo siły i animusz przeciwników nie tylko nie osłabły, ale wzmożyły się nawet. Pierwszy Anglik powrócił do przerwanej dysputy.

— Twierdziłeś, że nasza cielesna doskonałość jest złudzeniem. Ciekaw jestem, o jakim ty ideale marzysz dla ziemi?

Czyż ci nie dosyć cudów, które w człowieku się urzeczywistniły?

— Ziemskiego ideału nikt przewidzieć nie zdoła!

— Profeszorze! wspomnij na skarby ducha, na skarby piękna i dobra, obficie rozlane w naszym rodzie...

Przedpotopowicz gorzko się uśmiechnął.

— Jeżeli kładziesz na szalę brylanty natury ludzkiej i olśniewasz się ich blaskiem, to pozwól mi rzucić na drugą nie zrównane podłogi, okrucieństwa i niskie instynkty, w których nasz ród prześcignął stanowczo wszystkie, ale to wszystkie zwierzęta, a wtedy zobaczysz, jak mało w nas lepszego pierwiastku, jak mało jeszcze ducha, a jak za to wiele zmysłowego zwierzęcia, doprowadzonego częstokroć do potęgi! Dziewięć dziesiątych ludzi zużywa dotąd swe ludzkie uzdolnienia na zadawalnianie głównie najniższych popędów. Wspaniałe zaiste korony stworzenia!



Dawajże prędzej

— Niepoprawnym jesteś pesymistą! — syknął Anglik. — Z bólem muszę przyznać, że masz trochę słuszności. Ale przecież ród nasz wiecznie nikczemny nie zostanie! Zadatki dobra, które w sobie nosi, rozrosną się niebawem i przygłuszą chwasty. Człowiek wtedy ze zgrozą spojrzy na dawną nędzę i stanie się istotą na wskroś szlachetną i uwielbienia godną.

— Sam przyznałeś, lordzie, że człowiek musi dopiero odmienić się i *udoskonalić*, jeśli ma stanąć na wyżynach, które już przeczuwamy. Otóż posłuchaj mię, dumny królu ziemi. Jeśli, mimo całą niskość naszą, przeczuwamy świat lepszy i tęsknimy doń — już on nie może być mrzonką, ale musi być piękny, wielki i wprost niedocieczony dla słabego umysłu naszego.

— Moim zdaniem przetwarzanie zupełnie jest niepotrzebne — wyrzekł oschle Puckins. — Patrzysz dopiero na początki ludzkości, profesorze, a śmiesz wyrokować o losach całości. Czyż nie widzisz, jak szybko wznosimy się ku szczytom? Przypomnij sobie *Weddów*, brudnych *Andamańczyków*, bez śladu wstydu i religii, *Buszmenów* i *Australijczyków* jedzących padlinę. Porównaj te biedne kreatury, te serca i mózgi ubogie z sercami i mózgami tych, których czcimy, którym stawiamy pomniki w sercach swoich. Cóż może nastąpić, gdy o jeden szczebel pójdziemy wyżej? Wtedy każdy z ludzi będzie mógł igrzać z trudnościami wyższej matematyki, każdy będzie rozumiał Kanta, Leibniza i Hoene-Wrońskiego. Pytam, do jakich krańców wtedy wnieść się mogą umysły wyższe spośród wyższych? Ogarną one prawdy, utajone przed największymi z naszych myślicieli, prawdy jasne jak słońce, których się dziś ludzkość nie domyśla!... I to wszystko może się obejść bez radykalnych zmian w organizmie ludzkim, podobnie jak się dotąd obywało.

— Znów widzę, że mnie fałszywie pojmujesz — przerwał mu Przedpotopowicz. — Ja jeszcze wyżej, a raczej dalej patrzę. I ja wierzę, że tkwi w nas pierwiastek, który stawia nas nie-słuchanie wyżej ponad zwierzęta. I ja wierzę, że ludzkość nie stanęła jeszcze u mety, wierzę, iż dojdzie jeszcze do udoskonalenia, o jakim dziś pojęcia mieć nie możemy. I ja nie śmiałbym zakreślać mety dla naszego postępu oraz korzę się wobec wielkiej zagadki naszej przyszłości. I ja nie zaprzeczam możliwości

względego w naszym rodzie tryumfu dobra i piękna, ale pewny jestem, że istnieje granica, poza którą nie przejdziemy. Że zaś z drugiej strony wierzę w możebność jeszcze wyższych ideałów i uzdolnień, przypuszczam przeto, że możemy być tylko *szczeblem* w drabinie kreacyj ziemskich. Nasza pozioma organizacja, powtarzam to jeszcze raz, nie puści nas zbyt wysoko... Daje nam ona przedsmak nieba, ale nas trzyma w prochu. Pozwala oglądać przez dziurkę od klucza daleki horyzont, ale wstąpić nań nie pozwala, i prędzej pod naciskiem potężniejszego ducha ciało nasze ulegnie zdruzgotaniu, na podobieństwo kajdan, aniżeli wzniesienie się do wyższych, a zupełnie jednak możliwych warunków bytu. Zbyt ono jest poziome i materialne, aby służyć mogło za godne mieszkanie wyższemu duchowi.

— Bawisz się w metafizykę, panie marzycielu. I ja jej nie odrzucam, ale zachodzisz, moim zdaniem, za daleko... I ja zgadzam się, profesorze, na możliwość jakichś wyższych, doskonalszych istot, ale domyślam się ich we Wszechświecie, gdzieś... w Eterach! Na ziemi, daruj, ale nie umiem sobie wystawić nic godniejszego nad terażniejszego człowieka...

— To nie dowód! I ryby dewońskie nie wyobrażały sobie nic doskonalszego od siebie, a przecież jest na ziemi *człowiek*.

— Daliby już panowie spokój sprzeczce! — przerwał nagle Stanisław. — Czas leci, a kto wie, jak jeszcze daleko do dna szczeliny. Musimy się śpieszyć.

Trzeźwe te słowa sprowadziły rozbujałe umysły przeciwników na ziemię i do rzeczywistości.

VII.

PÓŁ MILI W GŁĄB ZIEMI, WIĘCEJ NIE MOGĘ !

Ruszono znowu. Każdy dokazywał cudów odwagi. Z nieustraszonością alpejskich turystów pokonywano przeszkody i nie opatrzone się aż znowu nad głęboką przepaścią. Aby do jej dna dosięgnąć, trzeba było pozwiązywać linki i umocować z należytą rozważą. Podczas gdy geolog kierował robotami lord Puckins gwizdał urywek jakiejś opery i spacerował po pochyłym i nierównym dnie. Rzucił wreszcie niedopalone cygaro i jął się chłodzić ukradkiem.

— Ile mamy stopni gorąca? — zapytał po chwili.

— Czterdzieści — odparł profesor — czyli 1150 metrów głębokości. Nie uwierzysz, lordzie, jaką mnie to napęlnia radością.

— Czterdzieści stopni ciepła napęlnia nas radością! — zauważył filuternie sługa. — O takich powodach, jak żyję, nie słyszałem.

— Ależ nie! Ciepło, trzeba ci wiedzieć, jest teraz moim największym wrogiem, cieszy mię zaś wspaniała głębokość, do jakiej dosięgliśmy! Czuję, że dojdziemy do głębin, w jakich nie tylko człowiek nigdy nie postał, ale do których narzędziami nawet górniczymi nie dosięgnął¹⁾!

— Ma pan zupełną słuszność nazywając ciepło swoim wrogiem, ale dlaczego pan zapomina o mnie i o milordzie? Od godziny czuję, że gorąco jest i moim wrogiem. Ledwo się nie roztopię!

Na te słowa Anglik skrzywił się pogardliwie.

— To mi wytrzymałość, to racja do dumy! — zawołał, pomimo że pracował płucami niby miechem kowalskim. — Gdybyś, profesorze, dostał się do środka ziemi — ha! to miałbyś z czego czuć się dumny, ale twoje 1150 metrów znaczy wobec rozmiarów globu dziesięć razy mniej, aniżeli ukłucie smoczkiem komara powierzchni największej dyni.

— Prawda! ale mimo to szczęśliwy się czuć będę, jeśli uda się nam opuścić choć o paręset metrów jeszcze głębiej. Pojmujesz, że to może sprawić człowiekowi niejaką satysfakcję. Choć górnicy pokłuli skorupę ziemską niby rzeszoto, człowiek nie dostał się głębiej niż 2300 metrów²⁾. Powodem tego były nie tylko techniczne przeszkody, jakie należy zwalczać przy kopaniu głębokich szybów, ale głównie temperatura. O ile wiem, nigdzie jeszcze nie napotkano w podobnych głębokościach tak chłodnego punktu, jak nasz.

— Tak chłodnego! — krzyknął z rozpaczą Stanisław. — A cóż pan nazwie „ciepłym“ powietrzem?

— Zwykle ciepło wzmaga się w kopalniach daleko szybciej — odezwał się geolog nie zwracając uwagi na słowa sługi. — W jednym z najgłębszych angielskich szybów, który mierzy tylko 745 metrów, ciepło na dnie dochodzi już do $34\frac{1}{2}^{\circ}$ C. W stanie Nevada istnieje jedna z najbogatszych kopalni złota

¹⁾ Najgłębszy otwór świdrowy znajduje się w stanie Texas w Ameryce Północnej. Osiągnął on głębokość 3900 m i był wykonany w celu poszukiwań naftowych w roku 1936. Najgłębszy otwór świdrowy w Polsce mierzy 2274 m głęb. i wykonany został w Orowie koło Borysławia.

²⁾ Jest to kopalnia złota w Afryce Południowej w okolicach miasta Johannesburga.

i srebra. Pomimo jednak bajecznych skarbów, jakie zawiera, pozostanie ona w większej swej części nietknięta, albowiem gorąco uniemożliwia dostęp.

Robotnicy pracują tam miejscami w temperaturze 47° C., ale nie wolno im dłużej nad 10 minut przesiadywać i mimo tych ostrożności śmiertelność wśród nich jest przerażająca.

Niewielką można zatem żywić nadzieję, żeby przy najbardziej sprzyjających warunkach człowiek mógł się dostać zbyt głęboko w skorupę ziemską.

— Bardzo przepraszam, ale pozwolę sobie w tym względzie wnieść małą poprawkę — wygłosił z uśmiechem lord Puckins. — Czytałem w pewnej zajmującej książce, że niejaki profesor Lidenbrock w roku 1863 doszedł do głębokości 35 mil pod ziemią¹⁾.

— Niepodobieństwo, chwalił się tylko! — zaprotestował żywo profesor. — Choćby nawet istniał podobnie głęboki kanał wulkaniczny, co zresztą jest zupełnie niemożliwe, to jeszcze nie tylko żaden profesor, ale nawet salamandra²⁾ z baśni nie wytrzymałaby gorąca, jakie panuje na tej głębokości.

— Skądże to wiadomo, proszę pana, skoro, jak pan powiada, nikt nie dosięgnął tej głębokości? — zapytał Stanisław.

— Tego dowodzi stały przyrost ciepła. Niechby temperatura podnosiła się o jeden stopień, nie co 33 metry, ale choćby tylko co 80 metrów, to i wtedy na głębokości 35 mil panowałoby gorąco 3 tysięcy stopni.

— Widzisz więc, że prof. Lidenbrock chwalił się tylko; bo choćby komórki i włókna jego ciała były z platyny, stopiłyby się niezawodnie już na głębokości 20 mil.

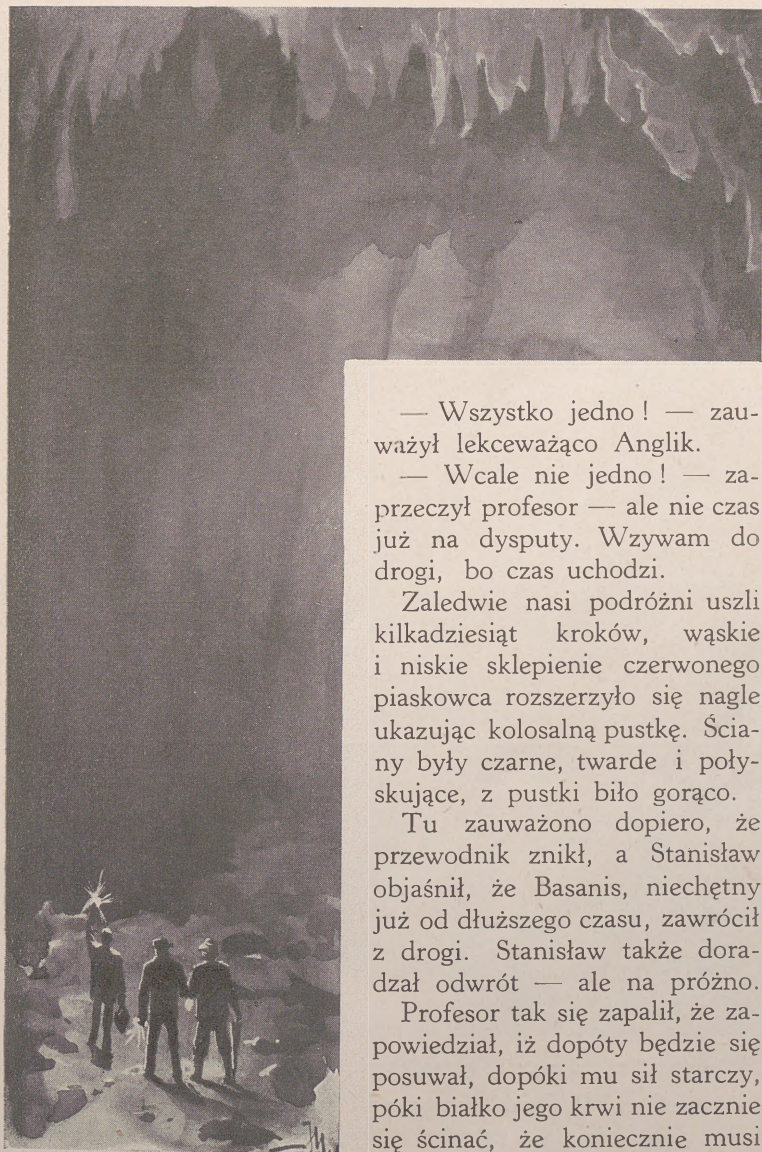
— A zatem, skoro nie jesteśmy zbudowani ani z platyny, ani z granitu, tedy będziemy musieli wkrótce przerwać naszą wspaniałą wycieczkę — zauważył lord Puckins. — Moje hrabstwo dewońskie leży tu, jak widzę, w zbyt gorącym klimacie.

— Jesteśmy już od dawna przy skałach pięt *sylurskiego*³⁾ — poprawił geolog.

¹⁾ Aluzja do znanej powieści Juliusza Verne'a, pt.: „Podróż do środka ziemi”.

²⁾ Według baśni ludowych.

³⁾ Patrz odnośnik na str. 79.



— Wszystko jedno ! — zauważył lekceważąco Anglik.

— Wcale nie jedno ! — zaprzeczył profesor — ale nie czas już na dysputy. Wzywam do drogi, bo czas uchodzi.

Zaledwie nasi podróżni uszli kilkadziesiąt kroków, wąskie i niskie sklepienie czerwonego piaskowca rozszerzyło się nagle ukazując kolosalną pustkę. Ściany były czarne, twarde i połyskujące, z pustki biło gorąco.

Tu zauważono dopiero, że przewodnik znikł, a Stanisław objaśnił, że Basanis, niechętny już od dłuższego czasu, zawrócił z drogi. Stanisław także doradzał odwrót — ale na próżno.

Profesor tak się zapalił, że zapowiedział, iż dopóty będzie się posuwał, dopóki mu sił starczy, póki białko jego krwi nie zacznie się ścinać, że koniecznie musi

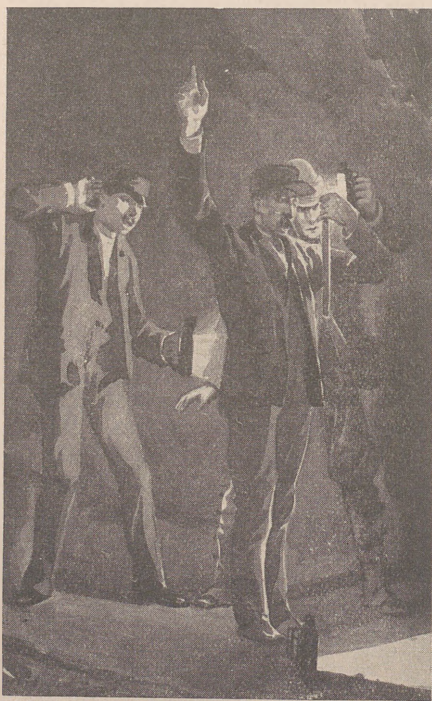
Sklepienie rozszerzyło się ukazując kolosalną pustkę

minąć kambryjskie ¹⁾ pokłady, jeśli tu są dochowane, i dostać się do skał jeszcze głębiej.

Jakoż wyprzedził towarzyszków i zniknął w ciemnej czeluści, a za nim, rad nierad, podążył Stanisław. Anglik „all right!” zawołał i zrównał się z przyrodnikiem.

— Zdaje mi się, że otaczają nas ściany antracytu?

— Nie inaczej! — odrzekł geolog. — Jesteśmy w skarbcu górników. Gdyby te niedostępne pokłady leżały nieco wyżej, eksploatacja ich przyniosłaby miliony, tutaj zaś znaczą one tyle, co piaskowiec lub granit.



Po chwili czarna czeluść zaczęła zmieniać barwę i podróżni wstąpili w obszerną jaskinię, której ściany składały się z marglu, dolomitów i zlepieńców. W ścianach iskrzyły się prześliczne kryształy najprzeróżniejszych minerałów, które w tej ciszy od tysiącoleci powoli formowały się i rosły.

Nasi podróżni, jak mogli, naznaczali sobie drogę, aby nie zmylić przy powrocie. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i sklepienie z gruntem zaczęło się bardzo stromo opuszczać ukazując nowe głębiny. Znikły błyszczące krystaliczne ściany, szare tło zajęło ich miejsce.

Tysiąc czterysta metrów głębokości!

Profesor obejrzał termometr i poczynił pomiary. 1400 metrów głębokości! — zawołał z tryumfem. — Jesteśmy głębiej

¹⁾ Patrz odnośnik na str. 79.

aniżeli ktokolwiek z ludzi. Naprzód! naprzód! póki można! Taka okazja do naukowych spostrzeżeń drugi raz już się może nie zdarzyć!

— Panie profesorze — odezwał się prawie z płaczem Stanisław — błagam, wracajmy! Mam jakieś złe przeczucia...

— To źle, odrzuć je!

— Panie profesorze, jestem niemal pewny, że szczęście nas nie opuści aż do końca.

— Więc doskonale, czegoż chcesz więcej?

— Lękam się właśnie, że jak nam tak doskonale pójdzie, to wpadniemy wreszcie w ognisto-płynne skały... i potopimy się jak muchy w smole.

— Pleciesz i tyle! Choćby tylko jeden stopień ciepła przybywał co 33 metry, to mógłbyś się utopić w roztopionych skałach dopiero doszedłszy do głębokości 9 mil.

— A myśmy zrobili ćwierć mili dopiero! — dorzucił Anglik.

Stanisław odetchnąwszy odezwał się:

— Skoro pan utrzymuje, że to nie grozi utopieniem, gotów jestem teraz pójść z panami jeszcze nawet z pół milki w głąb ziemi, ale więcej nie mogę...

— Wierzę ci, dosyć pół milki, abyś się usmażył na skwarek.

— Ślicznie dziękuję! To jużbym wolał przespacerować się z 10 mil w głąb nieznanych okolic ziemi i dopiero utopić się tam w lawie — zaprotestował sługa. — Wiedziałbym przynajmniej, że niezwykle ginę.

— Rzecz gustu — mruknął Anglik. — Ale wracając do rozpuszczonej lawy ośmieliłbym się zrobić małą poprawkę. Powątpiewam mianowicie, czy można by się w tej głębokości utopić. Skoro kilka tysięcy stopni ciepła wystarcza do utrzymania wszystkich pierwiastków w stanie gazowym — zdaje mi się, że wewnątrz ziemi nie może być płynne, lecz składa się z gazów. Więc Stanisław nie utonąłby, ale powinienby się zamienić w obłoczek gazu niezmiernie rozrzedzonego.

Jeżeli przyjąć stwierdzony doświadczalnie przyrost temperatury w głąb ziemi, to w jej jądrze powinna panować temperatura wynosząca kilkadziesiąt tysięcy stopni Celsjusza, to znaczy że jądro naszej planety wypełnioneby było gazem, jak to niektórzy sobie wyobrażają. Ja jednak sądzę, że tak nie jest.

— Jak to? — zawołał Anglik — jeśli wszystkie zasady nauki dowodzą, że materia dąży do coraz większego rozrzedzenia we wzrastającej temperaturze, czyż może być, aby wobec strasznego gorąca nie wypełniał ziemi rozrzedzony gaz? Na czym się opierasz?

— Na ścisłym obrachunku. Jeśliby wewnątrz ziemi wypełniał gaz, wtedy nasza planeta nie posiadałaby ani milionowej części tej wagi, jaką stwierdzają obrachowania. A tymczasem waga ziemi, porównana z jej objętością, daje nam niespodzianie wyższą cyfrę, aniżeli nawet można by przypuszczać sądząc po gatunkowym ciężarze skał tworzących skorupę ziemską. Gatunkowy jej ciężar równa się 5,52, czyli średnio glob ziemski ma ciężar pięć i pół raza wyższy od wody, a dwa razy większy od skał, z których składają się znane nam warstwy skorupy. W głębi tedy ziemskiego globu materia musi być znacznie cięższa gatunkowo od skorupy.

— Jakże więc pogodzić znaczny ciężar wnętrza ziemi z ogromnym ciepłem, wobec którego wszystkie pierwiastki mogłyby się nie tylko zamienić w parę, ale rozłożyć nawet na atomy? Gubicie się panowie w sprzecznościach!

— Zapomniałeś lordzie o sile, która skupiła atomy, która skupiając rozgrzała je do wysokiej temperatury, zapomniałeś o sile ciężenia. Ona to sprawiła, że atomy ulegając potężnemu przyciąganiu dośrodkowemu rozgrzewały się tym silniej, im gęściej musiały się skupiać. Że nie skorupa utrzymuje w karbach wewnętrzne gazy, łatwo zrozumieć stąd, że rozpękała się ona nieraz na znacznych przestrzeniach bez groźnych następstw dla całości globu. Jest inna potęga unicestwiająca prężność rozpalonego wnętrza ziemi. Siła ciężenia wzrasta wraz z głębokością. Im bliżej do środka ziemi, tym cząsteczki materii większą warstwę innych na sobie dźwigają. Jądro ziemi znajduje się pod ciśnieniem zupełniej przechodzącym nasze pojęcie.

Ciśnienie owo równoważy najzupełniej tę niezmierną prężność materii, jaką jej udziela wysoka temperatura wewnętrzna naszej planety i tym sposobem jądro ziemskie może być w stanie plastycznym ¹⁾).

I znowu trójka nasza z trudem poczęła się opuszczać w głębinę. Nagle stało się coś okropnego.

¹⁾ Sprawa wnętrza ziemi oraz jego temperatury przedstawia się według dzisiejszych poglądów w sposób następujący. Ziemia składa się z szeregu sfer współśrodkowych; różniących się w pewnych granicach zarówno pod względem składu chemicznego, jak i temperatury. Są to:

1. sfera zewnętrzna, czyli skorupa ziemska zbudowana ze skał zawierających znaczny stopień krzemionki i aluminium. Grubość jej wynosi około 75 km.

2. sfera tak zw. „płaszcz ziemskiego“, sięgająca do głębokości 1 200 km. Zawartość krzemionki i aluminium maleje w niej bardzo, a następuje wzrost żelaza i magnezu.

3. sfera „przejściowa“, sięgająca do głębokości 2 900 km, obfitująca w ciężkie metale.

4. jądro ziemi o promieniu 3 470 km, zbudowane przede wszystkim z żelaza.

Co się tyczy temperatury wnętrza ziemi, to pomiary wykazały, że wzrost jej odbywa się tylko do pewnej głębokości, a następnie temperatura spada i utrzymuje się aż do środka ziemi na jednym poziomie wynoszącym około 8 000°.

Widzimy zatem, że nie jądro ziemi jest jego rezerwuarem ciepła, lecz pewna strefa o maksymalnym wzroście temperatury. Strefa ta jest ściśle związana z występowaniem radu i jego właściwościami, a mianowicie wydzielania ciepła przy rozkładzie na drodze promieniotwórczej. Ponieważ rad występuje tylko w towarzystwie skał zawierających krzemionkę, wobec tego maksymalna temperatura wnętrza ziemi przypada gdzieś w obrębie sfer zawierających skały bogate w krzemionkę.

Skały w stanie płynnym pod skorupą ziemską występują tylko gniazdowo, przeważnie jednak cały podkład skorupy tworzą skały w stanie plastycznym.

VIII.

PRZECIĘTY ODWRÓT

Przewlekły huk niby echo dalekiego grzmotu rozległ się nad głowami śmiałków. Przycichał, to znowu się wzmaczał i здаwał przybliżyć. Po upływie minuty zaległa cisza. Zrozumiano, że musiało nastąpić oberwanie się jakiejś kruchej skały w górze. Wrażenie było potężne. Żaden z podróżnych nie poruszył się. Z zapartym oddechem słuchali złowrogiego grzmotu w tej samej pozycji, w jakiej ich zaskoczył.

Pierwszy przemówił geolog:

— Lękam się, czy nie jesteśmy odcięci od świata.

— Jestem tego pewny! — rzekł krótko Anglik.

Stanisław zwrócił przerażony wzrok na geologa.

— Trzeba się przekonać o rozmiarach nieszczęścia!

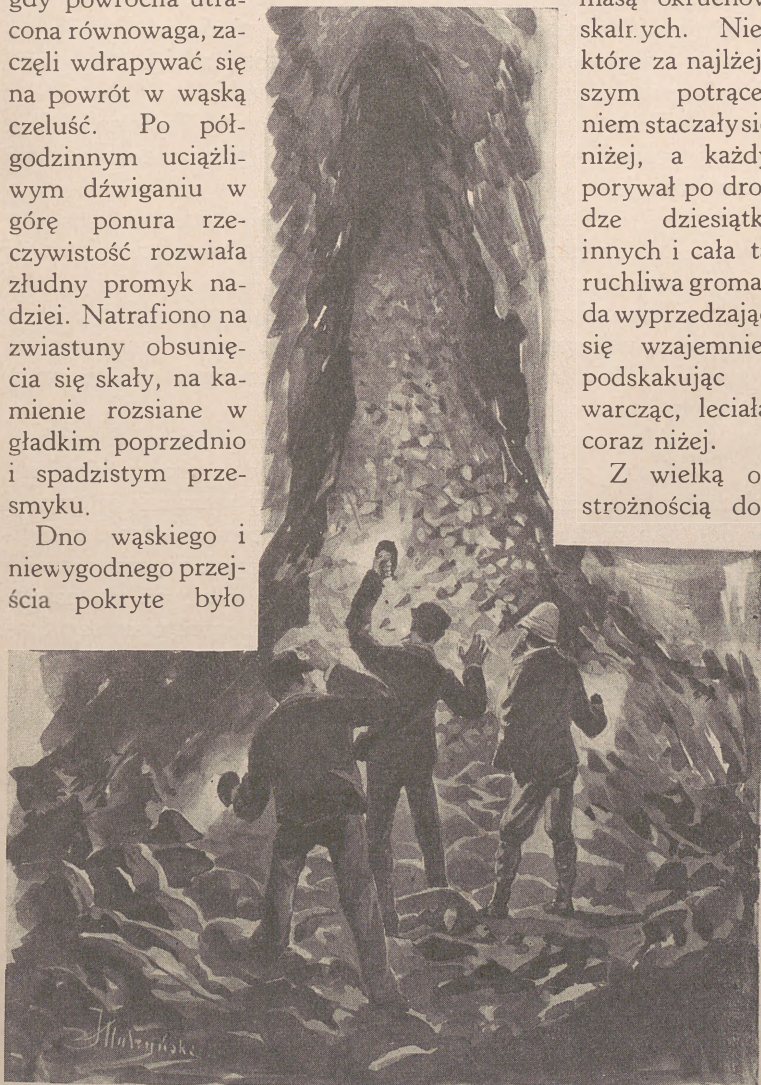
— Nic pilnego! — zawyrokował Puckins. — Jeśli przejście zostało uczciwie zasypane, mamy dość czasu do śmierci, gdy nie zostało zniszczone, zdążymy jeszcze do domu.

Całkiem słuszne to było rozumowanie, o ile chodziło o minuty, toteż obaj towarzysze przeczekali długą chwilę. Dopiero gdy powróciła utracona równowaga, zaczęli wdrapywać się na powrót w wąską czeluść. Po półgodzinnym uciążliwym dźwiganiu w górę ponura rzeczywistość rozwiąła złudny promyk nadziei. Natrafiono na zwiastuny obsunięcia się skały, na kamienie rozsiane w gładkim poprzeczku i spadzistym przesmyku.

Dno wąskiego i niewygodnego przejścia pokryte było

masą okruchów skał. ych. Niektóre za najlżejszym potrąceniem staczały się niżej, a każdy porywał po drodze dziesiątki innych i cała ta ruchliwa gromada wyprzedzając się wzajemnie, podskakując i warcząc, leciała coraz niżej.

Z wielką ostrożnością do-



Przejście było zatkane przez obsunięte rumowisko

tarli nasi awanturnicy do miejsca, w którym warstwa gruzów sięgała aż do sklepienia niskiej w tym punkcie szczeliny. Przejście było zatkanie przez obsunięte rumowisko skalne. Po uważnym obejrzeniu miejsca katastrofy profesor Przedpotopowicz zawyrokował, że najsłabszej nie ma nadziei, aby przeдрzeć się przez usypisko i wydobyć się z pułapki.

— Zbyt czarno patrzysz — zauważył lord Puckins. — Nie mamy wprawdzie narzędzi, ale pozostali w górze nie dadzą nam przecież zginąć.

— A jeśli nic nie słyszeli? — zapytał Stanisław.

— To pomimo tego wkrótce zauważą naszą nieobecność i będą nas poszukiwać.

— Nie łudźmy się! — odrzekł z rezygnacją geolog. — Za pierwszym usiłowaniem górników kamienie na nas runą, zgniotą i zasypią. Zginęliśmy — zakończył, a ponurym echem przywótrzyły mu ściany.

— Ale przecie musimy coś czynić — przerwał Stanisław.

— Co najwyżej wypadnie nam cierpliwie czekać niżej w bezpiecznym miejscu — rzekł geolog i pierwszy zaczął się opuszczać w dół. Za nim poszli towarzysze. Po pewnym czasie zatrzymano się na wygodniejszym i bezpiecznym miejscu; tam czekali godzin kilka w śmiertelnej ciszy, nie śmiąc odezwać się nawet. Czekali aż do znużenia. Ogólną ciszę przerwał pierwszy Stanisław:

— Ja, proszę pana, nie myślę z założonymi rękami skazywać się na śmierć! Możeby spróbować ostrożnie przekopać zapórę?

— To na nic! nie damy rady...

— Stanisław ma słuszność — wycedził Anglik. — Czekanie byłoby zbyt nudne, trzeba pomyśleć o ratunku.

— Szukajmy chyba innego przejścia.

Zgodzono się na to i żywcem zagrzebani spuścili się jeszcze niżej. Posuwali się niebezpiecznym korytarzem w milczeniu, lecz końca szczeliny nie było; nigdzie bocznego przejścia, które by dać mogło choć iskrę nadziei. Nikt nie spoglądał na zegarek, stracono też zupełnie rachubę godzin. W tym marszu Przedpotopowicz spostrzegł, że światła nie starczy na długo.

— Zgaś lordzie lampę — odezwał się zadmuchując swoją — Dość nam na teraz jednej, oleju mamy niewiele.

Rozkaz został spełniony i przy jednym bladym płomyku trójka tułała się w podziemiach póty, póki sił starczyło. Dopiero, gdy profesor usiadł bezwładnie na twardej i gładkiej skale, towarzysze niemniej od niego wyczerpani przerwali bezużyteczną wędrówkę. Kilka godzin bezowocnego błądzenia odjęło wszystkim pewność siebie i zimną krew, okazane na razie. W ponurym nastroju, z uczuciem dotkliwego pragnienia wstał pierwszy geolog z twardego łoża i nagiął do nowych wysiłków. Stanisław był już zupełnie przygnębiony. Jeden Puckins usiłował okazać obojętność i pogwizdywał nawet czasami.

— Jestem spokojny o los nasz — mówił tonem przekonania. — Nie wątpię, że wasze zuchy rychło dostrzegą długą naszą nieobecność, przekopią rumowisko i uwolnią nas z pułapki. Szkoda tylko, że nie mamy wina. Z rozkoszą wychyliłbym szklankę, choćby wody!

Słowa te zabrzmiały niby „memento mori“. Nikt nie odrzekł słowa. Upłynęło znów parę godzin. Wypaliła się lampka Stanisława i rozniecono światło w lampce profesora. Znowu uciążliwy marsz, to na dół, to pod górę. Coraz częściej podróżni ocierali czoła okrwawionymi rękami, coraz częściej ze spieczonych i drżących warg wyrwały się westchnienia.

— Pół życia dałbym za odrobinę wody! — szepnął przez zaciśnięte zęby Anglik.

— Mnie wkrótce pozostawicie panowie tutaj — odezwał się stłumionym głosem Stanisław.

Profesor tymczasem, ożywiony gorączkową energią, badał przy bladym promyku dogasającej lampki naturę pokładu i temperaturę.

— Wkrótce skończą się nasze utrapienia. Podusimy się w gorącu 47 stopni — zawyrokował ponurym głosem.

— Daj Boże, aby to prędko nastąpiło! — westchnął Stanisław. — Nie mam już sił!

— Ja ledwie się na nogach trzymam — rzekł geolog. Tymczasem zgasła i druga lampka. Lord zapalił swoją, ale musiał ją zdmuchnąć.

— Zostawmy to na nieprzewidzianą potrzebę — zawyrokował geolog. — Teraz możemy już odpoczywać.



Ułożyli się jeden obok drugiego, pół drzemiąc, pół czuwając, nie licząc wolno upływających godzin. Czuli dobrze, że czekała ich najokropniejsza śmierć, która zwycięża bez walki. Cierpienia gromadki wzmagły się z każdą godziną. Gnębiło ich straszne pragnienie. Nie zaspokojone to uczucie jest męczarnią zawsze, lecz w dusznej atmosferze pod równikowej staje się męczarnią najokropniejszą.

Z ogniem pożerającym wnętrzości lizał geolog wyschłym językiem ściany swego wię-

zienia. Lord Puckins, wśród doskonałej ciszy, słuchał, azali nie zaszemrze w pobliżu podziemny strumyk. Kropla wody wydawała się teraz zbawieniem, pomimo że byłaby tylko przedłużeniem męczarni.

Jakże zmienna jest natura ludzka! Onegdaj, a nawet wczoraj, mężnie i obojętnie pa-



... bez tchu czepiali się szorstkich ścian...

trzyli śmierci w oczy, teraz, brakiem sił i ciemnościami przykuci do miejsca — gorąco pragnęli żyć.

— Idźmy w górę! — zawołał nagle Anglik — ten upał zabije nas niezadługo.

— Wszystko już jedno! — odrzekł geolog i zapalił drżącymi rękami ostatnią latarkę.

Powlekli się znowu oświeceni mdłym i żółtym światłem, które niedługo miało zagasnąć. I stała się rzecz dziwna.

Ujrzeni przed sobą dwie drogi. Jedna prowadziła na dół, druga, połyskująca od różnobarwnych krystalicznych minerałów, nieco w górę. Nadzieja wstąpiła nagle w zobojętniałe piersi. Nie wiadomo skąd przybyło sił wędrowcom! Poczuli się wdzierać w górną szerszą szczelinę. Z gorączkowym pośpiechem wstępowali po łagodnie pochyłej, chropowatej drodze. Nie odpoczywają ani chwili, bez tchu czepiali się szorstkich ścian drżącymi palcami, bo wiedzieli, że śpieszyć się trzeba, że wraz z wypaleniem lampy nastąpić musi kres wędrówki do światła, do powietrza, do życia...

Niestety, olej dopalał się. Przy nierównych blaskach konającej lampy geolog zdążył tylko stwierdzić, że znajdują się wśród zupełnie nieznanymi utworów osadowych. Westchnął ciężko.

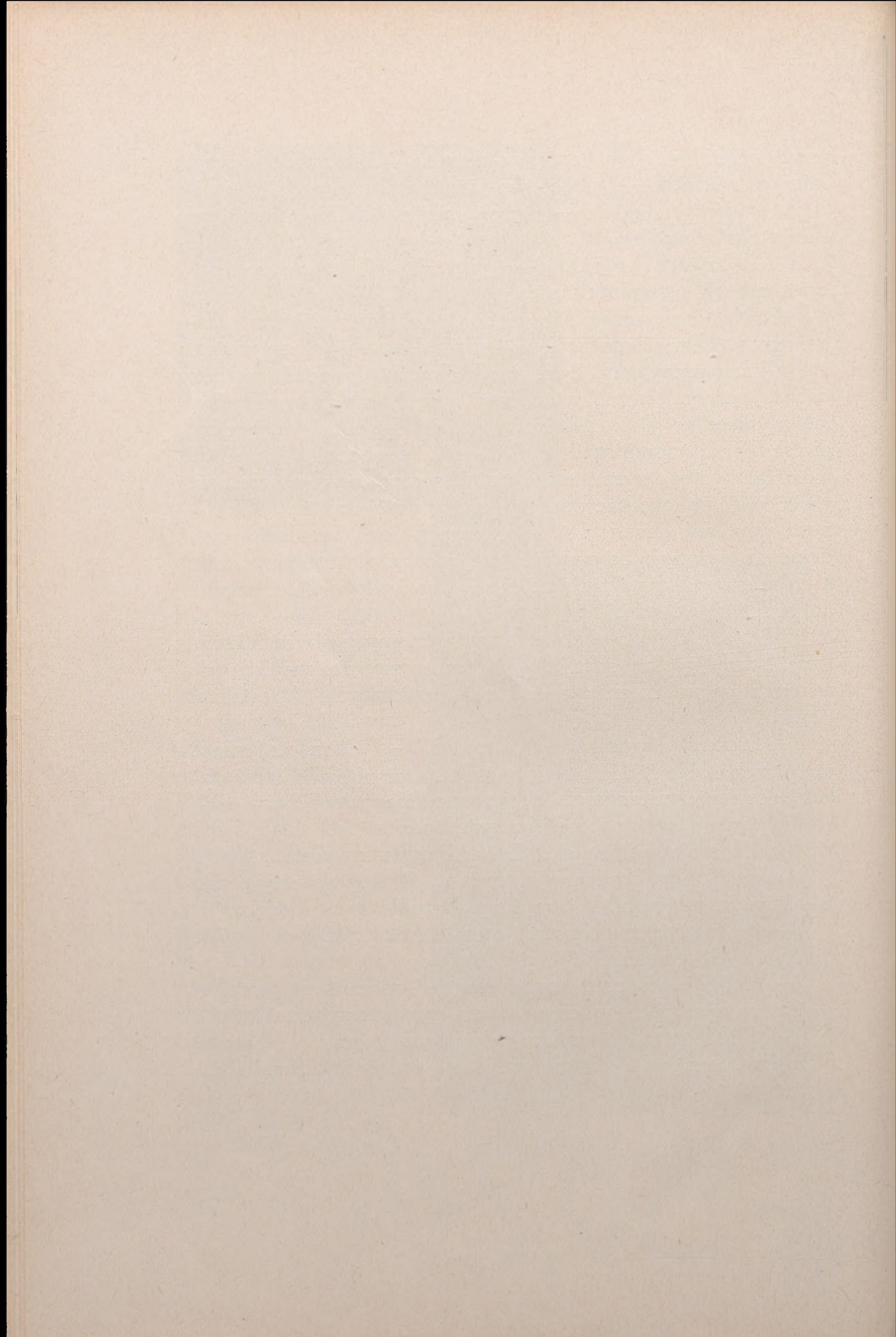
— Ponury tryumf! — pomyślał. — Chciałem minąć skały archaiczne składające się z gnejsów, granitów itd., pragnąłem osiągnąć nieznanymi dotąd zupełnie człowiekowi skały, które znajdują się pod archaicznymi, poznać ich skład, i oto pragnienie moje spełniło się. Zostaniemy tu na wieki...

Minęła długa chwila w milczeniu. Geolog na poły senny z osłabienia zaczął błędzić myślą po^okrainie swej specjalności.

— W uszach mi dzwoni, ogniste koła rysują się na tle ciemności — przemówił Anglik.

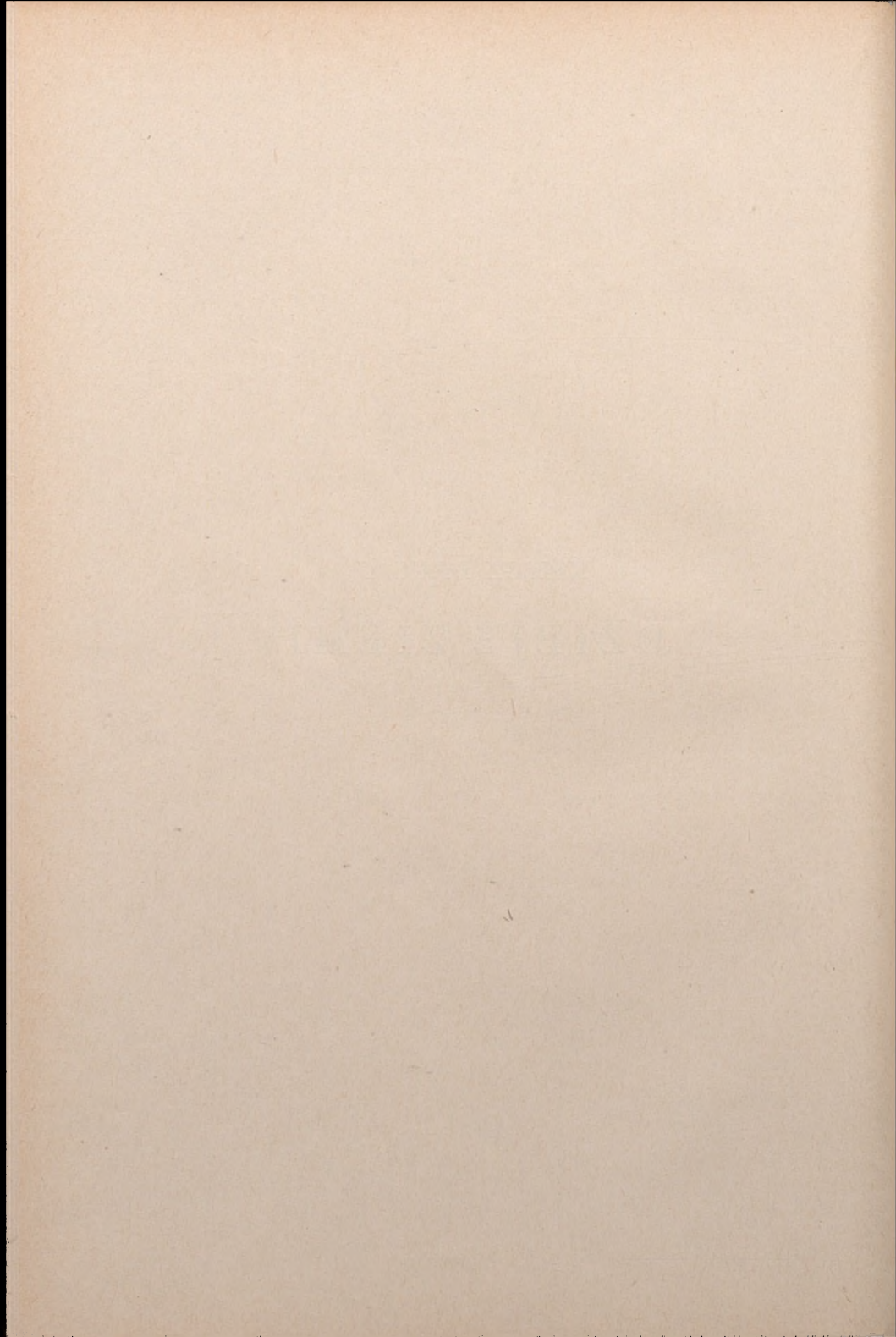
— I ja doświadczałem tego samego — odezwał się profesor. — Żar wysysa z mego ciała resztki wody i zgęszcza krew...

— Długo, panie, będziemy się jeszcze męczyć? — jęknął Stanisław, lecz żadnej na zapytanie nie otrzymał odpowiedzi...



KSIEGA DRUGA

DZIEJE ZIEMI



CZĘŚĆ I.

ŚWIAT ERY PALEOZOICZNEJ ¹⁾.

IX.

OKRES KAMBRYJSKI

MĘCZARNIE PRAGNIENIA. TRYLOBIT OLENUS.

Na próżno byłoby silić się na odgadnienie, jak długo nasi nieszczęśliwi przeleżeli w odrętwieniu.

¹⁾ Dzieje ziemi podzielone są na *ery*, te zaś na mniejsze odcinki czasu, jak *okresy*, *epoki* itd. Podział ten jest przeprowadzony na podstawie stopniowego rozwoju świata organicznego, tak, że poszczególne odcinki czasu dziejów ziemi są scharakteryzowane przez występowanie i rozwój tych lub innych przedstawicieli świata organicznego. Powyższemu podziałowi czasowemu odpowiada podział materialny, gdyż w ciągu każdej ery okresu czy epoki powstała pewna grupa skał zawierająca często szczątki zwierząt lub roślin, które żyły w czasie tworzenia się tych skał. Zatem erze odpowiada — grupa, okresowi — system, epoce — piętro. Mówimy więc era paleozoiczna i grupa paleozoiczna, okres kambryjski i system kambryjski.

Era paleozoiczna (z greckiego *palaios* — stary i *zoon* — zwierzę), czyli era starego świata zwierzęcego dzieli się na okresy:

1. *kambryjski* od Cambrii, nazwy starożytnej dzisiejszej Walii;
2. *sylurski* od Sylurów, plemienia celtyckiego Walii;
3. *dewoński* od Devonshire, hrabstwa w Anglii;
4. *węglowy* od pokładów węgla kamiennego, powstałego w tym okresie na wielkiej przestrzeni Europy i Ameryki Północnej;
5. *permski* od nazwy dawnego królestwa Permia (obszar dawnej gubernii permskiej w Rosji).

Nazwy okresów: kambryjski, sylurski, dewoński i permski są zatem związane z pewnymi obszarami, gdzie po raz pierwszy zbadano skały i faunę kopalną powstałą w czasie trwania tych okresów.

Pierwszy ocknął się lord Puckins i długa chwila upłynęła, zanim przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Nie obchodziło go to zresztą wiele. Nie czułby nawet, że żyje, gdyby nie cierpienia, które opanowały organizm z większą niż przedtem siłą.

Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, nawoływał osłabłym głosem, ale nikt nie odpowiedział. Gdy wróciła przytomność, a z nią obawa śmierci, postanowił, pełznąc na czworakach, odszukać towarzyszy.

Przyczajone pragnienie zbudziło się z podwójną siłą.

Nigdzie śladu towarzyszków. Zapewne opuścili go, a może już nie żyją... W takim razie na mnie kolej — pomyślał i pograżył się w leniwo płynących myślach.

Wreszcie zgnębiony opuścił głowę, kolana ugięły się pod nim, osunął się bezwładny na ziemię.

.

W tym samym czasie w innej części podziemi oddalone uderzenia oskardów zbudziły z odrętwienia profesora. Serce zakolało mu w piersi. Wsłuchany w zbawczy zgrzyt oskardów, brzmiały milej niż najrozkoszniejsza muzyka, czołgał się po omacku w głąb pieczary, w kierunku usłyszanych dźwięków. I niespodzianie na zakręcie ujrzał przy żółtym, migotliwym świetle latarek kilka drobnych, ale herkulesowych postaci z siwymi albo z rudymi brodami do kolan. Kuli oni zapamiętane skałę, im zaś dłużej geolog wpatrywał się w ich ruchliwe i energiczne postacie, tym trudniej przychodziło mu policzyć takowe. Z każdą chwilą ich przybywało.

Niebawem zrobiło się tłumno w podziemiu, a łoskot wałających się odłamów ogłuszał literalnie profesora. Gnomy pracowały bez wytchnienia.

Jeden z nich, który przyciągał już od dłuższego czasu uwagę uczonego, przerwał robotę, zwrócił się ku profesorowi i ujął jego rękę.

— Jam duch tych podziemi! Pójdź, zaprowadzę cię do moich pałaców! — odezwał się stanowczym głosem.

Profesor, lubo odważny, uczuł, że mu włosy powstają na głowie.

— Nie lękaj się! — przemówił karzeł — zaufaj mi, a ujrzysz nieznane twemu rodowi cuda. Dla ciebie nie mam już tajemnic...! Ujrzysz świat cały i ród swój, jakim był na początku!

Czoło profesora okryło się zimnym potem.

— Jakieżże szczęśliwej okoliczności zawdzięczam taką łaskę? — zapytał, usiłując przezwyciężyć lęk, który go raptownie ogarnął.

— Śmierci! — odrzekł spokojnie karzeł.

— Śmierci? Wszakże ja jeszcze żyję i nie chcę umierać! — zawołał z wysiłkiem Lech Przedpotopowicz i szarpnął się tak, że wyrwał rękę z dłoni gнома. Wskutek gwałtownego ruchu zatoczył się nagle i uderzył skronią w ostrą krawędź skały.

Pociemniało mu w oczach. Znikły karły, ucichły kilofy. Wśród śmiertelnej ciszy słyszał znowu tylko szmer krwi we własnych żyłach, a serce tłukło się w piersi niby spłoszony ptak w klatce.

— Co za widziadła...! — pomyślał, oblany zimnym potem. — Nie sądziłem, że tak źle ze mną! A może jeszcze przyjdzie ratunek — pomyślał, i opierając się na rękach ruszył nieszczęśliwy naprzód.

Nagle zdało mu się, że nieprzebite mroki straciły na czarności. Zamajaczyła, niby zwiastun światła, zaledwie dostrzegalna szara plama...

Zebrał gasnące siły i zaczął się naprzód. Szary tuman rozszerzył się, ciemność została w tyle. Promień nadziei zakradł się do piersi geologa. Odpoczął, posunął się znowu dalej i poczuł lekki powiew. Jednocześnie zarysowała się na szarocznym tle jaśniejsza plama. Nie było wątpliwości. To nie złudzenie! To światło! Zaćmiło się geologowi w oczach i o mało nie stracił przytomności. Następnie podwoił wysiłki, nawoływał słabym głosem i zbliżał się wytrwale do jasnej plamy. Jeszcze jeden i drugi załom pod kątem prostym i nagle jasność prawie dzienna rozproszyła mroki pieczary. Było więc drugie wyjście z podziemi! Aby tylko sił starczyło! Jednocześnie słuch zaostrzony pochwyił szmer wody, a nozdrza polechtał rozkoszny zapach wilgoci. Teraz profesor, niby pod wpływem prądu elektrycznego, zerwał się na równe nogi i chwiejnym krokiem śpieszył

do światła. Niebawem wynurzył się z tunelu w otwartą przestrzeń, zalaną oślepiającym światłem. Spragniona pierś wchłonęła wilgotny powiew.

Szum gwałtownego deszczu niby słodka muzyka pociągnął go do wyjścia ze skalistej szczeliny. Jeszcze parę minut, długich jak wieczność, i nogi ugrzęzły w piasku, a osłabłe ciało oblały obfite krople prawdziwej wody.

— Ocalony! ocalony! — powtarzał w upojeniu i chciwie połykał spływające po twarzy strugi deszczu.



Ciemno tu, duszno i gorąco... — Gdzie ja jestem?

Nadstawił drżące ręce i pił, pił bez opamiętania. Rozkoszował się obfitością drogiego płynu, a nawet oburzał na niepraktyczność natury, która rozrzutnie szafuje wodę w jednym miejscu, gdy skąpi w tylu innych. Wreszcie odetchnął głęboko i spojrzał dokoła. O ile gęsta zasłona chmur, mgły i deszczu pozwalała rozróżnić przedmioty, to z jednej strony wznosiło się prostopadłe urwisko, a z drugiej wzrok gubił się w bezbrzeżnym zwierciadle wodnym.

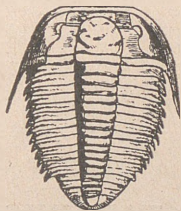
— Ciemno tu, duszno i gorąco... — Gdzie ja jestem? — zapytywał się w duszy geolog i poszedł do brzegu. Drobne

fale muskały żółtą ławę piasków. Zacerpnął ręką wody i skosztował. Słona była. Na próżno siłił się odgadnąć, co to za jezioro. Oddychając ciężko błędził czas jakiś w nadziei, że znajdzie bliższą wskazówkę — ale daremnie. Wybrzeże było rzetelną pustynią. Na próżno upatrywał śladów zamieszkania, choćby przez najmarniejsze istoty. Nie upłynęło nawet godziny, a znowu duszność i niezwykle osłabienie przykuły go do miejsca. Dopiero teraz udało mu się natrafić na gromadę dziwnych stworzeń, nieruchomo skupionych na płytkim piasku, tuż pod samą powierzchnią wody.

Z kształtu przypominały one cokolwiek *stonogi*.

— Trylobity¹⁾! czym ja zmysły postradał? — krzyknął przerażony. — Prawdziwy Olenus kambryjski!

Teraz dopiero zdjął go strach paniczny, przypomniał sobie nieobecnych towarzyszków. Chwycił się oburącz za głowę, a gdy zebrał rozpierchłe myśli, zrozumiał, że trzeba z ratunkiem pośpieszyć i usiłował odnaleźć szczelinę, przez którą wydobył się na światło dzienne. Niestety, deszcz zatarł ślady stóp na piasku i nie mógł trafić do podziemnego tunelu.



Trylobit Olenus

— Do mnie towarzysze! — wołał ochrypłym z wysiłku głosem — ale choć nawoływał z całych płuc, nikt się nie odezwał. Zrozpaczony osunął się na wilgotną ziemię i z wyczerpania zapadł w omdlenie.

¹⁾ Trylobity — najpierwotniejsze raki. Żyły one tylko w erze paleozoicznej. Olenus, Asaphus są to pewne rodzaje tej grupy.

X.

TAJEMNICZE OCALENIE. OKRES SYLURSKI.
TRYLOBIT ASAPHUS

Chwilami zdawało mu się, że się budzi, że widzi przy słabym świetle księżyca pochyloną nad sobą postać Stanisława. Raz zdawało się nawet profesorowi, że zmuszono go do przełknięcia jakiegoś pożywienia, ale nie miał mocy zastanawiać się nad tym, czy to sen, czy jawa.

Z odrętwienia zbudziły go dopiero znajome głosy. Podniósł się i spojrzał dokoła. Pusto było, tylko od strony, skąd głosy go doszły, ujrzał zbliżających się niezwykle ociężałym krokiem lorda Puckinsa ze Stanisławem.

— A więc żyją! — pomyślał przypominając sobie z wysiłkiem wczorajsze przygody. — Witaj, przyjacielu! — zawołał radośnie i wyciągnął osłabłą dłoń do powitania. — Jakże się masz lordzie?

— Żle. Głowa mi ciąży — odezwał się Anglik.

— Mnie brak powietrza — dodał Stanisław znużonym głosem.

— Jakżeście się tu dostali? — pytał Przedpotopowicz.

— Nie wiem — odparł powoli lord Puckins — spytaj o to swego zucha. Wyciągnął mnie z przekłętego tunelu właśnie w chwili, gdy miałem zamiar...

— Niech już pan o tym zapomni — przerwał mu pośpiesznie Stanisław.

— Przeciwnie, niech twój pan wie, z jakim ma do czynienia zwierzęciem. Stanisław ocalił mię w nagrodę za mój niezłomny zamiar skosztowania go żywcem! — dokończył lord Puckins. — Doprawdy nie mógł się bardziej w porę obudzić, gdyby się o minutę spóźnił, zostałbym tygrysem i zginęlibyśmy obadwaj.

— Okropność! — szepnął geolog, domysławiac się nie-domówionej reszty.

— Musisz być głodny, przyjacielu? — zapytał Anglik.

W istocie Przedpotopowicz pomimo wyczerpującego ciepłarnianego gorąca doznawał nieznośnego szarpania wnętrzości. Organizm upominał się o należną daninę. Przewidzieli to towarzysze i Anglik podał mu jakiegoś skorupiaka.

— Własnymi dla ciebie złowiłem rękami, profesorze, posil się i ruszajmy stąd jak najprędzej. Przeklęta okolica! Duszno, gorąco, pusto i nic lepszego nie można było zdobyć.

Geolog spojrział na ofiarowany przysmak i osłupiał.

— Skąd... się... to... wzięło? — wyjąknął z trudnością.

— Złowiłem na brzegu morskim, w płytkim zagłębieniu, napełnionym wodą przypiływu — odrzekł z dumą lord Puckins. — Jest tam tego pełno.

— Niepojęte! niepojęte! — szeptał geolog.

— Dziwią pana, jak widzę, kształty tego paskudztwa — wtrącił Stanisław. — I my zastanawialiśmy się nad tym, bo nic podobnego nie widzieliśmy jeszcze. Ale mniejsza! Głód jest najlepszym kucharzem. Gdy on przyprawi, to najobrzydliwsza rzecz smakuje wyśmienicie.



Ależ to *Asaphus*! Typowy trylobit sylurski...

— Ależ to *Asaphus*, typowy trylobit sylurski! — wykrzyknął Przedpotopowicz.

— Nie rozumiem, co w tym może być dziwnego? — odezwał się Stanisław. — Małoż to żywi morze przeróżnego robactwa?

— Jakiś ty szczęśliwy, że niewiele rozumiesz! — odrzekł profesor i przetarł rozpalone czoło. — Gdybyś był paleontologiem, mózg by ci się przewrócił pod czaszką...

— W takim razie dziękuję Bogu, że jestem prostakiem — zawołał z komicznym uradowaniem Stanisław — przynajmniej mój mózg nie przewraca koziołków dla byle czego...

— Z tobą szkoda słów tracić — przerwał profesor dysząc ciężko. — Dla ciebie żywy trylobit sylurski jest taki sam dobry, jak pierwszy lepszy jaki mięczak...

Trylobit *Asaphus*.

— Tego nie powiedziałem! — skwapliwie zaprzeczył niezbity z tropu sługa — zbyt smaczny ten pański trylobit nie jest, ale od biedy...

— Masz tobie ! A to mię zrozumiał ! — przerwał mu na dobre zniecierpliwiony geolog. — Gdy ja gubię się w odmęcie przypuszczeń: skąd się tu wziął typ od milionów lat wygasły na ziemi, tego żarłoka obchodzi jedynie smak dziwnego zwierzęcia. Więc słuchaj, może nareszcie zdołam ci wyjaśnić, że tu chodzi o coś ważniejszego. Co byś powiedział, gdyby na tym miejscu, w tej chwili, stanął przed nami twój żywy prapradziadek we własnej osobie ?

Stanisław pomyślał chwilkę, uśmiechnął się rezerwowo i zapewnił, że najprzód nie uwierzy, aby to nastąpić mogło, a po wtóre, gdyby nawet zobaczył własnego prapradziadka, z pewnością wcale by się tego nie domyślił.

— Jakżebyś mógł poznać, skoro go nigdy nie widziałem ? A przy tym, mój prapradziadek podobno nie kazał się nigdy portretować.

Profesor załamał ręce z rozpaczy nad bezskutecznością swej wymowy. Anglik zaś wybuchnął śmiechem. Stanisława ani na mgnienie oka nie wzruszyła zarówno tragiczność profesora, jak wesołość lorda. Nie tracąc też rezonu odezwał się w te słowa:

— Niech znów panowie mię nie krzywdzą ani wyśmiewają. Jak mi co tłumaczają jasno, to ja też rozumiem, choć niby ciasną mam głowę... Rozumiem ja powód pańskiego frasunku. To przebrzydłe robaczysko znaczy dla pana akurat tyle, co dla mnie widmo pradiadka. Ale ja myślę, że się pan omylił, ten robak...

— Miej litość nad moimi nerwami ! skorupiak, powiedz, to będzie już lepiej !

— Dobrze ! więc ten skorupiak może jest tylko bardzo podobny do pradiadka... to jest przepraszam, do swojego przodka z okresu sylurskiego, który już zaginął !

Profesor Przedpotopowicz uśmiechnął się. To prostacze rozumowanie podobało mu się. Nie zwracając tedy uwagi na wesołość lorda, poklepał pojętnego sługę przyjaźnie po ramieniu.

— No, no ! nie obrażaj się. Spostrzegam znowu z prawdziwą pociechą, że masz ty głowę nie od parady. Co do Asaphusa jednak, to go znam dobrze, podobnie jak setki innych

trylobitów. Skamieniały trafia się często w skałach sylurskiego systemu. W małej części trafnie oceniłeś powód mego zdumienia, ale powtarzam ci, że pojęcie zupełne tej rzeczy przewyższa twoją zdolność. Jeszcze bardziej zaś przewyższałaby ją, gdybyś znał drugą połowę dziwnej zagadki, która mnie poruszyła.

— Więc niby drugą połowę *Asaphusa*? — zagadnął Anglik.

— Przestań żartować, lordzie. Nie wiesz, nieszczęsny, że wczoraj na własne oczy widziałem gromadę *Olenusów*.

— Cóż w tym nadzwyczajnego?

— Znać, że nie jesteś geologiem! nie oceniasz należycie znaczenia tego wypadku.

— Słowo honoru, twój krab ma rację, gdy bierze rzeczy lekko. Rozumiem przecież niby więcej od niego, a nie mogę pojąć dlaczego, zamiast spożyć, co Bóg dał, psujesz sobie krew domysłami i dysputujesz o jakichś *Asaphusach*.

— Jak to? więc i na tobie, lordzie, *Olenus* wczorajszy i *Asaphus* dziś spotkany nie sprawiają żadnego wrażenia? A przecież to jest fakt nie do pojęcia! Wszak to są przedstawiciele dwu osobnych epok ziemi. *Olenus* żył w kambryjskiej epoce, zaś *Asaphus* w późniejszej, sylurskiej!

— Teraz dopiero widzę, że podobnie jak Stanisław, nic nie rozumiem — odrzekł z komiczną powagą lord Puckins.

— Pociesz się, lordzie, bo i ja nie więcej od was rozumiem — odrzekł profesor przyciskając dłońmi rozpalone skronie. — To ci jeszcze powiem, że pierwszy trylobit zadziwił mię tylko do najwyższego stopnia, dzisiejszy wywołał zupełny chaos w mej głowie.

Na te słowa Stanisław poruszył się żywo.

— Chociaż mój mózg „nie jest wyćwiczony“, jak pan zawsze powiada, ale zdaje mi się, że teraz zaczynam rozumieć. Nie ma się czym trapić, raczej pan powinien cieszyć się i zacierać ręce.

Obaj turyści pytająco spojrzeli na służącego.

— A to znowu dlaczego?

— Niech pan tylko zapisze w notatkowej książce, że zarówno ten jakiś *Olenus*, jak *Asaphus* nie zaginęły, ale i do

dzis dnia żyją w tej oto słonej wodzie. Wydrukuj to pan za powrotem i będzie z tego chwała, może większa aniżeli z odkrycia kości owej małpy, która panu zeszłej jesieni tyle honoru narobiła.

— Ten chłopak ma rozum! — wyrzekł lord tonem głębokiego przekonania. — Niech żyją zmartwychwstałe Olenus i Asaphus! Niech żyją!

— Na próżno łudzisz się, kochany przyjacielu — przerwał mu kwaśno geolog — przypuszczenie twoje jest wprost niemożliwe. Trylobity od dawna już wygasły na ziemi!

— Skądże masz tę pewność?

— Takie są nieubłagane prawa przyrody! Niezapomijajmy o tym, że gatunek, rodzaj, ród i każde obszerniejsze skupienie typów, choćby trwały bardzo długo, nie trwają wiecznie. Mają swoje pierwociny, później okres dojrzałości, wreszcie muszą ustąpić na podobieństwo jednostek, które rodzą się i umierają. Trylobity pojawiły się w czasach kambryjskich, wiodły przez niezliczone tysiącolecia szczęśliwy na swój sposób żywot, bo były dziećmi swej epoki i panujących wówczas warunków. Ród ich długo był doskonałością...

— Czy nie ziemskim ideałem? — zapytał Anglik z lekkim uśmiechem.

— Bez wątpienia! Żadna istota nie mogła się z nimi mierzyć. Rozmnożyły się też niesłychanie. Sądzić by można, że berła pierwszeństwa nigdy nie utracą, tymczasem nadeszły ciężkie chwile. Miały trylobity jedną słabą stronę i ta właśnie stała się przedmiotem napaści ze strony *głownogów* (Cephalopoda), pewnej kategorii bardzo drapieżnych mięczaków, które pojawiły się prawie jednocześnie z nimi w oceanach. Trzeba ci lordzie wiedzieć, że ciało tych skorupiaków, choć z wierzchu tego opancerzone, nie było doskonałe.

— Twoje trylobity zaczynają mię nudzić — odezwał się Puckins poziewając.

— Nie powinienes się tym chwalić — odciął się geolog.

— Nie pojmuję, dlaczego miałbym się krępować?

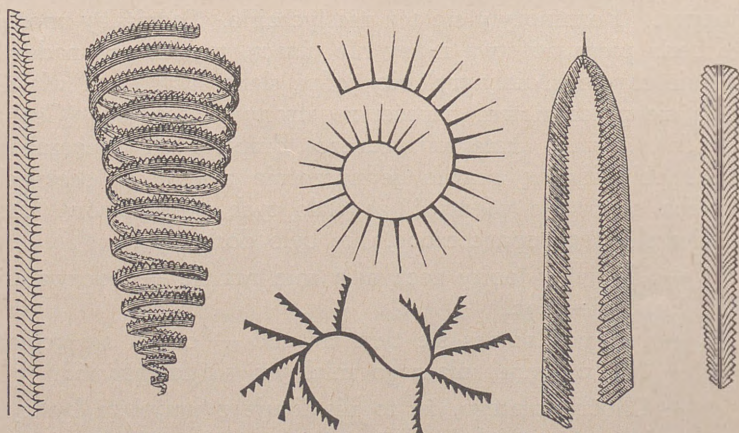
— Choćby dlatego, że to nie licuje z umysłem byстрыm i wszechstronnym, jak twój.

— Dziękuję!

— Nie ma za co! Powiedz, lordzie, czy interesują cię dzieje postępu ludzkości?

— Chyba o tym nie wątpisz?

— Na podstawie tego, com usłyszał, powątpiewam. Jeśli stopniowy postęp człowieka jest dla ciebie rzeczą godną uwagi, to sądzę, że niemniej ciekawe jest badanie rozwoju i doskonalenia się typów zwierzęcych i roślinnych od najpierwszych początków aż do teraźniejszości. Wszak tak zwane dzieje cywilizacji są tylko częstką dziejów rozwoju świata ożywionego. Obejmują one ostatni rozdział historii ziemskiej, dzieje postępu najdoskonalszego stworzenia ziemskiego. Ale wracajmy do przerwanej historii. Ciało trylobitów, jak wszystko na świecie, miało swą słabą stronę. Od spodu było ono miękkie i bezbronne, *Głownogi* z rodziny łodzikowatych (*Nantiloidea*) z początku drobne i nieliczne napastowały tylko mizerniejsze trylobity, ale z biegiem czasu, gdy wskutek przyjaznych warunków rozrosły się, zaczęły już napastować większe gatunki, nawet takie, jak *Paradoxides*. Prócz ucieczki, innego środka obrony ówczesne gatunki trylobitów nie miały. Ale i ucieczka wobec braku oczu u większości gatunków była nie zawsze rzeczą możliwą. Rozzuchwalił się tedy ród głownogów i dopiero później niektóre trylobity poradziły sobie w ten sposób, że



Różne rodzaje graptolitów

wobec grożącego niebezpieczeństwa umiały zwijać się w kulkę nadstawiając napastnikowi jedynie twardą, zwierchnią stronę swego ciała. Równocześnie wszakże rozradzały się i inne, niewybitne dawniej rodzaje zwierząt morskich, a w miarę jak one przychodziły do znaczenia, niezdarne trylobity traciły stopniowo pierwszorzędne stanowisko i z końcem ery palozoicznej zginęły zupełnie. W morzach sylurskich obok trylobitów i łodzików wcale niepoślednie miejsce zajęły: *graptolity* tajemnicze¹⁾, *liliowce* i *korale*. Sam teraz osądź, skąd po upływie tyłu epok mogłyby się pojawić na ziemi znowu trylobity i to wśród warunków gruntownie odmiennych od tych, której powołały ongiś ów typ do życia?

— Trudno to pojąć, a jednak rzeczywistość zadaje kłam twym słowom, profesorze.

— To być, nie może!

— W takim razie, twój trylobit nie jest trylobitem.

— Owszem, jest nim bez żadnej wątpliwości!

— A więc radbym wiedzieć: skąd się wzięły wśród nas przedstawiciele zaginionego od dawna rodu?

Na to geolog nie znalazł żadnej odpowiedzi.

— Daliby już panowie pokój tej długiej pogawędce — ośmielił się wtrącić Stanisław. — Nie wiadomo, jak daleka droga nas czeka, szkoda czasu!

— Masz słuszność — zawyrokował lord Puckins — musimy co prędzej opuścić tę przerażającą pustkę. Nie widzę tu nie tylko drzewa, ale nawet ździebełka trawy. Wydaje się, jakbyśmy bawili nie w środku cywilizowanej Europy, ale gdzieś w bezludnej pustyni.

— Trzeba nam dziś jeszcze dostać się do najbliższej wioski — odrzekł Stanisław.

¹⁾ Graptolity, z greckiego *graptos* — zapisany i *lithos* — kamień, gdyż przypominają jakieś znaki. Były to organizmy kolonialne żyjące w tak zw. tekach złożonych z sobą wzdłuż pewnej osi. Takie gałązki tekowe tworzyły całe pęczki przymocowane bądź do dna morskiego bądź za pomocą tak zwanego pęczera pławnego unosiły się w wodzie. Stanowisko zoologiczne tych zwierząt dotychczas nie jest wyjaśnione. Najbardziej zbliżone są one do hydrozoów. W Polsce graptolity znane są z Gór Świętokrzyskich. Ostatnio znaleziono je i na Podolu.

Zbyteczne byłoby zapewniać, że zarówno lord Puckins, jak geolog nie mieli nic przeciwko temu, ale nie sądzone im było wprowadzić zamiaru w czyn. Ogromne osłabienie jakieś przykuwało ich do miejsca. Tymczasem nadciągnęły groźne chmury, brzemienne piorunami; pomimo wichru stało się wkrótce tak duszno, że trudno było oddychać.

— Będziemy mieli niezły huragan — odezwał się lord z flegmą, pograżając obie ręce w kieszeniach.

Trzej towarzysze wodzili ponurym wzrokiem po ciemnym widnokręgu, bezradnie oczekując nawałnicy. Dopiero gdy strumienie ciepłej wody polały się na ich głowy dławiąc i oślepiając, gdy grad pokrwawił policzki i ręce, a nieustające grzmoty literalnie ogłuszały — osłabły geolog pochwycił rękę lorda, ucisnął ją gorąco i osunął się na kolana. Pozostał tak chwilę pod chłostą nawałnicy, wreszcie zupełnie stracił świadomość.

XI.

OKRES DEWOŃSKI.

Koniec naszych utrapień! — wołał radośnie dnia następnego Stanisław wstępując z towarzyszami w gąszcz bujnej zieleni.

Lord był niemniej zadowolony, tylko geolog uporczywie milczał. Znajdowali się w tej chwili daleko od miejsca strasznej nawałnicy, która ich o mało nie zatopiła. Anglik z dziwną stanowczością przekonywał Stanisława, że pierwszą spotkaną istotą będzie bośniacka pasterka. Stanisław dał godny najwyższego uznania dowód niezależności opinii i cywilnej odwagi. Gorąco oponował on członkowi Izby Panów zapewniając, że najpierw zobaczą bydło, a potem Bośniaczkę.

Podczas gdy Anglik spór w tym ważnym przedmiocie kończył zakładem, profesor wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w zielen *paproci drzewiastych, łuszczycel* (lepidodendronów), *skrzypów i widłaków*.

Podążał on machinalnie za towarzyszami, zatopiony w obserwowaniu lasu.

— Krajobraz wygląda mi na dewoński — odezwał się wreszcie stając niespodzianie przed lordem Puckinsem.

— Mało mnie obchodzi rodzaj roślinności tutejszej — odrzekł Anglik — ale powiedz mi profesorze, czy poznajesz okolicę? Czy prędko wyjdziemy z tych oryginalnych zarośli, aby przed zachodem dostać się do wioski?

Profesor, jakby ze snu zbudzony, obrzucił powłóczystym spojrzeniem wysoką postać lorda i utkwiał wzrok w jego oczach.

— Jeśli ten las jest dewoński — odezwał się dobitnie — o czym zresztą najmocniej wątpię, tedy stało się z nami coś nadzwyczajnego...

— Zbłądziliśmy zapewne bardzo?

— Jeśli to las okresu dewońskiego, tedy nie zbłądziliśmy wcale, ale powtarzam stało się coś niewytłumaczonego.

— Nie odpowiadasz wprost, profesorze!

— Bo nie mogę! bo nic nie rozumiem, a choćbym rozumiał, to nie chcę rozumieć... chcę wątpić! — wybuchnął nagle geolog podnosząc głos za każdym zdaniem. — Bo gdybym przestał wątpić...

— To co?

— To bym powiedział, że... że żaden z was zakładu nie wygra, że nie spotkacie nie tylko Bośniaczki, ale żadnej ludzkiej istoty! Choćbyście obeszlą całą ziemię dokoła!

— Oho, ho! unosisz się.

— Tak jest! — przerwał geolog z mocą. — Nie spotkacie nie tylko stada, ale nawet najmarniejszej myszy!

— Cóż znowu! uspokój się drogi przyjacielu, jesteś rozdrażniony.

— Mam być spokojny, gdy nie wiem, co się ze mną dzieje? Czy tylko zmysły mnie łudzą, czy też mózg uległ katastrofie. Wczoraj znalazłem *trylobita sylurskiego*, dziś znowu wszystko wygląda tak, jakbyśmy byli w *czasach dewońskich*. Czy wiesz, że wczoraj ten las *jeszcze* nie egzystował?

— Co mówisz?

— Mówię, że jeśli *Asaphus* był prawdziwy, to wczoraj wcale nie było lasów na ziemi. Od wczoraj do dziś upłynęły



„Jeśli to las dewoński...”

miliony lat! A w morzach miały czas wytworzyć się osady na kilka tysięcy metrów grube! Ale wołę o tym nie myśleć, bo głowa mi pęknie!

Lord Puckins nic nie odrzekł. Znać było, że czyni wysiłki, by nie wybuchnąć. W milczeniu upłynęła długa chwila. Ze wzrokiem wbitym w ziemię, z rękoma w tył założonymi szedł geolog sztywnym krokiem automatu obok niemniej, choć z innych powodów, zamyślonego Anglika.

— Zdaje mi się, pan powiedział, że tych lasów wczoraj jeszcze nie było? — zapytał Stanisław.

— Naturalnie! — odrzekł niespodzianie zagadnięty. — W okresie sylurskim roślinności lądowej prawie jeszcze nie było.

— A cóż wtedy było?

— Jedynie wodorosty. Na lądach roślinność wytwarzała się bardzo powoli. Grunt dla niej przygotować musiały najprzód niepozorne roślinki z działu niższych roślin skrytopłciowych i dopiero następnie wyrastały coraz doskonalsze i wybitniejsze gatunki, może skrzypy jakieś pierwotne i pierwsze paprocie.

— A zwierzęta?

— Za wyjątkiem pewnych skorpionów lądowo-wodnych były morskie i to bardzo nisko uorganizowane.

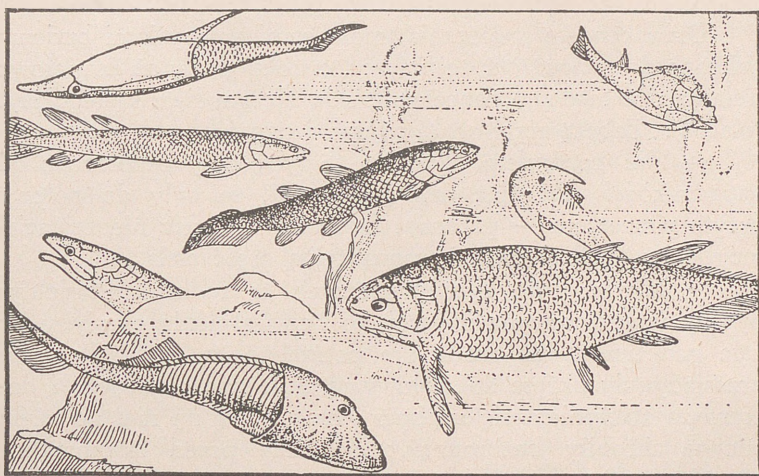
Gdybyś mógł zajrzeć w głębie oceanu dewońskiego, ujrzałbyś niebywałą za sylurskich czasów różnorodność *korali i głownogów*. Na pozór świat morski pozostał, jakim był w sylurze, ale w rzeczywistości mało który gatunek przetrwał bez zmiany.

— Zjawiły się pierwsze amonity, które w następnej erze osiągają swój największy rozkwit. Wreszcie ryby, które zjawiły się już w sylurze, występują tu bardzo w ciekawych i pierwotnych typach.

— Są więc tu ryby? — zawołał Stanisław — Bogu dzięki!

— Są — odparł geolog z powagą — ale nie sądz, aby one były tak doskonałe jak te, które widzisz na targach.

— Pan uwziął się martwić mnie na każdym kroku — przerwał strapiiony sługa. — Zaledwie ucieszyłem się nadzieją skosztowania rybki, natychmiast psuje mi pan radość wiadomością, że tutejsze nie są tak smaczne jak nasze karpie, szczupaki lub sandacze. Niech tam zresztą będą sobie i mniej smaczne, dobrze, że są jakiegokolwiek!



Ryby z okresu dewońskiego (w górnym prawym kącie *Pterichtys*, o którym jest mowa w tekście)

— Ależ ja nie smakowitość ryb dewońskich miałem na myśli, mój drogi, mówiłem o niedoskonałości ich budowy! Spośród ryb znanych kucharzom i zoologom większość posiada łuskę i ości stwardniałe, tymczasem ryby dewońskie są nagie albo okryte tabliczkami kostnymi z twardą emalią, a cały szkielet mają chrząstkowaty. Prócz tego, w budowie anatomicznej dużo mają szczegółów zbliżających je do gadów, które później się pojawiają. Takich chrząstkowatych ryb niewiele już przechowało się do naszych, ludzkich czasów i stanowią wygasający zabytek dawnych epok. Do nich należą jesiotr i rekin. Ale i rekiny oraz inne resztki potężnych dawniej rodów nie dają nam dostatecznego wyobrażenia o kształtach i budowie wewnętrznej ryb pierwotnych. Co było w dewonie prawdziwie dewońskiego, nie dotrwało już do czasów człowieka.

Dinichthys o ruchomej głowie, mającej metr długości, miał wśród ryb dewońskich pierwszeństwo. Na próżno by zoolog szukał w naszych wodach ryb pancernych, kostołuskich, jakie żyły w wodach okresu dewońskiego ¹⁾.

¹⁾ W Polsce ryby pancerne znajdują się w piaskowcach dewońskich w okolicy Trembowli i Czerwonogrodu na Podolu, oraz w górach Świętokrzyskich.

Dziwaczne te stworzenia, niektórymi szczegółami budowy zbliżone do gadów, okryte były od czubka głowy aż do połowy ciała bardzo mocnym pancerzem, składającym się z szeregu płyt (plakós). Zabezpieczał on je od ran i napaści.

— Nie rozumiem, dlaczego te ryby były bezpieczne od napastników? Przecież pan powiedział, że były do połowy okryte pancerzem — przerwał Stanisław — więc nieprzyjaciel mógł łatwo godzić na bezbronną tylną część ciała...

— Gdyby tyły ryb pancernych z rodzaju *Pterichtys* bywały wystawione na napaści, to bez wątpienia okryłyby się całe pancerzem, ale snadź nie potrzebne to było. Ryby te przesiadywały ukryte do połowy w mule dna morskiego i dopiero za zbliżeniem się zdobyczy rzucały się na nią, po czym znowu chroniły bezbronną część ciała przed łakomstwem innych drapieżników.

— To bardzo sprytnie, proszę pana, z ich strony. Kto by pomyślał, że na taki dowcip zdobyć się może głupia ryba i do tego dewońska. Jednego nie mogę zrozumieć, a mianowicie, jak sobie taka ryba może dysponować: „potrzebne mi są łuski na ogonie” — i łuski wyrastają.

— Trudno ci to wytłumaczyć, mój drogi. Bez znajomości wielu nauk nie zrozumiałbyś znaczenia dziedziczności cech, przystosowania się do warunków zewnętrznych itp. rzeczy; powiem ci tylko, że to są niewątpliwe, choć cudowne zjawiska.

— Dlaczegoż nie wszystkie zwierzęta posiadają władzę wpływania na zmiany we własnej postaci?

— Wszystkie ją posiadają!

— Mój Boże! obdarzyłeś je hojniej od człowieka — westchnął żałośnie Stanisław.

— Dlaczego wyłączasz człowieka? przecież i on podlega tym samym prawom.

— Wcale nie, proszę pana, przecież człowiek nie może dysponować podobnie jak *Pterichtys*: „potrzebne mi tarcze na przedniej części ciała” i zjawiają się zaraz tarcze. O! gdyby tak było, jestem pewny, że nie byłoby na świecie głupich, słabych i brzydkich. Jeden by sobie powiedział: potrzebny mi rozum i nabrałby rozumu; brzydki: przydałaby mi się uroda; słabemu zachciałoby się siły, i mieliby, ile trzeba. A tu tymczasem nic z tego!

— Na krótką metę, rozważając, masz słuszność; człowiek choćby z najtęższą wolą, nic nie zmieni w sobie, ale na daleką metę, łatwo dostrzec, że i człowiek radzi sobie podobnie jak Pterichtys, o którym mówiliśmy. Tylko zapamiętaj, że rezultaty nie przychodzą natychmiast. Zarówno człowiek, jak każdy ptak i zwierzę, takim, jakim jest, urobił się nieznacznie, w ciągu tysięcy pokoleń...

— Przerwijcie już raz gawędę o rybach — zawołał lord — bo jesteśmy za daleko od morza, aby złowić i usmażyć jakąkolwiek. Jeśli upewniasz, że jesteśmy w lesie dewońskim, to już wołałbym skosztować dewońskiej zwierzyny.

— Musisz, zacny gastronomie, obejść się smakiem — odezwał się Przedpotopowicz z uśmiechem. — Nie zrodziła się jeszcze w lasach dewońskich żadna zwierzyna. Są tu zaledwie pierwsze *wije*, najniższe *owady prostoskrzydłe* i *skorpiony*, te istne raki lądowe. Kręgowych zwierząt nie zna jeszcze sucha ziemia.

— Czyż to podobna? — zawołał Stanisław.

— Bezwarunkowo. Wprawdzie utrzymują niektórzy, że trafia się w dewonie małą jaszczurkę, ale nie ma co do tego żadnej pewności. W każdym razie, choćby żyła, wątpię, czy przy najstaranniejszych poszukiwaniach znaleźlibyśmy to rzadkie zwierzę.

— Więc cóż my jeść będziemy? — zapytał Stanisław.

— Nic. Położymy się na czczo.

— Jutro zaspokoimy głód — odezwał się Anglik tajemniczo — jeśli przypuszczenia moje są prawdziwe... Właściwie nie jutro, ale za lat miliony będziemy mogli się pożywić — dodał spoglądając znacząco na profesora — ale to podobno na jedno wychodzi.

— Miła perspektywa! — mruknął zafrasowany Stanisław. — Wątpię czy ja wytrzymam tak długo.

XII.

W OTCHŁANI CZASU. OKRES WĘGLOWY. PŁAZY TARCZOGŁOWE.

Skoro tylko świt przez grube chmury rozproszył nocne ciemności profesor Przedpotopowicz pomimo mroku i dżdżystej pogody był już na nogach i wśród skrzypów, paproci i łuszczydeł w gorączkowym nastroju rozpatrywał znoszone przez Stanisława okazy flory. Lord Puckins, choć przemokły, pozostał jeszcze w objęciach Morfeusza.

Czoło profesora fałdowało się w coraz głębsze bruzdy. Chmurzył się, zżymał, nie odpowiadając na różne uwagi służącego, aż wreszcie wybuchnął.

Uderzył z całej siły o ziemię pięciem przyniesionego dopiero zielska.

— Sapristi! węglowa! — zaklął.

Okrzyk ten zbudził Anglika. Uchylił on jedno oko i ziewając zapytał, co się stało.

— Nic się nie stało, proszę pana, to mój pan powiedział tylko: „Sapristi! węglowa“!



...wśród skrzypów, paproci i łuszczydeł

— Dopiero węglowa? — zapytał żywo Anglik na dobre zbudzony.

— Oczom własnym nie chce się wierzyć! — zawołał profesor z gestem rozpaczliwym — a jednak...

— Niedobrze! — przemówił Anglik przeciągając się.

— Dlaczego niedobrze? — odezwał się zaniepokojony Stanisław.

— Nie idziemy tak prędko w górę, jak się zaczęło. Myślałem, że lepiej nam pójdzie.

— Nie rozumiem cię, lordzie — odrzekł geolog.

— Dziwna rzecz, proszę pana — zauważył Stanisław — nie znalazłem dotąd ani jednego kwiatka! Same jakieś widłaki, skrzypy paprocie i Bóg wie jakie, nieznane zupełnie, twarde zielska.

— Do kwiatków jeszcze daleko, skoro jesteśmy dopiero w okresie węglowym — odparł na to Anglik, a zwracając się do uczonego wpatrzył się weń znacząco:

— Cóż ty na to, profesorze?

— W głowie mi się mąci! — odrzekł tenże załamując ręce rozpaczliwie.

— Mnie się rozjaśnia! — odparł krótko Anglik.

— Jak mam to rozumieć?

— Od wczoraj rozmyślałem nad naszym zagadkowym położeniem i przyszła mi pewna myśl do głowy. Nie mówiłem nic z tobą, bo chciałem być pewny tego, co myślę. Teraz jednak...

— Cóż teraz?

— Mam rozwiązanie — odezwał się. — Jeśli tylko nie mylisz się *dziś*, nie myliłeś się *wczoraj* i *onegdaj*, tedy stała się z nami istotnie rzecz nienaturalna.

— A toś mi nowinę powiedział! — odparł z ironią Przedpotopowicz.

— Szukam słów, jakimi mógłbym ci, profesorze, wyrazić swe myśli. Nie chciałbym, abyś pomyślał, że mi się klepki w głowie rozluźniły. A może lepiej zostawię to do jutra. Czas wszystko wyjaśnić.

— Mów, lordzie, bez ogródek! Mnie już niczym nie zdołasz zadziwić.

— Skoroś przygotowany, zatem słuchaj. Zdaje mi się, że wpadliśmy w niezgłębianą otchłań czasu.

— W otchłań czasu!? — wykrzyknął mimowoli geolog.

— Nie inaczej! czasu! — cierpko odrzekł syn Wielkiej Brytanii.

Geolog, mimo niedawnego zapewnienia, nie umiał ukryć podziwu. Zmierzył Anglika długim i baczny spojrzeniem, pokręcił głową i jakiś czas szedł w milczeniu.

— Zawile nieco będą moje objaśnienia, biedny profesorze — odezwał się wreszcie Anglik — ale racz mię posłuchać. Przyznasz zapewne, że *czas* i *przestrzeń* na licznych punktach są podobne do siebie. Są nieskończone, nie mają granic...

— Rzeczywiście, przyznaję to.

— Jeśli więc można w przestrzeni spadać z wysokości na dół, jeśli można w tej samej przestrzeni wznosić się z dołu do góry, pytam: dlaczegożby to samo prawo posuwania się to na dół, to do góry nie mogło stosować się do *czasu*? dlaczego miałyby pozostawać przywilejem tylko przestrzeni?

— Niezupełnie cię rozumiem, lordzie — zauważył profesor.

— Dlaczegożby czas — ciągnął spokojnie Anglik — dał się przemierzać zawsze tylko ku przyszłości, a nigdy w kierunku przeszłości?

— Jeszcze mniej rozumiem, do czego to ma prowadzić? — mruknął po raz trzeci geolog.

— Przyjmijmy, że i w czasie można się cofnąć, podobnie jak to ma miejsce z przestrzenią...

— A wtedy? — zapytał geolog sucho.

— Wtedy mam objaśnienie dręczącej cię zagadki...

— Mianowicie?

— Oto po prostu zapadliśmy się nagle w otchłań przeszłości i w tej przepaści, nie doleciawszy do samych jej głębin, znaleźliśmy się nagle w czasach kambryjskich.

— Zapadliśmy w przeszłość? to zdaje się rzecz poważna! — odezwał się nagle Stanisław — który z całej rozmowy zrozumiał najlepiej zdanie ostatnie.

— Masz rację! bardzo poważna — odparł lord Puckins a zwracając się do Przedpotopowicza dodał: — Wiesz, profe-

sorze, twój pomocnik umie myśleć! I on przyznaje, że to rzecz poważna. Odkrycie moje — ciągnął dalej — zaskoczyło mnie tak nagle, że nie mogę zebrać nawet myśli, aby zrozumieć, dlaczego znaleźliśmy się w czasach okresu kambryjskiego? dlaczego wpadliśmy aż tak daleko? Albo odwrotnie: dlaczego nie przelecieliśmy głębiej jeszcze, do czasów przedkambryjskich, albo jeszcze głębiej, do czasów, gdy ziemia była rozpaloną kulą... albo dopiero pierścieniem oderwanym od słońca? Tłumaczę to sobie prostym trafem. Musieliśmy przecież gdzieś się zatrzymać i zatrzymaliśmy się w kambryjskich czasach.

— Cóż teraz z nami będzie? — zapytał marszcząc poważnie czoło Stanisław.

— Rozmyślać nad tym rzecz daremna — zawyrokował Anglik. — Położenie nasze niezwykle, wyjątkowe, a nawet, o ile mnie pamięć nie myli, bezprzykładne... Nie słyszałem jeszcze nigdy, aby ktoś wpadł w otchłań czasu...

— Oj, prawda — wyrzekł Stanisław. — Wpadałem i ja w rozmaite rzeczy, ale żeby kto wpadł w otchłań czasu, o tym nie słyszałem. Sądzę, że znowu trzeba się przygotować na śmierć!

— I ja tak myślę — odrzekł Puckins. — Nie ręczyłbym nawet za to, czy już nie umarliśmy, ale jeśli żyjemy, zdaje mi się, że dostrzegam słaby promyk nadziei. Wszak Dante był na samym dnie piekła, w samym środku ziemi, a jednak i stamtąd powrócił.

— Tak, lecz chwila, kiedyśmy zeszli do podziemnej czeluści, jest to odległa p r z y s z ł o ś ć.

— Słusznie, słusznie! — zawołał Puckins. — Otóż sądzą, że spadek nasz w dół czasu, czyli w przeszłość, odbył się z błyskawiczną szybkością. Oparliśmy się od razu na kambryjskich czasach. Od tej jednak chwili powracamy dość raptownymi skokami w górę.

— Pojmuję już twoją hipotezę! — zaczął geolog po długiej chwili — ale daruj, że ją nazwę szaloną. To wszystko, co przypuszczasz, jest wprost niemożliwe.

— Dlaczego? — sucho zagadnął Anglik.

— Ależ opamiętaj się, człowieku, i nie pytaj nawet, dlaczego?...

— Bardzo proszę !...

— Nie obrażaj się, ale wierzaj, lordzie, tu nie ma nawet nad czym rozprawiać.

— Mam dowody ! — zawołał Anglik szorstko.

— Ach ! masz zapewne na myśli spotkanego onegdaj Ole-nusa kambryjskiego, a wczoraj już Asaphusa sylurskiego... Przez jedną pozorną według ciebie noc posuwamy się o całą epokę geologiczną.

— Naturalnie ! nic prostszego nad to.

— Dziś zaś ten smutny las skrzypów i paproci podsuwa ci myśl, że nie jesteśmy już w okresie sylurskim — ciągnął geolog ze źle ukrytym, ironicznym uśmiechem.

— Nie inaczej !

— Ale czyż wolno, choćby na chwilę pomyśleć, aby wieki mijały jak sekundy ?

— To jest niezawodne ! — odparł Anglik. — Fakty za tym przemawiają. Zresztą czymże w otchłaniach czasu różni się wiek od sekundy ? — Niczem. Zarówno wiek, jak tysiące lat nie wyczerpują ani cząstki czasu wieczności, bo gdyby wyczerpywały, wtedy nieskończoność byłaby skończoną. Wszak prawda, że w okresie sylurskim nie było jeszcze roślin lądowych ?

— W istocie nie było ani roślin, ani zwierząt lądowych, ale mimo to nie ośmieliłbym się twierdzić, że byliśmy onegdaj w sylurskim świecie.

— Pozwól ! Teraz otaczają nas rośliny lądowe, zatem wznieśliśmy się już znacznie ku dawnej naszej „teraźniejszości“.

— Ależ dowodu ! proszę o dowód, że tak jest ! — wołał rozpaczliwie geolog.

Anglik podniósł w górę prawicę zakreślając nią szerokie półkole.

— Spójrzij dokoła, profesorze, a znajdziesz ich tyle, ile zechcesz.

Przedpotopowicz wzruszył ramionami.

— Nawet świadectwo zmysłów nie wystarcza mi w tym razie !

— Więc czym to wszystko objaśnisz ? — podjął Anglik i wpatrzył się z uporem w geologa.

— Tu jest w istocie coś, czego nie mogę pojąć, ale na twoje przypuszczenie nie mogę się w żaden sposób zgodzić.

— Poczekajmy więc, może się to wyjaśni.

— To się wyjaśni! — mruknął gniewnie uczony — ale nie na korzyść twego przypuszczenia.

— Więc lepiej nie mówmy już o tym — odezwał się Anglik. — Nie przekonasz mię, podobnie jak ja ciebie.

— Masz słuszość, lordzie, nie mówmy wcale!

— I nie myślmy!

— I nie myślmy nawet. Lepiej zastanowić się, czy nie ma wyjścia z tego zaczarowanego koła... Przecież musi znaleźć się jakaś rada, skorośmy wydobyli się z podziemnej czeluści.

I nie było już mowy ani o tym, ani o czym innym między poróżnionymi przyjaciółmi.

Ruszone w dalszą drogę. Geolog od czasu do czasu wpadał w głębokie zamyślenie. Kroczył niby automat pozbawiony wzroku i słuchu, Lord Puckins tymczasem odzyskał spokój, a wkrótce potem powrócił mu i humor.

Często zaczął służyć różnymi zapytaniami, wyciągał go na dysputy i dowcipkował nawet.

Stanisław, ośmielony dobrym nastrojem lorda, zagadnął go o powód gorącej sprzeczki z profesorem.

— Ty tego nie zrozumiesz, mój kochany — zbył go Anglik. — Nam szło o bardzo ważne rzeczy, mianowicie o to, ile lat ubiegło przez noc ostatnią.

— Ile lat przez noc jedną? jakże to być może? — zagadnął Stanisław wytrzeszczając oczy.

— Tak jest, ile czasu ubiegło od okresu dewońskiego do węglowego.

— Alboż to jedno i to samo? — odezwał się Stanisław.

— Widzisz lordzie! — wybuchnął geolog — nawet tak prosty umysł daje ci lekcję logiki...

Puckins zaciął usta.

— Mieliśmy nie rozmawiać w tej kwestii — odrzekł lodowato — ja odpowiadałem tylko na zapytanie Stanisława.

— Pomieszasz mu w głowie! — przekładał profesor. — On powinien wiedzieć, że dewon od okresu węglowego dzieli

otchłań czasu, a ty go będziesz przekonywał, że tylko dwadzieścia cztery godziny.

— Proszę pana, ja wiem bardzo dobrze o tym.

— Zkądże ty wiesz o tym? — zapytał Puckins, nagle ubawiony tonem głębokiego przekonania.

Stanisław wyprostował się i poprawił kołnierz.

— Widzieliśmy już niejedno — odrzekł z godnością. Przebijała też i lekka uraza w jego głosie i spojrzeniu.

— Tak?

— U nas w muzeum, w każdej sali namalowany jest obraz z podpisem epoki, jaką przedstawia. Przyglądałem się nieraz tym malowidłom i rozmawiałem o nich ze studentami. Widziało się i rozumie niejedno.

— Proszę! — odparł Anglik i umilkł.

— Więc pan myśli, że naprawdę przechadzamy się po lesie węglowym? — zagadnął Stanisław profesora.

— Przykro mi, że nieprawdopodobną rzecz przyznaję za prawdziwą, ale muszę to niestety potwierdzić. Świadectwo zmysłów także coś znaczy i choć rozum woła: złudzenie — powiadam ci, jesteśmy w tej samej puszczy, która dostarczy kiedyś ludziom cieniuchnej warstewki węgla kamiennego. Może z zielonych pni, na które spoglądam w tej chwili, będzie się węgiel kamienny palić pod kotłem lokomotywy, która nas zabierze z Bośni, jeśli tylko żywi wrócimy do czasów naszych — rzekł profesor.

— Jeżeli przed naszym przyjazdem do Bośni nie został dawno spalony — wtrącił lord Puckins, a potem dodał z żywością — nie ręczyłbym nawet, czy twój krawat w zielone prążki nie jest zabarwiony farbą anilinową, wydobytą z węgla tego właśnie lasu.

— Jakżeby to być mogło? — zawołał Stanisław z niedowierzaniem. — Wszak jednocześnie nie może być jedna i ta sama rzecz w dwóch miejscach.

— Mój kochany, to jest zupełnie w naszym położeniu możliwe. My sami jesteśmy w tej puszczy anachronizmem, boć dopiero po milionach lat od obecnej chwili narodzi się na ziemi.

— To za mądre dla mnie! — odezwał się sługa. — Jakże się możemy dopiero narodzić, skoro jużśmy to učinili? Albo jak możemy być tutaj i rozmawiać ze sobą, jeżeliśmy się jeszcze nie narodzili?

— W istocie, to trudne do pojęcia, a przecież prawdziwe. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj profesora.

Ale geolog nie odezwał się ani słowem. Oparty nogą o powalony pień kalamitu, zapatrzony, błdził myślą daleko.

— Nad czym dumasz, profesorze?

— Nie mogę zgłębić, co to wszystko znaczy?

— Daj już pokój, trzeba się godzić z faktami. Dziękujemy zresztą Bogu i za to, że dożyliśmy okresu węglowego — przekładał Anglik.

Geolog spojrział nań zdziwiony.

— Ja nie o tym wcale myślę — odparł z naciskiem.

— A więc?

— O twoim przypuszczeniu.

— Nie prawdaż, że się potwierdza znakomicie?

— Nie wiem! jestem w chaosie, dotąd nie rozumiem, co się z nami dzieje.

— Więc powtarzam, daj pokój rozmyśleniom. Wyjaśni się to prędzej czy później. Nie mogąc nic odmienić, lepiej przyjmij fakt, jaki jest i nie traćmy czasu.

— Cóż zamierzasz czynić?

— Przede wszystkim pójść stąd. Lubię ruch, lubię nowe widoki, a przyznasz sam, że to nie lada osobliwość przechadzać się po prawdziwym lesie z okresu węglowego. Szczególniej tobie, jako przyrodnikowi, powinno się to diablo uśmiechać. Ręczę, że niejeden z twych kolegów oddałby pół życia za podobną przyjemność, a ty kwasisz się, nie wiem po co?

— Głową muru nie przebije — zawyrokował z przekonaniem Stanisław.

— Ile też lat upłynąć mogło od syluru do dewonu? — zapytał po chwili Anglik.

Profesor zapomniiał od razu o swym kłopotcie. Uśmiech nawet błądź przewinął się po jego wargach.

— Nie jesteś nic a nic ciekawy, lordzie — odezwał się.

— Albo co?

— Zadajesz jedno z najtrudniejszych zapytań w geologii, tak lekko, jakbyś pytał: która też w tej chwili godzina?

— Zależy mi bardzo na możliwie dokładnej odpowiedzi, a zresztą, od czegoż jesteście, moi panowie. Czyż może tylko od tego, aby wam składano hołdy i podziwiano mądrość tak doskonałą, że na cztery zapytania trzy razy odpowiadacie: „to jest zbyt ciemne“ albo „co do tego, nie ma jeszcze zgody“.

— Za co mnie dręczysz, lordzie?

— Właśnie za tę waszą wstrzemięźliwość w zdaniach, jeśli nie za coś... gorszego.

Geolog spoważniał.

— Za coś gorszego?... — powtórzył. — Prawdę rzekieś. Nauka nie ma na twe pytania pewnej odpowiedzi! Może tylko zapewnić, że czas ten jest długi.

Anglika rozbroiła rezygnacją uczonego.

— Jeśli nie możesz, profesorze, podać cyfry lat zupełnie ściślej, wymień przybliżoną, ale podaj jakąś, inaczej wypadnie mi uznać waszą geologię w samej rzeczy za niemowlę...

— Niestety, nie mogę, za mało mamy w tym względzie pewnych danych. Biorąc za podstawę grubość warstw geologicznych mogę określić tylko stosunek trzech ostatnich er geologicznych, na jakie dzielimy przeszłość ziemskiej skorupy. Najstarsza era *paleozoiczna* była około 3 razy dłuższa od *mezozoicznej*, a zaś ta trwała znowu dłużej od najmłodszej *cenozoicznej*.

Jest i to rzeczą pewną, że okres sylurski, był co najmniej trzy razy dłuższy od okresu dewońskiego.

— Ale przecież! musisz podejrzewać, choć w przybliżeniu, jakąś ilość lat...

— Podobnych okresów w latach się nie wyraża! — odciął się geolog. — Mówić o latach trwania okresu kambryjskiego, sylurskiego albo choćby i dewońskiego, byłoby to samo, co obliczać odległości między dalekimi krajami na metry, zamiast na kilometry.

— Przesada! Nie chodzi tu chyba o tak wielkie cyfry.

— O większe jeszcze, milordzie. Podobnie jak tysiąc tysięcy metrów nie podsunie naszej wyobraźni rzeczywistej od-

ległości, jaką określają te wyrazy, tak samo mało nam uplastyczni ogrom geologicznej epoki, rachowany na miliony lat. A tu w grę wchodzi miliony lat. Pojęcie licznych milionów lat trwania nie może się pogodzić w naszej myśli z przyzwyczajeniem rachowania na lata albo na wieki i wydaje się mocno przesadzone. A jednak geologiczna przeszłość ziemi musi być obliczana na takie „przesadne“ liczby. Kwestia czasu geologicznego zajmuje żywo i od dawna umysły geologów i astronomów ¹⁾. Wiele gruntownych, genialnie obmyślonych podstaw użyto już do obrachunku. Wyniki jednak różnych badaczy nie zgadzają się z sobą, co najlepiej dowodzi niedostateczności tych podstaw. Mimo to zawdzięczamy już podobnym usiłowaniom znajomość granic, w których mieścić się może rzeczywista długość okresów geologicznych. Obliczono na przykład, że od początku ery paleozoicznej do naszych czasów upłynęło 540 milionów lat. Mnie się znowu zdaje, że cyfra 100 milionów lat, rachowanych od czasu zjawienia się życia organicznego ziemi, jest najbliższa prawdy.

— Przeszło półtora miliona wieków — wykrzyknął lord Puckins. — Niech was nie znam! Sypiecie cyframi jak astronomowie!

— Czas geologiczny jest niewspółmierny z czasem ludzkim, wszak od środka syluru do środka dewonu miały czas Góry Kambryjskie w proch się rozsypać, a powoli dźwignęły się

¹⁾ Obecnie dla określenia wieku ziemi, oraz czasu trwania poszczególnych er i okresów jej dziejów, powszechnie została przyjęta nowa metoda opierająca się na właściwościach pierwiastków promieniotwórczych. Pierwiastki te ulegają samoczynnemu rozpadowi (promieniotwórczość) na inne, które stanowią tak zw. p r o d u k t y rozpadu. I tak na przykład pierwiastek u r a n, znajdujący się w skałach skorupy ziemskiej, datuje swoją obecność od chwili powstania skały i od chwili tej zaczyna się jego rozpad, którego produktami ostatecznymi są o ł ó w i h e l. Określiwszy więc stosunek ilościowy produktów rozpadu do pierwiastku macierzystego oraz stwierdziwszy doświadczalnie w jakim to się odbywa stosunku w jednostce czasu, możemy określić wiek danej skały. W ten sposób określono wiek (czas trwania) ery cenozoicznej na 60 milionów lat, ery mezozoicznej na 140 mil. lat, ery paleozoicznej na 340 mil. lat, zaś czasu przedpaleozoicznego na blisko 1,500 milionów lat. Zatem wiek ziemi wynosi przeszło 2000 milionów lat.

nowe. Bądź pewny, że zmiany takich dekoracji jak góry, wymagają nieco więcej czasu aniżeli teatralne...

— Powstrzymajże już raz potok swej wymowy, profesorze, bo twoje daty nerwy mi rozdzierają — wołał Anglik.

Nasza trójka znikła niebawem w mroku paproci olbrzymich, skrzypów i widłaków.

Powoli pod wpływem na wskroś oryginalnego wdzięku puszczy obudziła się w geologu żyłka przyrodnika. — Zapomniał o swych kłopotach, nic sobie nie robił z ciepłego deszczu, jaki z pochmurnego nieba przez rzadkie konary różnych paproci i wyniosłych nagonasiennych lepidodendronów spadał rzęsistymi kroplami, i ze wzrastającą ciekawością rozglądał się po puszczy.

* *

Podczas gdy geolog zatopił się w myślach, lord Puckins niechęć pozostał w tyle.

Niebawem rozległ się o kilkadziesiąt kroków głos Anglika. Z całej siły płuc nawoływał on towarzyszków. Gdy przebrnęli ku niemu, po kolana zapadając się w cuchnące bagnisko pełne przegniłych pni, ujrzeli Puckinsa, stojącego jak na wysepce na grzbiecie jakiegoś niezdarne olbrzymiego zwierzęcia. Dwie czy trzy podobne, choć mniejsze istoty, nieruchomie zanurzone w czarnym błocie, ukazywały nad poziom tylko szerokie i wydłużone paszcze; jedna siedziała nieporuszenie, oparta o pochyły pień skrzypu. Przypominała trochę żabę, bardziej zaś małego krokodyla. Najroślejszy, pogrążony nieruchomie w bagnie, zdawał się nie odczuwać ciężaru Anglika. Tuż przy nim sterczała z bagniska potężna głowa. Profesor wpatrzył się w tę głowę nie zwracając uwagi na śmieszną pozycję lorda.

Archegosaurus ¹⁾ — zawołał zdumiony.

— Niech pan ucieka! — krzyczał znowu Stanisław i wdrapał się ze zręcznością majtka okrętowego na pień, okryty tabliczkowatymi bliznami po odpadłych listowiaach.

— Co ci się stało?

¹⁾ Stąd nazwa *Archegosaurus* z greckiego *archegos* — przodek, *sauros* — gad.



— Nadeptałem na ogromnego węża.

— Wstydz się! tu nie ma węży, skoro jesteśmy w lesie okresu węglowego — uspokajał go geolog.

— Ależ doskonale widziałem! cienki jest, ale bardzo długi i straszny...

— Widziałeś zapewne wysmukłą *Dolichosomę*, podobną z kształtu do węża, ale tylko z kształtu.

Lord tymczasem w oryginalny sposób i z właściwą sobie zimną krwią przebrnął grzaskie łągno. Otoczony gromadą tarczogłowych, przeskakiwał po ich cielskach niby po wielkich kamieniach i tak zbliżył się do uczonego.



Ujrzeli Puckinsa, stojącego jak na wysepce...

— Powiedz mi, profesorze — zapytał pośpiesznie wskazując na ciężałe potwory — czy smaczna byłaby z nich pieczeń?

— Nie wiem. Możesz spróbować — odrzekł ubawiony tak poziomym kierunkiem myśli towarzysza.

— Cóż to są za zwierzęta? dobrze jest wiedzieć, na jaką się zapołuje zwierzynę.

— Są to przodkowie gadów i płazów: tarczogłowe (Stegoccephala) ¹⁾.

— Więc gady — zakonkludował Stanisław — brr! kto by to jadł!

— Nie są to jeszcze gady — przerwał mu profesor. — Są to pierwsze zwierzęta kręgowe, mogące część życia spędzać poza obrębem wody. Najwłaściwszym dla nich mianem byłoby: płazy pancerne.

— Tak czy owak, zawsze to gady! — bronił się Stanisław.

— Jeszcze ci raz powtarzam, że zbyt lekkomyślnie określasz te przejściowe stworzenia. Są one tylko praprzodkami gadów, które kiedyś, kiedyś z ich rodu się rozwiną. Gruba zachodzi różnica między tarczogłowymi a gadami. To co mówisz, brzmi tak samo, jakbyś nazwał *Archegosaurusa* rybą dla tego jedynie, że z rodu ryb pochodzi.

— To co innego, ryba pływa w wodzie, oddycha skrzelami...

— A widzisz! Teraz się złapałeś. Tarczogłowe przez całą młodość swoją są jeszcze, jak gdyby rybami. Pływają w wodzie i oddychają skrzelami. Każdy zginąłby wyjęty z wody na powietrzu. Gad tymczasem prawdziwy, np. jaszczurka albo wąż, od wyjścia z jajka oddycha płucami i żyje na lądzie.

Stanisław zamilkł a uznając zapewne, że w porównaniu do umiarkowanej wiedzy zajmuje chwilowo zbyt wysokie stanowisko, zeszedł z mokrego skrzypu na wilgotniejszą jeszcze ziemię i stał się bardzo pokorny.

Lord Puckins wyjął długi, składany, ostry niby brzytwa nóż myśliwski i z ukosa okiem znawcy mierzył nie poruszające się w bagnie potwory.

Stanisław zauważył przygotowania Anglika i skrzywił się niemilosiernie. Był między młotem a kowadłem. Głód kazał mu

¹⁾ Nazwa pochodzi od płaskiej, tarczokształtnej budowy czołowej części czaszki.

godzić się z planem Puckinsa — zakorzeniony zaś wstręt do zwierząt zimnokrwistych zmuszał do protestu.

— Czym można sobie wyjaśnić powstaniu tych zwierząt — zapytał lord Puckins. — Czy przerybieniem wód?

— Zapewne — odrzekł geolog — pewne wody śródlądowe mogły być nawet skutkiem wielkiej mnożności ryb przerybione, więc małe gatunki skutkiem głodu, a także uchodząc przed drapieżnikami zapędzały się na bardzo płytkie miejsca. Przy nieśtałości poziomu wód zdarzały się wypadki, że znaczne obszary tych wodnych przytułków zostawały w pewnych okresach na długo odosobnione. Wodne te zbiorowiska z braku dostatecznego dopływu świeżej wody w znacznej części wysychały przynosząc nieuniknioną zagładę miliardom ryb, które w porę nie zdążyły przenieść się na głębsze miejsca. Pewne jednak, wytrzymalsze gatunki czołgały się wytrwale po błocie, wyszukiwały głębsze dołki i bagna i czekały, póki deszcz nie zasili ponownie wodą wysychających trzęsawisk. Te wytrwałe gatunki oraz ich potomstwo wygrywały na borykaniu się z losem. Coraz lepiej i dłużej mogły znosić zabójcze dla innych ryb przebywanie w nadmiarze powietrza. Powoli przekształcały się ich organa oddechowe, a za nimi i ustrój ciała, i z istot czysto wodnych powstały następnie ziemnowodne zwierzęta.

Lord Puckins przytakiwał głową i co chwila spoglądał na Stanisława. Badał wrażenie, jakie na nim czyni wymowa profesora.

Oblicze jednak Stanisława było sfinksowe.

Geolog zamilkł na chwilę, po czym korzystając z niezakłóconego spokoju słuchaczy kończył myśl swoją:

— Z biegiem czasu następne pokolenia, żyjące w podobnych warunkach, coraz lepiej przystosowywały się do życia na lądzie. Nie tracąc tedy skrzeli dostawały płuc, pletwy przetwarzały się im w kończyny, zdatne od biedy do czołgania się i odtąd dawne małe niby-rybki mogły wypęłzać nawet na suchy grunt i bawić na nim tak długo, jak im się podobało¹⁾. Tym okolicznościom zawdzięcza ród tarczogłowych swoje powstanie.

¹⁾ Patrz rys. na str. 93. Ryba *Holoptychius* (w prawym dolnym kącie rysunku) ma już dwie pary dobrze wykształconych pletw, jakby umożliwiających pełzanie po gruncie. Z tych to prawdopodobnie organów powstały następnie nogi kręgowców lądowych.

— Pozwól, profesorze, abym uzupełnił twoją teorię praktycznym wywodem — odezwał się nagle Anglik.

— Słucham, twoje uwagi zawsze wnoszą niemało światła do najciemniejszych i najzawilszych kwestii.

— Dzięki za komplement — przerwał mu skromnie Puckins, przekonany w duszy, że profesor nie przesadził nic a nic... — Moja uwaga będzie krótka. Skoro jadamy ryby i smakują nam one niezgorzej, byłoby całkiem nielogiczne uważać tarczogłowe za niejadalne. Wszak to w gruncie rzeczy tylko dawne, stare ryby, które wyszły na ląd i tam już zostały...

— Stare ryby? — przerwał pośpiesznie Stanisław — i to takie, co wyszły na suchą ziemię i tam już zostały?

— Tak jest!

— O! to ślicznie dziękuję! Ja wolę świeże i o ile można prosto z wody!

Uśmiechnął się geolog na takie *qui pro quo*.

— Powiedz, lordzie, raczej udoskonalone ryby — poprawił — to będzie ładniej brzmiało. W istocie udoskonalenie się owej organizacji ryb przyniosło niesłychanie ważne następstwa. Odtąd zwierzęta kręgowie nie poprzestawały na wodnym żywiole i objęły w posiadanie niezmierne, dotychczas niedostępne dla nich obszary lądów i wysp. Napęłniły wilgotne lasy, głuche puszcze i rozległe bagna od bieguna do bieguna.

— Jak mogły być lasy od bieguna do bieguna? — zagadnął Stanisław z miną wyzywającą. — Co dzień lepiej przypominał on sobie zasłyszane urywki dysput w gabinecie pana. Wszak dokoła biegunów jest 60 tysięcy mil kwadrat. lodów i śniegów?

— Daj go katu — mruknął lord — ten chłopak mi się podobą. Sypie cyframi jak z rogu obfitości i nic a nic nie troszczy się o zera.

Uwagi tej na szczęście nie dosłyszał Stanisław, więc napuszony spoglądał w oczy profesora. Ten z pobłażliwym uśmiechem położył rękę na ramieniu oponenta.

— „Wieczne lody“ nie są wiecznymi. Były okresy w dziejach ziemi o jednakowym klimacie, tak że na biegunach było tak samo ciepło, jak przy równiku. Później działo się rozmaicie. Raz

jeden biegun, to znowu drugi okrywały się lodami. W okresach, kiedy lody spod biegunów rozprzestrzeniały się daleko na sąsiednie obszary, następowały przewroty w świecie organicznym. Były to okresy lodowcowe. Dotychczas znamy okresy lodowcowe z czasów przedpaleozoicznych, paleozoicznych i z czasów stosunkowo niedawnych, tak zwanych dyluwialnych, kiedy już istniał człowiek.

— Ale chyba nie wszystkie ryby okresu węglowego przemieniały się na tarczogłowe? — zapytał z nietajonym niepokojem Stanisław.

— Naturalnie! słyszałeś przecież, że los ten spotkał jedynie ryby bagien i wód bardzo płytkich. Morskie i głębokowodne pozostały nadal rybami.

— Więc w rzekach tutejszych nie brak ich?

— Nawet w strumieniach!

— Cieszy mię to — zawołał Stanisław. — Niech pan zamknie swój nos — odezwał się do lorda — ja biorę już na siebie dostarczenie czegoś lepszego od pańskiego przysmaku!

Nagle spochmurniał i spojrzał na geologa.

— Czy tarczogłowe mają zęby? — zapytał nieśmiało.

— Bardzo ostre nawet, chociaż niektóre gatunki zdaje mi się, że są bezzębne, a wszystkie czynią z nich bardzo umiarkowany użytek.

— O, to pięknie z ich strony... — szepnął Stanisław rozjaśniając oblicze.

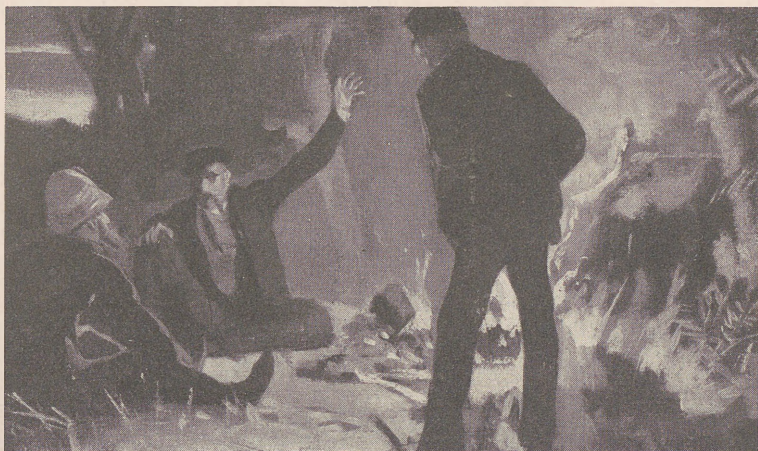
— Wolą połykać zdobycz bez przegryzania — dokończył profesor. — Są to zwierzęta niesłychanie żarłoczne.

— O panie, ja bym je wszystkie wytępił! Zasługują na to w zupełności!

— Za późno się wybrał. Dziś istot tych wcale nie ma. Wyginęły już bardzo dawno. Jak to ci już wspomniałem dzisiejszymi potomkami tarczogłowych są: skrzeki (Amphibia) oraz gady prawdziwe (Reptilia).

Pomimo wszystko, Stanisław nie dał się nakłonić do zakosztowania pieczeni ani z wielkiego Archegosaura, ani nawet z najmniejszego tarczogłowego i póty przekonywał towarzyszków

o swoich zdolnościach rybackich, aż zgodzono się na towarzyszenie mu do strumienia, który toczył jak kryształ przejrzystą wodę po czystym żwirze. Tu podjął się rękoma bez wędki zdobyć „uczciwe pożywienie”. Jakoż po niezliczonych zawodach dokazał



Przed wieczorem trójka nasza siedziała przed roznieconym ogniskiem

swego. Przed wieczorem trójka nasza siedząc przy roznieconym z wielką trudnością i dymiącym ognisku piekła wodne zwierzęta wprost na węglach lub na patyczkach w taki sam sposób, jak to czynią do dziś dnia „dzicy” mieszkańcy puszczy brazylijskich.

XIII.

OKRES PERMSKI.

Znikła bez śladu bujna puszcza węglowa.

W wielu miejscach dawne lądy pokryły sięorskimi osadami, grubymi na kilkaset, a nawet parę tysięcy metrów.

Nową powierzchnię pokrywały nowe bagna, pustynie i lasy.

Nasza trójka znalazła się w nad wyraz ponurym pustkowiu.

Błede, duże słońce dziwnie martwą i jakby spłowiałą jasnością oblewało piaski i kamienie nagie.

— Jedna noc i taka zmiana! — szeptał Stanisław przerażony.

— Niecała nawet! — mruknął Puckins. — Z powodu przemoknięcia długo oka zmrużyć nie mogłem. Zdrzemnąłem się najwyżej na dwie godziny, mimo to nie zauważyłem przewrotu.

Geolog zachowywał uporczywe milczenie. Nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. To tylko spostrzegął, że w słowach Anglika, z których wczoraj szydził jeszcze, mieściła się część

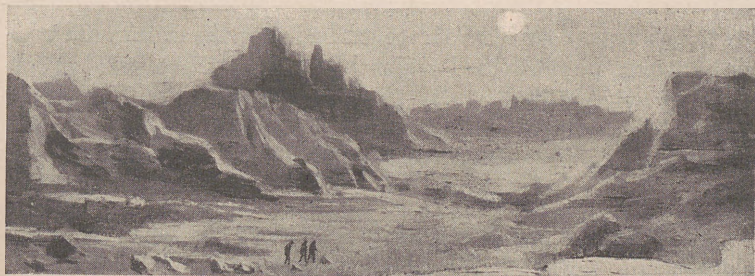
prawdy. Nie było rady; wypadło pogodzić się z niewytłumaczonymi przeskokami. Tymczasem niepokój owładnął naszą trójką. Przeczuwano od rana, że dzień będzie okropny. Nie było ruchu w powietrzu, najmniejszego obłoczku na widnokręgu. Zdawało się, że lekkie piórko spadłoby prostopadle do ziemi. Czuć było na ciele jakieś szczypanie, a kroplisty pot obficie spływał po skroniach. Cisza taka przykrzejsza od grzmotu huraganów. Strasznie było ponuro.

— Co teraz czynić? — Dokąd iść, aby wydobyć się z tego okropnego miejsca? — pytał sługa, ocierając kroplisty pot z twarzy.

— Nie wiem — rzekł Puckins. — Tyle tylko czuję, że jutro możemy, a nawet powinniśmy się znaleźć w naszym świecie.

— Skąd pan wie o tym?

— Nie pytaj! niech ci wystarczy samo zapewnienie. Obliczyłem to, a jutro się przekonamy. Teraz naprzód! może znajdziemy trochę cienia.



Jednostajność nużącego wleczenia się po dzikiej równinie

Ruszono. Jednostajność nużącego wleczenia się po dzikiej równinie, otoczonej skałami, dała się już mocno we znaki. Łatwo też wystawić sobie radość naszych biedaków, gdy po trzech godzinach marszu w otoczeniu nagich skał, wznoszących nad ziemią ostre wierzchołki, usłyszeli szum głuchy.

Choć droga była usłana skalistymi odłamami, na przemian ostrymi, to znów oglądzonymi od wiekowego działania wód, sił im nagle przybyło, bo tak tylko woda huczy, gdy ze stromej skały spada i rozbija się o ściany przepaści.

Nie omylił ten grzmiący zwiastun oazy. Po półgodzinnej drodze, najeżonej kamieniami, po przejściu dwóch wyschłych łożysk dawnych potoków ujrzano pod stopami rozkoszną dolinę.

O kilkaset kroków, dwoma szerokimi pasmami przelewał się, grzmiał i pieniał wodospad, rosząc okolicę tumanem drobnych kropelek wody.

Otoczony zielenią olbrzymich skrzypów natrafiał w połowie spadku na próg skalny, odbijał się od niego, kłębił cały w pianach po dzikim urwisku, aby zniknąć w niedostrzegalnej jeszcze dla oka widzów przepaści.

Srebrna struga połyskiwała brylantami rozbitych cząstek wody na tle ciemnej zieloności, towarzyszącej jej aż na dół. Zeszli nasi podróżni po ostrych, omszałych zwaliskach w nizinę i ujrzeni się w cieniu *skrzypów*, *kalamitów* i *paproci*. Skąpy to był cień, bo paproci było niewiele, a jednak podróżnym zdawało się, że są chyba w raju, gdy spoczęli na miękkim z mchów posłaniu.

W pobliżu na słońcu wygrzewało się kilka uśpionych gadów. Zwierzęta owe były okryte grubą i szorstką skórą, a właściwie skorupą, popękaną od starości w nierówne tabliczki. Przypominały wielkie jaszczurki, choć podobne były po części do krokodyli.

Apatyczne i wstrętne, rozciągnęły się w niedbałych a niemal wyszukanych pozach.

— Niedługo znajdziemy się w naszych okolicach! Oto jakieś sosny czy jodły! — zawołał Stanisław.

Profesor popatrzył uważnie na przepyszną grupę dziwnych drzew iglastych.

— Daleko nam jeszcze! — rzekł z niechęcią. — Nie są to wcale sosny ani jodły, lecz *walchie* i *ulmannie*. Dzięki tym drzewom dowiedziałem się nareszcie, gdzie jesteśmy. Otacza nas dopiero świat okresu permskiego. Ziemia od wczoraj zestarzała się znowu niezgorzej. Spójrz tylko na tę fantastyczną grupę skał. To są szczątki jednolitego niegdyś szeregu warstw osadowych. Tam, gdzie sięgają wierzchołki tych skał — tam dopiero była dawniej powierzchnia gruntu. Z czasem wody rozmyły i zniwelowały ten grunt do dzisiejszego poziomu. Otóż czas potrzebny na dokona-

nie podobnego dzieła jest drobnostką w porównaniu do czasu, jaki nas oddziela od wczoraj widzianego świata.

Stanisław chwycił się za głowę.

— I mimo to pan powiedział, że ziemia „trochę tylko” się zestarzała?

— Naturalnie! W życiu ziemi podobny okres nie stanowi wiele. Wszak nawet szata roślinna, jak widzisz, nie zmieniła się zbyt wiele. Wprawdzie na próżno byś teraz szukał większości roślin okresu węglowego, ale skrzypy są jeszcze piękniejsze niż dawniej. Tarczogłowe także dotąd rej wiodą. Wprawdzie nie ma już połowy dawnych gatunków, a panowanie ich na ziemi ma się ku schyłkowi, ale jeszcze dużo czasu upłynie, zanim ustąpią pierwszeństwa nowym rodzajom zwierząt.

W tej chwili jeden z gadów, dotąd nieruchomych, podniósł długi łeb w górę, leniwie obejrzał się w lewo, obrócił zwolna oczyma, potem skierował głowę na prawo i pozostał tak długą chwilę jak skamieniały. Ziewnął wreszcie przeciągle, a tak szeroko, że można było przez ten czas dokładnie obejrzeć białe, z lekka tylko zaróżowione wnętrza paszczy i nie zmieniawszy bynajmniej niewygodnej pozycji powrócił do przerwanej drzemki. Nie zdjął nawet łapy, którą trzymał opartą na łbie sąsiada. Można to było wziąć za poufałość albo pieszczotę, do jakich są zdolne nawet najdziksze zwierzęta, ale tutaj był to prosty przypadek.

Gad nie troszczył się bynajmniej o sąsiada, łeb jego był dlań taką samą obojętną podporą, jaką byłby pierwszy lepszy kamień.

— Spójrz na tego łuską okrytego zwierza — rzekł tymczasem geolog, dostrzegając innego drzemającego gada.

— Cóż to za jegomość? — zapytał lord Puckins.

— Jest to *Proterosaur*, prawdziwy dygnitarz ziemi. Jako prawy gad łączy w sobie cechy znanych ci, lordzie, jaszczurek, żółwi i krokodyli, które zjawiają się później. Z jego rodu wyjdzie znaczna ilość ważnych w historii ziemi gatunków gadzich, a kiedyś, w bardzo dalekiej przyszłości, z potomków jego potomków w prostej linii rozrodzi się barwny świergotliwy ród ptasi.



Spójrz na tego łuską okrytego zwierza

Ho, ho — zauważył lord Puckins — to nie lada figura. O jaszczurki i krokodyły mniejsza; ale gdy pomyślę, że mam przed sobą praszczura cudnego słowika, miluchnych jaskółek... wspaniałych orłów...

— Smacznych bażantów, tłustych gęsi... — dodał Stanisław.

— To przyznać muszę, że w żyłach tego potworka płynie krew szlachetna.

— Proszę pana profesora — przerwał nagle Stanisław — jeżeli się nie mylę, to żaby są także bliskimi krewniakami tego Pro... pro... tazo...

— Proterosaura!

— Właśnie!

— Nie należą one wcale do jego rodu. O tyle tylko mogą się poczytywać za krewniaków, o ile nadaje im do tego prawo wspólne pochodzenie od tarczogłowych — odrzekł geolog.

— A więc miałem słuszność — podjął Stanisław — a węże, to także krewniaki?

— Te w znacznie bliższym będą dopiero zostawać pokrewieństwie.

— Dlaczego będą dopiero?

— Bo ich jeszcze nie ma. Powiedz mi jednak, czemu zaprzątasz sobie głowę podobnymi rzeczami?

— Ech, tak sobie. Przyszedł mi na myśl bocian.

— Bocian? Z jakiejże to racji przypomniał ci się właśnie teraz bocian?

— Zły z niego, jak widzę, familiant — odrzekł Stanisław.

— Zamiast uszanować, prześladuje krewniaków na każdym kroku.

Profesor nie mógł się powstrzymać od ironicznego uśmiechu.

— Jesteś wymagający, mój drogi! Jeśli ptak godzi na ptaka, owad na owada, co więcej, jeżeli człowiek nawet otacza aureolą bohaterstwa mordowanie równych sobie ludzi, dla czegożby bocian miał oszczędzać żabę?

Refleksje te przerwało pojawienie się ogromnego tarczogłowego.

Wstrętny, połyskujący od wilgoci wydzielającej się ze skóry, zmierzał on z właściwą swemu rodowi powolnością ku mizernej

kępce zieleni. Światło odbijało się jakby od szmaragdów od oczu ożywiających brzydki łeb tego zwierza. Próżno by było zgadywać po tych oczach bez wyrazu, co pędzi ich właściciela: głód czy chęć spoczynku po sutej biesiadzie? Zwierz miał chód nienaturalny. Gdy zbliżył się dostatecznie, podróżni nasi dostrzegli, że wlecze się na trzech tylko łapach. Nie dlatego jednak, aby nie posiadał czwartej, ale że jedna była miniaturką. Wypadek, o jaki nawet i w świecie gadów nie trudno, pozbawił gada jednej nogi. Gdyby on był istotą wyższą, np. ptakiem lub zwierzem ssącym, zostałby już na zawsze kaleką. Ale u ziemnowodnych uszkodzone organa odnawiają się łatwo.

Mała łapka była właśnie odradzającą się kończyną, która po pewnym czasie dorośnie do wielkości utraconego członka.

Lord Puckins, stały miłośnik osobliwości, zapragnął dokładnie obejrzeć bądź co bądź ciekawą nóżkę. W tym celu okrążył potwora i zbliżył się doń poufale. Profesor już go miał ostrzec, aby się nie narażał, ale w tej samej chwili Anglik wydał okrzyk zdumienia.

Zaprawdę miał się czemu zdziwić nawet zimny syn Albionu. Cały bok zwierzęcia był okrwawiony i poszarpany, a przez okropną ranę z jednej strony bulgotało powietrze, uchodzące przez uszkodzone płuca, z drugiej wypływały wnętrzności. Rana nie była wcale świeża ani w stanie gojenia się. Bez uczucia zgrozy trudno było patrzeć na pokaleczone stworzenie.

— Skąd on jeszcze ma siły wlec się! — zauważył Stanisław i odwrócił oczy od zwierza.

— Jak na gadzią wytrzymałość rana nie jest ciężka i może się zagoić — zawyrokował profesor.

— Nie podobna!

— Nasze żaby i salamandry wychodzą cało z gorszych opalów, jakże możesz posądzać ich prototyp o mniejszą wytrzymałość? — odparł uczony. — Nerwy tych zwierząt nie są czułe, małeńki i niewykształcony mózg grube tylko przyjmuje wrażenia, więc cierpią bez porównania mniej, aniżeli się nam zdaje sądząc po własnej wrażliwości. U gadów nawet ciężkie rany nie są zdolne wywołać groźnych zaburzeń w organizmie. Ten potwór, mimo że jelitami jego nakarmił się już inny, gdyby

tylko znalazł właściwą sobie zdobycz, jestem pewny, że jeszcze nie darowałby jej.

Gdy tak rozmawiano, niebo powlokło się sinoolowianą barwą i przeciągłe drżenie wstrząsnęło ziemią. Gdyby to było w mieście, mogłoby się zdawać, że przejechał wóz ładowny po kostkowym bruku. Po kilku sekundach wstrząśnienie w połączeniu z grzmiotem (który był niczym więcej jak szybką wibracją gruntu) powtórzyło się z ogromną siłą. Nieruchomo nasłuchujący geolog zbladł na chwilę, ale prędko się opamiętał.

— Będziemy mieli niespodziankę — wyrzekł siłąc się na spokój.

— Oby tylko nie ostatnią w życiu! — dodał Anglik.

— O ile mi się zdaje, skorupa ziemi jest o parę mil cieńsza aniżeli za czasów człowieka. Gotowa jeszcze rozpruć się i pochłonąć nas.

— Trzęsienie ziemi! — krzyknął Stanisław — który dopiero teraz pojął grozę położenia.

Słowa jego zagłuszył przewlekły grzmot.

Nasza trójka zatoczyła się. Stanisław padł na ziemię i zakrył oczy rękoma.

Po krótkiej przerwie nastąpiło kilka potężnych wstrząśnień. Jedno z nich powaliło na ziemię profesora.

Jedynie ten, kto przeszedł podobną katastrofę, może mieć pojęcie o grozie zjawiska.

Mimo to geolog zachował dużo zimnej krwi. Nie omieszkął on pocieszać Stanisława twierdzeniem, że nie stało się nic nadzwyczajnego.

— Dziwne to jednak — odezwał się lord Puckins — że tak pospolite na ziemi zjawisko działa zawsze jednako silnie na nerwy ludzkie. Jeśli nikt nie dziwi się, gdy pioruny biją lub grad pada, tak samo nikogo nie powinno zbytnio przerażać, gdy w skorupie ziemskiej zachodzą od czasu do czasu maleńkie a nieuniknione, jak powiadasz, profesorze, ruiny. Obrachować już trudno, ile ziemia przetrwała tego rodzaju wypadków i przetrwała szczęśliwie.

CZĘŚĆ II. ŚWIAT MEZOZOICZNY¹⁾.

XIV. OKRES TRIASOWY.

Złote promienie wschodzącego słońca oblały purpurą niebo, a puszcza zaświeciła weselem swych błoń, lasów i wodnych zwierciadeł.

Niebotyczne drzewa iglaste, kołysane wiatrem, podawały sobie wiecznie zielone konary niby do uścisku bratniego. Obok nich grubopienne *sagowce* poważnie chwiały swymi pióropuszami.

Coś szczególnego mają w sobie te dziwaczne rośliny, będące połączeniem trzech całkiem różnych typów. Jest w nich

¹⁾ Era mezozoiczna (z greckiego — mesos — środkowy), czyli era środkowa w rozwoju świata zwierzęcego. Era ta składa się z trzech okresów, a mianowicie:

1. t r i a s o w e g o (z greckiego trias — trójca), gdyż składa się z trzech epok;
2. j u r a j s k i e g o — od gór Jura w Szwajcarii, gdyż tam po raz pierwszy poznano faunę kopalną i skały pochodzące z tego okresu;
3. k r e d o w e g o — od kredy piszącej, odgrywającej ważną rolę wśród skał pochodzących z tego okresu, zwłaszcza w Anglii i Francji.

coś z natury paproci, coś z drzew iglastych, a dużo z prawdziwych palm, jakie później ziemia wydać miała.

Owoce w postaci szyszek, o nasionach nagich, pojawiających się między łuskami szyszkowymi, zbliżają te palmy do sosen i araukarii; od paproci przyjęły znów pierzaste listowie, wystrzelające z wierzchołka pnia grubego. Choć nie tak smukły jak u palm, słupkowaty i ociężały, ma jednak ogromne do nich podobieństwo. Sagowce obok drzew iglastych nadawały ton całemu obrazowi, całej epoce, były to bowiem najdoskonalsze dzieci świata roślinnego. U ich stóp cisnęły się krzewy, trawy, a gdzieś niedziedzie i zbita gęstwina najprzeróżniejszych roślin triasowych.

Otworzyły oczy nieliczneienne stworzenia, zapóźnione zaś nocne śpieszyły ukryć się w mrocznych zaułkach.

Rozbudzeni wędrowcy zdumieni się nad pięknnością krajobrazu.

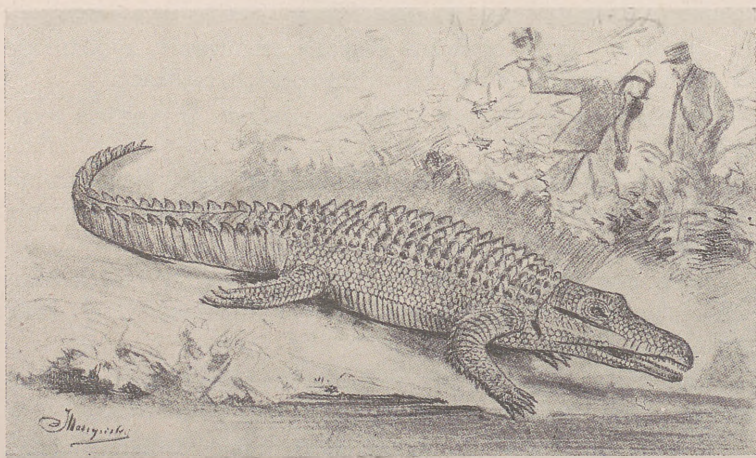
Brakło jedynie kipiącego życiem lekkoskrzydłego tłumu wyższych owadów i gwarne ptactwa, aby sprawić złudzenie współczesnych borów podzwrotnikowych.

Świat czworonogów, ostrożny i podejrzliwy, krył się w mroczach zieleni tak dobrze, iż można było mniemać, iż go brak zupełnie.

Zamożność roślinnej przyrody, odznaczającej się bujnością młodego życia, przedstawiała się tu w całej okazałości.

Wprawdzie drzewa, co przez wieki urągały śmierci, padły, a na ich cielska rzuciły się wnet grzyby, pleśnie, mchy i porosty, aby co prędzej zrujnować twarde komórki, aby dostarczyć żywotnych konarów, sterczących z ziemi niby widma, by wystrzeliły świeże latorośle i pośpiesznie zatarały ślady śmierci, jaką upadłe kolosy przypominały. Lecz i ich byt nie jest całkiem pewny. Gdy huragany się rozszałeją, gdy puszcza pochwyczona zostanie w wir ich objęcia, niejednen z tych młodych dumnych zuchów podzieli los poprzedników i wyrzucony z korzeniem da świadectwo, że w tej dzikiej, wolnej przyrodzie śmierć jest wszechwładną panią i choć odradza, ale bezlitośnie także niszczy. Podróżni nasi błakali się czas jakiś po cudnych gajach i zaroślach, aż natrafili na malowniczy brzeg rzeki, leniwo toczącej mętne swe wody.

Tu i owdzie z nurtów wyrastały gęste kępy roślin i szuwarów. Uroczystą ciszę przerywał tylko nikły szelest sztywnych skrzydełek ważki, najdawniejszego reprezentanta skrzydlatego świata albo innych przedstawicieli drobnego świata sześcionożnego, ukrytego wśród liści i gałęzi. Nie spotkano ani jednego zwierza. Dopiero nad samą wodą przekonano się naocznie, że puszcza drga ukrytym życiem. Gdy zbliżono się do brzegu, obił się o uszy naszych wędrowców niezwykle szelest. Mimo woli gromadka nasza stanęła i nieruchomie badała przyczynę szelestu.



Belodon sunął jak strzała...

W poprzek drogi, którą właśnie miano przebyć, dążył do wody posuwistymi i szybkimi rzutami okazały krokodyl, wobec którego największy amerykański byłby jeszcze karłem.

Za każdym rzutem w kierunku prostym, szeroki i płaski olbrzym przebiegał w mgnieniu oka najmniej 200 kroków — potem przez parę sekund pozostawał nieruchomy i znowu, zbaczając zygzakowato od pierwotnego kierunku, sunął jak strzała 200 kroków. W ten sposób dwa tylko razy podróżni mogli dokładnie objąć wzrokiem olbrzyma, zanim znikł w nadwodnej gęstwinie. Jeszcze sekunda — i rozległ się gwałtowny plusk wody. Płaskogłowy i krótkoszyjny potwór rzucił się w nurty,

trzy razy za sobą rozbił fale potężnym ogonem z taką mocą, że obfita piana wytrysła przynajmniej na 10 metrów w górę. Nastąpiła znowu cisza.

— Wspaniała sztuka! — zauważył Stanisław.

— Mają się z pyszna jaszczury, wśród których taki nieustraszony wilk wodny grasuje — zauważył profesor.

— Cóż to za jeden?

— *Belodon*, przodek naszych kajmanów i aligatorów, nie mniej od tych mizeraków żarłoczny i zuchwały, ale tylko dzie sięćkroć silniejszy. Sieje on postrach i zniszczenie nad rzekami i żaden mniejszy gad nie może się bezkarnie zbliżyć do wody, w której on obrał siedlisko.

— A na lądzie nie jest groźny? — zapytał sługa.

— Rzecz prosta! Godzinami nieruchomy czatuje zanurzony, z nozdrzami jedynie wysuniętymi na powietrze, ale na zdobycz rzuca się jak błyskawica, ostrymi zębami chwytając i wciąga do wody, gdzie powoli na dnie rozszarpuje szponami potężnych łap przednich i połyka. Choć zwinny i nieustraszony w swoim żywiole potwór ten na suchym gruncie staje się bojaźliwy, niezgrabny i ociężały. Tylko strach zmusić go może do żwawych ruchów, a wtedy ucieka szybko.

— Po cóż wyłazi z wody, kiedy mu w niej najlepiej?

— Najprzód lubi się wygrzewać na słońcu, a zresztą ma naturę cygańską. Nudzi mu się w jednej okolicy. Wędruje od wody do wody. Gdzie kilka *belodonów* przebywa, tam wkrótce zbraknie im żeru, więc zgłodniałe dążą przez zarośla szukając nowych wód i mniej ostrożnej zdobyczy. Na lądzie tak dalece nie umieją sobie radzić, że się stają często pastwą innych większych gadów.

— Więc są tu jeszcze potężniejsze gady? — wykrzyknął przerażony Stanisław.

— Mój drogi, jesteśmy w puszczy triasowej. Jest to raj gadów. Pozornie spokojna, ukrywa ich legion nieprzeliczony. A cóż za różnorodność i kształtów, i obyczajów. Od małych aż do olbrzymów. Są tu jaszczury, o których znane ci jaszczurki najslabszego nie dają wyobrażenia. Prócz gadów lęgną się jeszcze w dziewiczych bagnistych ostępach olbrzymie skrzeki. Flegmatyczne *labirintodony* wiodą wśród nich rej.

— I moglibyśmy się spotkać z takimi potworami? — zapytał sługa.

— Nic łatwiejszego! — odrzekł profesor — ale nie lękaj się nawet drapieżnych. Nasze postacie będą dla nich nowe i nieznane, więc przez wrodzoną ostrożność będą nas omijać.

— A gdybyśmy spotkali bardzo wygłodniałego gada?

— Hm... wtedy nie ręczę, czy nie wzięłyby się do naszej skóry...

Stanisław umilkł, bynajmniej nie uspokojony.

Nie było po co zostawać tu dłużej. Ruszono zwolna na północny zachód. Anglik przekonany, że się omylił w rachubach o dzień jeden, nie przypominał nikomu wczorajszych swoich zapewnień. Pocieszał się, że wobec tysięcy wieków o jakie chodzi, dzień jeden niewielkiego jest znaczenia.

Podróżni przez cały dzień prawie błakali się po wymarłej na pozór okolicy. Mimo że w Angliku obudził się turysta, a przyrodnik gotów był do obserwacji, nad wyraz pusto i duszno było im w tym świecie.

Pierwszy Anglik zwierzył się Przedpotopowiczowi ze swego wrażenia.

— Nie dziwię się temu — odparł uczony. — Dla nas, istot o krwi cieplej, żwawych i wrażliwych, świat to ponury. Żywot tych gadów, przeważnie nocnych lub zmierzchowych, w porównaniu z naszym, lubującym się w promieniach słońca, to pół życia, to ćwierć życia zaledwie.

— Zresztą wszystko tu jakieś leniwe, obojętne, milczące — zauważył Puckins.

— Młoda przyroda! ot i wszystko! — wyrzekł uroczyście profesor.

— Ładnie mi młoda! — zawołał Anglik.

— Ależ tak! Typ kręgowych w stosunku do czasu, jaki pozostaje mu do przeżycia, jest tu jeszcze młodociany, i mimo imponujących rozmiarów ciała jest nierozwinięty. Wspomnij, lordzie, na gwarną, ruchliwą i nerwową rzeszę naszej epoki i popatrz okiem filozofa na tę drętwą i jakby zaspaną galerię, a ocenisz dopiero, co za przepaść dzieli nas od niej... Świat to na przełomie — i nie można go sądzić surowo. Zrodził się w ciężkim ośrodku, pod ciśnieniem fal oceanu, wśród wiecznego

mroku! — cóż dziwnego, że pierwsze kroki w lżejszym żywiole stawia niezgrabnie, że blask słońca jest mu przykry, oddychanie samym powietrzem zbyt upajające, cóż dziwnego, że ród, nawykły ślizgać się lekko wśród wody, porusza się z trudnością po chropowatym a twardym gruncie stałym, że kończyn nie umie używać, że pęłza dopiero po błocie i chętnie wraca do dawnego żywiołu.

— Masz słuszność, profesorze! zapomniałem, a raczej nie pomyślałem, jak pierwotny jest ten świat.

— Z wyjątkiem niewyszukanego hukania lub monotonnego rechotania skrzyków, jedynych zwierząt obdarzonych do wydawania jednostajnego dźwięku, ani jeden prawdziwy krzyk zwierzęcy nie zakłócił milczenia ziemi. Z gardła istot żyjących, jak ziemia ziemią, nie wyrwał się jeszcze głos radości lub strachu. Jedynymi dotąd dźwiękami są szmery, szepty i szelesty roślin, kołysanych od wiatru, plusk deszczu, szum potoków i wodospadów oraz grzmoty piorunów, urozmaicane niekiedy podziemną kanonadą... Na twardych, niby nieruchome maski, obliczach mieszkańców ziemi nie zaigrał jeszcze wyraz zadowolenia lub radości... Zdaje się rzeczą nie do wiary, gdy się pomyśli, że żaden z tych kręgowców nie poczuł się choćby raz smutnym lub wesołym. Nawet w mękach fizycznych nie odczuwał on tyle smutku, ile smutny jest pies głodny, gdy waruje przed jadłem... Czy widział kto mimikę ryb? tych stworzeń, które nie tylko twarzą, ale całą postacią niezdolne są nic zgoła wyrazić? Otóż każdy ich gadzi potomek, choć nabył dużo giętkości w ciele, nosi jeszcze maskę, której nie zdejmuje aż do śmierci. Stwardniała skorupa, często pancerz rogowy, niby przyłbica skrywają wewnętrzne poruszenia. Tylko maskarady ludzkie dają podobny obraz zgiełku przy zupełnej nieruchomości rysów. Pod maskami jednak balowymi drgają zasłonięte oblicza obszerną skalą uczuć subtelnych, a tu martwota rysów sięga aż do ostatnich skrytek mózgu i serca!... Choćby tym istotom zmiękły nawet rysy i stały się podobne do wyrażenia gniewu, smutku lub radości, jeszcze by one pozostały martwymi, bo ponad to, co ukazują, nie mają biedne nic więcej do oddawania...

Urwał profesor i zamyślił się.

Lord Puckins żywo zaoponował:

— Biedne powiadasz? Ależ one godne zazdrości! Ten świat bez uczucia stokroć jest szczęśliwszy od naszego. Nie odczuwa on co prawda szczęścia, którego zbyt mało jest na ziemi, ale za to nie obchodzą go cierpienia ani własne ani cudze. Wygrywa więc na czysto.

— Jeśli komu, to tobie, milordzie, nie godzi się chyba sarkać na brak szczęścia na ziemi... — odrzekł geolog.

Anglik wybuchnął.

— Cóż, żem szczęśliw do zbytku? cóż stąd, że mogę się weselić? Sądzisz, żem ślepy i głuchy? Zbyt dobrze rozumiem, że gdy ja się śmieję, dziesięciu płacze, a stu cierpi w milczeniu. I szczęście moje jest już u źródła zatrute.

Nastąpiła chwila długiej zadumy.

Nie przerywał jej profesor, a nawet Stanisław oblókł się w powagę.

— Biedny ten świat ryb i gadów! — powtórzył wreszcie profesor. — Drapieżne, choć leniwe, nie znają co smak; obżarte aż do obrzydliwości nierozróżniają lepszego od gorszego; pozbawione uczuć zadowolenia lub wstrętu, cierpliwe do ostateczności w wyczekiwaniu aż zdobycz sama się nawinie. Na poły głuche, bez węchu, nie znają co to gniew lub jakiegokolwiek uczucia żywsze, nie znają słodczy macierzyństwa, nie troszczą się zgoła o nic. Nie wchodzą nigdy w przyjazny, a choćby poufny stosunek ani między sobą, ani z innymi gatunkami. Tylko raz na lat parę może budzi się w nich bezwiedne pożądanie, a wtedy tak dalece absorbuje ono niedojrzałe władze mózgowe, że przez tygodnie całe, ślepe i głuche na wszystko, mogą się stać ofiarą znacznie słabszego napastnika.

— Dość! profesorze, bo mię zimno przenika do kości — jęknął Puckins. — Jesteś nieubłaganym naturalistą. Biedny jest ten świat triasu!

— Bawimy się spokojnie gawędką, tak zupełnie, jakbyśmy byli u siebie — zauważył — a tu tymczasem nie jesteśmy pewni jutra.

Geolog westchnął. Dręcząca go od kilku dni nierozwikłana zagadka znowu jaskrawo stanęła mu w umyśle. Już miał poruszyć kwestię jutra, ale się wstrzymał. Wstyd go zdjął

przyznać przed Anglikiem, że mimo woli kieruje się wskazówkami „niedorzecznej“ hipotezy jego.

Lord Puckins czuł to i przez delikatność ani słówkiem nie dotknął nadziei, jaką żywił. Dla odwrócenia kierunku myśli przerzucił się na całkiem inny przedmiot.

* * *

— Ciekawym bardzo — rzekł lord — czy nauka może odpowiedzieć na pytanie, jak będzie wyglądała Europa jutro, to jest za *jurajskich* zapewne czasów?

— Europy, w znaczeniu geograficznym, nie będzie jeszcze jutro, jeśli istotnie dożyjemy okresu jurajskiego — odrzekł profesor.

— Domyślałem się tego, będzie zapewne mniejsza lub większa, ale jaka ona być może?

— Częstka jej tylko wystawać będzie nad powierzchnię oceanu i odpowiadać będzie mniej więcej dzisiejszemu obszarowi Skandynawii, lecz w dzisiejszych zarysach. Pozostałe lądy będą miały inne zarysy i inne rozmiary.

— Szkoda, że nie było wówczas geografów... — szepnął z żalem Anglik.

— Geografów jurajskich zastąpili dzisiejsi geologowie — odparł profesor. — Dzięki ich niezmordowanej pracy znany jest nam już wcale niezgorzej układ ówczesnych lądów. Na wschód i zachód od prastarej części Europy, oddzielony od niej szerokimi ramionami oceanu, istniał potężny kontynent północny, obejmujący większą część dzisiejszej Azji i Ameryki Północnej. Kontynent ten oddzielony był od południa długim a wąskim oceanem od drugiego również wielkiego kontynentu południowego, który łączył w jedną całość dzisiejszą Amerykę Połudn., Afrykę i Australię.

— Ależ to kolosalny musiał być ląd!

— Z tego pobieżnego szkicu możesz, lordzie, wnosić, że cała przyroda w odmiennych rozwijała się niż dzisiaj granicach i stosunki klimatyczne oraz sąsiedzkie były całkiem inne. Wielkie pasma górskie, jak Alpy, Karpaty, Kaukaz, Himalaje, Kordyliery Ameryki Półn. wówczas nie istniały, na ich miejscu

znajdowały się oceany. Pomyśl zatem, jak wszystko było inaczej: afrykańskie zwierzęta suchą nogą mogły docierać aż do krańców Brazylii i Patagonii, podobnie jak chińskie do krańców Nowej Zelandii. Taka jest stałość rzeczy, które przywykliśmy uważać w swoim krótkowidztwie za wieczne...

— Tam do licha, ależ to nie został kamień na kamieniu! Postać lądów i mórz od owego czasu zmieniła się gruntownie!

— Muszę dodać, lordzie, że od czasów jurajskich do dzisiejszych nastąpił niejeden taki przewrót, pomimo że te czasy można zaliczać już do nowszych. W naturze pod żadnym względem nie ma spoczynku!

Podobnymi gawędami skracali sobie nasi tułacze czas wędrówki. Nie usiłowałiby zapewne dążyć naprzód, bo dla nich „naprzód” nie istniało, a właściwie równało się bezowocnemu kręceniu się w kółko.

— Czybyśmy szli ciągle na wschód czy na zachód, jeden byłby skutek, zarówno dalekimi będziemy od celu swej podróży, od powrotu na łono naszej epoki — rozumował geolog. — Jedyne noc zbliża nas do tego kresu i to bez jakiego bądź naszego udziału.

Praktyczny lord Puckins jednak inaczej się na rzecz zapatrywał.

— Szkoda tracić na próżno czasu — mówił. — Powinniśmy wciąż dążyć na północo-zachód, ku Anglii, bo choć w ciągu dnia zrobimy niewielki kawałek drogi, to jednak idąc co dzień możemy w sumie zyskać paręset mil odległości.

Zresztą i bez tego niewytłumaczonym sposobem co rano czuli się bliższymi teraźniejszości. Błogosławili też, zamiast złorzeczyć zachodzącemu słońcu, a mroku pożąдали z większym zapewne upragnieniem aniżeli nocne zwierzęta.

XV.

OKRES JURAJSKI. DINOZAURY.

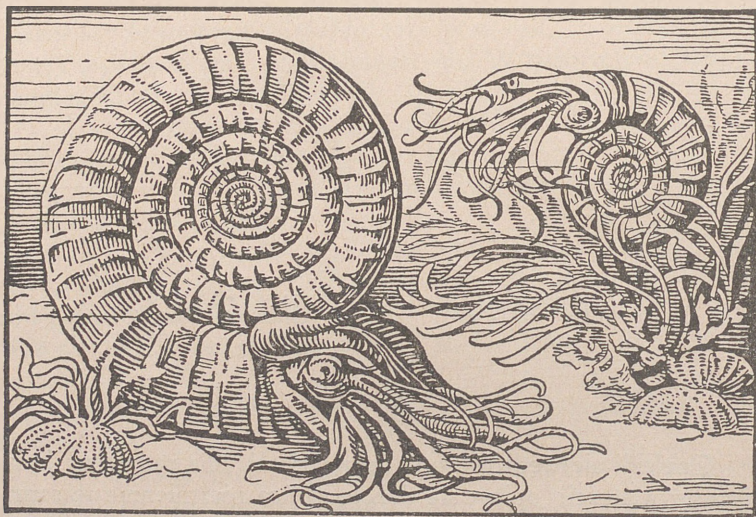
Znaleźli się wędrowcy na nowej ziemi. Ta sama ona była w rzeczywistości, opisywała dokoła słońca niezmiennie tę samą drogę, ani dłuższą, ani krótszą, zestarzała się tylko niepoślednio, skoro ząb czasu poorał już i tak niegładką jej fizjonomię nowymi zmarszczkami.

Niewinne na pozór psoty nieubłaganego bożka Saturna fatalnie się odbiły na postaci lądów. Jedne źródła i jeziora wyschły, inne się potworzyły. Rzeki poodwracały bieg swój i płynęły nowymi korytami. Dawne bruzdy, cierpliwie żłobione przez lat tysiące, skryły się pod grubymi naniesionymi osadami piasku i mułu, wiele nawet mórz porzuciło dawne brzegi.

Nic dziwnego więc, że posunięta ku starości ziemia wypia-stowała w ciągu setek tysiącoleci nowe typy zwierzęce i zdobyła się na nieznanie dawniej kreacje. Jurajska fauna lądowa przewyższyła o wiele triasową, zarówno pod względem liczby, jak i różności gatunków.

W odwiecznych, wilgotnych ostępach kryły się tłumy gadów, cierpliwie w pozornym odrętwieniu oczekujące zmierzchu.

Postrachem tych flegmatycznych stworzeń nie był atoli inny jakiś zwierz, ale również gad, często mocniejszy i bardziej nienasycony od później mających się zjawić niedźwiedzi i tygrysów... Trzej nasi towarzysze, znużeni bezustanną, kilkodniową tułaczką w dusznej jakby cieplarnianej atmosferze, jednomyślnie



Rekonstrukcja amonita z okresu jurajskiego

nie postanowili dać za wygraną na czas jakiś męczącej wędrówki i w chłodzie zarośli zebrać skołatane ciągłymi niespodziankami myśli.

Miejscowość ku temu obrali przecudną. Na malowniczym wzgórzu, ponad spokojną rzeką, toczącą kryształowe nurty, nęcił cieniem gąszcz palm szyszkowych.

Czuły na piękno przyrody profesor zdumiewał się nad wspaniałością tych drzew. Zaćmiły one stanowczo dawniejsze paprocie, dla których minęły już czasy świetności i które zbiedniałe kryły się pokornie w cieniu nowych znakomitości. Tuż obok nich *skrzydłolist*, o pysznych szpilkach pierzastych, sąsia-

dował z wdzięcznym *maczugowcem*, strojnym w szerokie listowie i szyszkowate owoce u wierzchołka korony. Obok niego na szczudlatych korzeniach nadziemnych wspinały się wysmukłe *pochutniki* (*Pandaneae*).

Skrzypy, do których przywykło już przez dni parę oko wędrowców, wymarły niemal do szczętu, a los ich podzieliło mnóstwo innych roślin.



ŻYCIE W OKRESIE JURAJSKIM

W powietrzu pterodaktyle (gady latające). Z prawej strony z długą szyją Plesiosaurus. Po środku Ichthyosaurus, na lewo Mososaurus

Stanisław godził się z położeniem; Anglik tylko, gdy upewnił się, że jeszcze nie powrócił do „teraźniejszości“, zagniewany na swoje złudne wyliczenia rozciągnął się w cieniu i nie zdradzał chętki ani do przechadzki, ani do wymiany myśli. Dopiero geolog mimo woli wyrwał go z odrętwienia.

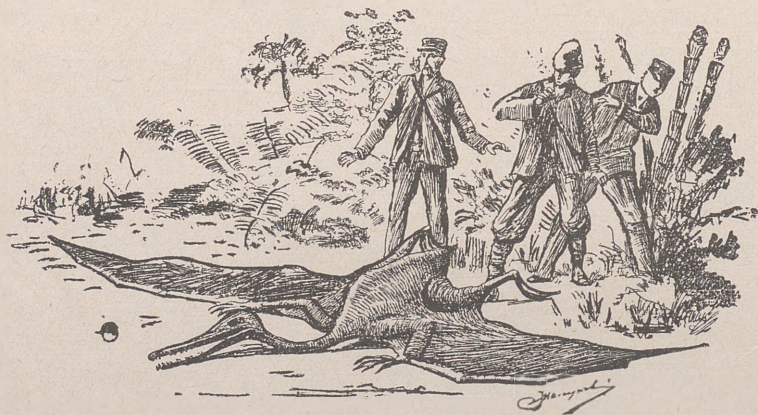
— Chwilami zdaje mi się, że to, czego doświadczamy, jest tylko snem dziwnym — przemówił do Anglika.

— A jednak bujamy w otchłaniach przeszłości globu naszego — odparł Puckins kwaśno.

— Trwasz, widzę, przy swoim przypuszczeniu — odrzekł geolog — choć ono pozbawione wszelkiego prawdopodobieństwa.

— Więc przekonaj mię, że się mylę! — rzekł Anglik, ale nie dokończył rozpoczętego zdania, bo nagle rozległ się gwałtowny łoskot nad głowami rozmawiających i nasi wędrowcy spostrzegli spadającego pterodaktyla. Latający jaszczur runął ciężko tuż u nóg lorda Puckinsa.

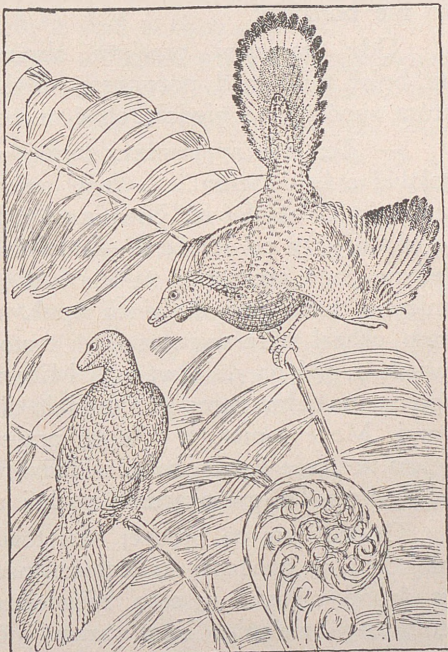
Stanisław na widok powietrznej poczwary zbladł. I nic dziwnego. Istny wcielony szatan tłukł się po ziemi.



Latający jaszczur runął ciężko u nóg lorda

Pterodaktyle odgrywały w ówczesnej przyrodzie rolę ptactwa, a zarazem jakby nietoperzy. Mogły one tylko wtedy wydawać się piękne, kiedy ziemia nie знаła jeszcze ruchliwej rzeszy prawdziwych ptaków o wdzięcznej postaci i o nieskończonej różnorodności kombinacji barw i blaskach tęczy, współzawodniczących z kwiatami i motylami. Dziś byłyby to gnuśne poczwary, budzące wokół bojaźń i odrazę. Przy tym w niczym do ptaków nie były podobne. Darować by im jeszcze można brak barwnego pierza, wesołego świergotu i innych cech ptasich, ale nawet anatomiczna budowa ciała, nie wyłączając skrzydeł, różniła się zasadniczo od ptasiego. I nie tylko od ptasiego, od nietoperzowego także!

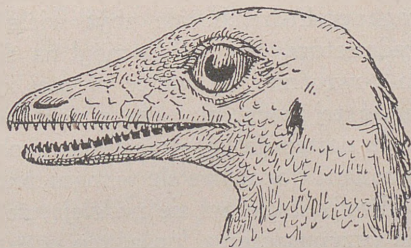
Lotna błona pterodaktyla jest rozpięta od biodra przez całą długość ciała aż do końca czteropalcowej ręki. Trzy jednak drobne palce spoczywają tu wolne, a jeden tylko, ostatni, dorasta niesłychanych rozmiarów i dźwiga główną i najważniejszą część błony. Takiej proporcji palców nie posiada żadne inne zwierzę. Nawet nietoperze, do których pterodaktyle pozornie się zbliżają, zdradzają zgoła odmienną budowę skrzydeł, a raczej spadochronów, bo u nich błona rozpięta jest nie na jednym, ale na czterech olbrzymio wydłużonych palcach ręki, a jeden tylko palec, opatrzone mocnym szponem, pozostaje mały i wolny. Same skrzydła ptaków i nietoperzy wskazują, że ani jedno, ani drugie nie pochodzą od pterodaktylów.



Archeopteryx, ptak z okresu jurajskiego

Ogromna głowa, o bardzo długiej, na kształt dzioba szczęce powiększa osobliwość tych stworzeń.

Jakże nie miał zadrzeć biedny Stanisław ze zgrozy, gdy wijący się potworny niby-nietoperz mierzył przy rozpostartych skrzydłach co najmniej cztery metry szerokości. Wprawdzie później, w okresie kredowym, ich potomkowie do-



Głowa Archeopteryxa. W szczęce widoczne są zęby — jedna z cech świadczących o gądzim pochodzeniu

sięgli jeszcze większych, bo 7-metrowych rozmiarów, ale i czterometrowej średnicy niby-nietoperze dostateczną mogły budzić obawę, połączoną z odrazą. Te same uczucia żywił lord Puckins. Uczucie obawy jednakże nie było usprawiedliwione i profesor go nie podzielał.

Gdy Stanisław przejęty obrzydzeniem nie taił odrazy, on bolał tylko nad potworem. Był pierwszą istotą ziemską, która współczuła z niedolą, choć zmniejszyć jej nie była w stanie.

— Ten biedny jaszczur mniej wstrętny jest od niejednej gołąbki o lisim sercu... — rzekł smutnie. — Co on przeszedł tego nikt się nie dowie. Nie masz kto by go zrozumiał. Nędzarz to biedniejszy od Hioba! — myślał ze ściśniętym sercem. — Jedyne jego szczęście, że nie zna swej niedoli! Wy, bezimienne tłumy przedludzkich epok, nie macie nikogo, kto by wam okazał iskrę współczucia i wytoczył choć jedną łzę nad twardą i nędną dolą waszą. Miliony lat upłynęły i jeszcze upłyną, a żadne serce nie drgnęło dla was, nie użaliło się nad wami. Może dopiero w odległej przyszłości, gdy sprawiedliwiej pojęta zostanie wasza rola, oddadzą wam przynajmniej honory wojskowe jako awangardzie padłej na pobojuwisku postępu.

Oddalili się co prędzej nasi towarzysze z tego przykrego miejsca i w znacznej odległości nad brzegiem rzeki złożyli strudzone członki u stóp niewielkiego, okrągłego wzgórka, otoczonego zielenią. Tym razem spokój panował w puszczy niewzruszony.

Zupełna nagość ciemnobrązowego wzgórka czy skały stanowiła tak silny kontrast z otoczeniem, że zwróciła na chwilę uwagę podróżnych, ale zbyt wiele było dokoła zajmujących przedmiotów, aby jeden mógł na dłużej przykuć wzrok, przy tym powrócono do wielce palącej kwestii jutra. Postanowiono czuwać tej nocy, aby raz przekonać się nareszcie, w jaki to sposób następuje tajemniczy przeskok z jednej epoki do drugiej: czy zmiana dokonywa się w mgnieniu oka, czy też dostrzegalnie.

Profesor cieszył się nadzieją, że obali niemożliwe do przyjęcia przypuszczenia lorda, ten ostatni przeczuwał swój triumf.

*

*

*

Miarkowany cieniem i wilgocią powietrza południowy upał nie dawał się we znaki, więc też na przemiany na ożywionej rozmowie lub lekkiej drzemce spływały wędrowcom godziny, dzielące ich od bliższych czasów i upragnionego wybawienia. Nie sądzono im jednak było dziś zaznać spokoju.

Szelest gałęzi zwiastował zbliżanie się grubszego zwierza. Jakoż w samej rzeczy po chwili wynurzył się z nadbrzeżnych zarośli i ociężale sunął ku wodzie olbrzym, którego widok powtórnie zmroził krew naszym podróżnym. Wysoki na $4\frac{1}{2}$, długi na 16 m zwierz o bardzo długiej szyi i mocnym, grubym ogonie przypominał jaszczurkę. Na końcu długiej, giętkiej szyi tkwiła głowa. Pożał się Boże, co to była za głowa! Tak zabawnie mała, że potwór tracił na powadze. Koń z łebkiem lisa albo wilk z kurzą głową nie wyglądałoby gorzej od tego olbrzyma, ważącego przynajmniej 40.000 kg. Za chwilę wyłonił się z wody drugi zwierz podobny, następnie trzeci i wszystkie zatrzymały się spokojnie o paręset kroków od naszej grupy.

Stanisław szczekał zębami; zdawało mu się, że olbrzymy naradzały się, który ma na przekąskę schrupać jego mizerną osobę.

Tymczasem geolog jaśniał od zachwyty i radości.

— Co to za szkoda, że choć jednego z tych kolosów nie mogę dostać do naszego muzeum! Nie żał by było wystawić dla niego najwspanialszy pawilon.

— Ileż lat ten drobiazg liczyć może? — zapytał lord Puckins.

— Trudno mi o tym wyrokować — odezwał się uczony — jednakże biorąc pod uwagę długowieczność gadów, a także powolny ich wzrost myślę, że oglądał on co najmniej kilka wieków.

— Wcale poważny staruszek! Nie wygląda na swoje lata — odezwał się Anglik.

Brontosaurus ¹⁾ tymczasem połyskiwały od ociekającej po ich skórze wody i wlokły się z niezmierną powolnością zatrzymując się za każdym prawie krokiem.

¹⁾ *Brontosaurus* (od grec. bronte — grzmieć) jak *Atlantosaurus*, *Diplodocus*, *Allosaurus* i im podobne stanowią tak zwaną grupę *Dinosauria* od greckiego — deinos — straszny.

Geolog uderzył się nagle w czoło.

— Że mi też od razu do głowy nie przyszło! — zawołał.

— Co takiego?

— Sprawa się wikła! Raz jesteśmy w Europie, to znowu w Ameryce!

— Skądże znowu?

— Z pewnością! Brontosaurowie żyli przecież w Ameryce. Lord Puckins, mimo zdziwienia, wprędce odzyskał rezon.

— Tyle już nas spotyka niespodzianek — odezwał się — że jedna więcej nie sprawia mi żadnej różnicy! Polubiłem to nawet! Wczoraj w triasie, dziś w jurze, wczoraj w Europie, dziś w Ameryce, jutro całkiem niepewne, to mi zabawa!

Rezygnacja Anglika udzieliła się profesorowi. Przestał trapić się widokiem amerykańskiej fauny jurajskiej, przestał łamać głowę nad zbadaniem piętrzących się zagadek i sprzeczności.

Korzystając z okazji geolog wdał się w szerokie opowiadanie o brontosaurach i innych jeszcze rodzinach gadów jurajskich.

Niewinne i roślinożerne brontosaurowie, bawiące dotąd nad wodą, niespokojnie zwróciły głowy w pewnym kierunku, a potem poczęły zabierać się do ucieczki. Zaledwie znikły, ukazał się na widowni potężny *Allosaurus*¹⁾ na dwóch łapach. Był on mniejszy od brontosaurów, a jednak taka dzikość i stosunkowo jak na gada taka zwinność objawiała się w jego postaci, że od pierwszego rzutu oka można było poznać w nim zwierza, gotowego porwać się nawet na większego od siebie gada.

Znali go widać z tej strony mieszkańcy puszczy, skoro bez namysłu drapnęli w gęszcz tak szybko, na ile im pozwoliła wrodzona powolność.

Miał ich jednak na oku prześladowca, skoro bez wahania, nie śpiesząc się zbytnio podążył za nimi. W Angliku obudził się srogi myśliwy.

— Co za szkoda, że olbrzymy nie dały nam przedstawienia. Byłoby bez wątpienia godne rzymskich cesarów. Chodźmy co prędzej, dogonimy z łatwością potwory!

— Gdzie walczą takie kolosy, tam mogłoby się przypadkiem i nam co dostać; lepiej, że spotkanie dalej nastąpi — odezwał się geolog i radził pozostać.

¹⁾ *Allosaurus* żył w Ameryce. Pokrewny mu *Megalosaurus* w Europie.

Poparł go Stanisław gorącymi narzekaniami na zbyt denerwujące niespodzianki.

— Ani chwili człek spokojnej nie ma — skarżył się mocno przejęty. — Ciągłe drżysz przed niewidzialnym wrogiem!

— Wrogiem? — odezwał się z prawdziwie gadzią flegmą lord Puckins. — Nie przesądzałeś swej wartości. Nie jesteś w tym świecie znakomitością.

— Cóż ma jedno do drugiego? — odciął się urażony sługa.

— Zaraz ci wytłumaczę. Aby jakieś stworzenie mogło ci być wrogiem, trzeba przede wszystkim, abyś mu był znany. A tymczasem sądzę, że pocziwe kolosy ani domyślają się egzystencji takiego napuszonego jak ty robaczka.

— Mimo to, gdy mię zobaczą, mogą choćby przez pomyłkę powziąć złe zamiary.

— Dlatego dam ci dobrą radę — odrzekł lord.

— Słucham pana.

— Jeśli ci życie miłe, nie radzę przedrzeźniać tych gadów. Twoja postawa może się im łatwo nie podobać.

— Przecież od urodzenia tak chodzę! — tłumaczył się Stanisław.

— Chętnie w to wierzę, bo sam podzielałem twój system chodzenia, ale dinozaury dawniej od ciebie chodzą na dwóch łapach.

— Więc może dlatego mam poniżyć się do chodu zwierząt? — wybuchnął Stanisław z oburzeniem. — Tego nie uczynię!

— Jeśli tak, to już chyba spróbuj chodzić na głowie, bo nie znam innego sposobu lokomocji, nieużywanego już przez zwierzęta. Pomyśl sam nad tą kwestią. Przecież i chód na dwóch kończynach nie jest wyłącznie ludzkim przywilejem. Prócz przedwiekowych olbrzymich dinozaurów i ptaki to samo czynią.

Stanisław zamierzał rozgniewać się za najwyraźniejsze drwiny, gdy nagle tuż za plecami jego rozległo się potężne sapnięcie, podobne do głuchego stęku lokomotywy, z towarzyszeniem trzasku druzgotanych drzew.

Jednocześnie zagrzmiął podniesiony głos profesora:

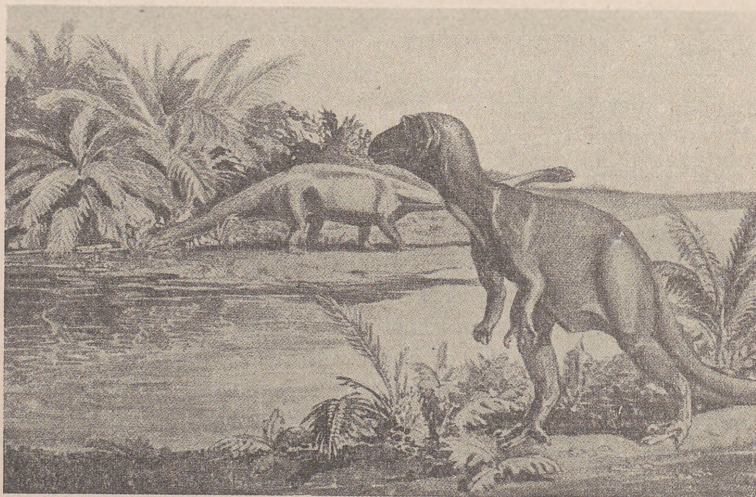
— Ratujcie się! Żwawo do wody!

Nie miał czasu więcej powiedzieć. Przyskoczył do Anglika, pociągnął go o kilkanaście kroków z taką gwałtownością na bok,

że biedak padł jak długi. Stanisław bez namysłu, rzucił się jak krokodyl do wody.

Wszystko to było dziełem dziesięciu sekund. Gdy poturbowany i gniewny Puckins podniósł się, oblicze jego stało się nagle bielsze od kredy.

Przez zielony kobierzec, na którym przed półminutą nasza trójka spoczywała, o cztery kroki od zdumionego Anglika przesunął się z towarzyszeniem trzasku gniecionych roślin ów nagi pagórek, w którego sąsiedztwie używano wywczasu. Geolog ujął za rękę towarzysza i ścisnął ją mocno. Na zbladłej twarzy widniało jeszcze przerażenie, ale z każdą sekundą ustępowało. Nagle oblicze geologa oblało się szkarłatem.



Dinozaury z okresu jurajskiego. Na pierwszym planie drapieżny *Allosaurus*, na drugim — roślinożerny *Diplodocus*

— *Diplodocus* we własnej osobie! — zawołał, a oczy jego jaśniały zachwytem. — Dzięki ci Boże! żeś mi dozwolił oglądać ten cud natury! — wyszeptał.

Anglik skamieniał na widok króla gadów. To, na co zdobyć by się mogła bujna wyobraźnia, ujrzał ucieleśnione w żywej istocie. Jeżeli brontosaurowe, długie na 16 metrów, mogły słusznie uchodzić za olbrzymy, nad jakie trudno było sobie większe

wyobrazić; jeżeli zdumiewał się, że pod takim ciężarem nie złamie się grzbiet lub puste wnętrze¹⁾ kości nóg potężnych, to obecnie ujrzał stokroć godniejszą podziwu postać. Mierzyła ona całe 26 metrów długości, budową zaś ciała prócz głowy przypominała brontosaura.

Stosowny do długości wzrost czynił z tego lądowego jaszczura istny pagórek żywy, wsparty na brzuchu i czterech nogach potwornej grubości. Waga antlatosaura, tego potwora, musiała wynosić przynajmniej 50.000 kg. Było to zwierzę ustępujące pod względem wielkości jedynie wielorybowi dzisiejszemu.

* * *

Ciszę, jaka zaległa po przejściu tego największego olbrzyma, jakiego kiedykolwiek planeta nasza wyhodowała — przerwał Anglik.

— Ciekaw jestem, gdzie padniemy jutro, gdzie nas zły czy dobry geniusz przetrzuci. Ja już straciłem wszelką nadzieję obliczenia. Okresy czasu, jaki przesypiamy, co dzień maleją i wątpię, czy pojutrze wrócimy do naszego świata...

— Wiem tylko — odrzekł geolog — że przed nami rozpościera się jeszcze okres kredowy, a po nim *czaszy cenozoiczne*, świat zwierząt ssących i ptaków.

— A dalej co?

— Dalej, to już krótka epoka człowieka.

— Więc można się spodziewać, że jutro znajdziemy się już w kredzie, a pojutrze wrócimy do naszych czasów — do świata cywilizowanego?

— Tak i mnie się zdaje! — odrzekł geolog. — Ale czy uwierzysz, lordzie, że gdy o tym myślę, żał mi już wracać do naszego świata. Wędrówka przez otchłanie czasu nabrała dla mnie powabu i nie gniewałbym się, gdyby się przedłużyła.

— I mnie nic nie ciągnie do XX wieku! Przepadam za oryginalnością, a tu jej mam do syta. Nudzić się będę, jak wrócę.

— Jeszcześmy nie w domu! Nie wywołuj wilka z lasu, milordzie — zauważył chmurno Stanisław.

— Więc jutro zobaczymy świat okresu kredowego.

¹⁾ Tak jak u ptaków dzisiaj.

XVI.

OKRES KREDOWY. SEN PRZEDPOTOPOWICZA.

Ciemna noc zapadła nad pasem ziemi odwracającym się od słońca. Rozpostarła ona swą władzę i w duszy geologa. Znużony zasnął twardo i bez marzeń. Wreszcie na tle bezwiedzy poczęły przed jego ruchliwą wyobraźnią przepływać obrazy.

Zrazu chaotyczne, z każdą chwilą stawały się wyraźniejsze i wkrótce przed wzrokiem geologa ukazały się dziwne postacie.

Najprzód *belemnity* i liczne *amonity*, które w końcu okresu kredowego wygasły. Potem pierwsze *raki krótkoogonowe*, a także nowe ryby, obdarzone szkieletem kostnym.

Następnie ujrzał geolog morskie *jeżowce*, *rozgwiazdy*, które w kredzie doszły do szczytu swego rozwoju.

Dalej ujrzał coraz bardziej ustępujące z oblicza naszej planety *paprocie*, *sagowce* i *szyszkowce* klimatu gorącego. Zobaczył następnie, jak ubywało w morzach ryb chrząstko-szkieletowych i jak ustępowały one miejsca rybom kościstym.

I tak przewinał się przed oczyma geologa wielce urozmaicony świat zwierząt zimnokrwistych, ustępujący z widowni wraz ze schyłkiem epoki kredowej. A świat to jeszcze był fizycznie bardzo okazały. Jaszczury np. skrzydlate dorastały potwornych rozmiarów. Jeden z tych *pterosaurów*, *Pteranodon*, mierzył ponad 7 metrów przy rozpiętych skrzydłach ¹⁾.

Iguanodony ²⁾ i inne gady olbrzymie kroczyły ociężale w gąszczach *krednerii* i *cykad*, płosząc bezmyślne zębate *hesperonisy* ³⁾, które z wielką powagą brodziły po bagnach.

Nowe gady słonowodne, istne „węże morskie“ z baśni marynarzy, *mososaurydy*, dorastały do kilku metrów długości.

Następnie nasz uczony ujrzał ziemię okrywającą się zielenią prawdziwych palm i pierwszych roślin okrytonasiennych. Obok wymierających rodzajów rozpoznał dotąd żyjące wierzby, klony, dęby, wiązy, figi i wiele innych drzew, znanych dobrze podróżnikom po krajach podzwrotnikowych. W



Skamieniałe jaja dinosaurów
z okresu kredowego

cieniu jednak tych drzew i zarośli rośla się jeszcze fauna całkiem niepodobna do naszej. Były tam *ichthyornisy*, ptaki zębate, oraz mała ilość prawdziwych ptaków, odznaczających się, jak to każdemu wiadomo, brakiem zębów.

Wreszcie ukazała się gromadka małych i nędznych zwierzątek workowatych z rodziny zupełnie wygasłej już na ziemi, a potem znikło wszystko. Na próżno profesor przecierał oczy i zastanawiał się, co by te widziadła znaczyły. Otaczała go ciemność. Nic już nie widział i nic nie słyszał. Tylko została mu świa-

¹⁾ Siąg skrzydeł albatrosa, który ma dziś najdłuższe skrzydła w rodzie ptasim, wynosi zaledwie 4 metry.

²⁾ *Iguanodan*, gad roślinożerny przypominający postawą *Allosaura*.

³⁾ Ptaki.

domość siebie. Myśl uparcie powracała do ostatnio dostrzeżonych krewniaków naszych, kangurów. Były to przecież pierwsze ssaki, bardzo jeszcze niedoskonałe i nędzne w porównaniu z późniejszymi, ale już wyższe od dotychczasowego świata jajorodnych kręgowców. Ich ród dzięki zwiększającej się suchości atmosfery szedł dopiero do życia, gdy zimnokrwistym krewniakom stworzonym do wilgoci i jednostajnego gorąca, każda nieznaczna nawet zmiana przybliżała nieuchronną zagładę. Osobliwie okazałe gatunki wymierały szybko. Zostawały tylko najodporniejsze, choć i te karłowaciały bez przerwy.

Wiele rodów dzięki niespożytej sile żywotnej, jaka w nich tkwiła, przystosowało się jeszcze znacznie wcześniej do nowych warunków i przeobraziło się w lotne ptactwo.

Nikt też nie poznaje w dzisiejszej barwnej i pierzastej rzeszy potomków najstarszego ptaka okresu jurajskiego o dziwnym ogniu, *archeopteryksa* ¹⁾, który pochodzi od gadów.

Nawet one same, gdyby rozumowanie dostępne było dla ich niewykształconych mózgów, nie uwierzyłyby w swe niskie pochodzenie, zapierałyby się gorąco wszelkiego z gadami pokrewieństwa.

Tak samo trudno by uwierzyć, że jednym z prapradziadów wszystkich ssaków było *Dromaterium*, pierwsze zwierzątko workowate triasu, jedno z najdawniejszych ciepłokrwistych kręgowców na ziemi. Musiały już bez wątpienia w okresie kredowym żyć i inne zwierzątka ssące, oprócz workowatych, dowodzi bowiem tego duża różnorodność ssaków już w zaraniu następnego okresu, ale geolog nie widział ich wcale, a pamiętał, iż nikt jeszcze nie znalazł innych ssaków w pokładach kredowych. Nagle pierzchy marzenia i profesor, który zamierzył czuć, prześnił całą kredę, obudził się wreszcie.

¹⁾ Patrz rys. str. 135.

CZĘŚĆ III.

ŚWIAT CENOZOICZNY ¹⁾.

XVII.

OKRES TRZECIORZĘDOWY.

ROZWÓJ SSAKÓW.

Ujrzał się w gąszczu *magnolii*, *drzew kamforowych* i *cynamonowych*. *Dzikię wino* wspinało się girlandami na *palmy* i *topole*. Wspaniała *dracena* ukrywała się w cieniu *dębu*, a ten sąsiadował z *jałowcem* i *akacją*.

¹⁾ Era cenozoiczna (z greckiego *Kainos* — nowy), czyli era nowego świata zwierzęcego podzielona jest na dwa okresy: trzeciorzędowy i czwartorzędowy. Nazwy tych okresów są pozostałością z dawnego podziału dziejów ziemi, kiedy erę paleozoiczną nazywaną pierwszorzędową, erę mezozoiczną jako drugorzędową, a pozostałe jako trzeciorząd i czwartorząd. Zważywszy, że te dwa odcinki czasu są niewielkie w stosunku do er poprzednich, oraz że ich stosunki faunistyczne i geograficzne niewiele różnią się między sobą, włączono te dwa czasy jako okresy w jedną erę cenozoiczną.

Okres trzeciorzędowy dzieliśmy na następujące epoki (od najstarszy do najmłodszy): eocen, oligocen, miocen, pliocen. Nazwy te pochodzenia greckiego wyrażają stopniowanie od nowy do zupełnie nowy w stosunku do czasu.

Okres czwartorzędowy podzielony jest na dwie epoki: starszą, czyli dyluwium (z łacińskiej nazwy potopu biblijnego), jest to epoka lodowcowa, oraz młodszą, czyli aluwium — epoka współczesna która trwa dotychczas.

Trudno chyba o większą różnorodność roślin, właściwych dzisiaj zupełnie odrębnym klimatom.

Te same prawie gatunki rosły we Włoszech i na Grenlandii, a zapewne i dalej, w niedostępnej dziś krainie podbiegunowej.

Słońce dopiekało ogniście, w powietrzu była suchość nadzwyczajna. Ani jednej chmurki na niebie.

— A gdzież lord Puckins? — zapytał nagle profesor.

— Zmartwiony poszedł do lasu.

— Zmartwiony?

— Obudziła się w nim żyłka myśliwska. Wyśledził jakieś stado pasących się zwierząt, których nie umiem nazwać, i ubolewa, że nie ma bronii.

— Nie dziwię mu się wcale — odparł pobłaźliwie profesor. — Zwierzyna tutejsza wyśmienicie nadaje się do mordowania. Nie tylko wytrawny jak lord Puckins myśliwy, ale nawet zwykły „pudlarz“ miałby tutaj pole do popisów.

— Dlaczegoż to, proszę pana?

Bo tutejsza zwierzyna nie zna jeszcze człowieka, nie unikałaby go tedy, a wobec znanej przebiegłości myśliwych pozostawałaby bezsilną i niemal bezbronną.

— A przecież mówił pan sam, że tępe gady znikają już szybko, a miejsce ich zastępują doskonalsze i mądrzejsze ssące zwierzęta.

— Tak jest. Świat ziemski w całym znaczeniu tego słowa odmłodził się i udoskonalił, ale mimo to ssakom tutejszym daleko jeszcze do naszych.

Wprawdzie dzięki powolnym zmianom dobrze się już przystosowały do nowych warunków i otoczenia, wprawdzie dużo zyskały na przekształceniu swej natury gadziej, bo choć skarłowaciały cielesnie, to przecież z nowymi uzdolnieniami wiodą żywot bez porównania pełniejszy i ruchliwszy aniżeli ograniczone ich praszczury; ale nie zapominaj, że te pierwsze ssaki nie o wiele więcej miały mózgu od gadów, i wobec przebiegłości podobnie doskonałego jak lord Puckins gentlemana pozostają po dawnemu bezradne.

Miał zupełną słuszność profesor sądząc surowo uzdolnienia pierwszych ciepłokrwistych mieszkańców ziemi.

Były to bardzo biedne w porównaniu do dzisiejszych zwierzęta, ale sprawiedliwość każe wyznać, że i one kroczyły, lubo żółwym krokiem, ku postępowi.

Rósł mózg właściwy, dotąd upośledzony i znacznie mniejszy od mózdzku.

U niektórych zwierząt zaczynał on nawet dorównywać objętością mózdkowi i te właśnie okazywały najczęściej zmysłowości; te wzrastały w siły fizyczne i górowały wszelkimi przymiotami nad przodkami o mniejszych mózgach. Już w początkowych tysiącoleciach eocenu zwierzęta workowate grały pod-rzędną rolę. Zaćmiły je gryzonie, tj. przodkowie kopytowych, nietoperze, a w Ameryce bezzębne i nieparzystokopytne. Większość wszakże tych ssaków tak mało różniła się między sobą, że gdyby dziś ożyły, każdy zoolog poczytałby je za bliskich krewniaków. A przecież te zwierzęta są przodkami coraz bardziej różnicujących się grup. Grupy te, o ile nie zaginęły, rozpadły się w późniejszych czasach na niezmiernie do siebie niepodobne rodziny oraz rodzaje.

Któż by dzisiaj uwierzył, że np. przodkowie małp, tapirów i koni byli dość podobni do siebie, a jednak tak było. Pramałpy i gryzonie w bardzo licznych szczegółach są do siebie podobne.

Obfitością rodzajów i osobników zaimponowały także światu nieparzystokopytne. Odgrywały one w ówczesnej przyrodzie bez wątpienia rolę dzisiejszych przeżuwających.

Niektóre z tych nieparzystokopytnych były nadzwyczaj małe, tak małe, że podobnych im w tej gromadzie dziś nie ma, wiele jednak dorastało wielkości wołów, a były gatunki znacznie nawet większe. Obyczajami i postacią przypominały one naszego tapira, którego śmiało uważać można za ostatniego nieodrodnego przedstawiciela zaginionego rodu *palaeotheriów*.

Wielki jak wół inny kopytowiec, *coryphodon*, z kształtu przypominał niedźwiedzia, z nóg zaś słonia. Z paszczy błyskały mocne kły. Mimo postaci nie wzbudzającej zaufania zwierz to był niewinny i roślinożerczy. Gdyby chodziło o jego rodowód,

to słusność każe wyznać, że choć wcale niby niepodobny do trąbowców, był on wszakże dość bliskim ich krewniakiem.

Wśród tych zwierząt siały przestach pierwsze drapieżniki ssące.

W średnich czasach eocenu niekorzystne dla ssaków warunki powstrzymują ich rozwój w Europie, choć w Ameryce, połączonej jeszcze wówczas (Przesmykiem Islandzkim) z Europą, wielka powstaje ich obfitość.

Ciekawsza jeszcze od naszej części świata była wówczas Ameryka Północna. Najosobliwsze bodaj zwierzęta, jakie kiedykolwiek żyły na ziemi, mieszkaly tam wówczas. Były to *dinocery*. Zwierzęta wielkością mało ustępujące słoniowi, ale niższe z powodu krótkości nóg.

Odznaczają się one bardzo szczególnymi i wyjątkowymi wśród wszystkich kręgowców kształtami czaszki.

Przy małym nadzwyczaj mózgu dziwnie uzbrojone *dinocery* musiały być wcieleniem głupoty, dzikości i niezgrabności. Dopiero schyłek eocenu sprzyja mnożeniu się na naszych łąkach ssaków. Kopytne grają tu główną rolę, a wśród nich wyróżniają się parzystokopytne.

Drapieżne ssaki chylą się ku upadkowi. Ród znanych nam drapieżnych pojawia się już, między którymi zjawiają się przedstawiciele rodu psów.

I koty, a nawet gruboskórne już są, ale wszystko to wątle i bez znaczenia. Przodkowie lemurów i małp z rzadka dopiero zakłócają spoczynek mieszkańcom puszczy. Tylko parzystokopytne obejmują panowanie na łąkach, a wśród licznych rodzajów i gatunków przynajmniej połowa przypada na *anoploterie*, które łączą w sobie cechy kopytnych i mięsożernych, zarówno w szczegółach, jak i budowie całego szkieletu.

W bujnej i pięknej puszczy, wśród takiego to świata profesor nie złorzeczył już okolicznościom, które mu pozwoliły oglądać prototypy fauny i flory, znanej naszym przyrodnikom.

Dzień cały upłynął wcale znośnie. W miłym cieniu lasu nie czuć nawet było upału, pod wieczór zaś idąc ciągle ku północy wydobyli się nad kręto płynącą rzekę, zdobną po brzegach w kępy palm i paproci.

Z wyniosłego wzgórza roztoczył się przed nimi obraz, godny pędzla artysty.

Wielkie *palaeotherie* z krótkimi trąbami tapirów pospołu z *anoplotheriami* dążyły do rzeki po ochłodę.

Poważny jakiś ptak brodzący udawał drzemkę, aby tym pilniej i skuteczniej czatować na ryby, a przez płytką łachę dwa wielkie żółwie spieszyły wcale żwawo ku brzegowi. Znalezione w krótkie kącik zaciszny od wiatru i przy zapalonym dla bezpieczeństwa od drapieżników ognisku spędzono resztę wieczoru przed spoczynkiem wśród wesołej gawędy, ani spodziewając się, co za straszne nastąpi przebudzenie.



Z prawej strony *Palaeotherium*
z lewej *Anoplotherium*

XVIII.

PRZEDPOTOPOWICZ OPUSZCZA ZIEMIĘ. — EPOKA MIOCENU. — TRĄBOWCE.

Zaledwie geolog przymknął oczy, zaledwie srebrne światło księżyca oblało krajobraz, ziemia zadrżała i posypały się na głowy uśpionych kamienie oderwane z sąsiedniego urwiska.

Było to potężne trzęsienie ziemi, które objęło całą okolicę ¹⁾.

Niezmierny ciężar i dotkliwy ból w głowie i piersiach ustąpił po chwili błogiej świadomości wyzwolenia. Okiem duszy objął geolog dokładnie miejsce katastrofy, a gdy rozwiały się białe chmury, wpatrzył się w powiewny obłoczek, który nagle wzniosł się ponad skały strzaskane i migotał w świetle księżyca.

— To ja — wyszeptał w skupieniu — jak mi jest dobrze !....

¹⁾ Rozróżniamy 2 rodzaje trzęsień ziemi, a mianowicie trzęsienia ziemi, których przyczyna tkwi w ruchach mas wnętrza ziemi i które dają się odczuć na wielkich przestrzeniach sięgając wielkie spustoszenia, jak np. słynne trzęsienie ziemi w Kalabrii w roku 1901, oraz trzęsienia zapadliskowe, częste na obszarach wapiennych, gdzie krążące wody podziemne są przyczyną nagłych zapadlisk.

Obłoczek przybrał postać ludzką i uniósł się w górę. Przedpotopowicz, uwolniony z objęć materii, pomknął w przestworza. Płynął niby wąż iskierka w górę, w etery, nie zdając sobie sprawy z niezwykłości położenia. Najobojętniej patrzył, jak ziemia otulona płaszczem chmur, niby ogromna, ciemna tarcza okolona „lisią czapką“ jasności słonecznej malała, aż odsłoniła słońce i w jego pełnym blasku utonęła. Zrazu oddychał profesor z łatwością, niebawem płucom zabrakło atmosfery, a jednocześnie zapanowało dotkliwie zimno, potem mróz, który z każdą potęgował się chwilą. Mimo że kula słoneczna oślepiającym blaskiem świeciła, ciemno było w przestworzu, a mróz nastał tak wielki, jakiego nigdy zapewne człowiek nie doświadczał.

Ziemia zapadała się w przepaście wszechświata. Malała zdumiewająco szybko.

W chwili, gdy profesor zdołał zebrać myśli, już zeszała do rozmiarów balonu, potem niby ogromny szary globus majaczyła chwil kilka, dopóki nie zmalała do wielkości jabłka. Wreszcie ta szara kulebka istot, mieniących się panami świata, zgubiła się w przestworzach.

Olbrzymie cielsko ziemi znikło już przed wzrokiem jego. Geolog przymknął oczy, a gdy je otworzył, słońce błyszczało w całej swej pełni, ale rzecz dziwna, było nie większe od dukata, a świeciło nie nad głową geologa, ale w dole. Czyniło wrażenie, jakby zapadało się gdzieś w przepaść.

Na niebie wystąpiły blade gwiazdki, a w miarę jak słońce kurczyło swą tarczę, liczba gwiazd z każdą chwilą rosła. Jeszcze chwil kilka i geolog zdumiał się na widok innej, pozornie większej od słońca, szarej tarczy na niebie. Był to Saturn, łatwy do odróżnienia po pierścieniach, które go otaczają.

Przedpotopowicz czuł, że płynie z szybkością światła ku tej planecie. Niebawem też zasłoniła mu ona ćwierć nieba. Już zdawało mu się, że spadnie na jej powierzchnię, ale ciemna kula niebieska pozostała na boku, poczęła zmniejszać się i znikła w tumanie jasnych punkcików.

Przedpotopowicz minął planetę, odległą o 1420 milionów kilometrów od słońca.

W podobny sposób dostrzegł rosnącą, a wkrótce znowu ginącą, najdalszą planetę, Neptuna.

Teraz już słońce, 2000 razy mniejsze niż widziane z ziemi, mało różniło się od gwiazd, które otaczały geologa.

Na aksamitnym tle ciemności błyszczały przed geologiem tajemnicze słońca Kassiopei, Woźnicy, Wielkiej Niedźwiedzicy i Gwiazda Polarna. Za sobą odróżnił profesor cztery jasne gwiazdy Krzyża, widzialne tylko dla mieszkańców południowej półkuli ziemskiej.

Zwolna Capella, świecąca w samym zenicie, poczęła zwiększać swój blask, wreszcie zaćmiła zarówno pobliskich Kastora i Polluksa, jak Aldebarana w Byku, oraz gwiazdy Wozu Niebieskiego ¹⁾). Oślepiiony blaskiem tej bryły, która jest słońcem 250 razy jaśniejszym, a 400 razy większym od ziemskiego, mknął geolog, nic już dokoła widzieć niezdolny. Już sądził, że spadnie w to bezmierne ognisko atomów i energii, gdy zostało ono na boku, poczęło zmniejszać się, zeszło do rozmiarów gwiazdy pierwszej, potem drugiej wielkości, aż wreszcie przepadło niby pyłek na ciemnym tle nieba.

Geolog tymczasem, pogrążony w ekstazie, nieświadom czasu, unosił się niepowstrzymanie naprzód, ku dalszym jeszcze białym, żółtym, różowym i niebieskim gwiazdom, od których promień światła potrzebuje setek wieków, aby osiągnąć ziemi. Kolejno i te gwiazdy stawały się dlań oślepiającymi słońcami, kolejno nikły w oddali.

Znowu kilka słońc rozjaśniło niebiosą, kilka komet wypełniło całą sferę swym ogonem, a roje meteorytów, niby zwinne jaskółki, przecinały etery, przez które szybował rozkołysaną wyobraźnią myślący pyłek ziemski.

.

Przecież świat nie da się zaprzeczyć, rozumował. On żyje życiem niezliczonych swoich mieszkańców, czuje bilionami serc, przemysłowa nieskończoną ilością istot myślących, wyciąga błagalnie lub dziękczynnie miliony rąk do nieba! Więc coś nad tym światem koniecznie być musi. Coś wielkiego, wspólniejszego nad wszelkie nasze wyobrażenia. Jakaś Dobroć, większa nad wszystkie dobroci, jakaś Myśl nad myślami, Mądrość, jakaś

¹⁾ Wielką Niedźwiedzicę.

Prawda, która przenika nieskończoność, która rządzi atomami i energią świata, której wszystkie duchy łakną, podobnie jak kwiaty łakną światła słonecznego...

Ale czy mizerne atomy, czołgające się po jakimś tam większym pyłku, zwanym przez nie ziemią, mogą posiadać dość mocy do wyrokowania o Wszechzagadce świata? Czy skończone może objąć nieograniczoność? Alboż robak, zrodzony wewnątrz jabłka, zdolny jest wiedzieć, co jest poza jabłkiem, z którego nie wyrzał? Czy wolno mu twierdzić, na podstawie własnej nieświadomości, że nie ma nic poza jabłkiem? Że nie ma jabłoni, nie ma sadu, ani ogrodnika?!

O nie! Nami władają niewidzialne promienie tej niewysłowionej Potęgi, tego Ducha, który jest w niebie, na ziemi i na każdym miejscu!...

* * *

Gdy umysł Przedpotopowicza zanurzony w otchłaniach światła rozbijał się o najwyższe tajemnice, na ciemnym ziarenku, oddalonym od niego o tysiące lat drogi światła, „na ziemi“, zagubionej gdzieś w niedostrzeżonym tumanie słońc i planet, nie zrodziła się jeszcze nawet słaba ludzka świadomość.

Posiew Pański był jeszcze zielony.

Nieprzerwanym ciągiem doskonałości się pyłki raz ożywione z martwoty w czasach archaicznych.

Życie zaszczipione na ziemi oblekało się przez śmierć i nierzeczywistość w coraz nowe formy i coraz pełniejszą harmonię dostrajało się do wszechharmonii świata. Daleko tam jeszcze było do rozkwitu, ale panowała już w całej pełni epoka miocenu.

Obraz Europy stawał się coraz bardziej zbliżony do obecnego. Wyspy Brytyjskie były jeszcze zespolone z kontynentem, a Morze Śródziemne wysyłało ku północy odnogę, która następnie okrążała Alpy od północy i od miejsca, gdzie stanie dzisiejszy Wiedeń, rozlewała się, zwężając się następnie w kierunku Krymu i Kaukazu. Karpaty były wyspą.

Nad brzegiem tych wód i w głębi lasów Europy figi, akacje, palmy i dęby rosły pospołu z cyprysami wawrzynami i drzewami mamutowymi (*Sequoia*). Wiązy i olsze sąsiadowały



z mirtami i drzewem ambrowym. Obfitość gatunków była niezmierna i większa bez porównania aniżeli w epokach dawniejszych.

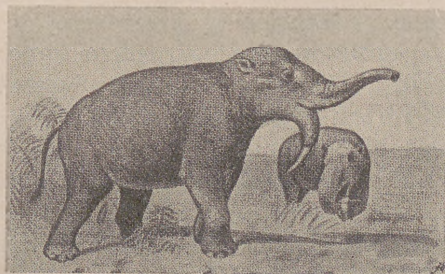
W cieniach puszczy trzepotała się niemniej urozmaicona pierzasta rzesza.

Rodzaje dziś nieznane w Europie, jak papugi na przykład, przelatywały obok przedstawicieli ptactwa do dziś zamieszkującego naszą część świata.

Wśród zwierząt nie tylko tu, ale na całej ziemi zapanowały nowe rody o mózgu obfitszym. Po oligoceńskim zastoju zubożała fauna wzbogaciła się szybko i odrodziła w nowych przedstawicielach. Piękna nastała chwila w życiu ziemi. Teraz dopiero świat ssaków zajaśniał bogactwem postaci i uzdolnień i zapanował wszechwładnie na ziemi. Świat to jednak nieznanym zupełnie naszym zoologom. Ani jeden gatunek już nie tylko z eocenu albo choćby z oligocenu, ale nawet z początków miocenu nie utrzymał się dotąd niezmieniony. Pomimo to jednak, żadnej nie ma tu postaci, która by prototypu lub krewniaka nie miała już w eocenie. Dawne drapieżne zwierzęta, niezdolne do przyswojenia sobie nowych warunków, ustąpiły miejsca dzielniejszym typom: mięsożercom.

Zastąpiła je świeżej krwi chciwa rodzina kotów. Ocieężyła *aceratherium*, przodek nosorożca bez rogu, pał się obok *tapira* i drobnych wołów bezrogich, a na obszernych stepach używały życia, jak umiały, pierwsze antylopy i przodkowie konia, czyli *hippariony*, ustąpiły stanowczo pierwszeństwa wciąż doskonałym się i różnicującym się kopytnym, wśród których zakręlały trąbowce: *Mastodon* i *Dinotherium*.

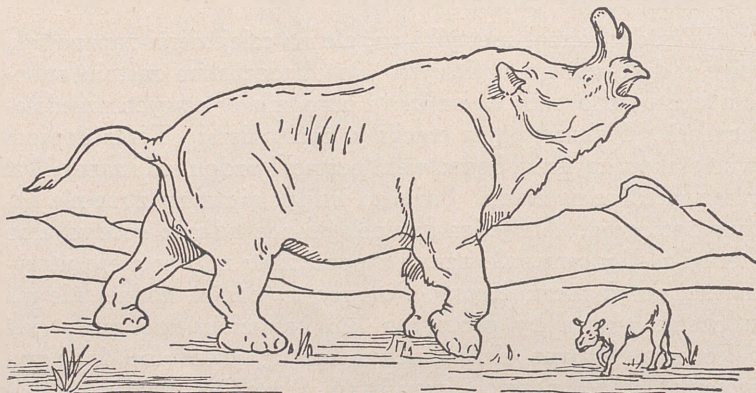
Na wielkim i tajemniczym dla nas do dziś kontynencie Azji oraz w Ameryce powstają inne ssaki, zdumiewające kształtami ciała. Jed-



Dinotherium

ne odznaczają się taką fantastycznością głowy, że podobnych im próżno by już dziś szukał ktoś na ziemi, jak np. *Titanotherium*.

.....
Profesor Przedpotopowicz, zawieszony dotąd w przestworzach, ujrzał nagle, jak wszystkie gwiazdy ruszyły z miejsc swoich i poczęły bezładny taniec. Łagodne te światełka przemieniły się nagle w błyszczące ślepie potwornych straszyleń, które z rykiem uganiały się za sobą i walczyły w śmiertelnych zapasach.



Titanotherium

Smok ział z paszczy ogniem na *Herkulesa*. Ten zaś ciskał nań planety i księżyce. *Lew* skradał się do *Wielkiej Niedźwiedzicy*, która stawiała zacięty opór zgrai *Ogarów*. Potworne *Węże* oplątały *Centaurów*, *Skorpiony* zatapiały w ich ciała zatrute jadem kolce. Niebo oblało się purpurą krwi i drżało od łoskotu uderzających na siebie słońc i planet, które rozbite staczały się jedno po drugich w przepaście.

Profesorowi włosy dębem stanęły, oczy wyszły ze swych orbit, a usta szeptały: koniec świata!

Wtem nagle dostrzegł pędzący ku sobie z szybkością pioruna jakiś glob ciemny.

Na olbrzymiej tarczy tego ciała niebieskiego zarysowały się w świetle pękających niby rakiety gwiazd i komet wyraźne linie mórz i lądów. Jedno spojrzenie przerażonych oczu starczyło geologowi do określenia, że to ziemia.

— Jestem zgubiony! — krzyknął przeraźliwie.

XIX.

EPOKA PLIOCENU. — ŻYCIE LEŚNE. — MASTODON.

— Co się z tobą dzieje, profesorze? — zabrzmiał mu wesoły głos Puckinsa nad uchem. — Rzucasz się i krzyczysz, jakby cię kto mordował.

Profesor otworzył oczy i spostrzegł, że podróż w przestrzeni była zwykłym nocnym marzeniem. W rzeczywistości spoczywał obok lorda Puckinsa na miękkim kobiercu leśnym.

— Miałem sen okropny! — odrzekł uspokojony i jął opowiadać Anglikowi swoje wrażenia niebieskie. Potem obydwaj pogrążeni w cieniach i milczeniu nocy na próżno usiłowali zrozumieć niepojętą dla obu zmianę otoczenia. Nagle wstrząsnął powietrzem dźwięczny ton basowy. Echo poniosło go w głąb boru, coraz dalej i dalej, aż zgubiło gdzieś na krańcach.

Wkrótce ten sam niski, przeciągły ryk stał się głośniejszy i urywany, wreszcie silny plusk wody, chrapanie i rżenie potężnych płuc napełniły całą puszcę i zbudziły Stanisława.

Podobny zgiełk oddać słowami trudno. Geolog nie umiał zdać sobie z niego sprawy.

Zdawało się, że zwarty kłęb bawołów, tygrysów, a może i stoni walczy na falach rzeki lub pasuje się ze śmiercią.

Anglik wsłuchał się w tumult piekielny, spojrzał na poważne miny profesora i Stanisława i uśmiechnął się lekko.

Uśmiech był tak szczery i serdeczny, że równał się głośnemu wybuchowi wesołości u nie-Anglika.

— Niewinna sielanka w rodzinnym kółku — rzekł Puckins w formie objaśnienia.

— Co takiego? Sielanka?

— Przecież i hipopotamy mają prawo do chwil słodkiej igraszki.

— Ależ to ryki zażerających się bestii! — zauważył Stanisław.

— Zdaje ci się tylko, boś nie przyzwyczajony do głosów natury na swobodzie. Zresztą możesz się łatwo przekonać...

— Już wierzę!

— Znam ja hipopotamy osobiście — ciągnął Puckins. — Na wybrzeżach Azraku przez dwie noce polowałem na tego „syna piekiel i szatana“, jak go Arabowie grzecznie zowią. Pierwszej nocy z lekkiej łódki wpakowaliśmy kilka kul w łeb potwornego gruboskórca, ale, jak się potem okazało, utkwily one w skórze i rozjątrzyły tylko potwora czterometrowej długości¹⁾. Dopiero drugiej nocy mieliśmy wspaniałą zabawę. Szukaliśmy konia rzecznego zapamiętałe nie wiedząc, że i on rad był się z nami zobaczyć. Obie też strony wielce się ucieszyły ze spotkania. Hipopotam rzucił się ku naszej łódce z większą żywością, aniżeli by tego po ciężkim cielsku jego można się spodziewać, my zaś posłaliśmy kule w sam łeb potwora. Raniony dosięgnął w mgnieniu oka naszej łupinki i zgrabnym ruchem szczęk zgruchotał pięć desek w boku łodzi. Zanim łódka zatonęła, plunęliśmy mu jeszcze na pożegnanie w oczy parę naboju, następnie znaleźliśmy się w wodzie. O! bardzo dobrze te chwile pamiętam. Rzadko kiedy się tak dobrze bawiłem, jak wówczas. My do brzegu, a hipopotam z chrapa-

¹⁾ Wążącego 2 500 kilogramów.

niem za nami. My przez ciernie i kolące gałęzie mimozy, i on za nami. Tak w ciemnościach bawiliśmy się w chowanego może z pięć minut, a może z dziesięć, zanim dopadłem bezpiecznego schronienia. Tam dopiero zrozumiałem, że łatwiej gruboskórnemu hipopotamowi przedzierać się przez mimozy i haczykowate ciernie nabaku, aniżeli człowiekowi. Z mego ubrania zostały tylko malownicze strzępy, ufarbowane na czerwono, a ręce i odkryte części mej cielesnej powłoki pozbawione były skóry. Wesola to była zabawa!

— Nie zazdroszczę — odezwał się Stanisław. — A zabił pan przynajmniej zuchwalca?

— Nie miałem nawet tej przyjemności. Nicponia osłabłego od upływu krwi dobił dopiero mój gospodarz, Nubijczyk, zawołany myśliwy. Podarował mi potem cztery potężne kły potwora na pamiątkę polowania. Ale że pamięć mam dobrą, przeto trzy zęby oddałem mu na powrót. Z jednego tylko, krzywego jak u dzika, a ważącego 5 kilogramów, kazałem zrobić wieszadło do szlafroka. Ile razy zawieszam na tym haku ubranie, tyle razy przypominam sobie, że o mało nie zawisły na nim mięśnie mego ciała. W parę lat potem miałem szczęście widzieć całą rodzinę hipopotamów na lądzie. Rzadki to traf, bo koń rzeczny jedynie w bezludnych puszczach pozwala sobie na drzemkę dzienną w lesie, zwykle zaś przesypia cały dzień w rzece, pływając machinalnie z nozdrzami jedynie wystawionymi nad wodę. Przodem kroczył wtedy stary samiec. Na wzór dzika podnosił co chwila łeb monsturalny i bezmyślnymi oczkami wodził po gałęziach drzew.

Wśród myśliwskiej gawędy ani opatrzone się, jak purpurowe blaski wschodzącego słońca zajrzały przez konary.

Geolog zabrał się do określenia epoki. Chwila była niezdecydowana. Hipopotamy do dziś dnia żyją. Łatwo też było przypuścić, że nadszedł kres wędrówki z przeszłości ku teraźniejszości.

Należało jednak przekonać się, czy hipopotamy, których ryk rozlegał się po lesie, były współczesne z człowiekiem, czy jeszcze trzeciorzędowe.

Roślinność nie dawała rozstrzygających wskazówek. Mało ona była różna od współczesnej flory południowej Europy.

Jeden tylko świat zwierzęcy mógł dać objaśnienie, ale oprócz owadów oraz kosmopolitycznego ptactwa nie zauważono zwierza, który by wyraźnie scharakteryzował swą obecnością miejscowość i epokę. Przedzierano się przez moczary i sieć szeroko rozlanych małych rzeczek i strumyków. Wreszcie napotkano kilka powalonych pni drzewnych. Nie obalił ich wicher, nie padły od starości, bo zdrowe pniaki sterczały jeszcze spośród mchów i paproci, białe zaś drewno nie miało czasu szernieć od grzybków i porostów. Boczne konary były poobcinane tak gładko, jakby je kto oddzielił piłą lub siekierą.

— Nareszcie jesteście wśród ludzi! — zawołał Stanisław. Geolog oglądał kłody.

— Świeży budulec! — prawil uradowany sługa. — Gdzie zaś jest budulec, tam muszą być ludzie.

— Muszą być cieśle — poprawil Przedpotopowicz.

— Wszystko jedno!

— Niekoniecznie! Twoi cieśle mają po cztery nogi.

— Cóż znowu?

— Tak, tak, mój drogi. Drzewa te podciął jeden z najmądrzejszych obecnie na ziemi ssaków. Nie umie on porządnie nawet chodzić, a mimo to jest panem życia każdego drzewa w pobliżu wód. Pływa jak ryba, mieszkania ma podwodne, żywi się jednak roślinnością lądową, a co dziwniejsza, nie tą, którą mu nastroczą zioła i trawy, ale sięga właśnie po młodą korę, gałązki, pączki i liście drzew wysokich.

— Jakże to może być, aby zwierzę nie umiejące chodzić po ziemi wlażyło na drzewa i objadało liście i pączki?

— Radzi ono sobie inaczej. Podgryza drzewa, a wtedy smaczne gałązki same się doń zbliżają.

— Bobry! — zawołał domyslny sługa.

— Tak, bobry.

Zdobyto nowy fakt, ale i ten nie był w stanie rozjaśnić wątpliwości. Bobry, zarówno jak i hipopotamy, żyją do dziś dnia, ale żyły także na długo przed człowiekiem w trzeciorzędzie.

Nie mylił się wcale geolog. Nie dalej jak o kilkaset kroków od miejsca, gdzie leżały podcięte kłody, nad szeroko rozlaną rzeczką, było więcej drzew powalonych. Wszystkie leżały czubkami zwrócone w kierunku wody, bo przewidujące

bobry tak podgryzają pnie, że podcinają głębiej od stony rzeki, przez co przewrócone drzewo dostępnejsze się staje do dalszego rozczłonkowania i transportu okrąglaków oraz gałęzi.

Wśród płytkich moczarów na samym korycie rzeki stał zamek bobrów, ochroniony przez tamę, zbudowaną przez całą szerokość rzeczki. Zdumieć by się można na widok olbrzymiej jak na siły drobnego zwierzęcia budowli, trzymającej się przez wieki pomimo ciągłego naporu wód bieżących. Wysoka na 3 metry tama posiadała około 200 metrów długości. Szerokość tego mocnego wału u dna wynosiła 6 metrów, u samej zaś góry nie mniej nad dwa metry. Składał się on z tysięcy zdrowych jeszcze, grubych, długich i równo przyciętych kłoców drzewa, wstawionych pionowo w dno i połączonych mniejszymi gałęziami, gliną, piaskiem oraz ziemią.

Z mniejszych okrąglaków i gałęzi zbudowane były powyżej tamy wysokie na 2 metry, domki o średnicy 4 do 5 metrowej. Każdy taki kopiec zamieszkiwała osobna rodzina, złożona z dorosłej pary bobrów i kilkorga dzieci. Chat podobnych stało tam kilkadziesiąt. Wszystkie miały z wierzchu pozór niepięknych kopców, a wejście do nich było podwodne. Prócz tych chat wodnych każda rodzina posiadała w ziemi wybrzeża wygrzebaną obszerną jamę. Prowadziła do tych schronisk od strony rzeki podwodna wąska galeria na kilka niekiedy metrów długa.

Te gniazda podziemne bardzo schludnie utrzymane i wysłane suchym mchem, trawą i sitowiem są sypialnią dorosłej pary, w niej także młode na świat przychodzą oraz przechowiają się zapasy żywności na zimową porę. Zoolog wtajemniczony w stosunki bobrów wie, jaką nadzwyczajną odznaczają się te zwierzątka solidarnością, bo chociaż nad budową chaty pracuje wprawdzie tylko rodzina, która ma w niej zamieszkać, inne zaś bobry nigdy jej w tym nie pomagają, lecz za to wszelkie prace około podwyższania albo naprawiania tamy dokonywują się wspólnymi siłami całej osady, a gorliwość i liczba robotników wzrasta w miarę rzeczywistej potrzeby. W nagłych wypadkach, gdy zagraża powódź albo niepożądany spadek wody, wszystkie pracują bez wytchnienia przez całą noc i dokońwiają dzieł iście zdumiewających.

Lubią bowiem, aby woda zawsze stała w osadzie na jednym poziomie, a przyroda kapryśna darzy ich na przemian to zbyt wielką ilością wody, to znów niespodziewaną suszą. Raz tedy trzeba otwierać śluzy, drugi raz zatykać wyłomy sprawione przez rwące fale. A ileż to jeszcze trudów pokonywać trzeba przy sprowadzaniu budulca! Podcięte drzewo upadło zbyt daleko od rzeki. Trzeba ciężkie kłocę ciągnąć po ziemi albo zalewać w celu spławienia ich. Gdy nie można zalać, bobry zaprzęgają się do jednego kłoca i zgodnie spychają ciężar na niższe miejsca. Gdzie można sprowadzić wodę, kopią poprzeczne kanały, aby budulec lekko spławić do miejsca przeznaczenia. Czasami, gdy brakuje już drzewa w bliskości, płyną one o pół mili w górę lub w dół rzeczki, tam ścinają pień, członkują go i spuściwszy na wodę holują zręcznie do osady.

Do całej tej roboty używają potężnych siekaczy i przednich łapek. Do pływania bowiem wystarczają im tylne nogi i łopatkowaty ogon, zastępujący ster.

Mimo tylu i tak ciężkich zajęć czujne są nadzwyczajnie i najbystrzszemu zwierzowi nie dadzą się podejść. O zbliżającym się zwierzu wiedzą, gdy jest jeszcze daleko, bo rozproszeni po okolicy mieszkańcy osady świstem ostrzegają z daleka towarzyszy o każdym podejrzanym szeleście, a sygnały takie, udzielane z odległości, w mgnieniu oka dochodzą do wioski i mieszkańcy mają się już na ostrożności. Za najmniejszym niebezpieczeństwem zawieszają najbardziej gorączkową czynność i wszystkie bobry bez szmeru kryją się pod wodą.

Osada nie daje znaku życia, a okolica pogrążona jest w głuchym milczeniu. Nie lubią bobry okolic obfitych w innego zwierza, na osady wybierają więc głuche i niedostępne puszcze, a raz założywszy siedziby opuszczają je tylko w ostatecznej konieczności. Dla tego to jedna wioska służy nieraz kilkudziesięciu pokoleniom, a iżby się nie przeludniła, rodzice wypędzają dorosłe dzieci z wioski zmuszając do zakładania własnych nowych siedzib w dalszych okolicach, gdzie żywności i budulca jest pod dostatkiem.

Zresztą wysiedlone bobry nie szukają długo dogodnego miejsca na mieszkanie. Nawet i z ubóstwem wody radzą sobie jak inżynierowie. Przez zbudowanie szeregu tam umieją naj-

skromniejszą strugę przetworzyć w szereg bagien i stawów. Nawet suche łąki i szmaty puszczy zalewają, aby drzewa, do których dostęp był trudny, wygodniej było spławiać do chat. Niebawem przychodzą im w pomoc mchy i zielsko wodne. One przy poległych pniach tworzą splątane gąszcze, tamujące odpływ wód, i wówczas mają niekiedy aż za dużo wody tam, gdzie jej przedtem wcale nie było. Muszą wtedy znowu kopać rowy, podnosić tamy w jednym miejscu, rozrywać w innym, aby szczyty kopców górowały stale nad najwyższym poziomem przyboru. Przy tak ciężkich zatrudnieniach znajdują te dziwne istoty czas na czułe pieszczoły i bez wątpienia, kto nie widział pary bobrów igrających miłośnie na brzegu strumienia, ten nie ma pojęcia, jakie wdzięczne idylle kryją głuche na pozór i ponure puszcze leśne.

Długo by wypadło oczekiwać na upragnione wskazówki, gdyby po wyjściu na suchą część puszczy baczne oko i myśliwska wprawa lorda nie przyszły z pomocą. Dzięki kilku złamanym gałązkom, na które geolog nie zwrócił uwagi, Anglik skierował kroki towarzyszków na prawo i ukazał im szeroki szlak, wygnieciony przez bardzo grubego zwierza. Mnóstwo gałęzi świeżo połamanych lub przygniecionych do ziemi zaścielało wydeptaną przez jakieś potężne stopy drogę.

— Tędy przeszło w nocy stado słoni — zawyrokował Anglik i wzrok mu się zaiskrzył.

— Czy pan jest tego pewny? — zagadnął żywo Stanisław.
— Czy to znowu nie jakiś atlantosaur albo inny wielki jaszczur?

— Tych już dawno nie ma. Wstydź się nawet mówić o jaszczurach, gdyś widział już bobry i słyszał hipopotamy.

— Jestem pewny, że to słonie — powtórzył Puckins. — Znam dobrze ich obyczaje.

— W takim razie bylibyśmy w naszych czasach i wcale nie w Europie — rzekł profesor.

Stanisław nie posiadał się z radości. Przewyciężył on nawet wstręt do myśliwskich wycieczek i sam zaproponował, aby podejść do pasących się zapewne w pobliżu „trąbatych“ olbrzymów i przekonać się co prędzej, jak rzeczy stoją. Życzenie jego spełniło się rychło, choć nie tak, jak pragnął.

Z oddali doleciał chrzęst łamanych lub odchylanych gałęzi.

— Baczność! Słonie! — szepnął Anglik.

— Zejdźmy im z drogi! — zawołał Stanisław, ale Puckins bez ceremonii położył mu dłoń na ustach.

— Sprawuj się ciszej! Od tego zależy całość twoich członków.

Za chwilę mignęły w gąszczu żółtawe kły oraz brunatne kosmate cielska rzędem wyciągniętych gruboskórców.

Słychać było nawet ciężkie ich oddechy i szelest liści, ocierających się o boki zwierząt.

Geolog z zapartym tchem pożerał wzrokiem olbrzymy, które dysząc miały naszą trójkę z majestatycznym spokojem i poczuciem siły oraz bezpieczeństwa.

Na twarzy Anglika odbił się wyraz zdumienia.

— Te słonie są jakieś niepodobne do siebie — szepnął.

— Bo to mastodony!

— Jak to? Gatunek zaginiony?

— Zwierz plioceński! — wyrzekł niemniej zadziwiony geolog.

— Zlituj się profesorze, czy to podobna?

— Nie ma wątpliwości!

Tymczasem rozgorączkowany Stanisław rachował przechodzące olbrzymy.

— Szesnaście, siedemnaście, małe słońátko... dziewiętnaście...

Rachunek przerwał stłumiony ryk. Zanim przebrzmiał, powstał w gromadzie trąbowców zgiełk nie do opisania. Mastodony rozsypały się bez ładu po lesie.

Trzask łamanych trąbami gałęzi zlewał się z chrzęstem gniecionych i przeżuwanym pomiędzy wielkimi trzonowymi zębami. Ciężkie oddechy, potężne kruczenie powietrza we wnętrzościach olbrzymów, kłapanie uszami, tarcie ciał o wielkie drzewa, głucho mruczenie i urywane ryki potężnych gardzieli złączyły się w jedną wrzawę, od której drżał las cały. Stado, dotąd w porządku kroczące, uctowało bez troski. Pomimo pokojowego nastroju trąbowców nie można było uważać sąsiedztwa ich za zbyt bezpieczne, zwrócono się tedy

w głąb puszczy i starano się zachowywać jak najciszej. Znowu jednak jakiś potężny i odmiennie brzmiący ryk przykuł do ziemi naszą trójkę. Jeszcze drugi ryk wodza przenikliwy i w połowie urwany rozdarł powietrze i ustał nagle gwar biesiady. Potem



Tygrys plioceniński; w głębi mastodony

zajęczała tylko ziemia od łoskotu zbliżających się w ścisłej gromadzie olbrzymów. Trudno było na razie zrozumieć, co się stało.

Przeraźliwe ryki wydarły się z kilkunastu naraz gardzieli i nie ustawały już ani na chwilę. Trzask pękających nagle gałęzi mieszał się w jeden koncert, daleko straszniejszy od pierwszego, wówczas gdy stado rozsypało się swobodnie po lesie. Teraz łatwo było zrozumieć, że jakaś walka zawrzała w gromadzie.

W głosach zwierząt rozróżnić było można odcienie przerażenia, gniewu i bólu. Trwało to najwyżej pięć minut, po czym stado śpiesznie się oddaliło. Wróciła cisza. Tylko ptactwo

umilkłe z trwogi ożywiło ją ponownie świergotem bez troski. Nagle doleciał ucha geologa głuchy, świszczący oddech i szamotanie się w krzakach. Zbliżono się z należytą ostrożnością do miejsca, które przed chwilą musiało być widownią tajemniczego jakiegoś dramatu, i ujrzano rosnącego mastodona, który wsparty na przednich nogach i dwóch kłach na próżno usiłował powstać. Siły go już opuszczały, śmierć szła doń szybkim krokiem. Z rozdartej szyi sączyła się obfitą strugą ciemna posoka. Okrwawiona trąba zwijała się niby wąż boa dokoła rany. Może rozumny olbrzym pragnął ją zatkać. W oczach konającego zwierza tyle się bólu cichego skupiło, że geolog odwrócił głowę. Małe oczy mastodona patrzyły wciąż w stronę oddalającego się stada, tylko głowa jakby coraz cięższa skłaniała się zwolna ku dołowi. Próżno ją dźwigał, kły długie co chwila wspierały się na ziemi. Stęknął wreszcie mastodon raz ostatni, wyciągnął trąbę nad głowę i osunął się bezwładnie na ziemię. Teraz dostrzegł Stanisław o kilkanaście kroków przewieszonego przez leżący, na pół zgniły pień innego, stosunkowo niewielkiego zwierza. Trudno go było na razie odróżnić od ciemnej kory, więc zbliżyli się nasi wędrowcy i paleontolog ze zgrozą rozpoznał w krwawych szczątkach drugiego króla puszczy, Machairodusa. Wspaniała ten tygrys o groźnej paszczy, w której błyskały potwornie długie kły krzywe i ostre jak szabla, był literalnie zmiażdżony i podobny do krwawego kawała mięsa. Gdzieniegdzie sterczały z tego mięsa ostrza pogruchotanych i bladoróżowych kości. Odegrała się tu jedna z niezliczonych tragedii świata. Największy kot ziemi, ufny w swą zwinność i stalową siłę mięśni, zaatakował jednego z mastodonów, ale może przerachował się w skoku i nie zdołał już ująć zemsty rozgniewanych olbrzymów. Po krótkiej i zacieklej walce leżał zmiażdżony przez łagodnych zwykle, lecz wobec wroga mężnych i nie znających litości roślinożerców. Machairodus zamordował wprawdzie jednego z tych majestatycznych i mądrych czworonogów kłami przystosowanymi do walki z naj-



Olbrzymie kły w szczęcie
górnej tygrysa z epoki
pliocenu

większymi zwierzętami ziemi, ale ostatnie to zwycięstwo zbyt drogo przypłacił, bo życiem.

Geolog stał zamyślony nad szczątkami zwierzęcych herkulesów. Czoło okryło się fałdami, oko posmutniało. Któż zgadnie, co mu się po głowie snuło, gdy patrzył na dwie ziemskie potęgi, które się w jednej chwili unicestwiły. Nie widział ich wcale. Wzrokiem duszy błędził daleko, potykał się o nierozwikłaną zagadkę, jaką stanowi ten świat zjadających i zjadanych. Snuły mu się w duszy nieokreślone jakieś pytania i porównania, a serce ścisnął żal jak kleszczami. Tymczasem Anglik mierzył już ze spokojem myśliciela długość plioceńskiego słonia, Stanisław zaś oglądał z brutalną ciekawością okrutnie pogruchotane cielsko tygrysa.

— Dobrze mu tak, zbrodniarzowi! — odezwał się z błyszczącym od oburzenia wzrokiem.

Geolog zwolna się odwrócił i popatrzył mu w zaiskrzone oczy.

— Źle mówisz! Cóż ten kot wspaniały winien naprawdę, że natura wypiaستowała go na krwi cieplej? Czy winien, że żołądek jego trawi i upomina się ciągle o krew nową? Czym jest gorszy ten krwiożerca od spokojnego mastodona?

— O panie! różnica ogromna. Tamten nikomu krzywdy nie uczynił...

— Tak, zwierząt nie zabijał. I ja o tym myślałem. Ale przyszło mi także do głowy, że my nasze sympatie i antypatie bardzo stronnie rozdzielamy między zwierzęta. Ściśle biorąc, ten mastodon ma na swoim sumieniu więcej jeszcze przeciętych żywotów ziemskich aniżeli ten krwiożerca, który zabija co dzień jedną tylko roślinę istotę. Wszak on co dzień zjada miliony roślin i ciężką nogą depta całe kobierce ziół wonnych.

— To co innego, roślina nie czuje...

— Ale żyje. Czyż przez to, że nie umie się bronić, utraciła już prawo do życia? A zresztą, czyż stopa tego kolosa razem z ziołami nie rozgniata liczne tłumy ślimaków, owadów i drobnych zwierzątek. Czymże on wobec natury niewinniejszy od tego sponiewieranego kota? Czyż ten zwierz sprężysty winien, że posilna dla przeżuwających trawa byłaby dlań trucizną, że jego jelita zdolne są przerabiać tylko krew na krew? Prze-

cież on jest tylko dziecięciem posłusznym tajemniczej sile, która świat ziemski ustosunkowała do wzajemnego tępienia się, a jemu wyznaczyła rolę okrutnika. Właśnie ten srogi porządek świata przejmuję mnie zgrozą i każe pytać: dlaczego tak jest? dlaczego chce, czy nie chce, wszystko na ziemi żyje krzywdą innych?!... Czyżby nie mogło wszystko, co żyje — żyć w zgodzie, nie czynić sobie krzywd i bólów? Czy tak zawsze będzie? Czy tak wszędzie na świecie? Do czego potrzebny ten piekielny łańcuch mąk i okrucieństw?

.....

Stanisław tego wszystkiego nie słuchał prawie. Niezdolny współczuć z profesorem, zaprzątnięty był daleko ważniejszą i aktualniejszą sprawą. Nie myślał nawet o zwierzęciu minionych czasów, tylko o tym, że swoim ukazaniem się rozwiąło i zburzyło nadzieję ukończenia dziś wędrówki.

Biadania na ten temat oprzytomniły wreszcie geologa.

— Tu można zmysły stracić — wołał Stanisław. — Jużem się cieszył, że szczęśliwie dobiliśmy do portu, aż tu nagle mamut!

— Mastodon — poprawił lord Puckins.

— Wszystko jedno! — zapewniał sługa.

— Wcale nie jedno! — rzekł geolog. — W pliocenie mastodony dopiero panują.

— Zapewniam pana, że to mi zupełnie wszystko jedno. Najgorsze tylko, że nie możemy wybrnąć z otchłani czasu.

Lord Puckins nawet i z tym się pogodził, i rad był tylko usłyszeć, jak jeszcze daleko do XX wieku.

— Wiesz dobrze, lordzie, jak trudno wyrokować w materii, o którą pytasz — odrzekł mu na to profesor. — Mimo to, mogę cię pocieszyć. Nie popełnię dużej omyłki przypuszczając, że od świata ludzkiego dzieli nas jeszcze kilkanaście milionów lat.

— Kilkanaście?... — wybełkotał przerażony Stanisław.

— Tylko tyle? — wycodził lord Puckins z lekka kiwając głową.

Stanisław się oburzył.

— Pan sądzi, że tak łatwo przeżyć tyle czasu.

— Mój kochany, przebyliśmy już setki milionów, nie widzę więc dobrej racji, dla której mielibyśmy lękać się i tej bagatelki.

— Piękna bagatelka ! Już ja wołałbym siedzieć w wagonie i powtarzać sobie „jedziemy do domu“. A przecież nawet i na ostatniej stacji nie można być pewnym, czy się cało do domu dojedzie...

— Najzupełniejszą masz słuszność — odezwał się Przedpotopowicz suchym i uroczystym tonem profesora. — Zanim ujrzymy oblicza naszych przyjaciół i znajomych, pierwszej ród mastodonów musi się przeżyć. Pierwej zjawia się lwy i pantery, których nie ma jeszcze teraz, pierwej wypiją morze krwi nie istniejących dotąd gatunków antylop, żyraf, jeleni i gazeli. Pierwej mamuty rozmnożą się, nażyją i wymrą wszystkie ! Pierwej przybędą tu z Azji niedźwiedzie, bawoły i konie, pierwej pojawi się majestatyczny jeleń irlandzki.

— Dość ! — zawołał Anglik.

Ale profesora uniósł już zapach paleontologiczny. Nie słyszał nic dokoła.

— ...W tej chwili ssaki przeżywają epokę najwyższego fizycznego rozwoju — ciągnął. — Wspaniałe ciałem, górują one bezspornie nad całym stworzeniem... Żaden jednak z tutejszych gatunków nie dotrwa do naszych czasów. Rodzaje tylko zostaną... i to nie wszystkie !

— Kilkanaście milionów lat... — biadał Stanisław, głuchy ze swej strony na wszystko, co mówił profesor — *Pół miliona... !*

— Uspokójże się i przestań narzekać — przerwał mu z pogardą Anglik. — Wiesz przecież, że dla nas wieki mijają niby sekundy.

XX.

OKRES CZWARTORZĘDOWY.

ŚLADY CZŁOWIEKA.

Minął znowu wielki okres czasu.

Na ziemi niewiele zmieniło się. Ubyło i przybyło trochę gatunków zwierząt i roślin, ot i wszystko. Klimat Europy niewiele się jeszcze różnił od północno-afrykańskiego, więc i przyroda mniej więcej była jednakowa. Wprawdzie Europa nieobfitowała już w stada trąbowców, ale nosorożce i hipopotamy licznie trafiały się nie tylko na lądzie, ale nawet i na wyspach. *Machairodus* z rzadka już tylko zakłócał spokój zwierzętom. Wraz ze stałym uszczuplaniem się liczby tych trąbowców, krwawym królom puszczy coraz trudniej było o godną potwornych kłów zdobycz.

Na niedźwiedzie przyszły złote czasy. Pogodne spasione i pewne siebie gospodarowały wszechwładnie na ziemi żyjąc zależnie od kaprysu zarówno roślinami, jak i zwierzęcą zdobyczą.

Z tej puszczy, pełnej tajemniczych mroków, wydobyli się nasi wędrowcy na pasma żółtych piasków, nad szmaragdową zatokę morską. Radzi, że ich nie przytłaczał chaos splątanych konarów i zieleni, skąpani w świetle promieni słonecznych rozjaśnili oblicza. Lord Puckins rozważał już szanse ujrzenia w od dali latarni morskiej lub wieżyc zwiastujących ludne miasto, gdy tymczasem Przedpotopowicz dokonał drobnego odkrycia. Zwrócił on uwagę na nagromadzone w jednym miejscu skorupy po mięczakach, przeważnie po ostrygach. Gdzieś tam zauważono też resztki krabów. Większość tych resztek wypławiła już od leżenia na słońcu. Przyjrzawszy się bacznie zauważył między nimi całkiem jeszcze świeże okazy, a co więcej, podniósł ze żwiru niewielki kamień, na którego widok nie był w stanie powstrzymać okrzyku zdziwienia. Dla nie wtajemniczonego oka kamień ten o kształtach olbrzymiego migdału byłby obojętny jak tysiące innych, zalegających wybrzeże. Ale dla geologa nie był to zwykły głazik.



Narzędzia krzemienne człowieka pierwotnego. Epoka kamienia łupanego.
Narzędzia te były używane do krajania i skrobania

Krzemień ten, ważący mniej niż kilogram, dla niego ważył więcej niż wszystkie razem na całym wybrzeżu. Miał on doniosłość dokumentu. Na powierzchni był ze wszystkich stron pokryty płaszczyznami powstałymi od mocnych i celowo dokonanych uderzeń. Jednym słowem był starannie otluczony i ła-

godnie na jednym końcu zaostrowy. Geolog przypatrzył mu się uważnie. Nie rzekł nawet słowa, tylko rozglądał się po ziemi. Zwróciło to uwagę Anglika.

— Co tam ciekawego upatrujesz w tym śmietniku? Jest to zapewne miejsce żerowania jakiegoś ostrygojada?

— Prawda! — rzekł profesor — ale śmietnik ten wart tyle, co jadalnia Lukullusa. Jesteśmy u królewskiego stołu, a właści-

wie u biesiadnego stołu królewskiego niemowlęcia.

— Cóż to za zwierzę nowy? Wiem przecież, że mamucięta ostryg nie jadają.

— Nie o nich myślałem. Wieki ich królowania policzone. Inne stworzenie wstępuje teraz na tron ziemi.

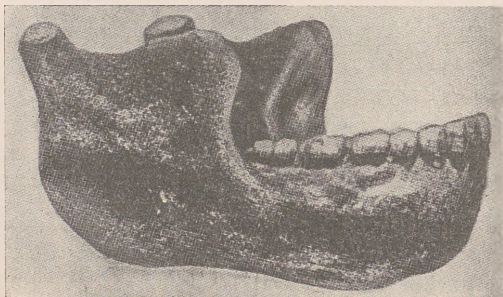
— Jakoś niewybredne wyślasz dynastie. I ów królewicz tu się posila?

— Posila się wszędzie, gdzie znajdzie coś zdatnego do zaspokojenia głodu.

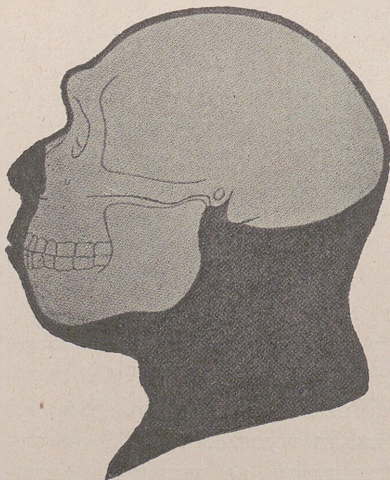
— Głodu? Czyż król może być głodny?

— To przyszedł król dziś jeszcze zero. To poczwarka dopiero, z której wykluje się wspaniała motyl, jakiego ziemia nie oglądała. Zaćmi on wkrótce wszystkie dynastie ziemi.

Żaden z dotychczasowych dygnitarzy, czy to był bóbr czy mamut, nie spoglądał nigdy

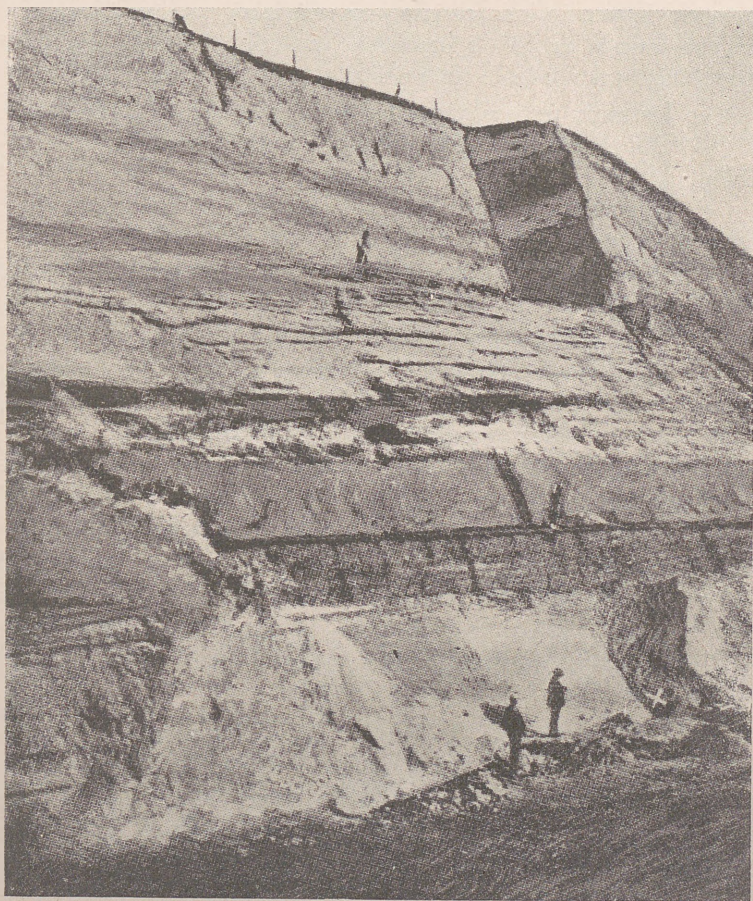


Szczeka dolna człowieka tak zw. „Homo heidelbergensis“, uważanego za jeden z typów najbardziej pierwotnych



Rekonstrukcja „Homo heidelbergensis“ według R. S. Lulliego

zadumany w twarz księżycy, nie pytał dlaczego słońce wschodzi albo skąd się wiatr bierze, żaden nie pytał co złe, a co dobre. Ten zaś wszystkiego ciekawy i wiele się dowie. W niewidzialnych pyłkach dociekać będzie praw życia, pozna zawile drogi planet i gwiazd odległości, myślą wybiegnie poza drogę mleczną, sercem obejmie świat cały...



Szczęka „Homo heidelbergensis“ została znaleziona w Mauer pod Heidelbergiem. Znajdowała się ona w piaskach (miejsce oznaczone krzyżykiem) przykrytych grubymi na 79 stóp osadami lodowcowymi i rzecznyymi

— To człowiek ! — zawołał naiwnie Stanisław.

Głuszę leśną wypełnił niespodziewany majestat.

Przyjaciele nie śmieli wyrzec słowa.

— Więc człowiek ! — szepnęła nareszcie zadumany Anglik.

W tych dwóch krótkich wyrazach ileż mieściło się treści !

Stanisław ucieszył się. Pojął, że nastąpił upragniony kres przygód. Zapewne lada chwila jakiś litościwy wieśniak lub wędrowiec wskaże drogę do najbliższej siedziby ludzkiej, a może napoi, nakarmi i odeśle do miasta.

— Jesteśmy tedy wśród ludzi ? — zagadnął rozpromieniony.

— Tak mój drogi, ważna to chwila w życiu ziemi — odrzekł geolog.

— W naszym, panie, większa, znaleźć się po tylu niepokojach u kresu.

— Radość twoja przedwczesna. Nie jesteśmy jeszcze w swoim świecie.

— Przecież jesteśmy wśród ludzi !

— Ci ludzie to jak dzieci, z postaci są dopiero do nas podobni. Stoimy u kolebki rodu naszego. Człowiek, który porzucił ów krzemień, należy jeszcze w znacznym stopniu do świata, na którego łonie wypiastowała go siła twórcza.

Tymczasem i Anglik otrząsnął się z pierwszego wrażenia.

— A więc możemy oglądać nie zepsute arcydzieło Boże ! — zawołał z przejęciem.

Profesor uśmiechnął się gorzko.

— Wiesz, lordzie, jak gorąco pragnąłem poznać człowieka czwartorzędowego, a jednak ze względu na twe złudzenia lekam się teraz tego spotkania !

Stanisław struchlał. Wierzył w odwagę profesora i nagle z ust jego własnych usłyszał wyznanie bojaźni. To go objaśniło, że spotkanie z człowiekiem tych lasów było niebezpieczne.

— I gdzież się teraz obrócimy, aby uniknąć strasznego spotkania ?

— Czemu strasznego ?

— Pan jeszcze pyta ? Żyć cały dzień pod grozą, lękać się zasadzek, oskałpowania, a może grobu w żołądkach ludożerców...

— Skąd ci przychodzą takie obawy?

— Nasłuchałem się przecież niemało o Indianach, o ich zuchwałstwie, przebiegłości. To ród gorszy od tygrysów!

— Ależ tu nie ma Indian!

— Wszystko jedno! skoro są dzicy...

— Więc o to ci chodzi? Uspokój się. Nie ma tu wcale biednych Indian, zwanych przez rasę białą „dzikimi“ dlatego, że bronią rozpaczliwie swego bytu i swych prerii przed najezdnikami, którzy w imię cywilizacji przede wszystkim wywłaszczają ich, grabią i mordują ze sztuką i zaciętością prawdziwie cywilizowanych ludzi! — Tu nie ma wcale „dzikich“ szczepów, o których nasłuchałeś się. Jest tylko człowiek, człowiek okresu czwartorzędowego!

— Mniejsza o epokę, dość dla mnie, że jest niebezpieczny.

— Człowiek, którego możemy tu spotkać, nie jest może nawet Buszmenem, jest tylko w całym znaczeniu tego wyrazu pełnoletnim niemowlęciem. To mąż o umyśle trzyletniego dziecka, o instynktach i przyzwyczajeniach...

— Nie kończ!

— To rozbitek, zawieszony między dwoma światy. Kajdany pierwszego skruszył, do drugiego jeszcze nie dorósł. Istota, która ziemię sobą kiedyś wypełni, złe i dobre spotęguje do nieznanych dotąd rozmiarów, tuła się gromadkami po puszczy, w ciągłym niebezpieczeństwie życia, bezsilna, z głową pełną zarodków myśli, zalękniona, prześladowana, tępiona przez zwierzęta i żywioły. W pogodnych momentach życia uśmiecha się niby dziecię z kołyski do całego świata; huk znowu piorunów, wycie wichru, ciemności nocy, ryk drapieżnych bestyj, błyskawice i piorunowe pożary przygniatają go, dręczą i onieśmielają... O! nie do zazdrości to położenie!

— Skądże on się wziął tutaj? — zapytał Stanisław.

— Nie wiem — odrzekł geolog.

— Pan nie wie? pan, który tyle książek przeczytał?

— Właśnie może dlatego milczę.

— Dziwi mię to, bo ja nie tak wiele znam książek, a wiem przecież, że człowiek pochodzi z Raju, że znał wszystkie zwierzęta po imieniu i one go znały — był szczęśliwy, rozmawiał

z Bogiem, a dopiero za grzech został wypędzony i skazany na nędzę i poniewierkę.

— Trzymajże się tej wiary, bo nauka nie zna dotąd *naj-pierwszego* człowieka i milczy o nim. Co więcej, stwierdza ona niezmierną przepaść dzielącą świat znanych (żywych i kopalnych) zwierząt od człowieka, ale wyjaśnić jej nie umie. Nie ma dość podstaw do wyrokowania o jego uzdolnieniach i inteligencji. Rozprawiać dopiero zaczyna o człowieku późniejszym, którego niewątpliwe ślady i resztki znalazła w głębi ziemi i w jaskiniach odwiecznych. Ale skąd się on wziął, nie wiemy. Czy przybył wraz z trąbowcami z dalekich, a nie istniejących już lądów południowej półkuli, czy jest dziećciem bliższych nam krain, np. źródłówek Eufratu, o tym różne są tylko przypuszczenia. Jaki był pierwotnie, powtarzam, nie wiemy także. Dość nam wiedzieć, że *czwartorzędowy* człowiek przerasta dostojeństwem znany nam świat ziemski, że piastuje w łonie iskrę, która rozplonie kiedyś w pochodnię i powiedzie go wysoko ponad poziomy... Tymczasem potrzeb i wymagań ma mało. Jest ciepło, więc chodzi nago; otaczają go nieprzebyte puszcze, więc obiera siedlisko nie w głębi borów, ale po ich krawędziach, na wybrzeżach wód, gdzie łatwiej się wyżywić i ustrzec od napaści dzikich bestyj. Nie boi się go jeszcze żaden zwierz. Stale też ustępuje z drogi mocarzom tego świata. Nie poprzestał jednak wyłącznie na sile swych muskułów, na twardości pięści i nosi stale gruby kij, niekiedy groźną pałkę. Prócz niej posiada narzędzie, przy pomocy którego zaspakają wszystkie potrzeby swoje. Z początku owo narzędzie zastępował mu naturalny, ostry odłam krzemienia. Potem począł nadawać użytecznemu krzemieniowi dogodniejsze do ujęcia w dłoń i do pracy kształty. Tym sposobem wytworzył sobie nieocenione narzędzie, z którym nie rozstaje się dniem i nocą. Tym narzędziem rozszerza on w spróchniałym pniu dziuplę na nocne schronienie, tym samym odrywa korę, aby zaspokoić głód tłustym robactwem drzewnym, rozłupuje owoce i orzechy, otwiera muszle; ono służy mu do oskrobania maczugi z kory i gałązek, ono stanowi w obronie prócz kija jedyny oręż zdolny ranić przeciwnika. Przy otłukiwaniu tego narzędzia baczniejsi robili nieraz odkrycie, którego doniosłości

ocenić jeszcze nie byli zdolni. W ciemnościach dostrzegali iskry sypiące się pod uderzeniami krzemienia. Traf niekiedy sprawiał, że zapalały się od nich wyschły mech lub próchno. Wypadek podobny i jego nadzwyczajne skutki przerażać tylko musiały pierwszych wynalazców ognia, ale to pewna, że niejeden ochłonawszy próbował swej sztuki. Jakiś wyjątkowo przedsiębiorczy na swój czas śmiałek mógł nawet oswoić się ze złośliwym i żarłocznym „zwierzęciem“. Być może nawet, że gdzieśgdyś gromadki sąsiadujące z czynnym wulkanem umiały już wtedy wyciągać korzyści z tego dziwnego „żywiołu“, a po niejednej głowie snuły się mętne przeczucia i porównania na temat blasku, ciepła, ognia, pioruna i słońca. Już gdzieśgdyś jaśniały czasem nocami łuny pożarów przypadkowych, a wtedy cała okolica drżała w panicznej trwodze, dymy zaś gryzące niosły postrach daleko płosząc sen z powiek wszystkiego co żyło, nie wyłączając nawet tych jednostek ludzkich, które nie widziały jeszcze nigdy ognia.

Tu zamilkł profesor i dumiał o tym pierwotnym stanie, o jakim nam trudno mieć wyobrażenie.

Stanisław już od dłuższego czasu oddalił się i na własną zapewne rękę prowadził obserwację.

XXI.

W CZTERY OCZY Z NIEDŹWIEDZIEM JASKINIOWYM.

Lord Puckins nie mógł się jakoś pogodzić z milionami lat, o jakich prawil geolog.

Jako członek społeczeństwa przedsiębiorczego, przywykły do wynalazków i ulepszeń, sypiących się jak z rogu obfitości, instynktowo bronił się przed myślą, że tak nie zawsze bywało. Nie chciał uznać, aby mogły mijać całe tysiącolecia w zastoju.

— Coś mi wasza nauka bruździ, kochani profesorowie. Musicie się mylić co do dawności waszych pokładów geologicznych. Gdybym miał wierzyć w waszą chronologię, wydałby mi się ród ludzki jakimś tępym kłosem, niezdolnym do żadnego postępu. A przecież wszyscyśmy świadkami dzielności naszego rodu. Jakież mamy prawo do odmawiania naszym przodkom, do których zupełnie przecież jesteśmy podobni, tych zdolności, które sami posiadamy?

— Zdolności nie odmawiam, ale te się powoli wyrabiają — przerwał zniecierpliwiony Przedpotopowicz. — Nawet i dziś nie wszystko przecież możemy, do czegośmy zdolni. Ludzkość pierwotna była owym nic nie umiejącym biedakiem, który grosz z wysiłkiem zdobywa, a jeszcze z większym grosz do grosza ciuła. Nie, lordzie, ludzkość od początku kroczy naprzód, ale przy nierozwiniętej jeszcze woli drogę miała niezmiernie trudną i długą. Tylko nam, bogaczom ducha i spadkobiercom uzbieranych z trudem milionów, wydaje się ów dawny, groszowy postęp zastojem. Wszelkie przecież początki są takie. Wszak wiesz chyba, co to za straszny hamulec: poprzestawanie na małym i odosobnienie? Co poczęłoby dziecię nawet twojej cywilizacji, zbrojne w legion zdobyczy, gdyby je rzucić samotne między dzikie zwierzęta? Zapomniałeś chyba o tym, że obecnie na całej ziemi nie ma tylu ludzi, ilu ich liczyć będzie jedna większa stolica, że cała ludność obecna Europy pomieściłaby się zapewne w byle miasteczku naszym. Dziś na obszarze, który kiedyś zdoła z łatwością wyżywić 50 000 ludności rolniczej, utrzymuje się zaledwie dziesięciu ludzi, bo na dwudziestu nie starczyłoby już żywności. Człowiek czwartorzędowy przy swoim trybie życia musi mieć przynajmniej tysiąc mórg puszczy¹⁾. Łatwo możesz sobie wyobrazić, co za obszar zajmuje w takich warunkach jedna gromadka z kilkunastu osobników złożona! Dlatego właśnie nawet dzieci nie zawsze mogą pozostawać długo razem z rodzicami, dlatego gromady muszą mieszkać z dala od siebie, dlatego wreszcie sąsiedzi i krewni, zamiast pomagać sobie, zazdrośni o szmat puszczy, o mizerną żywność nie chcą się znać nawet, unikają się, a przy spotkaniu walczą i tępią z zawziętością jastrzębi i tygrysów. Człowiek czwartorzędowy obraca się co najwyżej w otoczeniu kilkunastu, równie jak on surowych, biernych i ograniczonych współplemieńców, niezmiernie rzadko spotyka obce gromadki, a nigdy zapewne nie widział stu ludzi razem zebranych. Człowiek tułtejszy, otoczony legionem zwierzęcych wrogów, połowę swych sił zużywa na to, aby się im nie dać pożyć, a drugą na to, aby

¹⁾ Do tego, aby człowiek wyżył się z samego polowania, musi przypadać na każdą głowę kilkaset różnych zwierząt, a każde dla siebie potrzebuje przeciętnie 7—15 morgów puszczy.

nie umrzeć z głodu. Gdy bywa syty, o nic się już nie troszczy i odpoczywając gromadzi bezwiednie nowe zapasy energii, potrzebnej mu nadal. Energii tej nie umie jednak oszczędnie jak my zużywać i przy pierwszej potrzebie, walce, polowaniu lub ucieczce wyczerpuje ją marnotrawnie do dna. Przyznaj, jak można w takich warunkach prędko się rozwijać!?

— Rzeczywiście, jeśli jest tak, jak mówisz...

— Jest gorzej jeszcze! Trzeba by prawdziwych wysiłków umysłu, aby wystawić sobie w całej prawdzie wszystkie ujemne warunki, wśród których rozwija się tutaj człowiek. Wiemy np., co to jest za wielkie dobrodziejstwo doświadczenie. I z tego dobrodziejstwa tutejszy człowiek niewiele albo wcale nie korzysta. Najprzód bezsilna i rozproszona ludzkość nadzwyczaj wolno wzrasta w liczbę, po wtóre jednostka rzadko dochodzi do starości. Zwykle wcześniej, bo jeszcze w pełni sił ginie od kłów, pazurów albo w utarczce z obcymi gromadami, a już niechybna zguba ją czeka z chwilą, gdy oko straci bystrość, słuch stępieje, a mięśnie tracą dawną sprawność. Wtedy, jeśli nie zginie z rąk silniejszych mężczyzn własnego szczepu, to pada ofiarą opuszczenia i bezsilności. W takim trybie życia dziewięć dziesiątych doświadczenia ludzkiego ginie jeszcze marnie w niepamięci. Mimo to wszystko nie może być nawet mowy o zastoju! Porównaj, lordzie, najnędźniejszego syna tej puszczy z pozostałym światem żywym, a przekonasz się, o ile on już wyższy od niego. Czyś się kiedy zastanawiał nad słońcem, bo- brem, małpą lub wilkiem? Gdybyś wszystkie z całego świata wziął pod obserwację, będą one zawsze jednakie w charakterze i uzdolnieniach, działają one w zamkniętym ściśle kole jednostronnych praktyk. Różnice osobiste prowadzą się wśród nich do drobnostek. A tymczasem człowiek czwartorzędowy pomimo całej nędzy, pomimo że mądrości osobistej nie umie jeszcze prawie przekazywać bliskim, przedstawia już teraz niewyczerpaną różnorodność uzdolnień. Już te i owe grupy, a nawet w jednej grupie osobniki różnią się bardzo znacznie między sobą. Mimo jednakich pozorów, niejeden już wznosi się wysoko ponad rówieśników, ale niestety ani sam o tym nie wie, ani otoczenie tego nie dostrzega. A jeśli dostrzega, wtedy biada jej! Jako nienormalna jednostka, podlega najczęściej po-

gardzie lub prześladowaniu. W najlepszym razie wywołuje bojaźń i niedowierzanie. W takim stanie rzeczy mijają liczne pokolenia pozornie jednakie, ale tylko pozornie. Jest w tej okrutnej walce o byt, niesprawiedliwej w pojedynczych wypadkach, jedna dobra i ważna dla postępu strona. Oto giną najczęściej mniej zdolne i słabsze osobniki. Dzielniejsze i mądrzejsze lepiej się bronią, dłużej żyją, mnożą się i opanowują puszcze. To samo odnosi się do gromad i szczepów całych. Mnóstwo mniej uposażonych wyginęło bez śladu ustępując miejsca dzielniejszym. Z tych dzielniejszych, w miarę mnożenia się, znowu dzielniejsze tylko i mędrsze ostają się — i tak zwolna doskonaląc się zepchną one cały świat ożywiony do nóg swoich. — Ale do tego jeszcze daleko, daleko...!

Słowa przyrodnika przerwane zostały nawoływaniem Stanisława, dochodzącym z głębi lasu. Odpowiedziano mu, a w kilka minut nad biegł on sam zadyszany, w podartym odzieniu. Ręce jego broczyły krwią. Twarz była podrapana.

Obaj towarzysze zajęli się obejrzeniem skaleczeń i równocześnie dowiedzieli się, że tylko dzięki przypadkowi zdołał się ocalić od niechybnej śmierci.

Właśnie znalazł był wejście do jakiejś jaskini. Ucieszony, że będzie mógł zaprosić do niej profesora, zapalił gałąź i wszedł śmiało, ale zaledwie wstąpił i przekonał się, że jaskinia jest bardzo obszerna, gdy z głębi doszło go złowrogie mruczenie. Spojrzał i struchlał. W ciemnym kącie majaczyło olbrzymie kudłate cielsko.

Był to niedźwiedź, ale dwa razy większy od największych jakie kiedykolwiek widział w British Muzeum lub zoologicznym ogrodzie.

— Poczułem, że nadeszła moja ostatnia godzina — powiedział Stanisław. — Byłem zupełnie bezbronny, a zresztą wobec tak straszego wroga, choćbym miał rewolwer albo nawet strzelbę, nie na wiele by się one zdały. Błysnęła mi na chwilę myśl szybkiej ucieczki. Był to jedyny sposób ratunku, ale niepewny, bo wiedziałem, że zwierzę, zanim dopadnę drzewa, dogoni mnie, a nawet i na drzewo wdrapie się za mną. Rozważałem przez chwilę, co czynić, tymczasem niedźwiedź srożył się coraz bardziej i ukazywał mi już spod drgających warg białe potężne

kły. Gotował się do napadu. Wreszcie ryknął, aż zatrzęsło się sklepienie jaskini. Nie wiem już, jak się stało, dość, że rzuciłem się do wyjścia, ale w oka mgnieniu zwierz dopędził mnie. Wtedy nie pamiętam już dobrze, czy zasłoniłem się płonąca gałęzią, czy może uderzyłem nią po łbie napastnika. Co się dalej stało nie wiem. Padłem przerażony na ziemię raniąc ręce i kalecząc nogi. Już tylko czekałem rychło kości moje zacząną trzeszczeć, ale śmiertelna cisza, jaka zapanowała po mym upadku, ośmieliła mię do poruszenia się. W jaskini byłem sam. Zwierz gdzieś przepadł.

— Ogień cię ocalił, bratku! — zawołał Przedpotopowicz. — Niedźwiedź musiał być niemniej od ciebie przerażony zjawieniem się „jasnego” gościa w jego schronieniu i skorzystał z chwili twego wahania, aby ratować się ucieczką. Drżeliście wzajemnie przed sobą.

— Paradna przygoda! — rzekł Puckins.

— Nie bardzo, proszę pana. Przekonałem się wprawdzie, że nie ma bestii w jaskini, ale cóż z tego. Nie mogłem wyjść w obawie napadu zaczajonego zewnątrz skał potwora. Zostać również nie mogłem. Szukałem jakiś czas innego wyjścia, ale na próżno, więc wziąłem na odwagę i przeżegnawszy się wyskoczyłem. Biegłem póki sił starczyło. Gałęzie smagały mię po twarzy i rękach, nogi grzęzły, a jam pędził jak na skrzydłach, aż padłem wyczerpany. Wtedy spostrzegłem, że uciekam w złym kierunku. Oddalałem się od panów. Znowu wyteżyłem resztę sił, a upewniwszy się, że nie jestem ścigany, zwolniłem kroku i oto przywlokłem się półżywy.

— Paradna przygoda! — powtórzył z zadowoleniem Puckins i poklepał przyjaźnie Stanisława. — A mógłbyś mię zaprowadzić do jaskini?

— Co? do jaskini? — zapytał z przestraczem sługa.

— Tak, do tej samej, z której wracasz!

— A to po co? Dzięki Bogu, żem raz wrócił szczęśliwie.

— To wrócisz i drugi. I ja chciałbym, widzisz, odwiedzić niedźwiedzia jaskiniowego i wypędzić go zapaloną głównią. To bardzo zabawne.

— Oryginalne — dorzucił z ironią Przedpotopowicz.

— Idziesz, profesorze?

- Nie bardzo mi się to wydaje zabawne, ale idę!
- A ja nie pójdę. Mam już dosyć niedźwiedzia i strachu.
- Jak wolisz. W takim razie poczekaj tu na nas.

Stanisław zamyslił się na chwilę, potem roześmiał się z goryczą i pokręcił głową.

— Już teraz nigdzie nie będę miał spokoju. Tam niedźwiedź, tu może inny jaki zwierz gorszy. Wolę już z panami! Mamy ginąć — gińmy razem!

I poszli. Otoczył ich znowu las, pełen życia i gwaru. Z oddali rozległo się parę grzmotów, zwiastujących burzę, ale zapowiedzi te nie uczyniły na zahartowanych do niewygód wędrowcach żadnego wrażenia. Po drodze bystry wzrok geologa nie spoczywał, lecz wciskał się wszędzie, gdzie można się było czegoś nauczyć. Jakoż zrobił on jeszcze jedno odkrycie dotyczące człowieka. Wśród szczytowych konarów dwóch dębów, rosnących w odosobnieniu, wśród grupy cienkopienych palm geolog wskazał towarzyszom dwa olbrzymie gniazda, usłane na sposób ptasi z suchych i niezgrabnie splątanych gałęzi i chrustu.

— Oto masz lordzie napowietrzną chatę. Rodzina las ten zamieszkująca czuje się tu w nocy bezpieczniejsza aniżeli na ziemi i może spokojniej zasypiać. Tu jej nie zaskoczy zwierz drapieżny, bo gdyby nawet zakradł się jaki kot, znęcony zapachem żywego mięsa, zdradzi go wcześniej szelest liści i ostrzeże mieszkanka dębu o niebezpieczeństwie. Wtedy pozostaje napadnętemu rozpaczliwa walka, a w niej syn puszczy w potrzebie zdradza już wiele męstwa i zręczności. Ten mieszkaniec dębu nie potrzebuje czekać na odpływ morski, aby się pożywić. Jemu służą leśne owoce, korzonki i owady, drobne zwierzątka żywe lub martwe, stosownie do pory i przypadku. Nadmorski zjadacz ostryg może cały dzień drzemać w swej kryjówce, dopóki nie nadejdzie chwila odpływu fal, mieszkaniec zaś leśny prowadzi bardziej pełny i urozmaicony tryb życia. Raz głodem przymiera, za to innym razem używa aż do przesytu. I obaj są zadowoleni ze swego żywota, bo nie zakosztowali innego.

Posuwano się przez las dziewiczy w ponurym milczeniu. Potem jedni przed drugimi jęli udawać swobodę dla odwrócenia myśli od przykrego wspomnienia. Anglik przedstawiał naukowe

korzyści płynące dla geologa z tej dziwacznej wędrówki. Obiecywał nawet znaleźć w jaskini kopalne szczątki nieznanych geologowi zwierząt, ale ani wierzył w możliwość tego, co mówi, ani go to nie zachwyciło. Profesor dał się złapać na przynętę i jął biadać na brak narzędzi i czasu, potrzebnych na dokonanie podobnie ważnych poszukiwań.

— Powiedz mi prawdę, profesorze — zagadnął Puckins — czy dużo jeszcze mogło się dochować w ziemi nieznanych wam zupełnie resztek dawnych zwierząt? Przy zaciekłości, jaką zdradzacie od tylu lat w gonitwie za starymi kośćmi, zdaje mi się, że niedługo ich zupełnie zabraknie i skończą się wasze rozkosze!

— O profani! Jakże dalekie od prawdy są wasze wyobrażenia o bogactwie świata zaginionego! — zawołał Przedpotopowicz. — Nie zdajecie sobie nawet sprawy z ilości zwierząt, które przeżyły już swe dni i przyłączyły prochy swe do prochów poprzedników. A toż, gdyby ożyły czworonogi jednej tylko epoki, ręczę, że nie zmieściłyby się na wszystkich lądach. A gdzież są ich szkielety? Rozsypały się dawno, zostały w roślinnych pokarmach spożyte przez następne pokolenia, a wreszcie weszły jako drobny proch w skład głęboko dziś leżących warstw skorupy ziemskiej. Jedna na tysiąc, co mówię, jedna kość na milion zaledwie ocalała od zupełnej zagłady i przechowała się przypadkiem jako tako w łonie ziemi.

— I zrabowaliście już te skarby zapewne doszczętnie! — wtrącił Anglik.

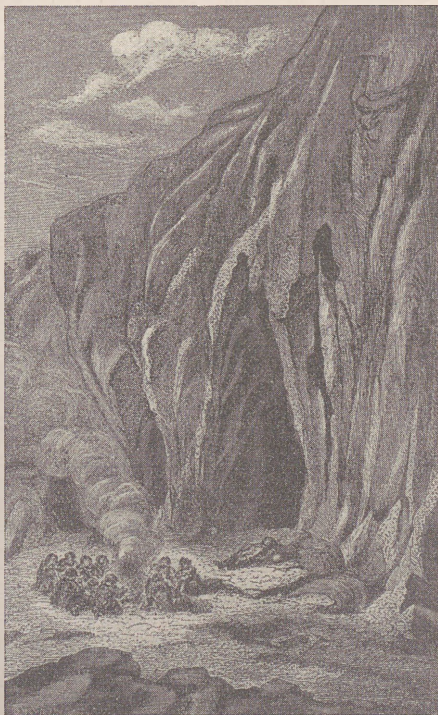
— Jeszcześmy nawet bilionowej części tych ocalałych skarbów przeszłości nie dobyli z ziemi! Nie wyobrazisz sobie, lordzie, ile niespodzianek kryje jeszcze grunt, po którym ludzkość depta, a który jest niczym innym tylko bezbrzeżnym cementarzem. Nie ma już pyłku takiego, który by nie należał niegdyś do żywej istoty, to prawda, ale też nie ma piędzi ziemi, aby nie kryła dotąd pod sobą niezłe przechowanych resztek. Co się tyczy tej jaskini, zawartość jej nie doczeka czasów cywilizacji. Ściany jej rozniosą zapewne żywioły, zanim się jeszcze pojawi pierwszy geolog na ziemi.

Tak gawędząc z zachowaniem wszelkich ostrożności znaleziono się u wejścia do podziemia. Przygotowano zapas łuczywa. Wkrótce okazało się, że przerażony niedźwiedź jeszcze

nie powrócił, ale za to jaskinia nawet pod względem estetycznym w zupełności zasługiwała na uwagę. Za główną komorą ukazał się kręty i długi korytarz. Wspinał się nieco w górę i niespodziewanie wprowadził podróżników na próg czarownie pięknej i białej groty, ozdobionej mnóstwem przejrzystych jak alabaster stalaktytów i stalagmitów.

Stalaktyty zwieszały się ze sklepienia w postaci najfantastyczniejszych sopli lodowych, stalagmity sterczały z powierzchni groty niby małe figurki, niby jakieś skamieniałe postacie o ludzkich zarysach, a wiele z nich wystrzelało w wysokie, zaostrome słupy albo łączyło się ze stalaktytami tworząc lekkie, gotyckie kolumny, o które mimo woli rodziła się obawa, aby ich nie zgniotło ciężkie sklepienie. Widok był czarodziejski. Żał było stąpać po drobnych i kruchych soplach, z których najmniejszy był starszy jeszcze od człowieka. A jednak trzeba było przejść po nich łamiąc i gniotąc nietknięte dotychczas niczyją stopą utwory, albowiem w południowej ścianie groty czerniała niszka, mogąca być dalszym ciągiem podziemia.

W samej rzeczy z białą grołą graniczyła znacznie obszerniejsza sala, wysoka blisko na 40 metrów, długa na 70 m. U sklepienia wisały znowu stalaktyty zupełnie przypominające skłębione chmury na firmamencie. Pod jedną ze ścian stało kilka wielkich stalagmitów, przypominających klęczących olbrzymów,



Ognisko przed grołą zamieszkiwaną
przez człowieka pierwotnego

a nad nimi wznosił się żółtawej barwy baldachim, obwieszony delikatną koronką drobniotkich stalaktytów. W pośrodku dominowała ogromna owalna wanna alabastrowa po brzegi wypełniona czystą i zimną wodą.

W sali tej zabawiono dość długo. Była akustyczna. Każdy wyraz powracał do uszu mówiącego jeszcze dźwięczniej i głośniejsze, niż z ust wyszedł.

Osobliwie Stanisław nie mógł się nagadać z echem. Geolog był zachwycony, lord zapewniał, że chętnie wróciłby tu raz jeszcze. Ruszono jednak dalej zachowując ostrożność, aby nie zbłądzić. Turyści ostrożnie przeszli w najodleglejszy i na dół opuszczający się kraniec pieczary. Tu dno stało się mocno nierówne. Góry i doły, miniaturowe przepaści i urwiska utrudniały krok każdy. W pośrodku wznosiła się biała piramida, przypominająca hełm średniowieczny. Olbrzymi ten stalagmit miał 4 metry wysokości i $3\frac{1}{2}$ metra obwodu. Zaslaniał on swoim cielskiem wejście do nowej groty, najdziwaczniejszej z dotąd widzianych.

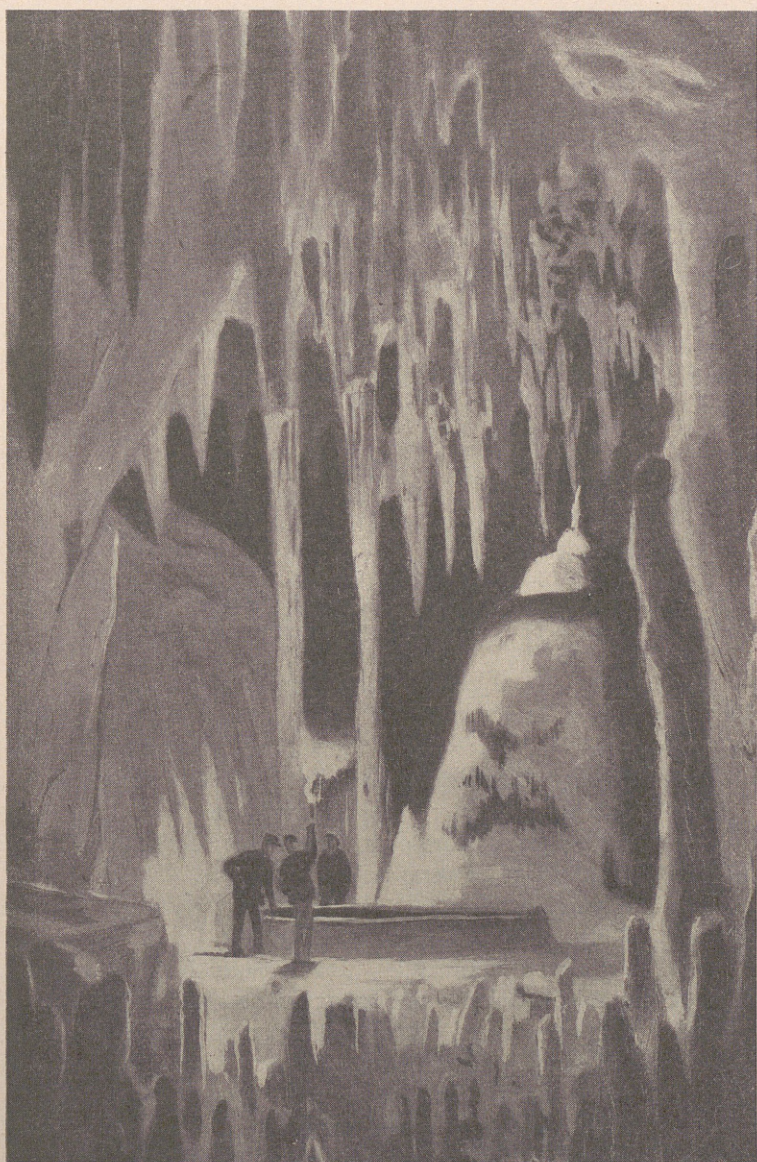
Dalej zwiedzili grootę z pięknymi stalagmitami, którą lord nazwał „Grotą Statuetek“.

Rozkoszowano się tak, póki sił starczyło, a cudom podziemnego labiryntu nie było końca. Nareszcie znużeni podróżni wyciągnęli wygodnie na chwilę strudzone członki, a Morfeusz słodkim tchnieniem skleił im powieki...

Pierwszy ocknął się geolog. Przejmujący chłód wstrząsnął jego ciałem, zapomniał na razie, gdzie się znajduje, dopiero nieprzebite ciemności i szmer kropel wody, spadających z towarzyszeniem echa, przypominał, że się znajduje w pieczarze. Dźwignął się, roztarł skostniałe dłonie i zapytał Anglika, czy czuwa. To było dostateczne do zbudzenia zarówno syna Albionu jak Stanisława.

— Chodźmy stąd. Zasiadzieliśmy się niepotrzebnie. Jest zbyt zimno i warto się rozgrzać w promieniach słonecznych.

Z tymi słowy geolog zapalił łuczywo i zwrócił się w kierunku wyjścia.



W pośrodku wznosiła się biała piramida

XXII.

ZAMUROWANI ŻYWCEM. — GROTA PRZEDHISTORYCZNA.

Lord Puckins przez długą chwilę badał wzrokiem ściany groty.

— Niedobrze idziemy! — odezwał się.

— Jak najlepiej! Pamiętam doskonale kierunek. Chodź tylko za mną, lordzie, a zaraz się przekonasz.

Ruszono w milczeniu. Po chwili geolog odezwał się tonem pewnego siebie przewodnika.

— Na skrócie wstąpimy do „Groty Statuetek“, a stąd już, poza hełmem, znajdziemy się zaraz w sali „Echa“.

Rzeczywiście znaleziono się w progach Groty Statuetek, ale tu geolog wzniosł pochodnię, jak mógł najwyżej i począł się rozglądać z niepokojem.

— Gdzież, profesorze, twoje statuetki? Źle prowadzisz!

— Widzę to, a jednak przysięgłbym, że idziemy właściwą drogą.

Sala, w której znaleźli się nasi podróżni, nie była już podobną do sali statuetek. Wnętrze jej od sklepienia aż do podstawy naśladowało jakąś imponującą świątynię o setce potężnych kolumn, dźwigających strop ciężki. Nie było tu wcale stalagmitów. Las kolumn niezwykle grubości wypełniał wnętrze pozostawiając niewiele wolnych przejść.

— Wracajmy! — odezwał się zwięźle Puckins.

— Jeszcze nie! trudno mi uwierzyć w pomyłkę. Jestem pewny, że innego wyjścia stąd nie ma.

— Ależ pomyłka! Przecież te kolumny pierwszy raz widzimy — przekonywał Anglik.

— Prawda, ale może ich poprzednio nie dostrzegaliśmy. Zanim wrócimy, muszę rozpatrzeć się w tej sali. Statuetki pewno są na lewo.

Na lewo lita ściana zagrodziła im drogę. Udano się w głąb, gdzie bieleły potężne kontury hełmu.

— Idziemy dobrze! — zawołał geolog z uradowaniem.

— Cóż więc znaczy ta sala kolumn? dla czego ominęliśmy statuetki? — zapytał Anglik niemniej od geologa zdziwiony.

— Nie mogę zrozumieć! Ale czy uważasz, lordzie, jaki ten hełm duży?

— I mnie się poprzednio znacznie mniejszy wydawał, a przy tym jest nieforemny. Powiedziałbym, że to inny jakiś, podobny do hełmu stalagmit.

Zaczęto go obchodzić dokoła, a geolog krokami zmierzył go nawet.

— Stanowczo nie ten! — zawołał ze zdziwieniem. — Tamten miał 4 metry wysokości na $3\frac{1}{2}$ obwodu, ten kolos mierzy 6 metrów wysokości na 8 obwodu. Nie widziałem także tych bałwanów — dodał, wskazując na dwa parumetrowe słupy, podobne do niezgrabnych obciosanych pogańskich bóstw.

Nagle Anglik utkwiał wzrok w ciemnościach.

— Spójrz na prawo, profesorze — wyrzekł.

Geolog zwrócił oczy we wskazanym kierunku.

Tam, gdzie spodziewał się ujrzeć parę wysmukłych stalagmitów, ustawionych przez kaprys przyrody niby lekkie figurki, w różnych odstępach stała jedna tylko gruba kolumna, złączona ze sklepieniem. Druga, również ciężka, do połowy

przełamana, leżała niby kłoda, przymarzła do posadzki grubą warstwą materii wapiennej. Teraz spadło bielmo z oczu wędrowców. Zrozumieli nareszcie, że nie zblądzili, ale przyszli tu jak widma zza grobu. Zrozumieli, że przespalili pod ziemią całą epokę. Nigdy jeszcze przerzucenie do innego świata nie przeraziło ich równie mocno jak obecnie, bo też nigdy z podobną jaskrawością nie uderzył ich zmysłów wpływ czasu na otoczenie. Ocknęli się w zimnym grobie, po którym wieki prześlizgują się prawie bez śladu i zaznaczają zaledwie dostrzegalnym zgrubieniem stalagmitów i stalaktyków. Ileż wieków musieli przedrżać, skoro taki hełm zolbrzymiał do 8 metrów obwodu, a drobne stalagmity urosły w potężne kolumny. Jakże twardy był sen ich wiekowy, skoro ich nie zbudziło jakieś potężne trzęsienie ziemi, które z trzech kolumn dwie strąciło. Od tego wstrząśnienia na powierzchni z pewnością nie pozostał kamień na kamieniu!

I to wszystko przeminęło jak mgnienie oka!

.....

Zbliżyli się ku sobie i wyciągnęli ręce do uścisku. Żaden nie śmiał ust otworzyć. Byli w obliczu dreszczem przejmującej prawdy.

Niby lunatycy, szli wpatrzeni w alabastrowe ściany, obojętni już na architektoniczne piękno podziemnych obszarów — i znaleźli się w sali echa. Nie było tu wanny. Jej miejsce zajęły spiętrzone, brudnożółte, nieforemne bryły. Cała grota podzieliła się zapewne na dwie oddzielne pieczary.

Znikła akustyczność ścian i choć szmer jakiegoś podziemnego strumienia rozbrzmiewał w ciszy, nie miał on tej dźwięczności i pełni tonów, jaką niegdyś zadziwiał.

— Co za zmiany, jakie zmiany! — szeptał Stanisław, tymczasem geolog skierował się ku dawnemu wejściu.

Po chwili wrócił zgnębiony.

— Tu było wejście — rzekł wskazując na ścianę stalaktytową o łudzącej postaci zastygłego wodospadu. — Jesteśmy powtórnie żywcem zamurowani!

W ciszy podziemia słyszać było wyraźnie szmer kropeł, sączących się po ścianach.

Nagle zelektryzował geologa zaledwie dostyszalny odgłos, niepodobny wcale do szmeru wody. Dochodził od ściany przeciwległej do dawnego wejścia. Czuć było, że pochodzi od zewnątrz. Ściana utworzona z naciekowego wapienia musiała być cienka, skoro taki głos przepuszczała. Iskra nadziei zapaliła nową energię.

— Musimy rozwalić tę ścianę! — rzekł z mocą.

— Ale czym? — zagadnął Anglik.

Razem posiadano dwie laski trzciny i nóż składany.

Wtem Stanisław wpadł na genialny, bo prosty pomysł. Ułamał wysmukły stalaktyt i opukał ścianę. W jednym miejscu dźwięczała głucho jak nad próżnią.

— Damy sobie radę! — zawołał radośnie.

— Tu nawet młotem trudno by coś poradzić — zauważył profesor.

— Obejdziemy się bez młota! — mruknął pewny siebie sługa i znikł w głębi groty.

Tam zabrał się żwawo do dzieła. Małym stalaktytem strącił większy i grubszy. Potem przy pomocy cięższego taranu odłamał wierzchołek wielkiego stalaktytu i z tą bronią przystąpił do ataku. Pracując ciężkim taranem po dwóch na zmianę i bijąc w jedno miejsce, więźniowie nasi wykruszyli skałę. Wyłom był drobny i nie przebijał skały na wylot; był jednak dostateczny do pobudzenia energii. Wreszcie wyleciał duży kawał ściany i ukazał się otwór, przez który człowiek mógł się przecisnąć. W otworze było zupełnie ciemno.

— Dostaliśmy się tylko do jakiejś głębszej komory — wy-rzekł zawiedziony geolog.

Stanisław zniechęcony opuścił ręce. Jeden Puckins nie utracił zimnej krwi.

— Nie poznaję cię, profesorze — zauważył. — Skądże pewnoś, że komora jest bez wyjścia? Ciemności niczego jeszcze nie dowodzą. Może teraz noc panuje. Pierwej zbadajmy wyłom, a potem będzie czas na zmartwienie.

Stanisław zapalił nową gałąź i lord Puckins wsunął głowę do otworu. Wsunął bez namysłu i żwawo — ale cofnął ją jeszcze śpiesznej.

— Co za wstrętne zaduch! — zawołał zdławionym głosem.

Stanisław sprawdził doświadczenie lorda z tym samym skutkiem.

— Tu nie można wcale oddychać !

— Więc przestrzeń zamknięta ! — zawyrokował geolog. Lord Puckins żywo zaprzeczył.

— Przeciwnie ! Skoro czuć zgniliznę, więc grota musi być nie tylko otwarta, ale nawet zamieszкана.

Z kolei zająrzył do wnętrza geolog. Gdy wydobył głowę, twarz jego, oświecona blaskiem płonącego łuczywa, wyrażała jednocześnie radość i zdumienie.

— Tam muszą być ludzie ! Czuję dym wyraźnie !

Można sobie wystawić wrażenie, sprawione podobnym odkryciem. Co teraz czynić ? Jak wyjść, aby się nie narazić na całkiem usprawiedliwiony opór mieszkańców groty ? W jaskini było w tej chwili jak w grobie. Albo za wyłomem było w istocie pusto, albo czekała tam intruzów zasadzka !

Nielatwa to ani bezpieczna była sprawa, przekonać się o tym ; nie pozostawało nic innego, jak wstąpić do tajemniczego wnętrza. O ile zdołano na prędcę wysądować, poziom odkrytej groty okazał się o jakiś metr niższy od otworu. Wypadło spuszczać się niby przez okienko do piwnicy, pod grozą zdradzieckiego napadu. W dodatku dawał się mocno we znaki nieopisany zaduch w niższej grocie. Wykształcony zmysł powonienia odróżniał cały zbiór wstrętnych zapachów. Było w nim wszystko : zgnilizna, amoniakalne wyziewy, dym, silna woń siarkowodoru, potu i starego tłuszczu. Jak przystało na specjalistę od grot, geolog poświęcił się pierwszy i wstąpił w nieobiecującą otchłań. Za nim wszedł skrzywiony Anglik, wreszcie odważył się i Stanisław.

Gdy już oczy przywykły do grubego mroku, okazało się, że do jaskini dochodzi jakieś światło, ale tak słabe, że pomimo jego promieni, dostrzeżono jaskrawoczerwone gwiazdki, błyszczące w zasłoniętym dotąd kącie pieczary.

W gorącym popiele tliły się jeszcze iskry niewygasłego ogniska.

— Żle ! Jesteśmy w zamieszkałej grocie — mruknął profesor. — Pewno właściciele obserwują nas i myślą nie wypuścić żywcem.

— Co prawda mają słuszny powód do gniewu. Włamaliśmy się przez ścianę do cudzego mieszkania. Nawet kodeks przewiduje ciężką karę za takie bezprawie.

— Niefortunna wypadła nam droga, to prawda, ale nie czas już na skrupuły. Musimy stąd wyjść przecie. Idźmy za światłem !

Lord Puckins objął teraz komendę.

— Przede wszystkim nie rozpalać światła, aby mieszkańcy groty nie mogli nas policzyć ani wziąć na cel. Stanisław niech jeden dotrze do wyjścia i stanie na straży — my zaś powinniśmy się uzbroić. Przecież ludzie mieszkający po jaskiniach muszą mieć broń jakąś. Może nie wszystką unieśli ze sobą. W ostateczności znajdziemy choćby kamienie.

W głębokim mroku rozpoczęto poszukiwania. Wstrętny zaduch odbierał przytomność, a niepewność i obawa sprawiała, że minuty wydawały się kwadransami.

— Mam coś kosmatego pod ręką — szepnął Puckins — jakąś skórę. Jest druga i trzecia. Pod nimi mech i liście.

— Niezawodnie łoże — odrzekł geolog.

— A tu kość wilgotna jeszcze. Teraz coś miękkiego i zimnego — prawil Anglik.

W jaskini tymczasem stawało się nie wiadomo skąd coraz jaśniej. Rozpoznano już bez trudu, że jaskinia była niemal próżna. Po kątach leżało kilka ugniecionych kup mchu i traw, a na nich rozrzucone twarde i cuchnące skóry wilków, hien i mniejszych zwierząt. Tu zapas gałęzi, snadź przeznaczonych na opał. Pod nogami trzeszczały kości ze szczątkami żył i mięsa. Wreszcie geolog zaczął nogą o długi kij. Podjął go i namacał na jednym końcu grot krzemieny.

Teraz nie mógł powstrzymać się od okrzyku.

— Jesteśmy chyba w jaskini przedhistorycznej !

— Jest dzida ! — zawołał z triumfem lord Puckins i oglądał niezgrabnie odłupany szeroki i płaski krzemień. Grot przykrępowany był skręconą kiską do drążka i u nasady grubo oblepiony jakąś twardą żywicą.

— Teraz możemy się bronić, a nawet wyjść bezpiecznie ! Jednocześnie powrócił Stanisław.

— Cóż słysząc ?

— Brzask ! niedługo słońce się pokaże.

— Nic więcej?

— Nic, dokoła głucho. Mizerne tylko świerki, brzozy i zarośla jałowcowe. Ale za to zimno piekielne! Na wskroś mnie już przejęło. Warto by rozdmuchać ognisko i ogrzać się trochę.

— Nie teraz i nie tutaj! — zaprotestował Anglik. — Ja już omdlewam. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Możemy wyjść. Jesteśmy przecież uzbrojeni!

— Tylko ostrożnie! — rzekł geolog. — Posiadamy wprawdzie włócznie, ale wrogów może być gromada.

— Najlepiej tedy zrobimy, gdy zapalimy ogień przed jaskinią nie oddalając się od niej. Ogrzejemy się, a w razie jakiegos niebezpieczeństwa łatwo będzie cofnąć się do wnętrza i bronić się. Wejście szczupłe. Nie dopuścimy nawet liczного wroga!

— Zgoda!

XXIII.

NOSOROŻEC KOSMATY. — WIELKA EPOKA LODOWA. — OGNISKO. — MIESZKAŃCY JASKINI.

Stanisław wykonał plan ułożony, ale niezadowolony mru-
czał niechętnie.

— Odkąd mamy broń, zaczyna mi się słabo robić z głodu.
Warto by coś upolować.

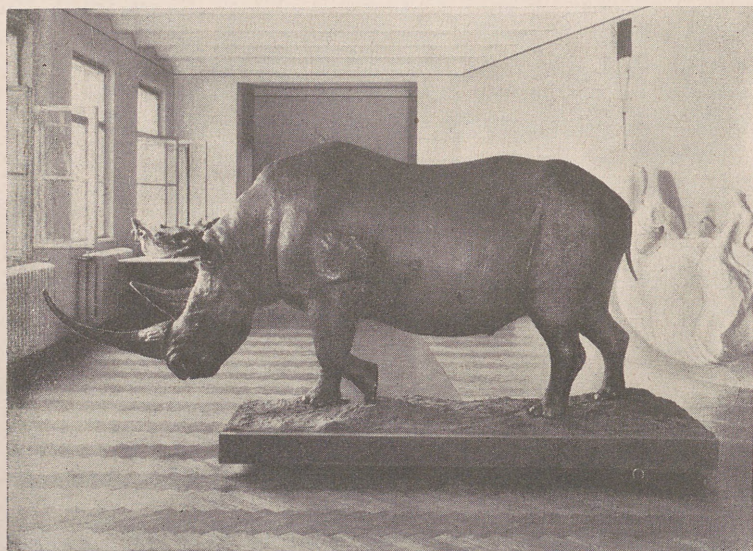
— Sądzisz, że to łatwo? Krzemienną bronią trzeba się na-
uczyć władać.

— Więc inaczej zrobię. Przeszukam jaskinię. Może znajdę
śpiżarnię przedhistorycznej gosposi, a w niej jaki niedogryziony
przysmak.

— Biedny chłopiec... on marzy o gosposi... i przysmakach!
— szepnął profesor.

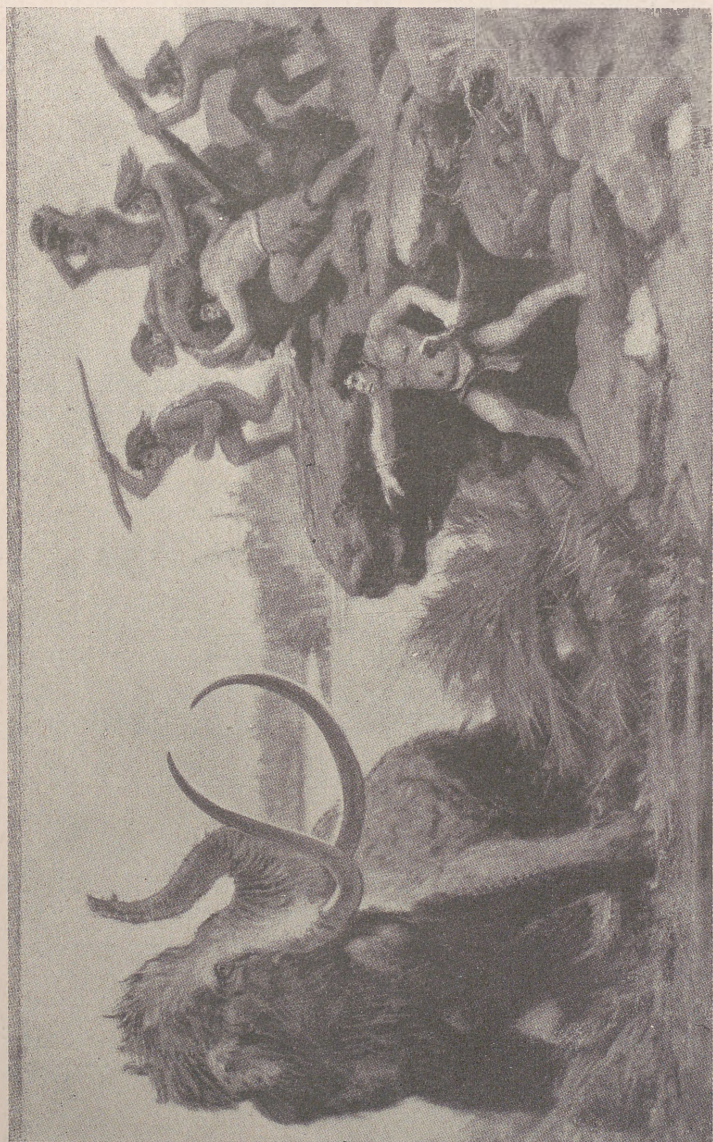
Stanisław jednak znikł w grotcie z zapalonym łuczywem.
Znalazł tam sterty ogryzionych i potrzaskanych kości i kosteczek,
dosyć pierza i nóg ptasich, łby węzów i jaszczurek, skorupy jaj
ptasich, czaszki rogate i nierogate, z których mózgi wyjedzono.

Pod nogami brząkały mu liczne wióry krzemienne oraz nieudatne i w stanie półwykończonym porzucone ostrza do dzid. Były i duże bryły krzemienia, owego najcenniejszego niegdyś dla ludzi minerału. — Do spożycia nic nie znalazł. Wtem wzrok jego padł na bryłę kudłatą, od której załatywał bardzo silny odór rozkładającego się mięsa. Zbliżył się ciekaw, co by to było, ale opuścił zatechłą jaskinię. Na jego twarzy malowało się ogromne zdumienie.



Nosorożec włochaty wydobyty w r. 1929 w Staruni z osadów czwartorzędowych. Okaz znajduje się w Muzeum Kom. Fizj. Pol. Akad. Um. w Krakowie

- Cóż tam znalazł nowego?
- Panie! Takiego potwora nie spodziewały się oczy moje ujrzyć! — zawołał sługa.
- Mówże wyraźnie, coś widział?
- Łeb nosorożca!
- Nosorożec... tutaj? — wykrzyknął Puckins.
- Doprawdy! Wielki a kosmaty... jak niedźwiedź.
- Pleciesz i kwita!



Polowanie człowieka pierwotnego na mamuta (według Wnigha)

— Widziałem dobrze! Nie trudno go przecie poznać po dwóch rogach na nosie. Zgniła już bestia i do połowy objedzona.

Anglik wpatrzył się w profesora. Ten, zdumiony usłyszaną wieścią, ochłonął pod pytającym spojrzeniem i wyrzekł jedno słowo.

— Możliwe!

— Nosorożec?... wśród tych świerków i jałowców?

— Możliwe! — powtórzył z naciskiem.

— W tym zimnym klimacie?

Paleontolog przymrużył oczy, pogłodził sumiastego węża, zamyślił się chwilę i klasnął w ręce.

— Wiem już, co nam wiedzieć potrzeba! Tutaj możliwy jest nie tylko nosorożec, ale także jego stary towarzysz, mamut (*Elephas primigenius*) o wielkich kłach, szeroko rozwartych. I nie tylko mamut! Nawet lew jaskiniowy pobiera jeszcze w tej puszczy haracz z krwi żubrów i turów.

— I lew nawet? Przy takim zimnie?

— Jeszcze i niedźwiedź jaskiniowy po dawnemu gruchocze kości koni, dzikich świń oraz jeleni olbrzymich.

— Lwy i łosie, mamuty i konie, żubry, nosorożec. Ładna kolekcja ze wszystkich czasów i części świata¹⁾ — zawołał Anglik.

— Gdzież znowu dostaliśmy się? — pytał żałośnie Stanisław.

— Gdzież mamy być? Jesteśmy zapewne w Bośni lub gdzieś niedaleko.

— Koniec świata!

— Nie, to jeszcze przeszłość — odparł profesor. — Widzę, że dopiero sto tysięcy lat dzieli nas od wczoraj.

— Ciągłe setki tysięcy! Kiedyż się to skończy nareszcie?

— Uspokój się! Właśnie ostatnia minęła.

¹⁾ Z trzydziestu dwóch gatunków europejskich ssaków tej epoki 14 żyje dotąd w tych samych miejscach, jeden (żubr) dogasa w Białowieskiej Puszczy, trzy przeszły na południe (hiena, lew, lampart), trzy wyłącznie w góry (*Capra ibex*, *Arctomys marmota*, i biały zajęc), siedem na północ, a cztery zupełnie znikły (mamut, nosorożec kosmaty, jelen olbrzymi (*Megaceros*) i niedźwiedź jaskiniowy (*Ursus spelaeus*).

— Więc jakże daleko mamy do naszej cywilizacji? — wtrącił lord Puckins.

— Najwyżej siedemdziesiąt! — odrzekł zamyślony geolog.

— Wieków?

— Nie, tysiącoleci...!

— Ładna jeszcze porcja! Nie ma co mówić — szepnął Puckins — ale mimo to jutro już zajdziemy niezawodnie do naszych czasów!

— Wątpię! Jakoś coraz wolniej wychodzimy z przepaści czasu. Obawiam się, abyśmy tu nie zostali na wieki...

— I mnie się to wszystko zaczyna nie podobać — potwierdził Stanisław. — Czasami przychodzi mi do głowy pytanie, czyśmy się już nie upiekli w szczelinie i czy nie wędrujemy po „tamtym“ świecie. Dziwi mię tylko, że od czasu do czasu uczuwam wyraźny głód i znużenie. Nieboszczykom się to przecież nie zdarza.

— Więc porzuć domysły — przerwał mu profesor — i raz już postaraj się zaspokoić swe poziome uczucie. To ci z pewnością rozstrojone nerwy uspokoi.

Tymczasem deszcz począł padać zimny i przejmujący.

Tułacze zasiedli w milczeniu u ogniska. Stanisław wahał się, czy nie pójść za radą profesora, wreszcie kwaśny i niezdecydowany przysiadł się do ognia. Pod wpływem ożywczego ciepła minęło przykre wrażenie i wywiązała się gawęda.

*

*

*

Pozostawmy teraz naszą trójkę, aby spojrzeć, co się dzieje z prawymi właścicielami zacisznej kryjówki. Właśnie spoczywało w niej snem twardym kilka kobiet, kilkoro dzieci i wychudły, żylasty starzec. Broda jego i długie siwe włosy miały kolor popielato brązowy od brudu i tłuszczu w nich osiadłego, brwi krzaczaste, złączone nad nosem nadawały twarzy wyraz bardzo groźny i surowy. Jedna tylko z kobiet czuwała nad ogniskiem i karmiła je drzewem, aby nie umarło.

Jaskinia była ich stałą, od pradziadów siedzibą. Wszyscy porodzili się tutaj — i tu przez wszystkie dni żywota znajdowali kąt bezpieczny. Tu znajdowali ochłodę przed skwarem

letnim — tu w zimie dobroczynne ciepło nie dawało im zmarznąć — tu w nocy bezpieczni byli od napadu zwierząt — tu upływały długie chwile bezczynności lub ciężkiej pracy przy wyrobie narzędzi myśliwskich lub odzieży. Znużeni odpoczywali — ranni i chorzy przychodzili do sił albo zasypiali snem zimnym, nieprzespanym. Dokoła wszystko ulegało zmianom. Drzewa łamały wichry, ziemię okrywał raz śnieg, drugi raz zioła i kwiaty, jedna tylko jaskinia zawsze trwała niezmienna, zaciszna i pewna.

Szalejące huragany nie miały dostępu za próg jaskini. I nagle dozorczyni ognia usłyszała głuche łoskoty w sklepieniu. Zrazu nie dowierzała swym uszom, ale gdy parę czujniej śpiących zbudziło się kobiet, skoro pokazało się, że niespodziany odgłos dochodzi naprawdę z góry, stąd, gdzie nawet w czasie burzy panuje niezamącona cisza, zdjął wszystkie niezmierny przestrach. Przypomniły sobie wieczorne opowieści starców przy ognisku. Mówili oni o nadzwyczajnych zwierzętach, które mieszkają w głębi wód, skał i pod ziemią. Wprawdzie nigdy nie widziano tych ogromnych, mocnych i złośliwych potworów, ale wierzone, że być muszą. Wszak i na niebie nikomu się nie udało dostrzec istot poronowładnych, a przecież pociski ich wstrząsały puszczą, druzgotały skały i drzewa, a ryk ich głużył ryk mamutów i lwów tak samo, jak blask słońca gasi światło księżyca.

Dobijanie się do jaskini tajemniczych zwierząt podziemnych zbudziło i starca z krzepiącego snu. Zerwał się na równe nogi, instynktownym ruchem porwał za broń krzemienną i wsłuchał się w miarowe uderzenia. Kobiety, zbite w kupkę, patrzyły mu w oczy i nie śmiały głośno oddychać.

Nagle dziad, który nie bał się niczego, który dużo widział, a wiedział więcej niż one wszystk e razem, osunął się na ziemię, skurczył jak dziecko i zakrył dłońmi oczy. Wydał jęk chrapliwy i począł drzeć jak w napadzie febry. Teraz podniósł się okropny lament. Kobiety wydawały okrzyki przestachu, płakały i darły włosy opadające w splątanych pasmach na ramiona, dzieci krzyczały, stary zaś ścisnął tylko dłońmi siwą głowę i jęczał głucho.

A łoskot nie ustawał. Stary przypomniał sobie straszną chwilę, gdy razu jednego istoty podziemne chciały wydobyć się

na wierzch i ryczały. Drżała wówczas przed nimi ziemia i skały. Ale to była krótka chwila. Ziemia zwyciężyła i potwory nie wyszły. Starzec był wtedy dzieckiem, a od owego czasu nigdy już olbrzymy podziemne nie powtórzyły swych prób bezowocnych.

Nagle teraz szturmują do ich siedziby. I po co? Zapewne, aby pochłonąć mieszkańców. Bo po cóż by innego przychodziły? Pomarszczony, wyschły, półnagi, o zapadłych oczach, ale o krzepkich jeszcze mięśniach dziad podniósł się nagle i krzyknął przeraźliwie. Uciszyło się natychmiast w jaskini. A on, pełen grozy w spojrzeniu i energii, gardłowym, chrapliwym głosem krótkie wydał rozkazy.

— Biada! uciekajcie daleko, a schować się na drzewa!

Mowa to była pierwotna, wyrazy jednosylabowe, z których każdy miał wiele znaczeń, wymagających objaśnień za pomocą odpowiednich gestów. Tym razem zrozumiano ją w jednej chwili.

W mgnieniu oka jaskinia się opróżniła. Został sam starzec, któremu powróciła już zachwiana odwaga. Spojrzał on z zalem na ognisko i podniósł upuszczoną w pierwszym strachu dźwidź.

— Ty, ciepły, jasny, nie umieraj! — rzekł głucho. — Zabrać cię nie mogę, ale bądź cierpliwy i żyj, bo jeśli powrócimy, a ciebie nie stanie, pomrzemy także. Nie umieraj! A jeśli możesz, poźrej napastników.

Dorzucił chrustu na ogień i wyszedł. Mimo ósmego krzyżyka na karku i ciemności bezksiężycowej nocy podążył krokiem żwawym za kobietami, niosącymi dzieci, i znikł w czarnej puszczy.

Na jednym drzewie ze starcem znalazła się młoda matka z rocznym dziećciem, uczepionym u piersi.

— Co będzie z nami? — pytała, szczękając białymi jak śnieg zębami, a starzec, półzdrętwiały ze zgrozy, mruknął tylko:

— Biada!

Zaległa w lesie zwykła cisza, poprzedzająca wschód słońca. Wygnani ze swego zakątka ludzie oddech nawet tłumili i zęby zacięli mocno, aby nie szczękały z zimna i bojaźni.

Drżał nawet starzec, choć nosił przecież naszyjnik z kłów hien i wilków, oraz niedźwiedzia pokonanego niegdyś własną ręką. Drżał, choć liczne blizny na zeschniętej skórze świadczyły, że bywał mężny i umiał stawiać czoło wszelkiemu wrogowi. Przez głowy kobiet, a nawet i tego starca przepływały myśli ponure. Co będzie, jeśli mężowie powrócą i niebacznie wstąpią do jaskini? Co będzie, gdy spotkają się tam z podziemnymi napastnikami? Choćby walczyli, nie wyjdą cało, bo jakież oręż zdoła osłonić człowieka od wrogich żywiołów, co wstrząsają skałami? Ta myśl okropna wlewała nowe fale zgrozy do serc przełękłych. Kobiety gryzły wargi do krwi. Pełne obawy, aby ich tu strachy nie odszukały i razem z drzewami nie pochłonęły, siedziały nieporuszone póki słońce, które spało za górami i rzekami, nie przebudziło się. Teraz dopiero dzienna gwiazda, zwyciężająca zdradne ciemności, dodała otuchy starcowi, przeto zgrzytnął i zamruczał gniewnie.

— Pójdę, zobaczę — rzekł do kobiety — a potem stanę na tropach, którymi męże będą wracać z polowania. Ostrzegę, niech się nawet nie zbliżają do jaskini. Wy siedzicie tu, póki nie dam hasła.

Znawca puszczy i jej szlaków zbliżył się bez szmeru i pełen obaw do naszej trójki. Niepostrzeżony przyglądał się długo. Trwoga i zdumienie miotają nim na przemiany.

— Podobni są do ludzi — myślał kombinując ciężko. — Brzydcy i futer nie noszą! A może to nie strachy, może to naprawdę ludzie tylko? Może słabsi od naszego plemienia? Może uda się ich wypędzić z jaskini?

Właśnie wtedy Stanisław zapalił zapałkę i przytknął ją do suchego drzewa. Po chwili buchnął jasny płomień. Starzec na ten widok padł przestraszony na ziemię!

— O moje oczy! źle mi służycie! To nie ludzie, to jakieś podziemne i straszne istoty, co ludzki tylko kształt przybrały. One ogień nawet stwarzają w mgnieniu oka. Biada nam, biada!

I wrócił przerażony donieść ukrytym na drzewach córom i wnukom, co widział.

Mowa tych ludzi liczyła tylko paręset bardzo prostych dźwięków, ale mimo to wystarczała im zupełnie. Nie odczu-

wano wówczas potrzeby obfitszego słownika. Uboga myśl miała i w tym zapasie dostateczne narzędzie, zresztą nieliczność wyrazów, a właściwie krzyków, wynagradzano sownicie „wymownymi“ gestami, a także wybornym naśladowaniem głosów zwierząt i natury.

Przy pomocy tych łatwych i naturalnych środków jeden i ten sam dźwięk, czyli wyraz pierwotny, mógł zmieniać w potrzebie po stokroć swoje znaczenie. Choćby np. lisa, wilka, szakala, niedźwiedzia, a nawet wszelkiego zwierza wyjącego, mruczącego lub ryczącego nazywano jednakowym dźwiękiem, a resztę dopełniano intonacją i gestami wskazywano bez trudu, czy zwierz jest rogaty lub bez rogów, duży czy mały, czy ma trąbę albo róg na nosie itd. Każdego na przykład ptaka kraczącego mieszkańcy jaskini zwali po prostu „kraa“... ale w potrzebie znając różne ich odmiany i obyczaje umieli dokładnie określić nawet gatunek.

Grzmot, piorun, burza i huk nazywały się jednakowo, ale mimika wyjaśniała w potrzebie, o czym mowa.

Mógłby się ten język arcyubogi i niestały śmiało zwać po naszemu międzynarodowym, bo tam chwiejne dźwięki grały podrzędną rolę. Choć każda gromada innych używała dźwięków, choć tyle było prawie narzeczy, ile gromad rozproszonych po puszczy, to jednak w przypadkowych zbliżeniach, nawet pierwszy raz spotykających się gromad, gestykulacja i naśladowanie głosów natury główną odgrywały rolę i ułatwiały wyśmienicie porozumiewanie się między najdalszymi nawet sąsiadami. Co więcej, w owych czasach wyrazy i narzeczka nieujęte w karby żadne, niby mowa dzieci, krótki miewały żywot. Powstawały zwykle wraz z gromadą, przetwarzaly się, wzbogacały lub ubożały, zależnie od uzdolnień i potrzeb jednostek żyjących w gromadzie albo opuszczających ją i zakładających nowe ognisko. Nikły one wraz z pokoleniem, które w latach klęsk żywiołowych łatwo wymierało lub zdziesiątkowane rozpraszało się po szerokiej puszczy. Mimika tylko oraz naśladowanie głosów przyrody nie podlegały zmianom i, jako naturalna, wiekowa własność człowieka, one jedne trwały przez niezliczone pokolenia. Wobec znikomych i kapryśnych wyrazów dodatki owe były tym, czym są konary dębu wobec liści

i żołądzi, które co rok opadają i co rok odnawiają się na tym samym pniu.

Mężny dziad gromadki objaśnił więc, co widział, i wrócił jeszcze raz popatrzeć na dziwnych a strasznych gości, wreszcie znikł w puszczy głębokiej, w której znał każde drzewo, każdy strumyk, pagórek i kamień.

Nasi znajomi nie domyślali się nawet, że byli przedmiotem ludzkiego podziwu i rozmawiali swobodnie przy ciepłym ognisku.

I znowu nawet Stanisław gorszył się powolnością postępu, zastojem cywilizacji ludzkiej, której obraz i przedsmak dała mu ponura jaskinia. Przypomniawszy sobie człowieka wczorajszego, który siał gniazda niby ptak na drzewach, żywił się robakami, ostrygami, padliną i leśnymi jagodami — i dziwno mu było, że człowiek dotąd nie nauczył się lepiej jeść i mieszkać.

Sekundował mu w tym gorąco lord Puckins. I on nie mógł się zgodzić na ten fakt naturalny.

— Sto tysięcy lat! toż to dwadzieścia razy tyle, ile wynoszą całe historyczne dzieje ludzkości... Czyż podobna, aby rozum tyłu niezliczonych pokoleń nie zdobył się na polepszenie bytu potomków...?

Profesor przyznawał, że czasu upłynęło w istocie niemało, jeśli będziemy mierzyć ludzką niecierpliwością albo krótkością dziejów historycznych, ale przypomniawszy sobie, że przecież taki sam przebieg czasu, póki nie było człowieka, przynosił w życiu ziemi daleko jeszcze mniejsze zmiany, a przecież wydawał się naturalny. Więc o zastojach i tu mowy być nie może.

W rzeczywistości człowiek nie tracił czasu. O ileż on już jest wspanialszy i rozumniejszy, aniżeli był sto tysięcy lat temu! Grube pozory wprawdzie pozostały — ale co za różnica w myślach i pojęciach! Ile już potrzeb duchowych przybyło, ile zarodków nowych myśli kiełkuje w tych kudłatych, nigdy nie czesanych głowach! Człowiek już potrafi rachować przy pomocy palców swych rąk i nóg. Tej czynności nie praktykowała żadna istota na ziemi! Mimo nagości skóry stawia czoło nieznanym dawniej ziomom, mimo tysiącznych niebezpieczeństw umie przeżyć tę niegościnną porę roku, straszną dla wszystkiego, co żyje. Prawda, że nieraz gromadka uszczupla się do połowy, zanim przyjdzie upragniona wiosna, ale czyż i po 70000 latach,

przy całym postępie rozumu ludzkiego nie bywa zbyt często zima klęską śmiertelną dla miejskich i wiejskich biedaków? Mimo pozornej słabości jest już człowiek mocniejszy od marmoty, chytrzejszy od lisa, ostrożniejszy od bobra, zamożniejszy od wiewiórki. Można śmiało powiedzieć, że obecna epoka jest już początkiem panowania człowieka. Wspaniałe czworonogi, niedawna chluba ziemi, to już tłum, skazany na rychłą zagładę, podobnie jak ongi jaszczury i skrzekogady. Nieświadom on nawet rosnącej potęgi jednego gatunku, któremu niebawem zacznie być ciasno na ziemi.

Prawda, że człowiek tutejszy mieszka latem, gdzie go noc zaskoczy, że zimą głodny i skostniały kryje się przezornie po jaskiniach; prawda, że przypisuje duszę nawet martwym twórcom i żywiołom, prawda, że nie zna jeszcze widelca, że nie ma pojęcia o sztuce pisania, że nie tęskni za dziennikarskimi nowinami. Trzeba mu to wybaczyć. Nie można żądać za wiele. Nie ma on jeszcze czasu na to, czym my się lubimy zabawiać. Żyje jeszcze na łonie surowej i bardzo macoszej natury. Musi przecie wszystko, co ma, zdobywać, wyrabiać i bronić własnymi rękoma, musi codziennie głód zaspakajać, a nie przychodzi mu to wcale z łatwością.

Zwinny tygrys może sięgnąć po antylopę, bawół zadawała się trawą, ale nogi człowieka nie sprostają w biegu ani tygrysowi, ani antylopie, instynkty zresztą ma inne. Należy on do bezbronnego rodu wszystkożernych. Zadawał się dawniej owocem, jagodą, jajkiem, a przy okazji mięsem drobnych lub padłych zwierząt. Dopiero broń krzemienna dała mu więcej przewagi. Mimo to w porze zimowej, gdy nie ma owoców, a czujne zwierzęta albo się pochowały, albo padły ofiarą drapieżników, cierpi nieraz głód srogi, pomimo całej swej wyższości! Wtedy, w ostatniej potrzebie, staje się Kanibalem, a nawet Kainem. Wtedy, gdy trudno nawet o padlinę, silniejszy człowiek musi żyć kosztem życia dzieci i słabszych członków w gromadzie!

O, na okrutne sceny, jakie się rozgrywały po jaskiniach, lepiej rzucić dyskretną zasłonę! Tam nawet ciało zmarłego nie marnowało się w głodowej porze roku, ale przeciwnie, zapewniało

gromadzie na kilka dni dobrobyt i spokój¹⁾). Oto przyczyny główne, dla których zamiast szukać towarzystwa i skupić się w liczne gromady i teraz jeszcze musi człowiek unikać podobnych sobie. W ciężkiej pogoni za żywnością — widzi on w obcym współzawodnika tylko i wroga. Złe uzbrojony musi dniem i nocą mieć się na baczności przed głodnym a przebiegłym zwierzem. Przechodzi on twardą szkołę i dużo się już nauczył. Póki nie znał zimy, był stworzeniem potulnym i mało wymagającym. Głodu nie cierpiał często, więc nie zabijał. Ognia także nie potrzebował.

Teraz, odkąd warunki klimatyczne zaczęły się zmieniać na niekorzyść, musiał nabrać zgoła nowych uzdolnień. Potrafi już nawet być srogi! Zresztą oddaje tylko pięknym za nadobne. Jest prześladowany, więc gdy może, prześladuje także. Przyznać trzeba, że ostatnimi czasy cała przyroda uwzięła się na zgubę jego. Pomijając zawsze jednak zuchwałe i mocne zwierzęta, nawet klimat od dawna począł się zaostrzać zdradziecko, nieznacznie, aż zapoznał człowieka ze śniegiem. Ten jednak cierpliwy, zahartował się stopniowo i mało dbał zrazu o płatki białe. Ale płatki wracały co rok obfitsze. Rozproszony po wielkich obszarach cofał się z wolna instynktowo wraz ze zwierzętami na południe, ale śnieżyce zimowe szły za nim i niosły coraz większe klęski. Nie tylko północ niby wielka lodownia odpychała wszystko, co żyje i zaostrzała swe zimy, ale jeszcze i góry dawniej zielone zaczęły się ukrywać pod całunem zimnych, białych kryształów.

— Cóż za powód tego oziębienia się? — zagadnął ciekawie Stanisław.

— Nie wiadomo. Nagłe oziębiania się klimatu ziemi jest zjawiskiem dotąd nieobjaśnionym głównie dlatego, że epoka lodowa, jak przyszła tajemniczo, tak po pewnym czasie minęła.

— Więc bawimy w epoce lodowej? — spytał Puckins.

— W samej pełni trwania jednej z nich.

— Alboż było takich epok więcej? — zapytał Stanisław.

— Jeżeli chodzi o obszar Polski i Niemiec, to stwierdzono tu ślady trzech epok lodowcowych, przedzielonych dwoma

¹⁾ Są to stwierdzone z całą pewnością naukową fakty. (Przyp. autora).

cieplejszymi epokami międzylodowcowymi. Jeżeli jesteśmy w czasie trwania największej z nich, to w tej chwili cała Europa północna aż mniej więcej do linii Londyn—Drezno—Kra-ków—Lwów — dawniej Ekaterynosław spoczywa pod grubą blisko na 1 km powłoką lodu. Przedtem była pełna życia, teraz jest martwą pustynią, podobnie jak za dni naszych Grenlandia. Skorupa lodów niby mroźna lawa posuwała się z każdym tysiącem lat niżej ku południowi, grubiała od śnie-gów, które padały na jej powierzchnię, ale już nie topniały prawie. Na północy Europy skorupa stwardniałego śniegu, czyli lodu dochodzi teraz do grubości 1000, a nawet 2000 metrów. W Anglii i w Polsce mierzy z pewnością setki metrów grubości. Zwierząt z każdą sroższą zimą ubywało. Ginęły tłumnie. Człowieka, mimo całą jego wytrwałość, spotkałby w Europie taki sam los, gdyby nie wyjątkowe uzdolnienia. Zaostrzające się wcześniej zimy zmusiły go do szukania okrycia. Nauczył się więc najprzód zabijać zwierzęta, aby zdobyć futro. Surowsze warunki bytu zmusiły go także do sporządzania narzędzi doskona-lszych od niegdyś używanych migdałowatych krzemieni. Łupał tedy szerokie wióry krzemienne i otlukiwał je na krawę-dziach, aby mogły służyć do krajania i skrobania skór z resztek żył i mięsa. Nauczył się rozbijać kości celem zdobycia szpiku do smarowania i zmiękczenia skóry. Musiał kolcem z krze-mienia dziurawić te skóry, aby jelitami zwierząt łączyć je na odzież. Całych wieków trzeba było, aby wydoskonalić to wszystko, ale też tryumf był zupełny. Zimno tedy stało się bodźcem do wielu wynalazków, bez których dawniej żył w prostocie i szczęśliwej, ale mało ludzkiej, obojętności. A tymczasem stawało się coraz chłodniej. Pod chmurnym niebem i mroźnymi wichrami marniały gwarne niegdyś pu-szcze leśne. Kwitnące wzgórza i góry stopniowo nikły pod śniegami. Coraz nowe i większe obszary okrywały się wie-czynym lodem. Wtedy to zaprzyjaźnił się człowiek z „nie-nasyconą, okrutną istotą“, która z trzaskiem trawi drzewo, a z nocy dzień czyni. Złośliwą tę istotę człowiek uczynił stró-żem, sługą i dobrodziejem swoim. Ogień odtąd go broni przed napadem zwierząt nocnych, ogień przy pewnej wprawie trawi mu mięso, zmiękcza dzikie płody świata roślinnego i czy-

ni smaczniejsze, niż były surowe. Nie na tym jednak koniec dobrodziejstw ognia. Niegdyś zdobycz spożywał myśliwy na miejscu, gdzie ją upolował. Nie troszczył się o kobietę i dzieci, czy jadły? Kobieta sama musiała starać się, aby nie być głodną, a nie zawsze miała po temu siły i zdrowie. Instynkt macierzyński zmuszał ją często do lęklivego unikania brutalnych i bezlitosnych mężczyzn. Musiała opuszczać gromadę i szukać dla siebie i swego maleństwa w puszczy bezpiecznego schronienia. Ognisko dopiero przetworzyło sposób życia myśliwca i stało się dobrodziejstwem kobiety, starca i dziecka, a z nimi całego rodu ludzkiego. Rozniecanie ognia było zadaniem trudnym. Nie wszyscy nawet posiadali tę sztukę. Trzeba więc było starannie skarb, raz zdobyty, przechowywać. Raz rozniecony płonął zwykle długo — czasem nie wygasł przez lata w jaskini. Otóż żywienie ognia gałęzmi i przechowywanie płomienia w popiele przez czas, gdy mężowie uganiali się za żywnością, powierzono kobietom, dzieciom i starcom. Ognisko przedłużyło także żywot ludzki, bo pozwoliło zachować lekceważonych dawniej, bezsilnych fizycznie starców.

Co więcej, pozwoliło korzystać z ich jedyne go, ale wielkiego i nie ocenionego długo skarbu — z doświadczenia. Ognisko więc zespoliło ludzi, stworzyło pierwotną rodzinę, a potem pojęcie „plemienia“, to jest grupy gromadek przyjaznych sobie, bo pokrewnych. Ono to da kiedyś kobiecie przewagę nad rodem męskim...

— Panie, jakie to ciekawe — zawołał Stanisław. — Dawniej nie pomyślałem nawet, czym mogło być zwyczajne ognisko!

— Tak, mój drogi. Ognisko było najdroższym, *żywym* skarbem gromady i „plemienia“. Kto wtedy u jednego ogniska zasiadał, był już „swojakiem“, „bliźnim“ i „przyjacielem“. Kobiety, pielęgnujące ten skarb, stały się z biegiem tysiącleci uprzywilejowane w gromadzie. Kiedy zaś przyszła kolej na pojęcia religijne, osobnik żeński, zwolniony od obowiązku zaspakajania własnych potrzeb codziennych, przekształcił się na służebnicę ognia, a ten po słońcu stał się przedmiotem czci religijnej. Stał się bóstwem domowym. Starzec doświadczony został wtedy w rodzinie i w plemienu *głową*, „wiedziem“

i wodzem, a potem jeszcze w miarę postępu i uspołecznienia się ludzi dzierżył godności mędrca i wieszcz. Nie darmo do dni naszych przetrwało w mowie „ognisko“ jako symbol rodziny i najdroższa jej własność. Co więcej, zostało ono uosobieniem władzy i własnością kobiety. „Strzeżenie ogniska domowego“ uważamy jeszcze dotąd jako symbol szczytnego powołania kobiety.

— Mój Boże, jak to się świat zmienił — rzekł Stanisław. — Dziś nawet szanująca się kucharka uważa sobie za ujmę rozniecanie i podtrzymywanie ogniska domowego. Pod blachą to jeszcze pół biedy, ale w piecach!... fe! to rzecz najniższa z najniższych, to nie przywilej, ale upokorzenie.

— Bo też nawet wyrażenie, o którym mowa, utraciło dosłowne znaczenie, stało się niejasnym wspomnieniem stanu rzeczy dawno zapomnianego i trwa już tylko jako szczytna przenośnia w ustach rodu ludzkiego. Zresztą, jak długo jeszcze pielęgnowanie nie wygasającego ogniska było ważnym czynnikiem życia, mamy dowód w niezbyt dawnej tradycji. Litwini do niedawna strzegli świętego *Znicza*, a do dziś przecie żyją na ziemi czciciele ognia. Klasyczny świat poczytywał ogień za najcenniejszy dar niebios, za podarunek bogów. W obyczajach ludu żyje do dziś tysiące śladów czci, której ogień był przedmiotem. I słusznie. Taki żywioł, któremu człowiek zawdzięcza niemal całe swe dzisiejsze stanowisko, nie mógł pozostać zapomniany. Toż i dla nas, dzieci najnowszej cywilizacji, jest on niesłychanie ważnym czynnikiem. Z utratą ognia — człowiek cofnąłby się bezwarunkowo do stanu dzikości. To prawdziwy dar niebios, który człowiekowi pozwolił przetrwać złe godziny i rozwinął go prędzej niż cała przyroda!

XXIV.

KOŃSKA SKAŁA TARPEJSKA. BEZBRONNY POGROMCA.

Mroźny klimat łagodniał stale, lecz ocieplanie się powierzchni przyniosło obok korzyści dla mieszkańców środkowej Europy dotkliwe także klęski. Wzgórza, okryte dawniej wiecznymi śniegami, porastały już odwiecznym lasem. Ziemi zdatnej na mieszkanie na wyżynach przybywało, ale za to niziny stały się niebezpiecznym siedliskami i mrowie już ofiar zabrały. Dawne koryta rzek i strumieni nie mogły pomieścić zwiększonej masy wód, która spływała z topniejących śniegów oraz lodów, nagromadzonych przez lat tysiące.

Powodzie i zalewy rozległych dolin stały się zwykłym, co rok niemal powtarzającym się zjawiskiem. Nieliczne garstki ludzkie ratując życie musiały się chronić na wyżyny. Kogo zaskoczyła niespodzianie powódź wiosenna, ten ginął bez ratunku. Stosunki takie panowały w całej niemal zamieszkałej Europie.

Leśne puszcze, na setki mil rozległe, były napelnione przez ogromne niedźwiedzie, wielkie koty, hieny itd. Na porośłych stepową roślinnością równinach pasły się niezliczone stada zwierząt przeżuujących i dzikich koni o dużych głowach.

*

*

*

W takiej epoce ocknęli się nasi tułacze. Otaczała ich mgła gęsta.

Rzecz prosta, że z jaskini nie pozostało już nawet śladu. Jedna może na sto ówczesnych ocalała, aby świadczyć później o stosunkach przeszłości.

Anglik przetarł oczy i wpatrzył się w profesora.

— Zdaje mi się, że zasnął na chwilę. Co to za hałas?

Powietrze pełne było łopotu skrzydeł i ptasiej wrzawy.

— Nie wiem, co się dzieje — odrzekł geolog — nic nie widać.

Wtem zerwał się ciepły wietrzyk i rozpędził mgłę, która zasłaniała dalsze plany.

— A to co nowego? — krzyknął zdumiony profesor.

W miejscu wczorajszego wzgórza kredowego o łagodnym spadku ujrzał prawie nad głową strome urwiska, a przed sobą, zamiast pożółkłych brzoź i jałowców, dostrzegł szmaragdową zieleń świeżej i bujnej łączki nad krętym strumykiem, wijącym się pośród wzgórz, okrytych gęstym lasem.

Nad strumieniem, u stóp wysokiego i stromego klina skalnego, roilo się od czarnego ptactwa. Kracząca rzesza biesiadowała na trupach.

Żeru musiało być dużo, bo ptaki czuły się jak w swoim żywiole. Gromadami obsiadały padlinę, podlatywały, spychały się tak żwawo i wrzaskliwie, że nie można było dostrzec nic więcej, prócz migocących skrzydeł czarnych.

I to wszystko działo się o kilkanaście kroków od naszej trójki, przytulonej do białej ściany skał.

Nagle trzy serca uderzyły jak młotem. Spoza wzgórza, zasłaniającego naszych wędrowców wychyliła się postać ludzka.

Mężczyzna prawie nagi, niewielkiego wzrostu, barczysty, niby z brązu ulany, skradał się z ostrożnością kota, a błyszczącym wzrokiem śledził okoliczne drzewa i krzaki.

Kto raz ten wzrok i tę postać zobaczył, ten ich prędko zapomnieć nie zdoła.

Stanisław zlodowaciał. Nawet lord Puckins, zimny w spotkaniu z grzechotnikiem, poczuł, że mu krew zbiegła do serca. Nie był w stanie oderwać wzroku od ciemnej postaci, od głowy kudłatej, a nade wszystko od tych oczu, wpadniętych głęboko i spod niskiego czoła spoglądających jakoś dziwnie, prawie nie po ludzku. Patrzył i nie widział. Chłód i gorąco na przemian czuł w piersiach.

Pociemniało mu w oczach. Wszystkie uczucia i myśli zbiegły się w jednym głuchym zapytaniu:

— Człowiekże to?

I nie śmiał sobie odpowiedzieć twierdząco.

Patrzył na porośniętą gęstym włosiem atletyczną pierś i nogi leśnego mieszkańca, na czoło w tył cofnięte, na potężną szczękę dolną i ponure oczy. Patrzył i nie miał odpowiedzi.

— Boże, co za rysy! — szepnął mimo woli.

Tymczasem ostrożnie wychyliła się druga postać, obwinięta przez biodra w skórę lamparcią. Pierwszy przybysz wydał gardłowy, krótki dźwięk i obaj zwinnym skokiem zniknęli za drzewami. Jeszcze raz, w chwili gdy przechodzili przez strumyk, mignęły ich postacie, wreszcie zakryła ich gęstwina.

— Dobrze, że nas nie spostrzegli — szepnął Stanisław.

— Czyś tego jednak pewny?

— Tak i mnie się zdaje! — rzekł Anglik. — Tym razem ptactwo oddało nam usługę. Wrzeszczy i zachowuje się zupełnie, jakby nas tu nie było.

— Ale co za typy! Musimy być jeszcze daleko od teraźniejszości.

— W każdym razie lodowa epoka chyba już przeminęła? — zagadnął Puckins.

— Nie zauważyłem, czy mieli ci ludzie łuki — rzekł profesor.

— Byli tylko w dzidy uzbrojeni — zapewniał Stanisław.

— Nie wiem już doprawdy, w jakiej jesteśmy epoce, ale nie wróżę nic dobrego...

— A to czemu?

— Dlatego właśnie, żeśmy łuków nie dostrzegli.

— Cóż mają łuki do epoki?

— Mają i wiele! Łuk jest wynalazkiem bardzo późnym.
— Jakże mogli myśliwi obywać się bez tak użytecznej i niemal koniecznej broni?

— Tak samo, jak się obywali później i długo bez broni palnej. Łuk jest w istocie narzędziem bardzo ważnym dla łowcy — poświadczył geolog — ale, aby go sporządzić, należało przedtem dokonać długiego szeregu wynalazków. Na to wszystko człowiek nie mógł się od razu zdobyć.

— Taki prosty wynalazek!

— Każdy po dokonaniu wydaje się prosty i niezbędny, a jednak poprzednio nikomu do głowy nie przyszedł. Wynalazek wymaga szczególnych uzdolnień i wysiłków umysłu, inaczej lada głupiec, co mówię, lada zwierz zdobywałby się na niego. Ale ich myśl za słaba jest do podobnych wysiłków. Trwają też przy swych obyczajach i nic w nich nie zmieniają. Dla tego samego powodu ludzkie pokolenia przez tysiące lat nie domyślały się, że z giętkiej trzciny i kiszki zwierzęcej można by sporządzić cudowny przyrząd, zabijający zwierzynę z odległości, bez dotknięcia jej ręką lub maczugą. Nie ma w tym nic dziwnego. Wszak nawet w wieku dział szybkostrzelnych i karabinów maszynowych, w wieku, w którym rasa lepiej rozwinięta dokonywa co dzień setnych wynalazków, żyją jeszcze i umierają plemiona, nie znające nawet łuku i nie umiejące zliczyć więcej jak do pięciu.

W czasie tej krótkiej rozmowy na łączce, po drugiej stronie strumyka, ukazał się mamut z małymi kłami. Za nim szedł drugi, potem trzeci i czwarty. Wspaniałe zwierzęta stapały tak cicho, że nie czyniły najmniejszego szmeru. Stały wreszcie nad wodą i długo nieruchomie nasłuchiwały, zanim przewodnik podniósł trąbę i dał znak. Wtedy pozbyły się ostrożności i szczęśliwe, swobodne, żwawo jęły wciągać wodę trąbami, polewać się po grzbietach, wreszcie pokładły się w ciasnym i gliniastym korycie na wzór wieprzów i tarzały się w mule, porykując wesoło oraz wydając dźwięki podobne do metalicznego głosu trąb. Nagle przerwały kąpiel i w popłochu pierzchły.

Od szczytu urwiska doleciał oddalony tętent i rżenie koni (*Equus caballus*). Z każdą sekundą zgiełk stawał się wyraźniejszy, wreszcie zatrwożył naszą trójkę. Jeszcze chwila i tuż nad głowami tułaczów rozległ się głuchy łoskot ciała, rozbijającego

się o nierówności skały. Niedaleko profesora runął grzbietem o ziemię koń okrwawiony. Zaledwie odskoczył, ściana znowu zajęczała i drugi koń padł łbem u nóg paleontologa.

Konające zwierzę resztkami sił stanęło dęba, rozdeptało krwawe chrapy i legło z ciężkim, bolesnym westchnieniem.

Teraz poczęły spadać konie po dwa i po trzy od razu. Niektóre, dziwnym trafem nie zabite, zrywały się ogłuszone, rozszalałe i deptały po towarzyszach, powiększając grozę chwili. W tym samym momencie dziki wrzask podniósł się w zaroślach poza strumieniem i odbił przeciągłym echem od kredowego urwiska. Zaległa znowu cisza, przerywana tylko stękaniami pokrwawionych koni. Wędrowcy nasi nie umieli sobie zdać sprawy z tego, co zaszło. Instynktownie przytulili się pełni grozy do skały.

Tymczasem pod osłoną drzew i krzewów zbliżała się do strumienia gromada myśliwców, polujących na tabun koni dla mięsa, a bardziej dla zdobycia szpiku. Gdyby nie obce postacie, które już dostrzegli, przybyłaby tu ona z hałasem i okrzykami tryumfu. Ale śmiałkowie, którzy odważyli się wejść im w drogę, a może zamierzali korzystać ze zdobyczy, obudzili ich nieufność i ciekawość. Była to dzika i groźna gromada. Każdy z półnagich myśliwców uzbrojony był w dwa lub trzy dziiryty, zakończone zgrabnymi krzemiennymi grotami. U każdego za pasem tkwił krzemień w kształcie niezgrabnej motyki, umocowanej żyłami zwierząt do drewnianego trzonka, albo płaski, szeroki sztylet krzemienny o dwóch ostrzach, arcydzieło roboty kamieniarskiej.

Żadna gałązka nie chrupnęła pod nogami rozsypanej w półkole i czającej się gromady. Tylko kudłate głowy, okryte wilczymi i lamparcimi łbami, tylko błyszczące oczy i odsłonięte w dzikim zapale białe zęby ukazywały się chwilami spoza liści i gałęzi.

Zacieśniali oni koło i porozumiewali się zaledwie dostrzegalnymi ruchami dziiryta. Gdzie brakło osłony, pełzali bez szelestu po ziemi, łudząco podobni do zwierząt, których skórą okryli swe plecy i głowy. Umieli oni w ten sposób podchodzić płochliwą zwierzyńą i wymierzać z bliska cios niezawodny. Niektórzy zuchwałstwo i krew zimną posuwali do tego stopnia, że podchodzili na kilka kroków do śpiącego lwa albo niedźwiedzia i kładli go trupem zatapiając nagle dziryt w oku lub sercu zwierzęcia.

I ten konający tabun, mimo bajecznej czujności ogiera, dostał się w pułapkę po tej stronie strumienia tylko dzięki przebiegłości kilku ludzi. Pełzali oni całymi może godzinami, cierpliwi i baczni na wszystko, póki nie otoczyli pasącego się stada, a potem, nagłym ukazaniem się, krzykiem i wyciem, postacią półzwierzęcą odebrali zaskoczonym zwierzętom przytomność i zagnali je rozmyślnie na cypel bez wyjścia, aby rozszałało ze strachu wpędzić do przepaści. To był również wynalazek morderczy nie gorszy od łuku. W takim polowaniu zasmakowali, bo przy obfitości tabunów, przy małym ryzyku dawało stokroć obfitszy łup aniżeli uciążliwe, a często niebezpieczne uganianie się za pojedynczą, ostrożną i szybkoconą zwierzyną

Lord Puckins, najbieglejszy w myśliwskich wybiegach, czas jakiś śledził zbliżających się myśliwych, ale prędko znikli mu z oczu. Wyteżonym wzrokiem ogarniał Anglik odkryty brzeg strumyka, pewny, że dostrzeże wcześniej napastników, gdyby się tu podejść ośmielili. Tymczasem łudzący spokój i cisza zapanały dokoła. Lord Puckins nie wiedział, że zza krawędzi skały wychyliły się dwa łby wilcze i dwie pary ludzkich oczu śledziły z góry bezbronną gromadkę. Synowie puszczy dokazali bez trudu podobnej sztuki, którą zachodzili śpiące lwy i płochliwe konie.

Trzech myśliwych, okrytych wilczurami, podpełzło z boku pod osłoną krzewów i kamieni na rzut dzirytą do naszej trójki, która ani się domyślała bliskiego niebezpieczeństwa. Potem, pod osłoną cielsk końskich, ludzie epoki polodowej (musterieńsko-magdaleńskiej) zbliżyli się na kilka kroków, ale nie spieszyli z napadem. Dopiero, gdy cała gromada znalazła się w bliskości i obserwowwała ciekawie niezwykłych gości, Puckins, bezwiednie pociągnięty siłą ich wzroku, odwrócił ię i ujrzał o kilkanaście kroków przed sobą wilczy łeb, oparty na rozciągniętym końskim kadłubie. Bezbronny — pojął w jednej chwili grozę położenia.

Dzicy łowcy wzięli niezawodnie naszą gromadkę za nieznanych sąsiadów, którzy tu przyszli z dalekich stron z zamiarem osiedlenia się lub polowania na cudzej ziemi. Wiedział lord, że jeszcze w XIX wieku w głębi Afryki płaci przybłęda podobne przewinienie życiem, a ciało jego spożywają z tryumfem zwycięzcy. Skądże tu, wśród tych srogich myśliwców mogłoby być lepiej?

— Zginęliśmy ! profesorze — zawołał — nie mamy się po co dłużej ukrywać.

W tej chwili wilk podniósł się nagle. Toż samo uczyniło kilka innych postaci i z podniesionymi do rzutu dziurkami czekali hasła przywódcy. Przedpotopowicz oniemiał, tymczasem Puckins wyprostował się także, z zimną krwią założył ręce po napoleońsku, potem z głową podniesioną i pewnym krokiem zbliżył się do pierwszego napastnika. Gdy stanął o trzy kroki przed nim, uroczystym ruchem sięgnął do ust własnych i nie spuszczać oczu z dzikiego wyciągnął ku niemu dłoń, na której bieleł się szereg sztucznych zębów na kauczukowym podniebieniu.

Skutek nastąpił piorunujący. Myśliwiec jęknął chrapliwie, rzucił dzidę daleko od siebie i padł twarzą na ziemię. Lord Puckins, wyniosły i sztywny, szedł z dłonią wyciągniętą dalej, ale o dziwo, nikogo nie ujrzał. Dzicy pierzchli, jakby się zapadli pod ziemię. Można by sądzić, że byli zjawami, gdyby nie pozostał jeden, ów pierwszy, rozciągnięty nieruchomie na trawie.

Długogłowy syn puszczy drżał jak liść osiki.

Puckins pochylił się nad leżącym, ujął go z lekka za ramię i położył mu rękę na głowie.

Potem odwrócił się z zimną krwią i odszedł.

Obywatel boru spojrzał nań wzrokiem pełnym obaw i uradowania i pełzając tyłem oddalił się pokorny, aż znikł w gęstwinie.

— No, pozbyliśmy się nieproszonych gości — rzekł swobodnie Anglik.

— Podziwiam cię lordzie ! — wyszeptał zachwycony Przedpotopowicz.

— Nic wielkiego. Stara sztuka ! Już raz ocaliła mi życie. Teraz nie trzeba tym zuchom przeszkadzać ani zbytnio dowierzać. Pilno im pewno płatać konie.

XXV.

DRUGA EPOKA LODOWA. — POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA JASKINIOWEGO.

Nastał ranek zimny, prawie mroźny. Nagie gałęzie drzew, kamienie omszałe, wyschłe i szronem zwarzone trawy i zioła okrywał pierwszy i przedwczesny śnieg.

Na chwilę ożywiony widokiem wschodzącego słońca lord Puckins skupił się w sobie. Stanisław strapiony, z posiniałym od zimna nosem, opuścił znużone dłonie i skarżył się w duszy na twardą dolę.

— Ledwom się ognia dokrzesał! — myślał. — Nie dość, żem pokrwawił ręce, teraz znowu nie czuję już palców od łamania tych przeklętych gałęzi. Palą się jak słoma. Nie można nastarczyć z dorzucaniem.

— Ładnej doczekaliśmy się pory! — przemówił do Anglika.

— Pewno zima teraz.

— Pomarzniemy pierwiej, zanim z tych przeklętych wydostaniemy się okolic.

— A może wpadliśmy gdzie na krańce Skandynawii? — przemówił profesor.

W takim razie zginęliśmy na pewno — zawyrokował Puckins i bezwiednym ruchem sięgnął do zegarka.

— Kwadrans na szóstą — wyrzekł obojętnie.

Profesor zaprotestował.

— Musi być znacznie później.

— Mój chronometr nieomylny.

Geolog spojrzał na swój zegarek.

— Prawda! — zawołał zdziwiony. — Nigdy się tego nie spodziewałem! Sądzić by można, że to październik, a tymczasem, jak widzę, mamy dopiero koniec sierpnia.

— Po czym to poznajesz, profesorze? — zagadnął Anglik.

— W październiku słońce przecież wschodzi między szóstą a siódmą, dziś zaś ukazało się w kilka minut zaledwie po piątej.

— Twoje spostrzeżenie potwierdza mój smutny domysł — rzekł lord. — Musimy być gdzieś na dalekiej północy.

— To niemożliwe — rzekł profesor — i wyciągnął rękę w kierunku lipy. — Ta staruszka sprzeciwia się twemu przypuszczeniu i te buki, choć nędzne, również dowodzą, że jesteśmy w środkowej Europie.

— I zapewne w naszych już czasach — dodał Anglik.

— Las jest zupełnie taki jak nasze. Słyszałem nawet wycie wilka.

Geolog zamyślił się na chwilę.

— Niestety! obawiam się, że daleko nam jeszcze do domu.

Rozmowa urwała się.

Lord Puckins oddalił się po nowy zapas gałęzi na opał. Za ledwie rozejrzał się, dostrzegł jakieś ślady na pobielonym od szronu gruncie.

— Znów tropy słońca — krzyknął bardziej zdziwiony niż przestraszony. — Ale cóż może tu robić słoń w tym klimacie?

Przedpotopowicz żywo podbiegł sprawdzić spostrzeżenia przyjaciela.

— Nie jestem myśliwym — odrzekł — i nie poznałbym w tych niewyraźnych śladach trąbowca, ale jeśli tak jest, jak twierdzisz...

— Nie ma wątpliwości — przerwał mu Anglik.

— W takim razie mamy rozwiązanie sprzeczności. Twój zegarek przed chwilą dał nam pierwszą wskazówkę, te tropy dopełniają ją w sposób nieomylny. Jesteśmy, gdzieś byli onegdaj i wczoraj, ale już w samej pełni trwania zimnej i suchej doby magdaleńskiej, zwanej także epoką renifera, a tropy należą jeszcze do mamuta.

— To znaczy, że bardzo jakoś powoli wydobywamy się z otchłani czasu — dorzucił Anglik.

— Przybliżyliśmy się do naszej epoki od wczoraj zaledwie o dwadzieścia tysięcy lat. Ciepła epoka, na którą wczoraj patrzyliśmy, minęła dawno, a na świat europejski spadła nowa klęska. Zimy od dawna poczęły stawać się znowu coraz mroźniejsze a lata chłodniejsze. Można by rzec, iż wróciły czasy musterieńskie. Temperatura obecnie średnio jest o kilka stopni niższa niż za czasów historycznych. Całą Europę północną pokrywają znów tundry i śniegi Laponii i Syberii. W środkowej panuje klimat Skandynawii. Co mogło, ustąpiło stąd dawno szukając ocalenia w cieplejszym klimacie. Niedobitki lwów, łosie, tury i żubry schroniły się na południowe krańce Europy, ostatni tylko olbrzym Europy, mamut, został najdłużej. Konie, kozy, antylopy i danielę trzymają się wytrwale tu i ówdzie, ale głównym zwierzęciem, które ożywia teraz rozległe i smutne tundry oraz puszcze i czuje się tu w swoim żywiole, jest renifer w orszaku hien i wilków.

— Cóż się stało z człowiekiem zamieszkującym Europę?

— I teraz nie uląkł się srogości przyrody. Pozostał w ojczystych miejscach i wystąpił do skutecznej walki z przeciwnościami. Wszędzie, gdzie pasą się stada reniferów, spotkać można nieliczne garstki ludzi, okrytych skórami. Zaopatrzeni są oni dobrze w broń, wyrobioną z kamienia, kości i rogów reniferowych. Skąpe i mizerne płody świata roślinnego nie mogą już ich wyżywić. Zwrócili się tedy niemal wyłącznie do polowania i rybołówstwa. Twardy to żywot. Zwierzęta dla paszy zmieniają bezustannie miejsca pobytu. Skoro śnieg stwardniały pokryje mizerne mchy i porosty, jedyne ich pożywienie, uchodzą renifery ku południowi, gdzie zima jest łagodniejsza. Zapuszczają się one aż do Pirenejów i Apeninów, a dopiero gdy wiosna stopi

biały całun północy, wracają te zwierzęta do dawnych siedzib. Gromady myśliwych chcąc nie chcąc muszą stosować się do wędrówek głównych żywicieli swoich i wiedzą żywot koczowniczy. Rzecz dziwna! Pomimo niewygód i niebezpieczeństw długogłowy ród myśliwców jest miły, wesoły, uczynny i dobroduszny. Niestrudzeni koczownicy nie znają zazdrości ani waśni i pomagają sobie wzajemnie.

Czy to wiecznie pogodne niebo i gwiazdziste noce budzą w ich sercach jakieś jasne instynkty, czy jednostajność chłodnej temperatury przy trudach koczowniczego życia nie pozwala wybujać burzliwym namiętnościom, czy może łatwość i obfitość zwierzyny odstrasza widmo głodu, dość, że te gromadki zapamiętałych myśliwych czują się szczęśliwe. Nie wyobrażają sobie zresztą innego życia nad to, jakie prowadzą. Kochają swą biedną puszcę rodzoną, szanują mamuta, dobrotliwie oszczędzają reny i inne dobre zwierzęta. Pełni sił, wyzywają niebezpieczeństwa, a zwycięstwo nad czworonożnym wrogiem ich upaja. Przyroda jest dla nich żywą, wiecznie otwartą księgą. Z niej czerpią mądrość, którą przetwarzają bezwiednie w swych pierwotnych sercach na dobro i piękno. Dobro to i piękno są dalekie od naszego udoskonalonego dobra i piękna, od naszych ideałów, ale na owe czasy odległe wystarczają i są szczytem. Jedynym majątkiem człowieka jest licha broń, czyli garstka narzędzi z krzemienia i rogu, ale z tymi rzeczami przy zdrowiu osiąga on wszystko, o czym zamarzy. Nic tedy dziwnego, że całą ambicję i przyjemność stanowi wyrabianie i posiadanie tej broni jak najpiękniejszej. Więc też zręczniejsi i obdarzeni poczuciem artystycznym ozdabiają w wolnych chwilach rogowe lub kościane narzędzia rzeźbionymi lub rytymi wizerunkami zwierząt, których udatność dziś nawet podziw nasz budzi...

— Wszystko to dobrze, ale zmarzniemy, jeśli zostaniemy tu dłużej w naszych lekkich kostiumach — odezwał się Anglik.

— Zapewne mogłoby to nastąpić — odrzekł profesor — ale widzę łatwą radę. Będziemy palić ognisko, póki nie doczekamy szczęśliwiej jutra. Jutro powinniśmy się znaleźć już w naszym świecie wśród dobrodziejstw cywilizacji.

Gdy tak radzili nasi, o kilkaset kroków rozgrywała się inna scena.

Brodacz o ciemnobrązowej cerze, odziany na wzór eskimosa w skórę zwierzęcą, na jakiej zbywało naszym biedakom, z głową okrytą futrzanym kapturem, z twarzą pomalowaną białymi i czerwonymi farbami ziemnymi, jak to czynią i dziś nieucywili-zowane ludy, spotkał się na skrócie oko w oko z potężnym niedź-wiedziem, jest to najstraszniejszy bez wątpienia zwierz miej-scowy. Można było jeszcze uciekać, a choćby przygotować się do obrony, ale snadź ucieczka i walka nie obiecywały szans powodzenia, skoro ciemnoskóry, uzbrojony w dwa dziiryty, łuk i maczugę, nabijaną ostrymi odłamkami krzemiennymi, padł na kolana przed zwierzem i patrząc mu prosto w oczy począł szybko i donośnym głosem przemawiać w swoim języku do niego mniej więcej w następujący sposób: „Dobry sta-ruszk, mocny panie mój! ty wiesz, że nic złego nigdy ci nie uczyniłem. Po coś mi wszedł w drogę, dobry, mocny sta-ruszk! Nie gniewaj się i odejdz”!

Na brzydkiej, mocno zarośniętej twarzy jego o nosie sze-rokim i spłaszczonym, o wargach grubych i wydatnych malo-wał się wyraz przerażenia i rezygnacji.

Uderzył głową o ziemię, po czym wyciągnął się plackiem przed niedźwiedziem.

Dziwna rzecz. Srogi, kudłaty olbrzym popatrzył przez chwilę na człowieka i, snadź syty, minął go spokojnie.

Człowiek został przez długą chwilę nieporuszony; podniósł potem głowę, aby śledzić kierunek, jaki obrał ówczesny król Europy. Następnie wzrok jego zabłysnął radością. Pochwycił amulety wiszące na piersiach i dotknął je ustami. Gdy już straszny zwierz znikł za wzgórzem, zerwał się i roześmiał szczerem, radosnym śmiechem dziecka. Nagle stanął jak wryty. Z oddali doleciał go krótki świst. Człowiek ujął w rękę kościaną piszczalę wiszącą na cienkim rzemyku u pasa i odpowiedział donośnym świśnięciem. Potem szybkim, elastycznym krokiem podążył tam, gdzie znikł niedźwiedź. W pozornie bezludnym lesie zjawilo się w milczeniu, jakby spod ziemi, kilka podobnych do niego, dobrze uzbrojonych postaci. Były one dotąd ukryte wśród skał i poza pniami drzew. Równocześnie przeszył po-wietrze stłumiony ryk niedźwiedzia. Był to ryk gniewu i prze-strachu. Przed chwilą zatrzeszczały pod jego stopami gałęzie

i olbrzym zapadł się w jamę, ukrytą pod warstwą mchu i gałęzi, przyprószoną jeszcze świeżym śniegiem. Myśliwi wydali przeciągły okrzyk i pędem pobiegli w kierunku, w którym znikł największy po wymierającym mamucie olbrzym ich krainy. Na dnie głębokiej jamy miotał się zwierz mocny.

Myśliwi obstąpili pułapkę i zajrzeli do jej wnętrza. Najstarszy podniósł głowę w górę i patrząc w niebo odezwał się w te słowa do niedźwiedzia: „Wybacz wielki niedźwiedziu, że zabiję twego sługę. Sam sobie winien. Po co biedak szedł tędy i wpadł w dół? Nie mścij się, bo ty wiesz, że zima się zbliża i człowiek podziękuje ci za ciepłe futro“.

Po tej przemowie wymierzył cios. Dziryt utkwiał w przedniej łopacie niedźwiedzia.

Każdy z myśliwych zagłębił swój pocisk i w oczekiwaniu na skutek ciosów wszyscy stanęli z nową bronią w pogotowiu. Ciężki olbrzym, sącząc posoką, ryczał i miotał się wściekle. Kudłate łapy, uzbrojone w straszliwe stalowe szpony, darły ziemię. Stojąc na tylnych łapach w ciasnej i głębokiej jamie wyszczerzał spod drgających warg zęby, osadzone w muskularnych szczękach. Usiłował wydobyć się z jamy, podstępnie wykopanej na zwykłej jego ścieżce.

Ale jama była szersza u dołu niż u góry, przeto próżne czynił wysiłki. Gdy połamał drzewca dzirytów i strzał ocierając się o ściany więzienia, nowe pociski zadały świeże rany. Wreszcie osłabły i dobity uderzeniami kamieni i maczug legł potworny niedźwiedź na dnie pułapki.

Dopiero teraz myśliwy, który pierwszy zagłębił pocisk w ciele zwierz, pośpieszył co prędzej upokorzyć się przed jego zwłokami: przypadł do ziemi i jęczał. Potem wskoczył lekko do dołu i pocałował stygnącą mordę trupa. Przymknął mu następnie oczy, a zebrani nad dołem zaintonowali dziwnie jednostajną, smętną nieco pieśń bez słów.

Następnie rozpoczęły się skoki w rodzaju tańca. Zapanowała żywa i hałaśliwa radość. Myśliwi padali plackiem na ziemię, obejmowali się w przyjacielskim uścisku, nacierali na siebie, potrzásali groźnie dzirytami i łukami, po prostu nie wiedzieli, co mają czynić, aby okazać radość z tak rzadkiego i pomyślnego

rezultatu swej ciężkiej pracy nad wykopaniem dołu. Gdy się pomęczyli, dopiero przystąpiono do zdzierania skóry.

Rozcięto ostrymi krzemykami skórę na brzuchu, a potem nie tknąwszy mięsa przysypano niedźwiedzia ziemią, naznaczono dobrze miejsce i gromadka pijanych radością myśliwych żwawo oddaliła się do groty, którą obrała na chwilowe zamieszkanie, i do nor, skleconych naprędce z ziemi, kamieni i gałęzi.

Nie był to koniec wybuchów radości. Wkrótce mieli tu powrócić liczniejszą gromadą, szczęśliwi, dumni, uzbrojeni w najlepszą broń, mieli obedrzeć z cennej skóry straszną za życia zdobycz, zabrać łeb, zawierający kły, należące do najpotężniejszych amuletów i oddać to wszystko temu, kto niedźwiedzia wytropił i pierwszy ugodził. Mięso zaś należało do całej gromady. Na kilka dni radość zapanowała w gromadzie, bo srogi niedźwiedź niezmiernie rzadką bywał u tych biednych myśliwców zdobyczą.

* * *

Nasi tułacze tego wszystkiego nie widzieli. Zasiedli u ogniska i płacząc od dymu ogrzewali kostniejące członki. Byleby doczekać wieczora! To była główna troska. Drugą — stanowiło poczucie zupełnej bezbronności.

— Nie mogę odżałować, że nie wziął broni spuszczać się do szczeliny! — mówił Puckins.

— Któż się spodziewał, że będziemy mogli pod ziemią polować na tygrysy, mamuty i niedźwiedzie? — zauważył Stanisław.

— Najbardziej żałuję tego, że nie mam narzędzi potrzebnych do niezbędnych obserwacji naukowych — biadał geolog. — Sposobność do ważnych spostrzeżeń zupełnie zmarnowana! Nawet szerokości geograficznej nie mogę oznaczyć ani ciśnienia atmosfery, ani tylu najkonieczniejszych a niezmiernie ważnych szczegółów. Przy tym najgorsze, że nic stąd brać nie można! Tyle nieocenionych skarbów naukowych pod ręką, i wszystko musi zostać!

— Moglibyśmy łatwo napełnić okazami całe twoje muzeum, nieprawdaż profesorze? I jakimi jeszcze! Całymi, świeżymi, a co najważniejsza niewątpliwiej autentyczności.

— Nie rozdzieraj mi serca, lordzie.

— Inaczej byśmy się zwijali mając pewność, że co zdobędziemy, to już nasze! — rzekł Stanisław.

Lord Puckins pomyślał chwilę.

— Zabrać z sobą nic nie możemy, to prawda, — rzekł z powagą — ale za to nic nam nie przeszkadza zostawić po sobie trwałej pamiątki.

— Co przez to rozumiesz?

— Zaraz zobaczysz. Przystąpimy do dzieła, które na całe tysiącolecia uwieczni nasze imiona.

— Jak to? unieśmiertelni nas aż na tysiącolecia?

— Tak mi się zdaje!

— Cóż zamierzasz uczynić? Pamiętaj, że nieśmiertelnością cieszą się tylko nielicznie i wyjątkowo szczęśliwi geniusze! Iluż najślawniejszych pamięć zatarła się po kilku, a nawet paru wiekach.

— Będziemy usiłowali, aby nasza dłużej przetrwała. Leży to po części w naszej mocy. Oby tylko czasu starczyło.

Przedpotopowicz spoglądał na Anglika z niedowierzaniem. Nie mógł pojąć o co mu chodzi.

— Poczekaj profesorze. Przede wszystkim potrzeba nam skały i to nie byle jakiej. Takiej, co nie łatwo ulega wpływom atmosferycznym. Twoja w tym głowa, aby mi taką wskazać. Resztę biorę już na siebie.

Geolog z łatwością spełnił życzenie Anglika, któremu do nieśmiertelności tak niewiele było potrzeba i ze zdziwieniem patrzył, jak Puckins uderzeniem kamienia rozbił okładkę jedy-nego swego wielkiego noża, aby stalową klingę uwolnić od sprężyny i oprawy.

— Pozwalam ci, profesorze, oddać się swoim studiom, a my ze Stanisławem weźmiemy się do dzieła. Czas nagli, a ty nam nie jesteś potrzebny.

— Innymi słowy, chcesz się mnie pozbyć?

— Dziękuję za domysłność. Pragnę ci zrobić niespodziankę. Ale, ale, powiedz, mi jeszcze, gdzie dziś właściwie jesteśmy?

— Niewątpliwie, że jeszcze w Alpach Dynarskich, w bliskości Dunaju.

— Wybornie, więc nad Dunajem, a ile lat do naszej ery?

— Trudno to przy braku instrumentów naukowych określić — rzekł po namyśle profesor — zawsze jednak najmniej z jakie 15 tysięcy lat.

— Dziękuję i nie przeszkadzam — rzekł krótko Anglik i uklonił się na znak, że pragnie pozostać sam.

Profesor, naprawdę zaintrygowany, zwolna się oddalił.

Lord Puckins pracował do zmroku w pocie czoła.

Stanisław krzątał się, jak umiał, wypełniając trudne nieraz polecenia Puckinsa. Profesor zatopiony w obserwacjach puszczy i notowaniu spostrzeżeń nie przeszkadzał im i dopiero głośnie nawoływania sprowadziły go do stóp skały. Tutaj ujrzał Anglika na niskim rusztowaniu z gałęzi i kamieni, wykończającego stalowym dłutem ostatnie litery napisu na gładkiej powierzchni skały. Stanął i wyczytał następujące słowa:

„*Ku wiecznej sławie Lecha Przedpotopowicza,*
pierwszego podróżnika po Europie w czasach lodowcowych,
napis ten kładzie wierny towarzysz Jego

Lord Puckins na Puckinstone“.

Mimo woli uśmiechnął się z tego dowcipu.

— Pojmujesz teraz, profesorze swoją wielkość? Jesteś pierwszym badaczem, który dotknął stopą Europy w czasach epoki lodowej. Czyż te czyny nie są godne zapewnić ci wiekuistej sławy? Czy nie zasługujesz w zupełności więcej niż na ten skromny pomnik? Wszak Kolumb ma ich kilka, a odkrył tylko Amerykę i to wtedy, gdy już przed nim zwiedzali ją inni, mniej szczęśliwi podróżnicy. Ty zaś jesteś bezprzecznie Kolumbem Europy, co mówię, nie tylko Europy, ale całego globu ziemskiego...

Przedpotopowicz roześmiał się szczerze i uściśnął gorąco dłoń lorda.

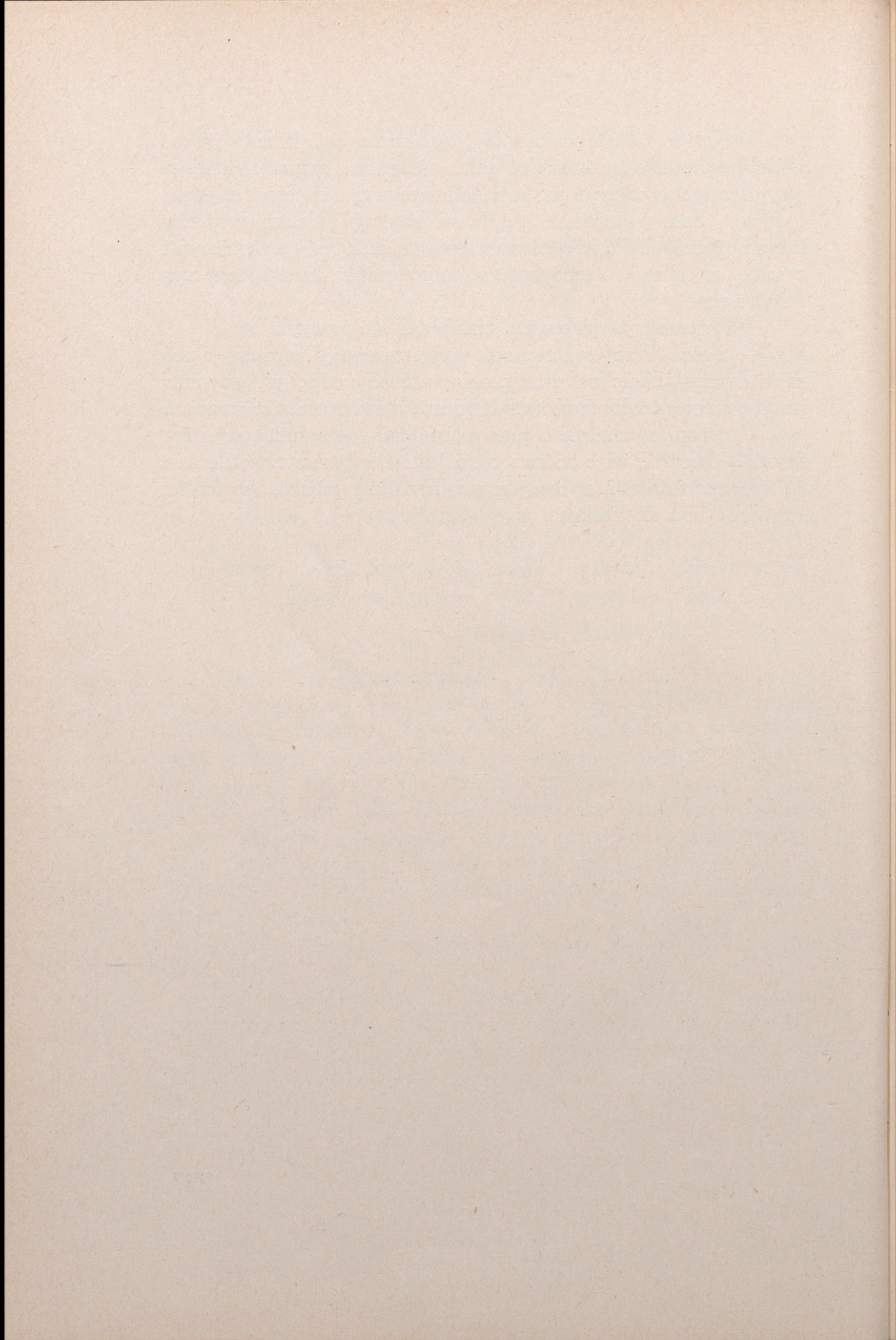
— Szkoda twej pracy i wybornego noża, lordzie, bo mimo twego pomnika świat o naszym sławnym odkryciu nie dowie się wcale. Zanim się znajdzie na ziemi istota zdolna go przeczytać, już z napisu śladu nawet nie pozostanie. Choćbyś go nawet wyrył najgłębiej i w najtrwalszej skale — choćby i skała dotrwała!

— Jak to? i ty, paleontolog, ty, archeolog, śmiesz prawić podobne herezje? A czyjaż ręka nakreśliła rysunek mamuta i tylu innych zwierząt na kościach i rogach reniferów z epoki lodowej. Sam twierdzisz, że te rzeźby są dziełem artystów z epoki lodowej. Dlaczegoż więc mój pomnik nie ma przetrwać tysiące lat, skoro krucha kość z delikatniejszą rzeźbą ten czas przetrwała?

— Warunki wyjątkowe... traf jeden na tysiąc...

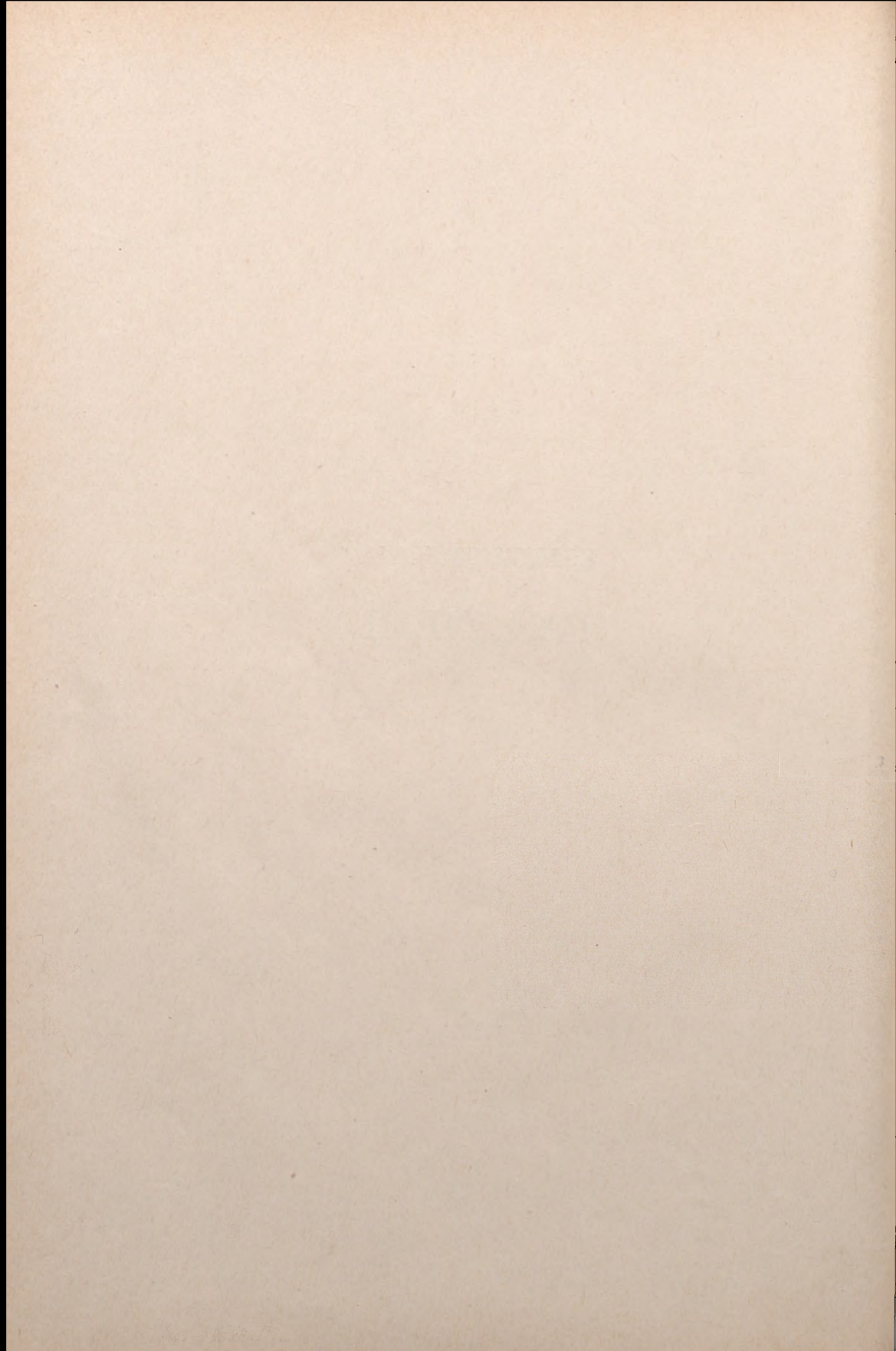
— Może i tu zajdzie coś wyjątkowego. Namuły jakieś zasłonią mój napis od zniszczenia, a kiedyś, kiedyś, gdy nas już nie stanie, odsłonią może i obwieszczą światu fakt nieznany...

— Bronisz dzielnie swego pomnika! — zaśmiał się profesor. — Niechże więc dotrwa jak najdłużej. Dzięki ci serdeczne za nieśmiertelność, a teraz wracajmy do ogniska, bo coraz zimniej i noc się zbliża.



KSIEGA TRZECIA

PAN ZIEMI



XXVI.

RODZAJ LUDZKI OBEJMUJE TRON ZIEMI. NAJDROŻSZY SKARB.

Po wiekach dziwnie srogich zim nastały znów dobre czasy ! Wróciło ciepło, a z nim tu i ówdzie napłynęła i odżyła południowa fauna. Wprawdzie nie przedarły się już oddzielone morzami od Europy hipopotamy ani nosorożce, nie stało wielu ogromnych roślinożerców i przemożnych kotów, które by dziesiątkowały nie dość ich ostrożne stada, jednak rozległe na setki mil puszcze leśne drżały od ryku zwierza. Roje ptaków i owadów stały się bodaj liczniejsze aniżeli przedtem. Nieprzeliczone gatunki o najprzeróżniejszych kształtach i barwach napełniły wody, powietrze, trawy i lasy. Mimo tę pełnię życia puszczy i stepów liczba ssaków znacznie była już mniejsza w porównaniu do minionych czasów miocenu i pliocenu. Królowanie czworonogów chyliło się już szybkim krokiem ku upadkowi. Nawet poważny mamut i niedźwiedź-olbrzym¹⁾ podzieliły los mastodonów i tygrysów o kłach straszliwych.

¹⁾ Niedźwiedź jaskiniowy.

Renifery wypastowane na mchach twardych wyniosły się nieznacznie ku biegunowi, a za nimi poszła wielka część ludzi, których byt wieki wiązały z tymi zwierzętami.

Nie wrócili już oni potem nigdy z dalekiej północy w te strony. Zostali wierni surowym zimom, naturze wędrownej i swym reniferom. Ci tylko, którzy zostali, żyli się z lepszymi warunkami. Opuszczone przez własnych synów albo zbyt słabo jeszcze zaludnione przez myśliwców puszcze i sawanny niedługo oczekiwały na ludzkich mieszkańców. Lud innego szczepu, wyższy w kulturze, powoli, ale stale rozchodził się ze swej nieznannej nam ojczyzny w różne strony. Znajdował on na zachodzie stepy i lasy wolne, prawie bezludne. Osiadał w nich, a każde nowe pokolenie zapuszczało się nieznacznie mimo woli coraz dalej a dalej w puszcze głucho, bogate w zwierza, w żywność i oczekujące tylko na przyjęcie człowieka.

Przybysze owi znacznie się różnili od pierwotnych Europejczyków. Nic też dziwnego, że oba szczepy, spotykając się przypadkiem, unikały bliższych stosunków.

Czwartorzędowcy, jako koczownicy, kochali tylko step wolny, więc bez oporu ustępowali i cofali się bezwiednie na północ i zachód przed falą przybyszów. Mała ich część została i z uległością a podziwem przyjmowała wyższą kulturę.

Plemię noworozmnożone, którego siedzibę ujrzał geolog z Puckinsem, było już starym ludem. Nie licząc tysięcy lat żywota w pierwotnej ojczyźnie mieszkano już ono od wieków w nowoobjętej krainie. Byli to po dziesięćkroć prawnukowie pierwszych wychodźców. Zapomnieli już skąd, z jak daleka przyszli i uważali kraj długogłowców za swój własny. Prawych dziedziców tej ziemi znali mało. Na pograniczach tylko, zapuszczając się w nieznanne sobie głucho, spotykali niekiedy długogłowców, a nawet nawiązywali z nimi niejaki stosunki.

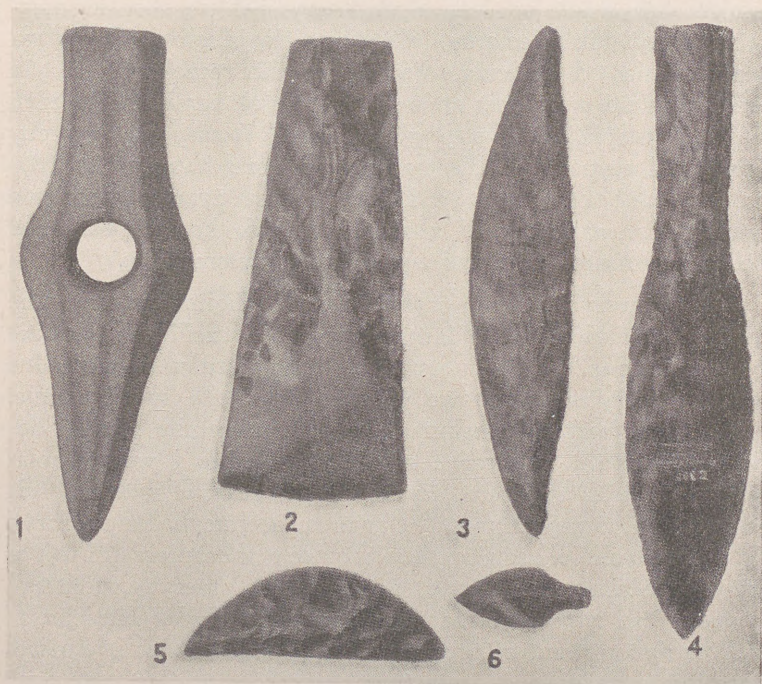
Wtedy ta rasa miejscowa imponowała im siłą i zręcznością fizyczną. Mimo surowości i niższości imponowała jakimś majestatem pogody i szlachetnej prostoty.

Obyczaje, tryb życia i sposób myślenia tych dwóch ras ludzkich były całkiem sprzeczne.

Dawni Europejczycy byli koczownikami, ci zaś prowadzili żywot osiadły; tamci utrzymywali się z polowania i nie

mogliby nawet pojąć pożytku grzebania w ziemi, ci — przynieśli z sobą pracowitą sztukę spulchniania ziemi motyką ¹⁾, czyli pierwotną „sochą“.

Dawni mieli łupane tylko narzędzia krzemienne, gnieździli się po jaskiniach i czasowych kryjówkach, zresztą zahartowani



Narzędzia epoki kamienia gładzonego: 1. motyka, 2. dłuto, 3. piła
4. sztylet, 5. nóż, 6. grot strzały

i odważni koczowali w puszczy, gdzie się trafiło; ci — prócz łupania, umieli już pracowicie polerować kamień, wyrabiali z niego ostre siekierki, dłuta i młoty. Mieszkali stale w jaskiniach i po zacisznych chruściankach, a zasiewali w ziemię ziarna szlachetnych traw, które przynosili ze sobą.

¹⁾ Z kamienia, kości, rogu jeleniego lub gałęzi rosochatych. Stąd zapewne utrzymała się dziś nazwa „sochy“.

Dawni tubylcy piekli tylko mięso lub suszyli je. Nie mieli pojęcia o gotowaniu na ogniu, nie znali także sztuki garncarskiej. Gotowali wprawdzie i oni niekiedy strawę, ale w sposób bardzo niedogodny, przez wrzucanie kamieni rozpalonych do worków skórzanych z wodą. Przybysze natomiast rozgrzewali wodę nad ogniem wprawdzie w nietrwałych naczyniach ze skór zwierzęcych, kory lub plecionki, ale oblepiali je gliną w celu zabezpieczenia od spalenia. Powoli wszakże przekonali się, że sama glina po wypaleniu staje się twarda jak kamień. Nauczyli się tedy ulepić z czystej gliny garnki i misy na potrzeby domowe i wypalać je dla nadania większej twardości. Wykruszone lub opalone ¹⁾ z kłosów ziarna żyta i jęczmienia prażyli, gotowali, czynili z niego polewki, kruszyli na kaszę, ucierali na mąkę, ugniatali z wodą na podplomyki.

U pierwszych Europejczyków pojęcia religijne były zupełnie inaczej rozwinięte niż u krótkogłowych — czcili oni głównie żywą przyrodę. U tych ostatnich zaś wiara w niewidzialne potęgi i w życie zagrobowe głęboko zapuściła swe korzenie. Na wskroś jeszcze dziecinna i ciemna, napęłniła złymi i dobrymi duchami puszcę i ziemię, powietrze i wody, oplątała człowieka tysiącem tajemniczych więzów i zależności od martwej i żywej przyrody. Dawni koczownicy mało troszczyli się o umarłych, ci zaś z wielkim mozółem zabezpieczali i wyposażali ciała zmarłych wierząc, że śmierć nie przerywa ludzkiego żywota, jeśli tylko ciało nie ulegnie zniszczeniu. Wybitniejszym nieboszczykom wznosić poczęli pracowite kopce z ziemi, a nawet pośmiertne mieszkania z ciężkich kamieni, zdolne przetrwać lat tysiące.

Wreszcie koczownicy, choć surowi, obdarzeni byli silnym poczuciem piękna, żywili w duszy poetyczne porywy. Przybysze, mimo innych zalet i wyższości, nie posiadali jakoś zmysłu artystycznego, nie odczuwali tak silnie piękna, rozlanego w przyrodzie.

Żyli na ogół w większym dobrobycie.

¹⁾ Wypalanie to, zamiast młócenia, utrzymało się gdzieniegdzie do czasów starożytnych, a nawet średniowiecznych.

Choć nie lubili wyłącznie uganiać się za zwierzem po kniejach, byli bogatsi od koczujących myśliwców. Nie znali chwil głodu, związanych z zawodnym bytem myśliwych. Przywykli do jadła roślinnego, nie dbali zbyt wiele o mięso, ale i tego mieli przecież dostatek.

Umieli bowiem w ogrodzeniach więzić najdziksze woły, a co ważniejsza, bronić ich przed wilkiem i niedźwiedziem.

Nieposkromione zwierzęta tęskniły jeszcze za wolnością, niebezpiecznie było zbliżać się do nich, ale czujność ludzi udaremniała wszelkie próby wyzwolenia się i biedne, wolne dzieci stepu lub lasu, żywione przez ludzi, musiały drzeć kopytami ziemię więzienia, póki nie położyła ich strzała lub dzida samolubnego i nieproszonego opiekuna.

Wszystkich korzyści człowiek jeszcze z nich nie potrafił osiągnąć. Nie używał jeszcze mleka ani sera, które później stanowiąc będą główny artykuł spożywczy szczepów pasterskich.

* * *

I któż teraz był królem ziemi? Czy te pełne siły muskularnej rogate olbrzymy, czy niewielki ciałem, bezbronny ród dwunożny? Zaprawdę, człowiek już panował, a właściwie *rodzaj ludzki*. On górował nad ożywionym światem. On znał najlepiej obyczaje współmieszkańców puszczy, najlepiej umiał ze swych wiadomości korzystać. Wszystko też, co żyło, lękało się już człowieka, wszystko ulegało jego mądrości i przemocy. Ptactwo i mniejsze zwierzęta chwycił w sidła, większe zabijał z zasadzki, a nawet w otwartym boju.

Sprawiedliwość każe wyznać, że wielce się do tego panowania przyczyniło pewne zwierzę, należące do drapieżnej rodziny wilków i szakali. Z tym zwierzęciem człowiek zawarł przyjaźń ścisłą i dobrze na niej wyszedł. Posiadł bowiem przyjaciela i współtowarzysza, najwierniejszego, o jakim można tylko zamarzyć. Gdyby nie ów towarzysz czworonożny, człowiek nigdy by się może nie wzniosł na wyżyny, na jakich go widzimy, a przynajmniej nieprędko by się ucywilizował.

I ta ważna chwila w życiu człowieka otoczona jest dotąd mrokiem tajemnicy.

Jak się to stało i kiedy właściwie? trudno dziś zbadać. Zdaje się być pewne, że krewniak wilka, pies wolny, musiał zbliżyć się z człowiekiem w ostatniej dobie kamienia łupanego. Długo niezależne gromady psie towarzyszyły z dala i dyskretnie gromadom ludzkim. Żywiły się resztkami, jakie pozostawały zawsze po ucztach ludzkich. Nie napastowały człowieka, więc gdzie je tolerowano, tam chętnie szły za nim, omijały tylko gromady wrogo usposobione do wszelkiego zwierza.

Obecnością swoją oddawały niemałe usługi człowiekowi, nawet wówczas gdy się tego nie domyślał, gdy tych usług nie oceniał. Odpędzały mianowicie nocami wilki i inne drapieżniki, wietrzące zdobycz. Czyniły one we własnym wprowadzie interesie, ale mimo to człowiek z tego korzystał. Takie pożycie z daleka i na pół tylko przyjacielskie trwało bardzo długo. Zwolna człowiek poznał się na użyteczności swego satelity. Pies coraz bliżej podchodził do obozów i jaskiń, coraz mniej bał się niebezpiecznych żartów lub wybuchów gniewu człowieka. Wzajemna nieufność znikła, a po niej łatwo już przyszła kolej na przyjaźń. Połączone zalety fizyczne tych dwóch istot, zupełnie odmiennego rodzaju, dały obu stronom korzyści przedtem nieznanne. Człowiek jednak pozostał tym, który zagarnął wszystkie korzyści spółki — nic prawie w zamian drugiej stronie nie dając.

Dzięki tej spółce wybił się on szybko na wyżyny i nie utrzymałby się na nich bez swego towarzysza. Pies uzupełnił człowieka. Zastąpił mu słuch, węch, szybkość nóg i wiele innych przymiotów. Strudzonemu pozwolił używać błokiego i bezpiecznego spoczynku, na polowaniu pomagał i osłaniał, niesforne stada w zagrodzie utrzymywał w karności, głośnym ujadaniem ostrzegał przed zbliżaniem się wroga i napastnika.

Żadne zwierzę na ziemi, koń nawet, nie zasługuje na większy i niepodzielniejszy szacunek, przyjaźń i miłość ludzką, co pies. Zawsze szlachetny, zawsze wierny i uległy, był on przez tysiące lat jakby jego częścią składową, warunkiem dobrobytu i postępu.

Odtąd człowiek i pies żyli wspólnie po całej ziemi.

Cały rodzaj psi stał się naszą własnością. Każda jednostka psia należy zupełnie do człowieka, do swego „pana“, stosuje się

do jego obyczajów, ochrania jego własność, zgaduje jego życzenia i oddana mu jest do ostatniego tchnienia!

I wszystko to nie tyle wypływa już z potrzeby lub z postrachu, ile z czystego przywiązania i siły przyzwyczajenia¹⁾.

Niby cienie, przyglądali się geolog z Puckinsem z bliska gromadce, osiadłej w puszczy dziewiczej, gromadce szczęśliwej, bo nie wstrząsanej ani setną częścią wątpliwości i zagadnień, a choćby pragnień nurtujących jestestwo każdej czulszej jednostki wieków późniejszych. Szczęśliwi pełnią życia fizycznego, pełnią zdrowia, brakiem niezliczonych naszych trosk moralnych, szczęśliwi swą równością, dumni z drobnych tryumfów nad otoczeniem, tych tryumfów, które byśmy dziś za nic ważyli, wiedli ci ludzie żywot szczęśliwy, choć i on był czasem przeplatany smutkami i bólem. Snuli, bezwiednie początki tych nici, które przez tysiącolecia miały się wikłać, rozplątywane daremnie.

W myśli ich młodej pełno było poezji, surowej jeszcze, ale płynącej z dziecięcej wrażliwości, z żądzy wiedzy. W ciałach

¹⁾ Najstarsze legendy nie wspominają o pochodzeniu tego zwierzęcia — dotąd pozostaje ono tajemnicą. Istnieją różne na ten przedmiot poglądy. Według jednych wszystkie rasy psie pochodzą od jednego gatunku, inni przyjmują licznych przodków psa. Pierwsi uważają psa za potomka wilka, szakala, dole, buansu; inni sądzą, że jest on wytworem licznych krzyżowania między tymi zwierzętami. Pies, rozpatrywany podług szkieletu, jest wilkiem, mimo to, zarówno czaszka, jak mordka, nie odpowiada ściśle żadnemu gatunkowi wilka i mocno się od wszystkich różni. Europejskie psy okazują pewne pośrednie cechy wilka i szakala, ale czoło występuje silniej ponad ciemieniem i nosem. Jeszcze innym wydaje się pies gatunkiem zupełnie oddzielnym, podobnie jak wilk, lis, szakal, ale przeczy temu wyjątkowa różnorodność w budowie czaszki i całego ciała u różnych jego ras. W tym duchu, w jakim rozumiemy przodków konia, kozy i świni, zdaje się, że nie może być mowy o jednym przodku psa. Wielu poważnych przyrodników sądzi dotąd, że rasy psów powstały przez oswojenie różnych gatunków wilka, zamieszkujących różne kraje. Najśluszniej jednak można to ująć w ten sposób, że zamiast gatunków wilka, trafniej będzie przypuścić istnienie w różnych miejscowościach ziemi kilku gatunków rodzaju psa, tj. zwierzęcia, pośredniego między wilkiem a szakalem. Zwierzęta te nadawały się szczególnie do oswojenia i zostały też od niepamiętnych czasów wszystkie oswojone. Przez wędrowki z człowiekiem i przez krzyżowanie ras wydały znane nam rasy i ich odmiany. (Przyp. autora).

tętnił nadmiar sił fizycznych. Nie znając jeszcze ksiąg byli już filozofami. Rozmyślali niekiedy nad przyrodą: nad burzą, wichrem, nad ciemnościami nocy, nad różowym wschodem słońca i zachodem w purpurze, nad tęczą, chmurami i deszczem, nad szmerem drzew i strumieni, nad pączkiem, który w kwiat się rozwija, i nad owocem, który z kwiatu powstaje.

Wszystko ich zajmowało, wszystko w samotnych rozmyślniach i pierwotnych gawędach umieli sobie objaśnić, a wierzyli w swe dziecinne wnioski tak samo niezachwianie, jak my w swoją wiedzę, ugruntowaną na pracy i doświadczeniu naszych mędrców. Zaludniali świat rojem swych marzeń, przyznawali żywiołom własne przymioty, wady i władze. Jasność i ciemności, drzewa i zwierzęta, rzeki i morze, chmury, wichry i pioruny, wszystko to żyło i działało na sposób ludzi i zwierząt i miało swój rozum, wolę, wady i przymioty.

XXVII.

EPOKA KAMIENIA GŁADZONEGO. ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Zapatrzony w ciemną tafłę wód, pogrążony w przyjemnym jakimś odrętwieniu, kołysał się geolog w łódce na falach jeziora. Wzrok jego bezwiednie gubił się w dali, gdzie powierzchnia zlewała się z odległym, zaledwie dostrzegalnym brzegiem.

Na kraju widnokładu majaczyły niebieskie zarysy gór, nad nimi zaś wisiały szarobiałe, fantastyczne kłęby chmur. Głębia panoramy przypominała geologowi znane widoki Szwajcarii.

Łódka, która unosiła Przedpotopowicza, była właściwie korytem wyżłobionym pracowicie, z grubej kłody drzewa. W tyle dwóch ludzi wiosłowało długimi żerdziami i niezgrabny stateczek nie tylko utrzymywał się w równowadze, ale dość szybko sunął wzdłuż wybrzeża.

Za cały ubiór wiosłarze mieli przerzucone przez lewe ramię skóry kozie, przewiązane w pasie surowcem rzemiennym. Poza tym nic więcej. Twarze, ręce i piersi wysmarowane były tł-

szczem, zmieszonym z farbą czarną, żółtą i czerwoną, i błyszcząły niby brąz w promieniach słońca.

Przedpotopowicz objął jednym rzutem oka te szczegóły; nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jakim cudem znalazł się w czółnie; wzrok jego błądził po granatowych, lekko marszczących się falach, aż zatrzymał się na wybrzeżu.

Tam zieleniały łąki, okolone ciemnym lasem, z przodu zaś, spośród kępy bujniejszej zieleni, wyłaniało się kilka chat drewnianych na palach. Były tak blisko, że geolog odróżnił wątle mosty, łączące owe chaty z brzegiem.

Widok owych chat, do których koryto zwolna płynęło, tak był charakterystyczny, że profesor w jednej chwili oprzytomniał i zrozumiał, że patrzy na wioskę nadwodną, z epoki kamienia gładzonego.

Nagle wzrok jego przy niespodzianym zawrocie czołna padł na pstre twarze milczących wioślarzy.

Wpatrywał się i wydał lekki okrzyk zdziwienia. Jednym wioślarzem był lord Puckins, drugim Stanisław.

— Co znaczy ta maskarada? Coście z siebie porobili? — zawołał.

Po ceglastej twarzy *niby-Anglika*, pomalowanej na policzkach i czole w białe koła i linie faliste, przewinął się lekki uśmiech.

— Oto wdzięczność ludzka! Zamiast dziękować, bierziesz nas na indagację — odezwał się z flegmą.

— Co my tu robimy na wodzie — pytał geolog.

— Płyniemy do wioski. Trudno przecież, abyśmy występować mieli w swoich kostiumach.

— Szalony pomysł! Wyglądacie jak dzicy!

— Niegorzej od ciebie, zacny profesorze.

Przedpotopowicz spojrzął po sobie i struchlał. Pomalowany był i odziany w strój podobny do ubioru towarzyszków.

— A to coś nowego!

— Ucharakteryzowaliśmy cię, profesorze, do kompletu. Przybywając do obcego kraju trzeba stosować się do panujących zwyczajów i mody.

— Twój koncept, lordzie, wcale mi się nie podoba.

— Sądziłem, że lepiej ocenisz nasze trudy. Wszak to maskarada dla ciebie, abys mógł wystudiować swoich mieszkań-

ców palafitowych ¹⁾). Okazja wyjątkowa. Udało się nam zdobyć puste czółno — a w nim zdatne na naszą figurę kostiumy. Powie- dzieliśmy sobie ze Stanisławem, że Opatrzność czuwa nad nami i zesłała środek do urzeczywistnienia tych celów. Przebraliśmy się tedy i płyniemy do wioski. Ponieważ twardo spałeś, prze- nieśliśmy cię do czółna. Oto wszystko. A teraz baczność. Ukryjemy się w pobliżu wioski i będziesz mógł do woli obser- wować życie przedhistorycznych Europejczyków.

Niebawem łódka przybiła do brzegu o kilkaset kroków od wioski, zasłonięta wystającym cyplem wybrzeża i zaroślami. Profesor już nie protestował. Pożerał wzrokiem chaty i łowił uchem gwar wioski. Lord Puckins wyskoczył na brzeg i znikł w zaroślach. Przedpotopowicz nie zauważył nawet jego nie- obecności, zapatrzony i zasłuchany cały. Zdawało mu się, że śni raczej i nie chciał się poruszać, aby nie spłoszyć marzenia.

Od środka jeziora mignęło się koryto, kierowane ku naj- bliższej chacie przez dwóch ludzi. Półnagzy, okryci na bio- drach futrami kozimi, z daleka już wyciągali ręce i śmiejąc się głośno poglądali w górę na pomost chaty. Białe zęby, oczy wesoło błyszczące, wydętne mięśnie oraz ruchy sprężyste zna- mionowały młodość i siłę, ale uderzający stanowiły kontrast z dłu- gimi brodami i obfitymi czuprynami, które grzebienia nie znały. Z daleka wyglądaliby na starców brodatych — gdyby nie ruchy i postawa mężów w pełni sił. Nie można się było omylić, że wracali z polowania. Na spotkanie ich wyszły na pomost dwie młode kobiety. Jedna, półnaga, z dzieckiem na rękę, biała i pięknej budowy, z daleka już żywe ręką słała im powitanie z kokieterią, której by się nie powstydziły damy XX wieku. Chwila jeszcze i łódka popchnięta żerdzią uderzyła lekko o pal pomostu. Myśliwy dobył i zarzucił na pomost sznur grubo skręcony i umo- cował łódkę. Teraz wybiegło z chaty dwóch chłopców, wesoło klaszcząc w dłonie. Jeden z kocią zręcznością spuścił się po dra- binie, sporządzonej ze sznurów i cienkich gałęzi, i jął odbierać trofea myśliwskie, młodą sarenkę i kaczki dzikie, uwiązane na poprzecznej żerdzi za nogi. Głowy ptaków nurzały się w wodzie po obu stronach łódki.

¹⁾ Osiedla budowane przez ludzi pierwotnych na palach wśród jezior lub bagien.

Patrzył na ten miły obrazek długo geolog, a potem wzrok przeniósł na inne chaty. Całe otoczenie olśniewało go bogactwem i wyrazistością szczegółów. Cały nawał przedmiotów, których mizerne szczątki oglądamy w muzeach, zaledwie domyślając się ich znaczenia, cisnął mu się do oczu. Patrzył profesor na ludzkość z epoki kamienia. Nieświadoma jeszcze manowców, po których dążyć miała, była ona dopiero pączkiem dzisiejszej ludzkości, ale w tym pączku tkwiło już wszystko, co kiedyś miało być.

Podziwiał ogrom pracy i znoju utopiony w każdym pnium wbitym w dno jeziora, w każdym sprzęcie prostym, a jednak pracowitym i droższym od naszych zbytkownych mebli, patrzył na wątle chaty i mosty z żerdzi i zaraz stanęła mu w myśli bogata Wenecja, także zbudowana na lagunach i obwarowana falami morza.

Z tej niemej kontemplacji wyrwało geologa nagle wstrząśnienie czołna. Lord Puckins wskoczył w koryto wzburzony i w samo ucho profesora rzucił okrzyk:

— Zbrodniarze! łotry!

— Co się stało? — zagadnął profesor.

— Pozabijam, a nie dopuszczę do tego!

— O cóż ci chodzi?

— Objaśnię cię po drodze, a teraz do wiosła! — krzyknął Puckins.

— Hola! nie rozumiem, co chcesz czynić?

— Nie ma czasu do stracenia! tu chodzi o życie ludzkie...

— Powoli! jeśli odbijemy, zobaczą nas zaraz...

— A więc słuchaj! — zawołał Anglik i wyciągnął rękę w kierunku wioski.

Od wsi dolatywał przytłumiony gwar, a nad nim od czasu do czasu panował podniesiony, silny krzyk męski niby komenda, na dźwięk której milkły na parę sekund zmieszane głosy, słysząc zaś było stuk siekier i młotów, uderzających w drzewo.

— Słyszę, lecz nic nie widzę — szepnął po chwili profesor.

— Ja widziałem, to dosyć! W tej chwili niewinne życie ludzkie wisi na włosku. Nie możemy dopuścić do nędznego morderstwa. Musimy ją uratować.

— Ach! więc to o jakąś piękność chodzi?

— O niewinność !...

— Uciśnioną? I cóż my poradzić możemy? Jak tylko się stąd wychylimy, sami będziemy zgubieni...

— Więc wyjdź z łódki, zostań, a ty Stanisławie odbijaj. Budują chatę nową i kończą ceremonią wbijania pali.

Teraz i geolog zrozumiał wszystko.

W dawnych czasach pal taki stawał zawsze na ciele ludzkiej ofiary. Musiał być koniecznie krwią ludzką zbryzgany. Bez takiej ofiary duchy ziemne szkodziłyby mieszkańcom. Przebłagane stają się dopiero opiekunami domu w każdej przygodzie. Wiara ta była panująca w przedhistorycznych czasach. Przetrwiała ona zresztą tysiącolecia, a u licznych ludów dochowała się do ostatnich czasów w pierwotnej srogiej formie. U większości złagodzona ją pod wpływem uczuć ludzkości. Jeszcze w roku 1843, gdy wznoszono most w Halli, lud niemiecki utrzymywał, że trzeba wmurować dziecko w podwaliny, aby most był trwały.

Dla uczynienia zamku Liebenstein w Turynгии niezdołym kupiono dziecko od matki i zamurowano je żywcem. Raz runął mur wznoszony w Kopenhadze — poradzono, aby poświęcić dziecko. Posadzono dziewczynkę, otoczono ją jadłem i zabawkami, a gdy się bawiła, dwunastu mularzy wzniosło nad nią sklepienie. Potem, przy dźwiękach muzyki, postawiono mur na sklepieniu. Most budowany w Arta we Włoszech zawalał się ciągle, póki żywcem nie zamurowano żony starszego murarza.

Niegdyś przy budowie fortecy Scutari „wile“ nocami niszczyły to, co murarze w dzień wzniesli. Trzeba było przebłagać duchy ofiarą ludzką. Przeznaczono na ten cel pierwszą z trzech kobiet, mających przynieść pożywienie dla robotników. Pierwszą, która przyszła, zamurowano żywcem. Uprosiła sobie tylko, aby jej zostawiono otwór, przez który by mogła karmić niemowlę swoje. Przynoszono je sumiennie przez rok do matki ¹⁾, póki nie odchowala, po czym zamurowano otwór.

Takich wspomnień tysiące znają antropologowie i historycy. Obrzęd ten zachował się zresztą aż do naszych czasów w Afryce, Azji i Polinezji przy budowie mostów, bram miasta, większych

¹⁾ Taylor E., Cywilizacja pierwotna I, 98.

budowli, przy zakładaniu wiosek, a nawet pojedynczych domów. Tu i ówdzie zastąpiono z czasem ludzkie ofiary zwierzętami. Grzebano np. żywego konia, jagnię, psa, kota lub koguta czarnego.

W Niemczech zamurowywano pustą trumnę, później składano jakieś inne niekrwawe ofiary, jak pieniądze lub kosztowniejsze przedmioty. I dziś nawet pod węgiel domu niemal wszędzie zakłada się monety — choć nikt z zakładających nie wie już, dlaczego to czyni. „Dobrze jest“ — mówią, albo: „tak od dawna jest w zwyczaju“, ale „nie za nas to powstało — i nie za nas zginie“. O genezę obrzędu się nie troszczą. Ileż to murów do dziś stojących kryje zwłoki przymusowych, a nawet dobrowolnych ofiar. W Japonii jeszcze w XVII wieku zawsze znajdował się jakiś nieszczęśliwy, który poświęcał się dobrowolnie. Kładł się do rowu, aby być zmiażdżonym przez ciężkie kamienie.

Niekiedy każdy pal stawał na ciele przestępcy lub jeńca, a ich duchy błędząc strzegły budowli.

Wszystkie te wspomnienia w jednym mgnieniu oka przewinęły się przez umysł profesora.

— Okropność! — szepnął i sam się wziął do wiosła.

Zaledwie odbili o sto kroków od brzegu, cała wioska, zbudowana amfiteatralnie na pochyłości brzegu, a w części na wodzie, zarysowała się jak na dłoni przed oczyma podróżnych.

Większość chat w długim szeregu stała na lądzie w odległości kilkudziesięciu kroków od jeziora. W jednej części wioski zebrał się gwarny tłum wieśniaków. W postawach i gestach widać było oczekiwanie i nastrój uroczysty.

Ponad głowami tłumy wystawały dwa wysokie pale, wbite w odległości dziesięciu kroków jeden od drugiego.

Połączone były sznurem, na którym w pośrodku wisiał inny kłoc drzewa, grubszy znacznie. Dolny koniec, czarny od opalenia, był przy pomocy ognia zastrzony. Rozpoczynano budowę nowej chaty.

Na sznurze wisiał pierwszy pal, zapewne narożny, który miał być niebawem wpuszczony w ziemię.

Stanisław wiosłował zręcznie i z każdą chwilą wyraźniej rysowała się wioska, tłum ludzi, i nawet można było rozróżnić już

twarze. Wieśniacy zajęci ceremonią nie zwracali uwagi na zbliżającą się łódkę. Już tylko kilka sekund dzieliło naszą trójkę od brzegu. Niczyjej uwagi nie zwróciła. Wzięto ją za swojaków śpieszących, aby się połączyć z tłumem.

— Okropność — powtórzył Przedpotopowicz i mimo woli począł wzrokiem szukać ofiary.

Nie trudno ją było odnaleźć. W pewnym oddaleniu od gwarnej gromady ujrzał dziewczynę wspartą na ramieniu młodziana. Ocierała ona łzy dłonią i wyrzekała głośno. Rosły młodzian bez ruchu wpatrzony był w ziemię. Brwi tylko zsunięte, wyraz twarzy ponury i pięści zaciśnięte świadczyły o bólu, który targał mu serce. Druga dłoń kurczowo ścisnęła trzon ciężkiego, granitowego młota.

Nad gwarem gromady i stukiem młotów drewnianych górował po dawnemu silny głos. Kilku ludzi znosiło żwawo na plac cienkie kłody, ogołocone z gałęzi.

Koryto przybiło do brzegu w samym środku wioski.

— Cóż zamierzasz? — zapytał profesor głucho.

— Nie wiem! O, gdybym miał broń palną! Przeraziłbym gromadę i ocaliłbym ofiarę.

— Na jej miejscu dałaby głowę jutro inna — zakończył geolog. — Czy to czasem nie donkiszoteria, milordzie?

— Nie! to obowiązek... Idziesz za mną?

— Szaleństwo.

— Być może, cofnąć się już za późno — powiedział i wyskoczył z łódki kierując się wprost na tłum.

Przedpotopowicz ręce załamał. Stał chwilę w łodzi walcząc z sobą, wreszcie ruszył za Anglikiem. Za sobą usłyszał głos Stanisława.

— I ja z panami!

Nagle gwar ucichł. Wieśniacy dostrzegli przybyszów i poznali obce twarze. Lord Puckins przyskoczył żywo do dziewczyny i położył jej dłoń na głowie. Drugą ręką wskazał na pal i wymownymi gestami dawał do zrozumienia, że powinni zaniechać swego zamiaru. Chwila zdumienia — potem zapanało ożywienie wśród gromadki. Ruchy stały się groźne i kilku mężczyzn rzuciło się na lorda. Przyskoczył mu z pomocą Stanisław, ale obu powalono i skrępowano sznurami. Ten sam

los spotkał w mgnieniu oka profesora. Wciekłość czy też dzika radość opanowała mieszkańców wioski.

Przyskakiwali oni kolejno do jeńców, leżących na ziemi, pluli im w twarz i groźnymi wywijali toporami.

Wreszcie na komendę starszego odstąpiono od jeńców, a jeden, barczysty chłop, zarzucił lorda Puckinsa na plecy i lekkim krokiem zaniósł go pod fundament.

Wrócili następnie po Stanisława i wraz z geologiem odnieśli go na plac budowy, gdzie w siedzącej pozycji porzucono ich o kilkadziesiąt kroków od złożonego w dole lorda Puckinsa.

Przy akompaniamencie okrzyków radości widział i musiał widzieć profesor, jak dziewczyna wraz z towarzyszem swoim padła do nóg starcowi, który jej obwieścił wolność i życie — jak potem pochwycił ją uradowany młodzian na ręce i uniósł pośpiesznie ze straszego miejsca, wreszcie jak ten sam starzec krótką wygłosił do ludu przemowę. Milczenie panowało w czasie jego słów, potem dopiero zabrzmiały i zajęczały bębny, sporządzone z wydłubanych pni drzewnych, rozpoczęły się dzikie skoki dokoła pala, pod którym leżał skępowany Anglik. Wreszcie zgiełk ucichł. Dwóch rosnących chłopów zajęło się przecinaniem sznurów, które podtrzymywały ciężką belkę. W tej strasznej chwili geolog usłyszał dźwięk mowy angielskiej, dobywający się z wykopanego pod pal dołu.

— Hej! towarzysze!

— Jesteśmy! — odkrzyknął profesor Przedpotopowicz.

— Wrzaski się uciszyły, słuchajcie umierającego. Nie mamy czasu do stracenia. Za chwilę zginę. Nie żał mi życia, żał mi tylko was, których popchnąłem do zguby. W obliczu śmierci błagam o przebaczenie. Nie przeklinajcie mię!

— Jesteś niewinny! — krzyknął Przedpotopowicz.

— Dzięki wam, szlachetni ludzie! Niech Bóg ma was w swojej opiece. Mam do ciebie, drogi profesorze, ostatnią prośbę. Jeślibyście nie zginęli, proszę za powrotem zawiadomić klub mój, że ich prezes do ostatniego tchnienia z stał niedościgniony. Jak daleko do naszych czasów?

— Sześć tysięcy lat pewno.

— Otóż zaświadczyć, że dokonałem tego, czego żaden człowiek nie dokona nigdy. Żem umarł z honorem, w obronie

kobiety, na 5950 lat przed własnym urodzeniem. Skończyłem ! Niech żyje Wielka Brytania ! Niech żyje obowiązek i honor ! Niech Bóg was ratuje !

W tej chwili zatrzeszczały sznury podtrzymujące pal i niby dwa węże podskoczyły w górę. Jednocześnie zabrzmiał głuchy łoskot opadłej ciężko kłody. Ofiara się spełniła. Gdy jedni zajęli się zasypywaniem dołu i ubijaniem ziemi, dwóch „dzikich“ zbliżyło się do geologa. Zbadali, czy więzy nie dadzą się zerwać. Wreszcie robotnicy i starszyzna odeszli, a za nią rozproszył się tłum gwarny.

Stanisław szlochał cicho. Geolog zapadł z nadmiaru wrażeń w odrętwienie. Zwolna nerwy się ukołysały — i z dziwną obojętnością myślał o czekającej go niewątpliwie kaźni. Słońce piekło ogniście, głód i pragnienie odzywały się z mocą żywiołową, ale nikt z mieszkańców wioski nie troszczył się o potrzeby jeńców. Wioska przybrała prędko zwykły swój wygląd. Przedpotopowicz patrzył teraz szklanym, zobojętniałym wzrokiem na to, co by go dawniej żywo zajmowało. W samym środku wioski przedhistorycznej widział szeregi dusznych chruścianek, prototyp domostw wszystkich czasów i stylów. Widział skałę i drzewo święte na wzgórzu, a w pobliżu zaledwie z gruba ociosanego bałwana z drzewa, kielki majestatycznych świątyń i arcydzieł dłuta. Widział garncarza, którego następcami będą chińscy, etruscy, i greccy pracownicy, jak również rzemieślnicy w Sèvre i Saksonii, patrzył jak ten artysta pełen bezwiednego natchnienia i powagi zdobił swe wazy dziecinną dla nas ornamentacją, złożoną z kresek, kółek i linii falistych.

Widział starca cierpliwie sporządzającego gładkie szydła oraz igły z kości ptasich i przypomniał sobie kilkotysięczny tłum robotników, uczerniony węglem i żelazem, wysypujący się z fabryki maszyn do szycia. Widział półnagiego herkulesowej postaci siwego brodacza, jak mozolił się, może już drugi tydzień, nad polerowaniem jednej krzemiennej siekiery na szorstkim kwarcycie i pomimo woli spoza kruchego jego oręża wyjrzały w perspektywie błyszczące działa stalowe, druzgocące ciężkimi kulami grube mury z milowej odległości... Widział na piersiach mężczyzn i kobiet gliniane i bursztynowe naszyj-

niki, noszone z tą samą próżnością, z jaką później będą obnoszone brylanty, perły i „bezcenne“ kamee.

Dostrzegł nawet pożądlive spojżenia, rzucane na te klejnoty, i poznał, że mimo całej ich bezwartościowości — niejedno już życie podstępnie za nie wydarte zostało.

Smutek ogarnął go głęboki. Zrozumiał, że patrzy już na świtanie ery, w której się urodził. Wszystko to samo, tylko w zawiązku i mniej wyrafinowane. Zrozumiał zarazem, że to już zachód świata, który mimo elementarnych kataklizmów niewzruszony przetrwał lat miliony.

Tłum czworonogi, długo niespożyty, długo chluba i korona ziemi, śpieszy już w przepaść grobu. Legnie wkrótce w zapomnieniu, zasłonięty chwałą najmłodszej latorośli ziemskiej wątłej ciałem istoty, której w jej pierwocinach żaden zwierz się nie lękał...

.....

Jakże daleko pozostały za człowiekiem te silne w zębach i pazurach istoty! Przez miliony lat wszechwładne króle puszczy. I za sześć tysięcy lat zostaną tym samym, czym były przed sześćdziesięciu tysiącami.

Człowiek tylko jeden wciąż zmienia broń i dąży naprzód. Walczy i zwycięża.

Człowiek jeden prócz zwykłego głodu i pragnienia doznaje już innych głodów i pragnień, a te srogie i słodkie zarazem pożądanja otwierają mu coraz szerzej wrota świata nieznanego. Przeszedł on te wrota, wchłonął w siebie nową atmosferę i stała się ona potrzebą jego organizmu. Już jego głodu nie ukoi mineralny pokarm, dobry dla cedrów i dębów, ani organiczny, dostateczny dla wszystkich zwierzęcych mieszkańców ziemi. Jak tygrys dyszy do krwi cieplej, tak człowiek instynktownie koi nowe żądze w tysiącnych odkryciach, wynalazkach, poglądach, na przemian błędnych, to prawdziwych, a nie spocznie, póki się nie wypełni rola jego na ziemi.

Niedługo już porzuci krzemień, który mu służył wiernie przez setki wieków i z rudy pocznie wyprażać błyszczącą miedź oraz żelazo. Odtąd miecze, strzały i noże będą lepiej krajać, mniej się szczyrbić, a łatwiej naprawiać. Za sprawą kruszców

i błyskotki będą coraz piękniejsze, sprzęty i narzędzia doskonalsze, domy wygodniejsze. Z nimi z wolna wstąpi nieznanym gości, *zbytek*, pod dach człowieka, a także nierówność w uposażeniu jednostek, rodzin i szczepów.

Już tylko chwilę trzymać się będzie ta nieświadoma swej wielkości murawa ludzka w stanie zielonym. Za kilkanaście wieków zakwitną pierwsze jej łany kwieciami, które zwiemy „wyższą cywilizacją“. A wtedy nowe kontrasty się zjawiają. Wtedy przepaść między człowiekiem a człowiekiem pogłębiać się zacznie do stopnia nieprzeczuwanego dawniej.

Niejeden jeszcze szczep zejdzie z właściwej drogi, popadnie w zastój, a nawet upadek. Wróci, skąd wyszedł. Niejeden ciemny sąsiad wyprzedzi go w cywilizacji. Mimo wszystkie jednak kroki wstecz i upadki — ogół ludzkości nie cofnie się już do stanu dawnego, tak samo jak kwiat nie może przyjąć stanu pączka, z którego raz się już rozwinął. Może zwiędnąć i nie wydać owocu, ale pączkiem nie zostanie!

Niwa Egiptu jedna z najpierwszych dojrzeje i zabłyśnie swym kwiatem. Za nią pójdą kolejno coraz inne zakątki ziemi.

* * *

Noc zapadła straszna dla jeńców, pewnych, że z nadejściem dnia — skończą, jak skończył biedny lord Puckins.

Nagle stało się coś niezwykłego. W uśpionej wiosce wszczął się hałas, bieganina, ostre krzyki przedarły powietrze — a na samym końcu zajaśniała czerwona łuna. Nie upłynęło pięć minut, pożar ogarnął drugą i trzecią chatę. Zgiełk doszedł do potęgi. Nieludzkie wrzaski krzyżowały się w powietrzu.

W tej samej chwili jakaś ciemna postać na jasnym tle pożaru wyrosła w pobliżu geologa. Zbliżał się ku niemu szybkim krokiem wysoki mężczyzna. Pochylił się nad geologiem — dotknął przyjaźnie ramienia i począł zręcznie rozwiązywać sznury, wpijające się w ciało profesora.

Teraz w blasku pożogi poznał geolog młodziana, któremu lord uratował dziewczynę. Mówił coś wdzięczny syn natury, bełkotał przerażony wskazując na płomienie, ale geolog niewiele z tego rozumiał. Uczuł się tylko wolny wraz ze Stanisławem.

Dziki młodzian wcisnął mu w dłoń własną siekierę, a łuk ze strzałami Stanisławowi i gestami nakazał śpieszną ucieczkę. Za chwilę znikł jak cień śpiesząc do pożaru. Geolog ze Stanisławem znaleźli się znowu sami, wolni, uzbrojeni i zdumieni wszystkim, co zaszło.

Stanisław pierwszy zorientował się w położeniu.

— Panie! tam bitwa! — zawołał wskazując na moczające się cienie i na postacie walczące w jaskrawym oświetleniu łuny.

W samej rzeczy. W cichej przed chwilą wiosce wrzał bój niespodziany. Na jeziorze poruszały się niespokojnie łódki — geolog widział wyciągnięte do ciosu ramiona i czające się z napiętym łukiem dzikie postacie.

— To napad niespodziewany na wioskę — zakończył.

— Kara Boża za śmierć szlachetnego Puckinsa — dodał ponuro Stanisław.

XXVIII.

JEDNOSTKI OBEJMUJĄ WŁADZĘ NAD RODEM.

Odtąd nastają dziwne rzeczy na ziemi.

Nie trzeba już mijać tysięcy wieków, aby spostrzec ważne zmiany na lądach. O morzach nie ma co i wspominać. Ta kulebka życia spełniła dawno swoją rolę i odtąd trzyma w zastoju świat swój żyjący.

Człowiek tylko, niedawno identyczny niemal z otoczeniem swoim, wystrzelił bujną łodygą i zaćmił wszystko dokoła.

Niedawno nie miał pojęcia o rachowaniu lub mierzeniu, wkrótce począł używać już w tym celu własnych członków¹⁾, niebawem stworzy matematykę, fizykę, astronomię i chemię z ich cudami. Niedawno zaledwie z trudem umiał myśl swoją przekazać ustnie słuchaczowi, wkrótce pocznie przysyłać ją

¹⁾ W naszej mowie przetrwało wiele określeń pochodzących z podobnego okresu kultury, więc palec, stopa, łokieć, siąg dłoni („piędz”), siąg rąk (siąg, sążeń), krok, garść, szczypta, naręcze itp. (Przyp. autora).

zamkniętą w milczącym wiorze lub papirusie; a niebawem zaprzęże do utrwalania swej myśli martwe maszyny, światło słoneczne, elektryczność — i rozsyłać będzie o tysiące mil, od razu w cztery strony świata. Niedawno drżał przed każdym większym zwierzem, a wkrótce dosiądzie konia, uwięzi bawoły i każe psu wiernie służyć. Niedługo później zaprzęże do swego wozu parę wodną i moc piorunów.

Cały świat mijający trwa jeszcze dokoła tej istoty, wierny aż do otatniego tchnienia swym obyczajom i jednolitemu zakresowi pojęć. Orzeł tak samo buduje tu gniazda, jak będzie budował za rzymskich cesarów i w wieku XX. Każdy zwierz tymi samymi chodzi ścieżkami, jakimi chodzić będą jego ostatni potomkowie. Tylko człowiek, w początkach swych jednolity, zwolna rozsypuje się w tłum coraz mniej podobnych do siebie odmian duchowych. Śmiało rzec można, że w tym fizycznie jednolitym gatunku powtórzy się wszystko, czym wyposażona była cała fauna, z dodatkiem jeszcze zgoła nieznanych tamtej uzdolnień.

Toteż zdumienie, a nawet lęk jakiś porywa myśliciela, który ma odwagę zajrzeć w oczy *tej zagadce, jaką stanowi człowiek*, który ma odwagę zmierzyć przepaść, jaką wykopał bardzo krótki okres geologiczny między światem mijającym, a światem uspołecznionego człowieka.

Jak ziemia ziemią nie było przykładu, aby jeden lew był drugiego sługą, aby tysiąc lwów pęzało w prochu przed jednym lwem i dało się spokojnie rozszarpywać. Nie oglądało słońce na ziemi, aby jeden niedźwiedź był sto razy mędrszy od drugiego, jedna wiewiórka tysiąc razy bogatsza od drugiej, aby jedna antylopa nosiła serce tygrysa, druga chytrość lisa, trzecia szlachetność i mądrość słonia. Nic podobnego ziemia nie widziała. Pojawił się dopiero człowiek i wnet zjednoczy wszystkie te sprzeczności i dziwy.

Przy tym to, co człowiek czyni, tak jest z każdym tysiącem lat inne, iż rzekłbyś, że działa nie ta sama istota...

Różnaitość uzdolnień i dążeń osobników jednego gatunku wytworzyła większą nierówność wśród jednostek tego rodu, aniżeli była w całym świecie zwierząt. rozważanych jako jedna wielka całość.

Jeden gatunek przybył ziemi, ale starczył za tysiące.

Odkąd kronikarz ziemi nie ma już co pisać o zwierzętach, dzieje ich błędą i chowają się w cień wobec człowieczej historii.

Ród ludzki czynami swymi wypełnia i znaczy historię ziemi. Żyją sobie jeszcze lwy, antylopy, hipopotamy, krokodyle i grzechotniki w swych kniejach i bagnach, spełniają czyny zgodne z naturą swoją; nic w nich nie ma niespodzianego ani nowego. Żyją, jak żył długi szereg ich przodków przed milionami lat.

Człowiek jest teraz cudem i koroną ziemi!

Zasłonił sobą świat cały, jaki przed nim napelniał ziemię, i zepchnął go do nóg swoich. Prześcignął wszystko, co dotąd było. Podniósł do potęgi dodatnie i ujemne strony natury ziemskiej. Co więcej! Jakby mu za ciasno było, począł jedno po drugim tępić współmieszkańców — a skończy zapewne dzieło zagłady dopiero, gdy nie stanie rywali...

On jest panem ziemi. Zaprzągnął do swej służby cały szereg drzemiących dotąd sił przyrody i czyni wszystko, do czego ma siły, a sił i pragnień zdradza więcej niż cały świat poprzedzający, więcej niż sam nawet przewidzieć zdoła!...

.....
Gdybyż *chciał* być tak dobry, jak został potężny i mądry!...

.....
Już teraz gdyby Przedpotopowicz mógł spojrzeć nad brzegi Nilu wtedy ujrzałby w tej wąskiej i żyznej dolinie, otoczonej pustyniami i nagimi skałami Mokkatamu, kwitnące od piętnastu wieków państwo egipskie. Już piramida Chufu świadczyła od sześciu wieków o potędze i dumie jednostki, która kolejno władała milionem innych jednostek. Już faraonowie 9, 10, i 11 dynastii wybudowali w górnym Egipcie miasto wspanialsze od *Memfisu* ¹⁾, już ów gród olbrzymi, zwany *Teby* ²⁾, na nowe półtora tysiąca lat stał się siedzibą bogów i królów. Pośród licznych świątyń królowała tam świątynia Ammona w *Karnaku* z największą salą w świecie ³⁾. Już stary był Egipt, skoro nawet bogi dawnych faraonów ustąpiły miejsca nowym, skoro na gruzach świątyń wszechmocnego niegdyś *Ptaha*, upostaciowanego w chrząszczu ⁴⁾,

¹⁾ Men-ofer.

²⁾ Czyli Tape.

³⁾ Strop jej podtrzymywała z górą setka majestatycznych kolumn.

⁴⁾ A także syna jego, *Ra*.

porastało zielsko, a za to świetny Ammon i Ozyrys w postaci wołu odbierały cześć boską. Nawet pomniki budownictwa różniły się od dawniejszych. Wznoszenie piramid przestawało zadowalać faraonów.

Toteż geolog nie mógł wyjść ze zdumienia oglądając niby z lotu ptaka ogromny zbiornik *Meri*, przeznaczony dla wezbranych wód Nilu ¹⁾. Nowożytni jeszcze inżynierowie podziwiają genialny pomysł tego sztucznego jeziora, które nie tylko zapobiegało klęskom powodzi — ale w czasie suszy służyło do zraszania olbrzymich obszarów uprawnego gruntu.

Niedaleko zbiornika *Meri* stał pałac, wzniesiony i zamieszkiwany przez następnego faraona, a po śmierci zamieniony na grób jego i świątynię. Istnym cudem świata był ten pałac, liczący 1600 komnat na górze i tyleż na dole.

.
I czymże będą dzieła inżynierów nowożytnych wobec tych śmiałych arcydzieł wzniesionych w czasach, w których nie znano machin i dźwigni nowożytnych, gdy nie znano tego wszystkiego, z czego się chełpi wiek XX, gdy kolosalne głazy trzeba było wciągać w górę siłą mięśni ludzkich?

Czymże, jeśli nie igraszką dziecinną wobec tego bezmiaru wysiłków i znoju, była praca przy stawianiu wiązań żelaznych Eiffla, które rdza strawi najdalej za kilka wieków?

Działo się to zaś w tym samym czasie, gdy sławne później narody, jak starożytni Persowie, Grecy, i Rzymianie, pozostawały jeszcze w stanie pierwotnej surowości, gdy na całej ziemi, w Europie nawet, albo rozciągały się bezludne puszcze, albo trwała epoka kamienia gładzonego; gdy po niedostępnych borach i stepach, tam, gdzie staną później Rzym, Paryż, Wiedeń i Warszawa, nieliczne gromadki dzikich myśliwców walczyły o prawo życia ze srogimi zwierzętami i jeszcze sroższymi żywiołami.

Byłaby może i tu ludzkość wiodła długo jeszcze żywot pierwotny, gdyby nie przyszła z nieznanych obszarów Azji zaborcza a wyżej rozwinięta garstka Chamitów. Z łatwością wzięła ona przewagę nad ciemnym i łagodnym ludem i zaprzęgała go w jarzmo ciężkiej pracy, owoce takowej obracając na swój pożytek. Na-

¹⁾ Wykopany na rozkaz Amenemhe III z 12 dynastii. (Przyp. autora).

czelna kasta despotycznych przybyszów zawładnęła żyzną i zdrową krainą.

I wyrzeliła na tym gruncie, niby smukła palma, dziwna cywilizacja.

Wysoka i piękna, a jednak szczupła, bo zazdrośnie przed tłumem strzeżona, opromieniała nieliczną zaledwie garstkę kasty uprzywilejowanej.

Niedoskonała ona jeszcze była, a jednak w niektórych objawach potężna, skoro szczątki jej budzą cześć i podziw w nowożytnych mędrkach ziemi....

A resztki te nie kończą się bynajmniej na rzeźbach i piramidach, na obeliskach ani na sfinksie. Większy jeszcze podziw i zaduma porywa człowieka, gdy odtworzy sobie w wyobraźni tysiące dobrodziejstw cywilizacji, z których ówczesna ludzkość już wtedy korzystała, gdy wsłucha się w słowa mądrości „wyrysowane“ na starych papirusach i grobowcach.

Czy to nie ułuda, aby już dostojnik z czasów króla Assa, starzec Ptahhotep¹⁾, mógł nauczać tych samych zasad, jakie będą wpajać mędrcom bogatsi od niego o całe 5 tysięcy lat doświadczenia?!

„Nie pysznij się w sercu z mądrości swej!“ — woła Ptahhotep. — „Chociażes mądry, nie sądz, byś mógł czynić coś tak wielkiego, o czym by pamiętały czasy następne. Wiedz, że wszystko jest zmienne!“ albo „Nauka niech będzie majątkiem twoim. Gdy na cię przyjdzie bieda, zasługa twoja więcej będzie znaczyć aniżeli stosunki twoje z bogatymi. Ona będzie większa od ich wspańiałość.“. „Nie gardź prostaczkiem, albowiem przybytek mądrości dla nikogo nie jest zamknięty“.

A jednak to prawda! To na papirusie napisał Ptahhotep przed pięcioma tysiącami lat.

Czyż ten papirus nie wspanialszy jest od świątyni w Karnaku?

Zaprawdę! Jeśli piramidy, świątynie, groby z ich niezliczonymi napisami i malowidłami zdradzają wielki rozkwit sztuk i nauk w Egipcie, to z papirusu tego bije taka dojrzałość ducha i taki majestat mądrości, że chce się dziś wykrzyknąć do rodu ludzkiego:

— Zółwiu! Po pięciu tysiącach lat wędrówki tyś tutaj dopiero?!

¹⁾ Król Assa należał do 3 dynastii z r. 3800 przed Chr.

XXIX.

TRZY TYSIĄCE LAT TEMU. — TUKLAT-PAL-ASAR, PAN CZTERECH STRON ŚWIATA.

Gorączkowym ruchem wrzał Elassar¹⁾, gdy profesor Przedpotopowicz, zamieszany w pieszym i konnym tłumie, wygodną bitą drogą wstępował w jego bramy. Tłum nie zwracał nań żadnej uwagi, więc przeszedł sklepioną bramę miasta i porwany burzliwą ludzką falą mijał mnóstwo jednopiętrowych domów o drzwiach wysokich, o jednym najwyżej oknie w jednostajnej gładkiej ścianie frontowej. Zamiast dachów wszędzie prawie widniały tarasy.

Po drodze miał sposobność zauważyć, że mężczyźni prawie wszyscy nosili w uszach złote lub srebrne kółka; ręce nawet odwiecznym zwyczajem zdobili w bransolety. Nieliczne na ulicach kobiety nosiły ubiór zupełnie ukrywający kształty ciała.

Zapúścił się w głąb ludnego miasta. Znalazł się wreszcie za długim wałem, gdy ujrzał wysoki dom, zbudowany z cegły. Dwa wysmukłe na wieżach maszty z chorągwiemi z daleka już znaminowały pałac.

¹⁾ Wielki gród asyryjski.

Niebawem Przedpotopowicz ujrzał się u głównego wejścia do pałacu, gdzie skrzydlate byki trzymały straż u podstawy dwóch wież, wznoszących się po obu stronach wejścia. Ściany zdobiły liczne płaskorzeźby i rysunki. Klinowe napisy, towarzyszące scenom przedstawiającym zwycięstwa wojenne, świadczyły o niemałym postępie w sztuce utrwalania myśli ludzkiej dla potomnych. One to upewniły profesora, że znajduje się w państwie ludu boga Asura. Panował tu dziewiętnasty z rzędu król, okrutny Tuklat-Pal-Asar, wsławiony wielkimi i szczęśliwymi podbojami.

Przywykł i nie dziwił się już niczemu – dał się unieść tłumowi i po stromych, wąskich schodach wstąpił na taras pałacowy.

Setki niewolników, kobiet, dzieci i wolnych mężczyzn biegło, śpieszyło się i potraçało na ulicach i kwadratowym dziedzińcu pałacowym. Lud ogorzały, szorstki, o ponurym, a nawet dzikim wejrzeniu niby rój pszczoł huczał w oczekiwaniu jakiegoś radośnego widowiska. W istocie, zwycięskie wojska powracały z Syrii z bogatymi łupami i mnóstwem jeńców. Chociaż zwycięstwo nie było tu rzadkością, zawsze jednak gorączkowało tłumy. Paleontolog bezwiednie usiadł na szerokiej balustradzie i zadumał się głęboko. A więc znajdował się w górzystej krainie Azji zachodniej, zwanej przez Greków Mezopotamią.

Mrokiem tajemnic pokryta dotąd pierwotna historia Mezopotamii ukrywa tragiczne losy nieznanego z nazwiska cywilizowanego ludu, który poprzedził właściwych Chaldejczyków, uważanych długo za twórców jej cywilizacji i tych miast wspinałych, jakimi przez liczne wieki władali. A jednak ów dumny lud semicki nie był twórcą tej cywilizacji.

Jeszcze Asyryjczycy, nieznani w dziejach świata, wiedli w swych niedostępnych, jałowych górach nędzny, półdziki żywot, gdy żyzną Mezopotamię zamieszkiwała od kilkunastu wieków cywilizowana społeczność, niemal tak starożytna jak Egipt. Kraj ten posiadał dobrobyt, gęstą ludność i jedyne wówczas w świecie co do bogactwa wielkie miasta, jak: Elassar, Sippara, Larsam i Bab-ilu.

W mieście Ur wznosiła się wspaniała, najdawniejsza świątynia księżycy. Kolosalna była, skoro po kilku tysiącach lat leży jeszcze po niej 30 milionów cegieł, pokrytych klinowymi napisami.

Koczownicze, półdzikie plemię opanowało spokojny ten naród turański i prędko zagarnęło jego dorobek na swoją własność. Zaborcze plemię przyszło do gotowego. Przyjęło skwapliwie od Akkadów wyższą cywilizację, bo im było z nią wygodniej, a narzuciło im wzamian twardą przemoc. Prawy właściciel mimo wyższości, a może właśnie dlatego, upadł pod strasznym uciskiem, pod chłostą okrucieństw i bezprawii, za które najprzód nie chciał, a potem nie mógł już równą płacić monetą, aż wreszcie nie stało go zupełnie. O całej jego głuchej, kilkunastowiekowej, uporczywej walce nawet pamięć zagięła w morzu czasu, który wszystko zaciera.

I kwitnący Sumir z biegiem czasu pomimo wielkiego dobrobytu upadł, a wspaniałe grody jego, nie ustępujące pod względem znaczenia nowożytnym stolicom, utraciły swą świetność.

Wzniosło się bowiem niespodzianie w północnej części Mezopotamii zaborcze i dzikie państwo ludu *boga Asura*, zwane asyryjskim, i stało się ogniskiem życia dziejowego oraz najpotężniejszym państwem owych czasów.

Tuklat-Pal-Asar był w całej pełni świadom swej potęgi, skoro sam tytułował się potężnym królem czterech stron świata, królem nad wszystkimi królami, panem nad panami, ojcem najszanowniejszym, pasterzem prawdziwym, sędzią najwyższym, olbrzymem w bitwach, któremu Asur obiecał zwycięstwo i panowanie nad całym światem !

W istocie ! panowanie jego było nieprzerwanym szeregiem wojen zwycięskich.

Splądrował kilkadziesiąt państwek Azji środkowej. Spustoszył kraje: Charię, Saranit, Ammanit, Chety, Muszkajów i Akharu, słowem — całe sąsiedztwo, poczynawszy od Armenii, brzegów Morza Kaspijskiego oraz Czarnego aż do Syrii i Morza Śródziemnego. Jego ciężkie wozy na kołach miedzianych, niby ruchome twierdze, przechodziły z równą łatwością przez dzikie wąwozy, jak przez gęste puszcze leśne. Przez rzeki budował na prędce mosty albo przeprawiał się na wydętych skórach bawolich, zwyciężał po kilkudziesięciu władców za jednym pochodem. Wszędzie, gdzie stąpnął nogą zwycięzcy, niszczył ogniem i mieczem wsie oraz miasta i całe kraje pokrywał gruzami. Okrucieństwa przychodziły mu z łatwością, bo leżały w tradycjach ludu i dy-

nastii. Królowie asyryjscy nie odznacжали się nigdy łagodnością. Wojen nie unikali, owszem wszczynali je chętnie, one to bowiem głównie ich wzbogacały. Łupiestwo doprowadzili do ostatecznych granic. Żaden naród nie miał prawa opierać im się ani prowadzić z nimi wojny. Sąsiadów, którzy stawiali im opór, uważali wprost za buntowników, dla których żadna kara nie może być zbyt surowa.

Więc też wysilali mózgi na okrucieństwa i trzeba im oddać sprawiedliwość, że doszli do doskonałości. Pomimo trzydziestu wieków wszechstronnego postępu ludzkość nie może się już zdobyć na nic więcej w tym względzie, krom... naśladownictwa.

Z marzeń i wspomnień o tym strasznym kraju, o dziekiej jego cywilizacji wyrwał profesora zgiełk wielki, dochodzący od strony wjazdu. Pociągnięty na przeciwległą stronę tarasu ujrzał długi orszak ciągnący do bram pałacu. Na czele toczyło się kilkadziesiąt wozów wojennych, zaprzężonych w trzy konie. Na każdym siedziało trzech ludzi: woźnica, butny żołnierz w hełmie oraz w pancerzu i giermek z okrągłą tarczą.

Za woźnicami maszerowali w paradnym szyku wytrwali kopijnicy i łucznicy. Dalej toczyły się opylone wozy z bogatymi łupami i tłumy jeńców. Za jedną grupą jeńców maszerowały inne oddziały łuczników lub żołnierzy, uzbrojonych w długie kopie. Dalej szły wielkie wielbłądy jednogarbne, objuczone sztabami brązu, cyny, srebra, żelaza, a nawet złota, potem stada wychudłych od długiego marszu wołów, kóz i owiec i znów żołnierze, wozy, jeńcy wojenni i niewolnicy, niosący pod grozą pałki kosztowne i ciężkie sprzęty. Całą masę pośledniejszych jeńców i łupu pozostawiono u bram miasta. Mieszkańcy Asuru szaleli z radości i wydawali okrzyki zapału na cześć wojsk zwycięskich i króla.

Tymczasem czoło orszaku już weszło na dziedziniec pałacowy, gdzie oczekiwał nań Tuklat-Pal-Asar.

Żołnierze i wodzowie ucałowali ziemię przed stopami króla i na znak dany pozajmowali wyznaczone sobie miejsca. Teraz występowali jeńcy. Odzież ich, podobna do łachmanów i grubą warstwą pyłu pokryta, świadczyła o długiej i męczącej drodze. W tej gromadzie mężczyzn, kobiet i dzieci można było znaleźć wszystkie stany ludu pokonane. Zgarnięto ich nie z pola bitwy z orężem w rękę, ale niespodzianie wyrwano bezbronnych

i nie opierających się ze zgłiszcz wiosek i miast zrabowanych i zrównanych z ziemią. W tym tłumie wynędzniałych i skatowanych postaci nie brakło nawet starców o mlecznych włosach i szlachetnych, zmarszczkami pooranych obliczach, którym nie sędzono było w pokoju dokonać dni pracowitego żywota.

Na znękanych obliczach malowała się nie rozpacz, ale poważnie obojętność i zupełna rezygnacja. Król królów, pan czterech stron świata, pasterz prawdziwy i ojciec najszanowniejszy skinął ręką i wydał rozkaz krótki.

Dla przypodobania się bogom polecił niedobitków odesłać przed świątynię Asura, aby tam konając w powolnych mękach i na wolnym ogniu odebrali zasłużoną nagrodę za opór.

Usunięto osądzonych.

Następny orszak obejmował starszyznę nieprzyjacielską z ich wybitnym wodzem na czele. Oblicza tych ludzi były zuchwale pomimo fizycznego bólu i wyczerpania. Prowadzono ich przez całą drogę niby niedźwiedzie, na sznurkach, przeciągniętych przez kwią broczące języki lub wargi. Wiedzieli oni zbyt dobrze, jak srogie czekają ich tortury; wzdychali tajemnie do bóstw o śmierć natychmiastową, ale gdy nie wysłuchane zostały ich modły, z zaciętością podnieśli czoła i stanęli hardo przed tym, który wydać miał na nich okrutny wyrok. Mówili mu wzrokiem zimnym i wzdardliwym, że nie zdoła wymyślić nic, czym ich by skruszył i zniewolił do błagania o litość. Nie omyliły ich przecucia. Ojciec najszanowniejszy obmyślił już dla nich odpowiednie przyjęcie. Zgodnie z tradycją raczył osobiście wziąć udział w wymiarze sprawiedliwości.

Kazał ich z początku stawiać przed sobą rzędem na klęczkach, a ujawszy w silną prawicę ostry dzi ryt brązowy i trzymając lewą ręką za sznur obezwładniający jeńca, po kolei wydłubywał każdemu oczy. Lubował się wraz ze swym ludem widokiem drgających z okrutnego bólu mięśni twarzy. Żadnym jednak jękiem nie dane mu było uradować serca swego. Spochmurniało też oblicze Pana. Znudzony odrzucił krwawe narzędzie, a okaleczonych oddał w ręce otoczenia zalecając szereg mąk, godny uroczystej chwili, wreszcie oddanie szczątków świnom na pożarcie.

Ale już podczas królewskiej operacji profesorowi zaszyły mgłą oczy. Z zastygłą krwią w żyłach odwrócił głowę od miejsca kaźni,

nie widział już nic. Gdzie spojrzał, jaskrawa plama czerwona zasłaniała mu wzrok.

Z okrzykiem boleści, pół nieprzytomny, zbiegł na dół. Rozpychał tłum, promieniejący od wielkiej uciechy, nic i nikogo dobrze już nie widział. Krew zasłoniła mu świat cały.

Krótkie zdławione jęki i swąd palonego żywca ciała odbierały resztki przytomności. Pragnął znaleźć się jak najdalej od straszego dworca pałacowego. Wreszcie ogarnął go błogi spokój.

Nie czuł zmartwiały i w niepamięci przez wieki płynący, jak w krainie, w której władcy ludu boga Asura wycisnęli ocean łez gorzkich, milkło gwarne rojowisko ludzkie coraz bardziej. Nie widział jak pałace, domy i świątynie, jedno po drugim, w proch się rozsypywały, jak wreszcie na tych zapomnianych, krwią przesiąkniętych i milczących polach porastały już chwasty.

XXX.

DWADZIEŚCIA DWA WIEKI TEMU. — NOWY KRÓL
ZIEMI, SYN ZEUSA.

W tym samym czasie, gdy dumny ród Kaina niby Tydeusz kęsał wściekle Menelipa głowę ¹⁾, gdy reszta ludzkości, nie wyłączając europejskiej, żyła jeszcze w kulturze kamienia gładzowego, spokojne plemię aryjskie rozmnażało się w borach i rozchodziło zwolna po Europie sięgając aż do Azji.

Część jego wyemigrowała na południo-wschód i pod nazwą Indusów opanowała odwieczne siedziby Malajów, druga pozostała czas jakiś w ojczyźnie, a gdy nastąpiło przeludnienie, rozlała się szeroką ławą po Europie i Azji Mniejszej, dając tu początek późniejszym Celtom, Grekom, Italom oraz wszystkim do dziś obecnym na niej ludom ²⁾.

W Iranie pień aryjski dał początek Medom i wielkiemu narodowi Persów, który podbił w krótkim czasie pół świata i zasłynął bitnością, despotyzmem bogactwami.

¹⁾ Boska komedia, pieśń 32.

²⁾ Prócz Węgrów jedynie i garstki Basków.

Wśród wszystkich dzieci tego rodu, bez względu na stan ich uspołecznienia, nie ustawały boje. Zupełnie jakby wbrew dotychczasowemu prawom natury przeznaczeniem gatunku było mordowanie się wzajemne. Dawniej walczyły przeciw sobie zwykle odmienne *gatunki*; one tylko niszczyły się zjadle. Teraz jeden sprzysiął się na własną zagładę i gdyby miał siły po temu, z pewnością wytepiłby się do szczętu. Osiem wieków upłynęło od czynów Tuklat-Pal-Asara, osiem wieków, wypełnionych bratobójstwem i czynami mniejszych lub zupełnie małych Tuklat-Pal-Asarów, i geologowi sądzone było ocknąć się w pełni blasku i działalności nowego geniuszu wojny i nowego anioła zniszczenia.

Wstąpił na widownię ziemi ambitny Macedończyk i jeden człowiek wstrząsnął niemal całą ówczesną ludzkością. Na wzór faraonów i władców asyryjskich uznał się Grek synem Zeusa i marzył o czynach godnych bogów.

Jak meteor, jak niszczący piorun przeleciał „Wielki” Aleksander po świecie i jak piorun zostawił po sobie niezatarte ślady. Wzbił się wysoko, jeśli będziemy mierzyć na potęgę zbrojnego ramienia, i już marzył o podbiciu świata całego, gdy przedwczesna śmierć zaskoczyła go w Babilonie.

.....
Dziwnymi zaiste drogami ludzkość do postępu kroczy. Trudno obliczyć, ile milionów ludzi utraciło przez krwawego Aleksandra życie, ale to pewna, że nigdy jeszcze cywilizacja podobnie szybkiego postępu nie uczyniła.

Dokonał on w istocie więcej, niż kiedykolwiek przed nim jednostka ludzka dokonać zdołała na ziemi. Zniszczył wiele, to prawda, ale i odnowił ludzkość.

Za sprawą jednego osobnika ognisko dziejowego życia przeniosło się ze starego Orientu, z Azji i Afryki, do Europy. Upadł brutalny absolutyzm azjatycki, a to, co nazywamy oświatą grecką, przeniknęło do dalekich krańców Azji. Na zapomnianych zgłiszczach zajaśniały nowe kwiaty, dojrzały wspaniałe owoce.

Wzmógł się na ziemi ruch naukowy, zakwitła nieznana lub odrodzona sztuka, handel i przemysł. Uruchomiły się niezmierne skarby, drzemiące od wieków w skarbcach lub mocy królów perskich.

Wkrótce wzniesiona przez Macedończyka Aleksandria, dzięki greckim królom Egiptu (Ptolomeuszom), zajaśniała pełnym blaskiem.

Milionowy gród nad Nilem stał się królową oświaty; zbiegowiskiem uczonych, pierwowzorem dotąd nieprześcignionym! Słynne *Muzeion*, gdzie nauczali mędrcy, gdzie zgromadzono z czterech stron świata 700 000 rękopisów, zawierało całą mądrość, jaka była po owe czasy dorobkiem całej ludzkości. A nie były to wcale wątłe iskierki, za jakie my je najczęściej uznajemy, zarozumiałe dzieci najnowszej cywilizacji.

Najrzadsze rękopisy nieznanych nawet z nazwiska uczonych i filozofów zgromadziły się tu w odpisach, przekładach lub unikatach. Na koszt monarchy setki podróżników badało odległe kraje i nieznane z imienia ludy. Przywozili nieocenione zbiory naukowe, nad którymi znów pracowały legiony uczonych, hojnie płatnych ze skatupy królewskiej.

Tu mędrcy nauczali spragnionych wiedzy słuchaczy, a tłumy ich przybywały ze wszystkich stron świata.

Krótko mówiąc, Aleksandria była pierwszym i jedynym skarbcem dorobku umysłowego ówczesnej ludzkości.

.....

I co z niej zostało?

Przeminęła jak cień, jak tyle już wspaniałości ziemskich, jak mamuty, których kości gdzieniegdzie wykopujemy, a o których prostaczkowie naiwnie dziś pytają: czy naprawdę mogły żyć niegdyś tak wielkie zwierzęta?... A jednak żyły, tylko pamięć o nich zaginęła.

W tych skarbcach umysłowych, zatraconych po większej części bez śladu, których bezdusznymi szczątkami całe średniowiecze się karmiło, było i musiało być mnóstwo takich zdobyczy, które powtórnie wykrzesawszy z głów swoich uważamy niesłusznie za zupełnie nowy i oryginalny dorobek.

XXXI.

W POMROCE PIĘTNASTU WIEKÓW. — DUROCA-
TALAUNUM. — TRYUMFY PIEKIEŁ.

W sąsiedztwie, na gruzach etruskich, pod promieniami konającej cywilizacji i potęgi greckiej wzniosło się państwo rzymskie do szczytu świetności.

Niby słońce, zapanowało nad starożytnym światem, ale snadź był to znowu meteor tylko, bo wybiła dlań przedwcześnie godzina zachodu...

Jeśli się śmieją szatani w piekle, tedy z pewnością trzęsło się całe piekło w potwornych konwulsjach ohydneho śmiechu, gdy spoglądało przez kilka wieków na ziemię. Osiem wieków to chwilka, albo też bezmiar radości i cierpień, rozkoszy i mąk najsroźszych.

Dobrze, iż choć tyle miał spokoju nasz tułacz, że nie widział i nie czuł, co się wówczas na ziemi działo. Serce by mu pękło z bólu, gdyby patrzył, jak znowu tonęły ogniki mądrości w bezbrzeżnych mrokach głupoty i przesądów, jak się przelewała czara przestępstw ludzkości, gdyby widział szalony zbytek jednostek, rozkiełznanie wszelkich namiętności, skażenie oby-

czajów, straszną nędzę tłumów, okrutny despotyzm i ucisk ludu, doprowadzone do ostateczności!

A przecież świat mógłby się już raz odrodzić i uszlachetnić. Na krzyżu umarł Człowiek, który podeptał dotychczasową dewizę życia zwierzęcą i ogłosił... prawdziwie ludzką.

Snadź jednak ludzkość daleka jeszcze była wówczas od człowieczeństwa, skoro nawet po XIX wiekach hasło Jego, wypisane na sztandarze rodu Kainów, pozostaje martwą niemal literą! Przez całe XIX wieków szły w ślady Chrystusa spośród milionów ludzi zaledwie jednostki i te, rzecz prosta, padały ofiarą starego porządku świata. Inaczej być nie mogło! Jak wśród głodnych wilków nie ostoi się owieczka, tak wobec bijącego nie ostoi się ten, kto zamiast oddać, nadstawia drugi policzek i miłuje nieprzyjaciół swoje! Świt nowej ery co prawda rozprasza i rozjaśnia dawne cienie, ale to świt dopiero.

Do południa jeszcze daleko!...

Ujrzał więc geolog okrutny wymiar sprawiedliwości dziejowej na krwawym rodzie, który sądził, że za mało jeszcze krwi wytoczył, bo wiecznie łaknął mordów i zbrodni.

Niby skorpion wbijał w swe ciało sztylet jadem zatruty — i skonać samobójczą śmiercią nie mógł.

Dzieło samozagłady starożytnego świata przyspieszyła dopiero wzmagająca się nienawiść ciemieżonych bez miłosierdzia „barbarzyńców“ północy, dokończyła zaś, niby bicz Boży, sfanatyzowana szarańcza Azjatów z żywiołową potęgą wylewająca się na Zachód.

W chwili, gdy gwar okrzyków i chrzęst zbroi zbudził naszego tułacza ze snu wiekowego, a było to już w piątym stuleciu po Chrystusie¹⁾, państwo rzymskie i idące bogato uposażonego świata starożytnego konały pod ciosami wschodnich najeźdźców i w rozkładzie własnych sił żywotnych.

Stojąc na stromej skale, wznoszącej się nad rozległą płaszczyną rzeki Marny, pod rzymskim miastem Durocata-launum (Châlons), w późniejszej Szampanii, ujrzał profesor u stóp swoich falujące morze głów ludzkich i końskich. Więcej niż pół miliona ludzi zbiegło się, aby dać widowisko, jakiego przed pojawieniem się człowieka ziemia nigdy nie oglądała.

¹⁾ W roku 451 po Chr.

Morderczy bój wrzał od rana, a stopy walczących brodziły we krwi. Wieczór się zbliżał, a jedna z najkrwawszych ziemskich bitew wrzała w pełni. Zgromadzone tu były w śmiertelnych zapasach wszystkie narody od stepów Mongolii aż do Oceanu Atlantyckiego. Był to zarazem ostatni akt ówczesnych zapasów śmiertelnych świata „cywilizowanego“ ze wschodnią „dziczą“¹⁾.

Już 150 000 trupów zaległo okrwawioną równinę, mimo to jednak nowe zastępy mordujących się istot jednego gatunku padały pod wzajemnymi ciosami.

Wpatrzył się zdrtwiałły od zgrozy i jakby ogłuszony profesor w ten obraz okropny, gdy naraz ciężka dłoń opadła szorstko na ramię jego. Obejrzał się. Stał przed nim zbryzgany krwią przedstawiciel rodu ludzkiego. Małego wzrostu, krępy, czoło niskie, nos spłaszczony, twarz szeroka, broda rzadka, oczy maleńkie, kose i bystre, uszy odstające. Postać zgoła wstrętna i dreszczem przejmująca.

— Coś ty za jeden? i co tu robisz? — wrzasnął nad uchem geologa.

— Nie wiem, gdzie jestem — odezwał się nasz tułacz — nie wiem też, co znaczy ta walka?

— Dziwna rzecz! Można by sądzić, że spadłeś z księżyca. To pan mój zmywa obrazę swego majestatu.

— Cóż to za władca, że takie wyprawia widowisko?

— Jak to? Nie wiesz nic o Attyli, Biczu Bożym? Nie wiesz, o Młocie Świata, przed którym drży dziś Europa? Nie wiesz, kto pobił Alanów, Gotów i sto innych narodów? Kto spustoszył Tesalię, Italię? Kto nad Dunajem zrównał z ziemią wszystkie miasta, wioski i fortece? Kto mieszkańców w pień wyciął? Kto kwitnące kraje, żyzne pola, wesołe i ludne siedziby w głucho zamienił pustynie, dymiące jeszcze krwią i pożogą? Nie wiesz wreszcie, kto obecnie zadaje śmiertelny cios sprzymierzonym wojskom Rzymian, Westgotów, Franków, Alanów i Burgundów? Kto ukarze srogo zuchwalstwo Walentyniana, Aecjusza i Teodoryka? Skoro udajesz nieświadomego, giń, psie chrześcijański! — wrzasnął krwawy wojownik i ciężki miecz zabłysnął nad głową geologa.

¹⁾ Zapasy te ogółem przynajmniej 15 milionów ludzi pozbawiły życia.

„Ucichły jęki, zagasły płomień
I martwe tylko nastało milczenie“¹⁾.

XXXII.

CZEMU TYLE KRWI I ŁEZ?

Wszystko, co lepsze jednostki zdobyły dla ludzkości dobrego przez szereg poprzednich wieków: nieprzeliczone owoce podniosłej myśli, arcydzieła geniuszu i męzości mędrców — zniszczone zostało bezpowrotnie. Pozostały znowu tylko ruiny i bezkształtne szczątki.

Zapomniana została wspaniałość ustroju społecznego Grecji i Rzymu. Najcenniejsze, bo umysłowe skarbcze człowieczeństwa: biblioteki aleksandryjska i pergamska poszły z dymem. Nauki i idee umarły.

Przerażająca ciemnota rozpostarła się na długo nad ziemią. W jej mrokach krzywdy jedynie, zdrady, bezprawia, okrucieństwa i zbrodnie snuły się nieprzerwanym, tłumnym pochodem przez wszystkie godziny, lata i żywoty całych kilkunastu pokoleń.

¹⁾ Ely. Poezje III, 176.

Jakaś szatańska moc czy rozigrana wyobraźnia nie oszczędziła profesorowi żadnej katuszy. Najmniej zajmował się dziejami, a przecież musiał oglądać obrazy, jeden od drugiego boleśniesz.

Trzynasty wiek przejrzał na wylot. Widział powszechną niedolę ludu, złe rządzoną Anglię, Henryka III, Francję, Ludwika Świętego, ciemnotę i straszny despotyzm we Włoszech, w Niemczech „prawo mocniejszego“ z nieskończonymi gwałtami i wojnami domowymi. Olbrzymi i szczęśliwy po swojemu Bagdad, zamieniony przez Batu-Chana w stos krwawych gruzów. Ruś w srogim jarzmie Mongołów i wyludnioną, dymiącą zgłiszczami Polskę, która bohaterską piersią zasłaniała długo Europę i krwią swoją ocaliła od własnego losu. Widział potem, jak szlakiem krwi, dymu i pożogi niesiono godło krzyża do Litwy pogańskiej. Widział także, jak niesiono to samo krwią zbryzgane godło do świeżo odkrytej Ameryki. Patrzył na ponure czyny Korteza, godne Attyli, Batu-Chana i wszystkich geniuszów gwałtu. Później musiał patrzeć jeszcze, jak wyciągano „czarowników“ na belkach i kołach aż kości wychodziły ze stawów, jak ludzie darli ludziom pasy z pleców, a podeszwy przypiekali żelazem, jak w stęchłych podziemiach, gdzie zaduch odbierał oddech i przytomność, konali o chlebie męczarni i wodzie boleści „kacerze“ i „czarownicy“, jak w XVI i XVII wieku palono i gładzono na stosie miliony kacerzy i „czarowników“. Serce zamierało mu w piersi i łez już brakło w wyschłych od zgrozy oczach.

W takim piekle, stworzonym przez ambicję, namiętności i ciemnotę jednostek, cierpiało całe biedne mrowie ludzkie, wszystkie niemal narody Europy i wszystkie stany. Przemoc zapanowała po raz nie wiadomo już który nad słusnością, a zwierzęcość nad pierwiastkiem człowieczeństwa. Ludzkość, na podobieństwo wiewiórki w klatce, biegła niby wciąż przed siebie, dobywała wszystkich sił, ale mimo to nie posuwała się naprzód!

Dziw, że przez tych ciemnych lat tysięcy z okładem nie wyrosły ludziom kły tygrysów i szpony sępów, że pod czaszkami nie zastygła, nie skamieniała myśl wzniosła, a na dnie serc nie wytyłały iskry czystej miłości i cnót.

I pomyśleć, że tak żył z małymi wyjątkami człowiek przez całe lat trzy tysiące aż do Chrystusa, a od Chrystusa przez wszystkie stulecia aż do XX wieku!

W natłoku czarnych obrazów widział geolog i jasne, ale były to istne „białe kruki“ i tym bardziej rozdzierały mu serce.

— Dość już tego — jęknął umęczony — dość tych obrazów, godnych piekła dantejskiego! O zmoro straszliwa! za co mię dręczysz? Za jakie winy każesz patrzeć na samą nędzę rodu ludzkiego? Czyż w nim tak mało stron jasnych?

Wszak rodzaj człowieczy jest już czymś lepszym na świecie! Choć powoli, choć nie wszystek, ale uszlachetnia się ciągle. Wyżyny, na które wzniosły się i wznoszą jednostki, staną się niebawem dostępne tysiącom, a później milionom. Serce staje się czulsze, umysł subtelniejszy. Suma dobra i szczęścia zwiększa się ostatecznie na ziemi.

Nie należy rozpaczać! Czyż pięć lub sześć tysięcy lat historycznego bytu ludzkości stanowi tak wiele wobec niezmierności i niezgłębionej wieczności? Czyż można wymagać, aby ród ludzki od razu stał się tym, czym kiedyś być może?!

Ziemia stopniowo musi wejść wreszcie w nową fazę bytu i stanie się siedliskiem istot podniosłych, które z podziwem będą wspominały swych przodków, tak mało, tak mało ludzkich...

XXXIII.

WIZJE PRZYSZŁOŚCI.

— Cóż to jest? Skąd mi wpadają w uszy te zatrute jadem
zwątpienia strofy? — zawołał prof. Przedpotopowicz. — Więc
nic? Więc nic, jeno znikomość? I tylko marność, proch i glina?
Jak to?...

„Więc równy dział jest tych, co skąpią,
Z tymi, co trwonią swe dostatki?...

Więc nic? I znikąd nie zaczerpie
Syn ziemi w smutkach swych otuchy?

I nic? I celem grób mu głuchy?...¹⁾

— Milcz! — krzyknął Przedpotopowicz i zerwał się
gwałtownie z łoża, ale go silne ramię z delikatnością kobiecą
powstrzymało.

— Spokoju! — szepnął miękko głos łagodny, ale przeko-
nywający.

¹⁾ W. Zagórski: Król Salomon.

Przedpotopowicz uczuł dziwny ból w skroniach i zamknął powieki. Gdy je podniósł, ujrzał pochyloną nad sobą postać o niezwykłym wyglądzie. Wyraz twarzy był słodki, niewypowiedzianie szlachetny, myślący, a wzrok do głębi duszy sięgał. Nigdy jeszcze geolog podobnych oczu nie spotkał. Jakiś czar nieziemski bił z tych źrenic jasnych jak promień słońca, jak młodość, a jednak patrzących z oblicza zwiędłego już od lat przeżytych. Geolog uczuł bezwiedną a silną sympatię do tej istoty.

Cera ciemnopopielata i zupełny brak zębów oraz zarostu na twarzy i głowie wzbudziły podziw i ciekawość.

Nie umiał odpowiedzieć sobie nawet na pytanie, czy to mężczyzna czy kobieta?

— Kto jesteś? — zapytał po polsku.

Popielatoskóry człowiek odrzekł mu nad wyraz melodyjną, ale całkiem niezrozumiałą mową. Uczony nasz przemówił po angielsku, ale nie otrzymał już odpowiedzi.

Na obliczu nieznajomego czy nieznajomej zagościło tylko zdziwienie i błysk radości. Geolog powtarzał natarczywie pytanie po francusku, po niemiecku, ale na próżno.

Nieznajomy zdawał się nie rozumieć żadnego z tych języków.

Wreszcie oddalił się z dobrotliwym uśmiechem i powrócił w towarzystwie bardzo wątego starca. Ze względu na brak naturalnej ozdoby głowy starzec był zupełnie podobny do swojego towarzysza. Przedpotopowicz zwrócił się doń z ponownym pytaniem i otrzymał niedokładną angielszczyzną zapytanie:

— Po jakiemu mówisz?

— Po angielsku — odparł profesor — ale czemu pytasz, skoro znasz ten język?

— Nie wiedziałem, że się tak nazywa — odrzekł z prostotą starzec. A po chwili milczenia odezwał się znowu. — Choć dziwnie surowa jest twa postać, widzę, żeś człowiekiem i mężem. Kimże jesteś i skąd pochodzisz?

— Jestem Polakiem, profesorem w Oxfordzie.

— Nie rozumiem tego! — odparł głęboko zamyślony nieznajomy.

— Gdzież więc jestem? — zawołał geolog, urażony nie tyle odpowiedzią, ile wyrazem politowania i zgrozy, jakiej nie miał siły ukryć nieznajomy, wpatrujący się uporczywie w oblicze naszego uczonego. Odpowiedź tylko objaśniła Przedpotopowicza, że jest w Afryce, badał więc dalej.

— Daleko stąd do Londynu?

— Do Londynu? — zawołał starzec. — Dziwny wymienił wyraz. Uczeni spierają się o znaczenie jego. Powtarza się bowiem na szczątkach bardzo wielu starożytnych przedmiotów.

— Ależ to siedmiomilionowe miasto! Serce Anglii, a nawet prawie świata całego!

— Ciekawe mówisz mi rzeczy. Poczekaj, niech sobie przypomnę. To pewno tego miasta ślady odkryto pod 49 stop. szerokości geograficznej.

— Ależ tam leży Paryż! — poprawił go Przedpotopowicz.

— Nie wiem, co to — odrzekł popielaty starzec.

— Nie słyszałeś więc o stolicy Francji?

— Nie mogę sobie przypomnieć...

— Zatem, gdzież jestem?

— Jesteś w stolicy Rzeczypospolitej *Uniam-Wesi*, w ognisku wiedzy współczesnej. Ja zaś piastuję obowiązki dyrektora Muzeum Starożytności Północnych. Witam w tobie głębokiego lingwistę, władasz bowiem biegle jednym z najstarożytniejszych zaginionych dawno języków. Proszę, chodźmy do muzeum, a pokażę ci tam ciekawe zabytki ludu, mówiącego niegdyś tym językiem.

Profesor, niespodziewanie pasowany na znakomitego językoznawcę, nie opatrzył się nawet, jak przeszedł kilkanaście sal, bogato napełnionych przeróżnymi okazami, ale starzec mijał wszystkie powtarzając:

— To młodsze, późniejsze epoki Europy, 3 i 4 tysiąclecie po Chrystusie.

I zawiódł naszego profesora do niewielkiego pokoju. Tu spoczywał skromny zbiór monet złotych, pieczęcie wryte na twardym kamieniu, nagrobki kamienne i tablice pamiątkowe, sporo złotych wyrobów przemysłu, posążki, szczątki narzędzi naukowych i przemysłowych. Była nawet koperta złota od zegarka, wypełniona masą krzemioną. Na wielu przedmiotach

były wyryte napisy w języku angielskim. Starzec zwrócił się do Przedpotopowicza.

— Zdajesz się być biegłyjszy ode mnie w tym języku.

— Znam go, jak rodowitą mowę.

Dyrektor muzeum pokiwał z podziwem głową.

— Pochlebiałem sobie dotąd, że nikt lepiej ode mnie nie zgłębił tej mowy — rzekł z żalem. — Ale nie odpowiedziałeś jeszcze na pytanie: kim jesteś, znakomity językoznawco?

— Porzućmy żarty! — zawołał Przedpotopowicz. — Język angielski rozumie połowa świata. Nie mogę tedy pojąć, co znaczą te okazy i dziwi mnie twoja nieświadomość, starcze!

Przyszło do ostatecznego wyjaśnienia. Afrykański lingwista zrozumiał nareszcie, że rozmawia z przedstawicielem jakiejś zamierzchłej cywilizacji. Zarzucił go tedy mnóstwem zapytań:

— Za twych czasów żyły podobno jeszcze takie zwierzęta? — zapytał wskazując na złoty brelok. Przedstawiał on pięknie wymodelowanego lwa, napadającego na słońca.

— Naturalnie!

— Podobno nazywały się one „lew“ i „słoń“.

— Tak jest!

— Widzę, żeś dobrze odcyfrował! Zatem widziałeś i żywe konie?

— Jeździmy na nich!

— Widziałeś i woły?

— Jadam co dzień ich smaczne mięso!

Tu lingwista skrzywił się zmieszany i zawstydzony skierował zaraz rozmowę na inny przedmiot.

— Chodź, pokażę ci prawdziwe szczątki tych zwierząt. Mamy tu w muzeum najbogatszą w świecie kolekcję zoologiczną. Weszli do obszernej sali. Pod wielkimi kryształowymi kloszami stało kilkanaście wypchanych lub zabalsamowanych okazów zwierząt ssących i ptaków. Źle to było przechowane i mocno uszkodzone, mimo to geolog rozpoznał z łatwością w okazach najpospolitsze zwierzęta kręgowce. Był tam: koń, pies, para szczurów, mysz, żyrafa, gęś, kura i wróbel.

— I to wszystko?

— Było więcej, ale powoli uległo zniszczeniu.

— Dlaczego pod kloszami umieściliście te liche szczątki zwierząt?

— Bo już za najlżejszym dotknięciem rozsypują się. Musimy je chronić od zgubnego wpływu powietrza. Przed dwustu laty jeszcze muzeum posiadało dwa razy tyle, ale skutkiem wielkiego trzęsienia ziemi połowa w proch się rozsypała. Odtąd te cenne zabytki stoją na mechanizmach, które zabezpieczają je od wstrząszeń.

— Ależ to pospolite zwierzęta!

— Bynajmniej! — zaprzeczył żywo uczony. — To nieocenione unikaty! Ten oto pies był podobno ostatnim psem na ziemi i, jak świadczą zupełnie wiarogodne kroniki, został wypchany w Australii, *trzy tysiące lat temu*. Szczur jest młodszy. Tego czworonoga widywano jeszcze kilkakrotnie przed dwoma tysiącami lat. Od dawna już znamy zwierzęta tylko z dawnych opisów, obrazów i starożytnych zabytków sztuki.

Geolog słuchał i coraz większe ogarniało go zdumienie. Umysł się mącił, w głowie wirowało, a po skórze przebiegały zimne dreszcze. Ujął głowę w dłonie i długą chwilę pozostał niemy i głuchy.

— O! znikomości rzeczy ziemskich! — zawołał wreszcie i przypomniały mu się strofy króla Salomona. — Więc człowiek wszystkie zwierzęta wytępił i przeżył! Czy ty wiesz, starcze — odezwał się do człowieka — że za moich czasów żyło jeszcze na ziemi zwierząt przeszło 24 tysiące gatunków.

— Kiedyż to było?

— W XX wieku ery chrześcijańskiej, a w 649 roku licząc od *minimum* odległości ziemi od słońca.

Popielaty mędrzec pośpiesznie zaczął rachować.

— Obecnie mamy rok 1300 panowania Powszechnej Miłości i znowu prawie *minimum* ekscentryczności drogi ziemskiej¹⁾, więc podług rachunku zaginionych ludów Europy jest to rok 11 895 od narodzenia Chrystusa.

— Jak to! więc o 10 000 lat przetrwałem swoją epokę? — zawołał przerażony geolog.

¹⁾ Minimum przypada na rok 11 748 od Narodz. Chrystusa, ostatnie zaś nastąpiło w roku 1246 po Chrystusie.

XXXIV.

NAPRZÓD !

Gdy ochłonął, opowiedział pokrótce swoją nadzwyczajną wędrówkę, nareszcie zmęczony umilkł. Powrócono do gabinetu uczonego. Popielatoskóry archeolog ze swej strony scharakteryzował swoją epokę.

Potężna rzeczypospolita Uniam-Wesi była już od wieków siedliskiem wyższej cywilizacji. Obywatele jej byli sobie równi. Od wieków w tej sprawiedliwej i szczęśliwej krainie panowała miłość bliźniego, posunięta aż do poświęcenia z zaparciem się siebie samego.

Przestrzeganie tej wzniosłej miłości sprawiło, że myślące i słodkie oblicza popielatoskórych mieszkańców krainy jaśniały błogością. Takie twarze trafiały się i za czasów geologa, ale bardzo rzadko. Kto je choć raz ujrzał, nie zapomniał nigdy.

Nasz uczony przypomniał sobie teraz, że widział podobne twarze w swoim życiu. Jedną ocieniały śnieżne skrzydła cichej,

pokornej szarytki, druga należała do jakiegoś bezimiennego nauczyciela wiejskiego.

Popielatoskóry starzec prawił bardzo dziwne rzeczy profesorowi.

Od dawna już nie było na ziemi wojen. Ostatnie były toczone z barbarzyńcami, którzy objęli Europę w spadku po rasie białej i wiedli nędzny, a burzliwy żywot.

Część tych ludów wygasając złagodziła swe obyczaje i przyjęła wyższą cywilizację.

— Więc nie jadacie mięsa? — zagadnął profesor archeologa.

— Mięsa? — zapytał blednąc starzec.

— No, tak! Mięsa zwierząt, np. baranów, wołów, wieprzów? Cóż w moim zapytaniu dziwnego?

Oblicze lingwisty skrzywiło się kurczowo. Mimo wysiłku, nie mógł zapanować nad ogarniającym go wstrętem.

— Choćby nawet i żyły zwierzęta, nikt nie zdobyłby się na okrucieństwo zabijania istot żywych i na brutalność spożywania ich ciała... — przemówił popielaty człowiek z widocznym wysiłkiem.

— Czymże się żywicie? Jesteście, jak wnoszę, wegeterianami?

— Ależ na to za mało mamy miejsca na ziemi. Chemia dostarcza nam związków potrzebnych do podtrzymywania procesów życiowych. Odkąd ludzkość porzuciła zwierzęcy i wstrętny sposób odżywiania się, wygasła większość chorób, które gnębiły ród ludzki, a co ważniejsze, znikły instynkty, które trzymały ludzi w stanie zbydłęcia lub pchały w objęcia zbrodni. Potrzeb fizycznych mamy niewiele, a staramy się ich mieć jak najmniej, a za to czasu i sił więcej na zaspakajanie potrzeb duchowych, na przyjemność służenia bliżnim. Ciężkiej zresztą pracy nie znamy. Wyręczamy się pracą martwych, nieprzebranych a posłusznych sił natury. Woda, przypływ i odpływ morza, promienie słońca i ciepło, czerpane z wnętrza ziemi — oto nieprzebrane źródła siły, zastępującej wybornie pracę dawnych zwierząt domowych i dawnych machin parowych. Każdy dojrzały obywatel pełni służbę przez trzy

lata przy cięższych i niezbędnych pracach dla publicznego dobra. Innych ciężarów nie znamy. Pracujemy wszyscy jednak. Najwięcej jednak nad poznawaniem cudów wszechświata. Muzyka jest ulubioną osłodą wolnych chwil naszych. Przez nią niby na skrzydłach poezji unosimy się w czystą krainę marzeń podniosłych. Muzyka jest najwyższym skarbem i poezją naszą, ona wypowiada stokroć więcej niż z natury rzeczy gruba i niedoskonała mowa ludzka wyrazić jest w stanie. Ona daje nam przedsmak doskonalszego, zagrobowego istnienia, do którego tęsknimy, ona godzi z dolegliwościami żywota.

— A więc i wy nie jesteście szczęśliwi?!

— Jesteśmy! Dopiero, gdybyśmy wolni od trosk i pokus utonęli w jakimś jednostajnym i wcale niepożądanym dobrobycie, zatracilibyśmy poczucie szczęśliwości. Bóle oczyszczają przecież i wnoszą nas wyżej. Najsrożej cierpimy, nie mogąc ulżyć cierpieniom bliźnich, nie mogąc podnieść całej ludzkości do wyżyn idealnych, ale i na to nie sarkamy...

Im dłużej patrzył profesor na postać dyrektora, tym większa ogarniała go wątpliwość, czyli kobietę miał przed sobą czy mężczyznę. Nie śmiał zadać niedyskretnego pytania, wreszcie nie oparł się pokusie.

— Dziwnie delikatną jest twa postać, dyrektorze. Daruj, że cię zapytam, czyś mężczyzną?

Starzec uśmiechnął się łagodnie.

— Jestem człowiekiem.

A zauważywszy, iż odpowiedź nie zadowoliła geologa, dodał z prostotą:

— Jeśli chcesz wiedzieć to, do czego my zresztą żadnej nie przywiązujemy wagi, powiem, że należę do rodzaju żeńskiego.

— Z twych słów wnoszę, dyrektorze, że nie masz męża?

— Naturalnie! jak większość... To jest podstawą naszego szczęścia i stanu ducha, do którego ludzkość tak długo tęskniła...

Prawil jeszcze dużo starzec, ale były to już rzeczy, których geolog mimo wysiłku zrozumieć nie był w stanie. Więc przerwał znużony mowę dyrektora, podobną do cichego, dziwnie przyjemnego śpiewu.

— Daruj mi prozaiczność i szczerłość w chwili niewłaściwej. Omdlewam z głodu, a nie wiem kiedy zasiądziecie do posiłku.

Gospodarz, a właściwie gospodyni zerwała się cokolwiek zawstydzona.

— Przepraszam najmocniej, że nie objaśniłam cię wcześniej — zawołała i dyskretnie wskazała skinieniem ręki na jedną ze ścian.

Widać w niej było dwoje małych drzwiczek.

— Co to?

— Jadalnia. Wejdz tam!

Geolog ujął za klamkę.

— Nie tu! — zawołała żywo. — Drugie drzwi. Ale prawda, sam pewno nie dasz sobie rady! — To mówiąc otworzyła drzwiczki i oczom geologa ukazał się niewielki pokoik, w którym pomieścić się mógł jeden człowiek.

Przy ścianie połyskiwał szereg rurek i kranów z odpowiednimi napisami, które jął gospodarz objaśniać. Były to chemiczne związki, stanowiące jedyny repertuar gastronomiczny udoskonalonej ludzkości. Trzeba wyznać, że nie było tu uwzględnione nic dla podniebienia; pokarmy nie miały smaku, ale za to były zdrowe i nadzwyczaj posilne.

Ludzkość dawno przestała być łakoma. Co więcej od dawna zaprzestano jadać u wspólnego stołu. Przyjmowanie pokarmów, aczkolwiek nieuniknione, odbywało się w dyskretniej samotności, gdyż uchodziło za brutalną funkcję, z którą wypadało się kryć przed okiem nawet najpoufalszych. Delikatność uczuć była nadzwyczajna.

Profesor posiliwszy się w niezwykle dlań sposób poprosił dyrektora, aby go zaprowadził raz jeszcze do najstarszego działu muzeum. Uczony chętnie spełnił prośbę.

Wrócono do angielskiego oddziału.

— Dlaczego tak mało macie zabytków z tej epoki? — zapytał geolog.

— Nie dziw się, że zaledwie szczątki się tu znajdują. Zanim rozpoczęliśmy poszukiwania, kilka razy na miejscu waszych miast stawały nowe stolice nowych państw i narodów. Trwały one czas jakiś, kwitły, a wreszcie w gruzy się rozsypywały. Rozmaicie rządziła się tu ludzkość. Żółta rasa zepchnęła do

grobu białą, ale nie zdążyła jeszcze wznieść się sama na właściwe wyżyny, gdy przyroda odegrała rolę mściciela. Srogie zimy i związane z nią klęski poczęły w 5 tysiącleciu srodze wyludniać sioła i grody. Wreszcie w 6 i 7 śniegi i lody okryły większą część ich dziedziń na długie wieki. Cywilizacja cofnęła się wtedy na południe. Jeszcze później przyszły ciężkie powodzie, zarazy i katastrofy klimatyczne. Cóż dziwnego, że resztki z waszych czasów, nie zniszczone przez waszych pogromców, zostały unicestwione przez żywioły tak dalece, że nawet pamiętać o tym, co było przed lodową epoką, zatraciła się w kolei wieków?! Dziś już tylko jako największe osobliwości wykopują niekiedy archeologowie przedmioty z twoich czasów.

— Czy nie macie już więcej zabytków z tych czasów?

— Owszem. Pokazałem ci te, któreś nazwał angielskimi. Mamy jeszcze inne, nawet takie, na których napisów nie udało się nikomu odcyfrować. Pójdźmy na lewo, w tej sali zobaczysz je.

Geolog znalazł się wobec szeregu szaf. Skwapliwie rzucił się do czytania napisów.

Ujrzał pod kloszem zjedzony od rdzy hełm żelazny, a na nim wycytał złotem wyłożony gotycki, dumny napis:

„*Wir Deutsche fürchten Niemand...*“

Uśmiechnął się gorzko i poszedł dalej.

Minął parę szaf zawierających skromne ułamki pokryte rdzą i wpadła mu w oczy duża płyta kamienna, przełamana na pół i starannie spojona. Widniały na niej trzy słowa:

„*Mikołajowi Kopernikowi Rodacy*“.

Serce uderzyło mu jak młotem. Stał przykuty do ziemi, z oczyma wlepionymi w ten pomnik chwały naszej.

Nie słyszał nawet archeologa, który pytał, co go tak bardzo zajęło w tym kamieniu.

Co się w duszy jego działo próżno byśmy usiłowali oddać słabym piórem. Wreszcie wybuchnął:

— Warszawo moja biedna! I ja cię przeżyłem!...

.....
Nagle usłyszał szept. Wsłuchiwał się w przyciszone głosy.

— Przytomność wraca! — rzekł ktoś głośno.

— Bogu dzięki, kryzys minął!

Przedpotopowicz otworzył szeroko oczy, zaczerpnął powietrza i spostrzegł obok siebie znajome twarze: lorda Puckinsa i Stanisława. Jedynego nieznajomego, staruszek bezwłosy, trzymał go lekko za rękę i puls badał. Uszczęśliwione twarze przyjaciół wywołały uśmiech i na bladych ustach profesora.

— Spałem? — zapytał ledwo dosłyszalnym szeptem.

— Spałeś, zaśnij jeszcze, to cię pokrzepi!

— Więc tyś nie zginął? A ja cię już opłakałem!

— Jak widzisz, trzymam się jeszcze...

Wpatrzył się w Anglika i dostrzegł w nim zmianę. Był wychudły, a głowę miał ostrzyżoną do samej skóry.

— Ależ tyś chory, lordzie — wyszeptał — i ty, Stanisławie, blady jesteś i wynędzniały.

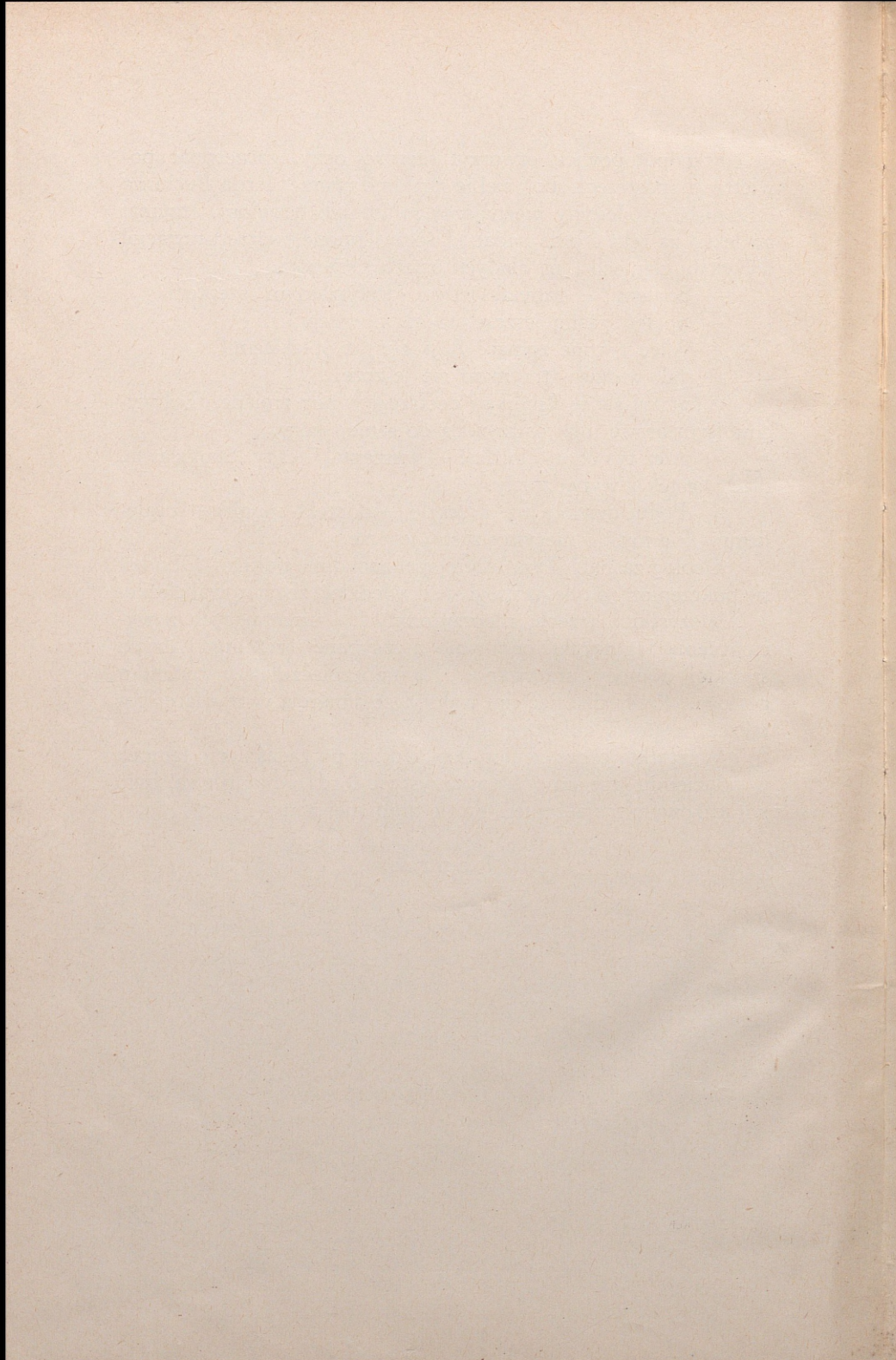
— Bogu dzięki, już przeszło — odrzekł Anglik — ocaleliśmy. Nie myśl o niczym i zaśnij jeszcze.

Geolog zasnął. Tym razem spał spokojnie i długo. Obudził się pokrzepiony o tyle, iż mógł się dowiedzieć, że chorował ciężko.

Wszystkich trzech, nieprzytomnych i umierających z wycieńczenia i gorączki, odkopano z zasypanej szczeliny i dzięki szybkiej pomocy uratowano. Najniebezpieczniejszy był stan geologa. Przez dziesięć dni walczył ze śmiercią w trawiącej gorączce, z głową obłożoną lodem.

Wszystko, czego geolog doświadczał po zagaśnięciu lampek w podziemiu rzekomo w towarzystwie lorda i Stanisława, było gorączkowym majaczeniem na tle ulubionej nauki.

K o n i e c.



PRACE POMOCNICZE.

- Jan Lewiński: Historia Ziemi. (Wielka Przyroda Ilustrowana). 1933.
Tegoż: Życie Ziemi. (Wielka Geografia Powszechn.). Warszawa 1933.
Roman Kozłowski: Historia Zwierząt. (Wielka Przyroda Ilustrowana). Warszawa 1933.

INNE PRACE ERAZMA MAJEWSKIEGO.

- Potop.** Szkic przyrodniczy z ostatniej doby dziejów kuli ziemskiej. Wydanie II. Warszawa 1883.
- Insecta Neuroptera Polonica.** Kraków 1881.
- Materiały do fauny krajowej.** Owady żyłkoskrzydłe (Neuroptera Polonica), 1885.
- Do Przyrodników Polskich.** Odezwa w sprawie uporządkowania nomenklatury ojczyznej w dziale zoologii i botaniki. Warszawa 1884. (Odbitka z „Wszechświata“).
- O pilniejszych potrzebach naszego języka naukowego.** Warszawa 1886.
- Koniec świata.** Przegląd wypadków, jakie mogą spowodować zagładę ziemi. Warszawa 1887 (wyczerpane).
- Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich.** 2 tomy in 4-o (pod prasą).
Tom I, polsko-laciński, str. LXIV+552 (całość).
Tom II, lacińsko-polski od A do M., str. LX+465.
- Doktor Mucholąpski.** Fantastyczne przygody w świecie owadów. Dzieło ozdobione 58 rysunkami Piotra Maszyńskiego. Warszawa.
- Bocian w mowie i pojęciach ludu naszego.** Warszawa 1891.
- Wąż w mowie i pojęciach ludu przeważnie polskiego.** Warszawa 1893
- Roślina i wyraz chmiel, ich pochodzenie i przedhistoryczne znaczenie.** Warszawa 1893.
- Nazwy ludowe kartofla i ich słoworód.** Odbitka z „Prac filologicznych“, t. IV. Warszawa 1893.
- Początek, przyszłość i koniec ziemi.** Drugie wydanie „Końca Świata“. Warszawa 1895.
- Przedhistoryczne narzędzia krzemienne, zebrane pod wsią Osówką w pow. stopnickim, ziemi kieleckiej.** Z 22 tablicami fotogr., obejmującymi 1602 okazy. (Tekst polski i francuski). Warszawa, 4-o, 1895.
- Wskazówki do konserwowania przedmiotów starożytnych** (odbitka z „Wisły“ XI). Warszawa 1897.
- Drobne prace i notatki z dziedziny archeologii przedhistorycznej i etnografii.** Z 66 rysunkami, str. 128. Warszawa 1897.



Biblioteka

46842/2

Naukowa

